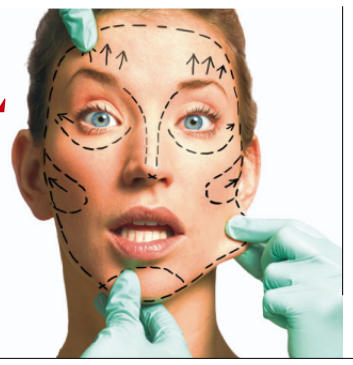
Operacje plastyczne PL
Kochanie, wybierz mi implanty
▶26



Nike Czytelników
W Niemczech Twardocha traktują poważnie
▶2



WYSOKIE OBCASY
Małgorzata Ostrowska
Meluzyna w kabriolecie



FOT. GETTY IMAGES, FOT. JACEK POREMBA

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Uważaj! Zaczęło się rykowisko

Polują policjant, proboszcz, prokurator ▶6

FOT. GETTY IMAGES, MONTAŻ

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 40

Marcin Horała: PiS z „Inwazji porywaczy ciał” ▶12

AI przejmuje matematykę **Dukaj, Dragan, Bagiński** ▶32

Dlaczego Gibała tak chce zdobyć Kraków ▶10

Chujec borsuczy czyli jak kiedyś bluzgali Polacy ▶45

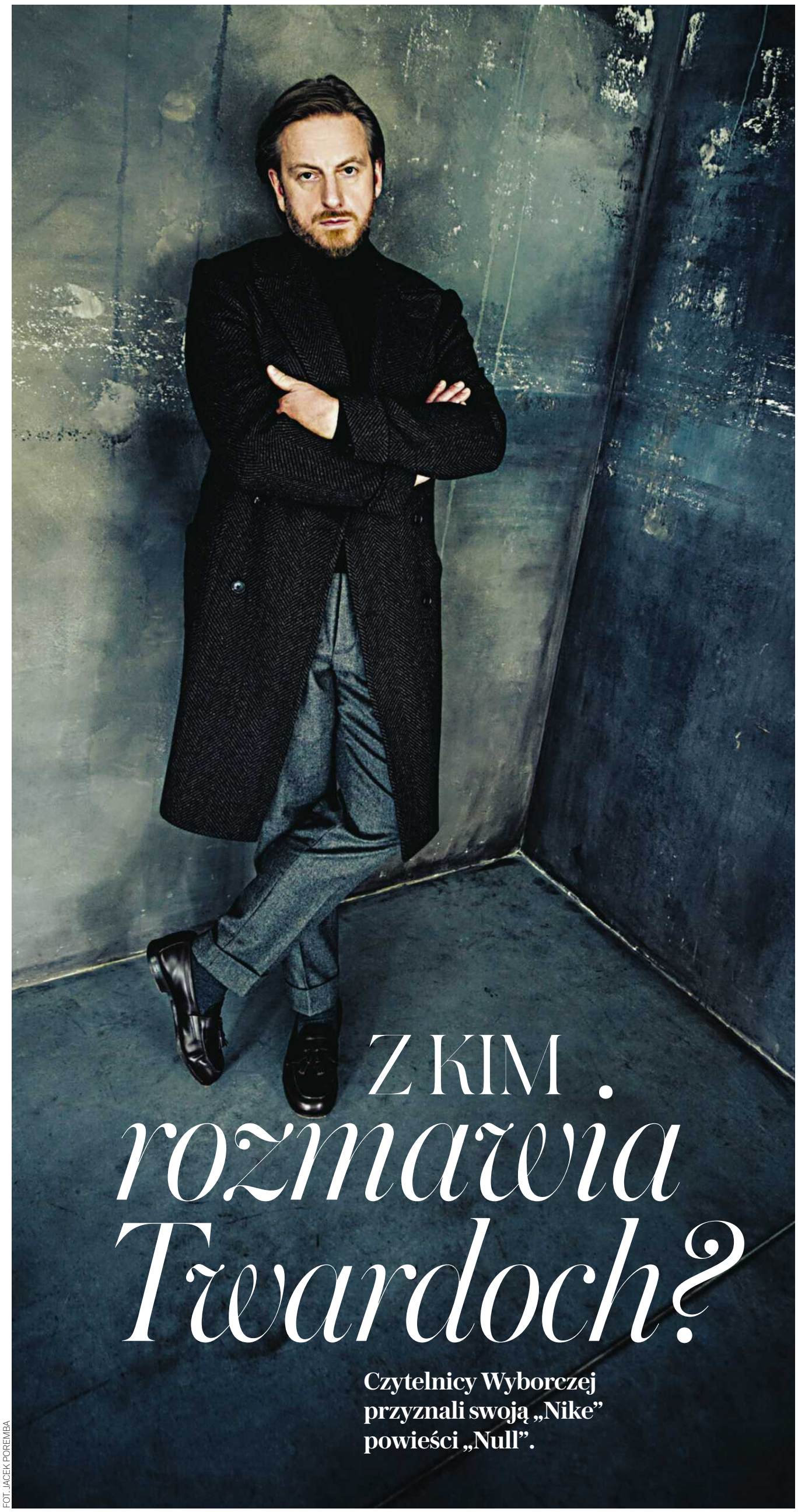
400 koncertów rudego księdza Vivaldiego ▶40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 3-8 października 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 231.11330, 1 Nakład 70 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 80cac0502a

CZYTELNIKÓW NIKE



FOT. JACEK POREMBA

Z KIM rozmawia Twardoch?

Czytelnicy Wyborczej przyznali swoją „Nike” powieści „Null”.

Wojciech Szot

Po lekturze »Nulla« nikt nie jest już tym, kim był przed”, napisał jeden z krytyków o powieści Szczepana Twardocha, którą w lutym 2025 roku wydała oficyna Marginesy.

Bohaterem „Nulla” jest Koń, historyk po czterdziestce mieszkający w Warszawie. Gdy w lutym 2022 roku Rosja napada na Ukrainę, wyjeżdża z kraju, by – jak pisał w „Wyborczej” Dariusz Nowacki – „na ukraińskim froncie poszukać śmierci”. Dlaczego Koń jedzie na wojnę? Czy to jego wojna? Twardoch powoli odsłania motywacje, którymi kierował się bohater powieści.

Wśród przodków Konia są też Polacy zamordowani na Wołyniu i ojciec, który, chcąc ochronić dzieci, postanowił zrobić z nich „normalnych ludzi”, czyli „Europejczyków”. To historyczne obciążenie nie daje spokoju bohaterowi, który szuka własnej, utraconej historii.

A jak wygląda życie w strefie null? „Nam pizda” – pierwsze zdanie powieści – najlepiej opisuje to, co spotyka Konia. To powieść, która łączy w sobie reporterską pasję z zamiłowaniem do fikcji.

„Null” ukazał się tego samego dnia w Polsce i w Niemczech, w przekładzie Olafa Kühla, z którym rozmawiamy poniżej.

Szczepan Twardoch już raz zwyciężył w Plebiscycie Czytelników „Wyborczej” – w 2013 roku wygrała go „Morfina”, powieść historyczna, której głównym bohaterem jest Konstanty Willeman, podporucznik Wojska Polskiego, syn Niemca i Ślązaczki. Akcja książki dzieje się przede wszystkim we wrześniu i październiku 1939 roku, tuż po klęsce kampanii wrześniowej, w okupowanej przez Niemców Warszawie, ale w powieści liczne są retrospekcje do dwudziestolecia międzywojennego, które pokazują wcześniejsze życie bohatera.

Dotychczas w Plebiscycie Czytelników „Wyborczej” tylko Olga Tokarczuk i Mariusz Szczygieł zwyciężali więcej niż raz. Autorka „Biegunów” aż pięciokrotnie, a Szczygieł dwa razy – w 2007 i 2019 roku. Zaś „Null” jest pierwszą powieścią nagrodzoną przez czytelników od czasów „Ksiąg Jakubowych” w 2015 roku. W latach 2016-25 czytelnicy wybierali reportaże, autofikcje, książki historyczne, a nawet autobiografie, ale ani razu w tym czasie nie nagrodzili powieści.

Plebiscyt Nike Czytelników „Gazety Wyborczej”, towarzyszy finałowi Nagrody Literackiej „Nike”. Laureatkę/ta 30. Finału poznamy 4 października. Galę zobaczymy na Wyborcza.pl oraz w TVP2 i TVP Kultura. Poczatek o godz. 20:30 .

Z **OLAFEM KÜHLEM***, TŁUMACZEM **SZCZEPANA TWARDOCHA** NA JĘZYK NIEMIECKI ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Dlaczego urodzony w 1955 roku chłopak, który dorastał w Niemczech Zachodnich, do tego w całkiem ładnej, nadmorskiej okolicy, postanowił zostać slawistą?

– Tak się składa, że w życiu nie zawsze robiłem to, co bym chciał. Jako młody człowiek chciałem zostać pisarzem. Marzyłem, że wyjadę do Argentyny i zostanę kimś w rodzaju Hemingwaya. Najdalej dotarłem do Paryża i tam chciałem zarobić na transatlantyk. Nie miałem wtedy pojęcia o Gombrowiczu. Nic z tego nie wyszło, bo mój francuski był za słaby.

Gdy wróciłem do Niemiec, a dokładniej do Berlina Zachodniego, zacząłem

eprasa.pl 80cac0502a

studiować psychologię. Wtedy też poznałem urodzoną w Leningradzie dziewczynę, która uczyła języka rosyjskiego. Dziewczyna i język rosyjski tak mnie zafascynowały, że w następnym roku zmieniłem kierunek studiów na slawistykę i historię Europy Wschodniej. Studia ukończyłem w 1981 roku.

Tłumaczenie nie było moim pierwszym wyborem. Myślałem raczej o pracy w kontrwywiadzie, w bazie operacyjnej CIA w Berlinie Zachodnim. Próbowałem, ale się nie dostałem z powodu żony Polki. Mieliśmy już dwójkę małych dzieci, więc po prostu trzeba było zarabiać. Pracowałem jako stróż nocny, sprzedawałem lody...

Na początku lat 80. dostałem propozycję przetłumaczenia „Dzienników" Gombrowicza na niemiecki. Tak zaczęła się moja praca jako tłumacza z polskiego.

W którym roku ukazały się te „Dzienniki"?
– 1988.

Ciekawy moment, Polska i Europa Wschodnia od kilku lat są trochę na fali – Noble dla Miłosza, Brodskiego, Seiferta, „Solidarność", stan wojenny, Havel... Czy to wystarczyło, by zainteresować Niemców polską literaturą?
– Kluczową postacią był jednak Karl Dedecius, urodzony w latach 20. tłumacz i popularyzator literatury polskiej i rosyjskiej. W 1980 roku założył Deutsches Polen-Institut w Darmstadt. Dedecius miał niezwykle silny charakter, potrafił ściągać na siebie uwagę i dzięki temu udawało mu się forsować w Niemczech takich pisarzy jak Szymborska czy Różewicz. W 1984 roku zamówił u mnie przekład „Oziminy" Wacława Berenta.

Miałeś wtedy okazję zobaczyć Polskę?
– Po raz pierwszy przyjechałem do Polski w 1977 roku. Wybraliśmy się z przyjaciółką w drogę żółtym garbusem. Planowaliśmy spać pod namiotami. Po Polsce jeździło się wtedy samochodem fantastycznie. Puste ulice! Gdzieś pod Braniewem, gdy jechałem setką, mieliśmy wypadek. Nikomu nic się nie stało, ale garbus był zgnieciony i przyjechała milicja, która – muszę być szczery – pachniała wódką. Na szczęście byli bardzo mili, zakwaterowali nas u chłopskiej rodziny niedaleko miejsca zdarzenia. Wszyscy byli dla nas bardzo gościnni. Naprawdę podobało mi się wtedy w Polsce.

Kogo chcieli czytać Niemcy na przełomie lat 70. i 80.?
– Gombrowicza. Pierwszym jego tłumaczem, jeszcze w latach 60., był Walter Tiel. Dzisiaj ocenia się jego przekłady jako niezbyt udane, choć doceniam, że w warstwie językowej były bardzo bliskie Gombrowiczowi.

Kolejne niemieckie przekłady Gombrowicza przypadają właśnie na lata 80. Wydawnictwo Carla Hansera publikowało wtedy jego dzieła zebrane. Od tego czasu właściwie każde nowe wydanie – niezależnie od tego, czy chodzi o książkę nigdy wcześniej nietłumaczoną, czy o wznowienie – budzi w Niemczech ogromne zainteresowanie.

„Berliner Notizen", czyli wybór notatek z jego dziennika o pobycie w Berlinie, niedługo będzie miał czwarte wydanie.

Gombrowicz jest też popularny w niemieckim teatrze. „Iwona, księżniczka Burgunda" uważana jest tu za jedno z najważniejszych dzieł w historii – światową klasykę. Gombrowicz to marka.

Ktoś z Polski jest jeszcze taką marką?
– Dorota Masłowska. Nie wiem, jak wielu ma czytelników, ale wiem, że gdy ukazuje się jej nowa książka, to pisze o niej niemal cała niemiecka prasa.

W Polsce wciąż wspomina się sukces, który na przełomie lat 80. i 90. odniósł w krajach niemieckojęzycznych Andrzej Szczypiorski. Jego „Początek", przełożony przez Klausa Staemmlera jako „Die schöne Frau Seidenman", był bestsellerem, a autor gościł w niemieckich programach politycznych i talk-show. Miał przewagę, bo mówił po niemiecku. Języka nauczył się w obozie w Sachsenhausen.
– To rzeczywiście był olbrzymi sukces komercyjny, ale trzeba mieć świadomość tego, że książki Szczypiorskiego to nie jest literatura z najwyższej półki. Może i chwilami to jest dobra literatura, ale na pewno nie taka, która mnie interesuje. Lubię trudne rzeczy – Gombrowicza, Stasiuka, Różyckiego. Dzisiaj w Niemczech wydaje się całkiem sporo polskiej literatury, ale wciąż niewiele wybitnej. Bo i niewiele jej się ukazuje. Dla pocieszenia dodam, że po niemiecku również.

Co jest dla ciebie jako tłumacza ważne? Żeby książka była czytana, recenzowana czy po prostu liczy się twoja dobra robota?
– Oczywiście, że trochę jestem próżny i bardzo się cieszę, gdy „mój" autor odnosi sukces, jest czytany i nagradzany. Ale zdecydowanie to nie jest najważniejsze. Liczy się moja satysfakcja.

Teraz jestem na takim etapie życia, że często odmawiam wydawcom. Tłumaczę już tylko Twardocha i Masłowską. Niedługo dojdzie do nich Leo Lipski.

Mam coraz mniej ochoty na tłumaczenie. To zajęcie jednak bardzo rutynowe. Pole do popisu, zabawy tekstem jest niewielkie, to może 5 procent całego tekstu. I dlatego sztuczna inteligencja tak dobrze tłumaczy. W niedalekiej przyszłości tłumacze będą sprowadzeni do roli redaktorów opracowujących efekty jej pracy.

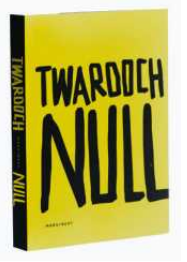
Może to będzie dobre rozwiązanie, bo będziemy mogli się skupić na tych 5 procentach? Zamiast przekładać zdania, które tłumaczono już tysiące razy?

Tylko czy ktoś będzie chciał zapłacić za te 5 procent?
– Nie wiem. Ekonomicznie wygląda to bardzo źle. Nie radzę nikomu planować kariery w tłumaczeniach literackich.

Dodam, że przy wszystkich swoich wadach sztuczna inteligencja mnie fascynuje. Czy kiedy człowiek będzie dodatkiem do sztucznej inteligencji, wciąż będą wojny? Czy będzie ona uważała wojny za potrzebne? A może okażą się reliktem po ludziach? Chciałbym o tym napisać powieść, bo gdy nie tłumaczę, sam piszę.

Wydawcy w Polsce od lat narzekają, że czytelnicy są mało zainteresowani niemiecką literaturą. Niezależnie od tego, czy to popularna literatura jak książki Caroline Wahl, czy ambitni pisarze, jak Daniel Kehlmann.
– Nie wiem, skąd się to bierze. Takim pisarzem jest choćby Wolfgang Herrndorf, który w 2013 roku popełnił samobójstwo. To wybitny autor, o którym w Polsce niemal nikt nie słyszał. Wyszła tylko jedna jego książka – „Czik" w przekładzie Agnieszki Kowaluk. Rzecz absolutnie wybitna.

Niemieckie zainteresowanie polską literaturą jest dużo większe niż polskie niemiecką. Zupełnie inaczej to wygląda w relacji do francuskiej literatury i tamtejszego rynku książki. Francuzi są otwarci na niemiecką literaturę. Ernst Jünger jest tam wciąż czytany. Podobnie jak Michel Houellebecq w Niemczech.



Szczepan Twardoch
„Null",
wyd. Marginesy



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Nagroda Literacka „Nike" w pigułce

- Najważniejszą nagrodę literacką w Polsce ustanowiono w 1997 roku. Jest przyznawana za najlepszą książkę poprzedniego roku.
- Autorka lub autor nagrodzonej książki dostaje statuetkę zaprojektowaną przez Gustawa Zemłę oraz nagrodę pieniężną – 100 tys. zł.
- Wśród dotychczasowych laureatów są m.in.: Olga Tokarczuk, Czesław Miłosz, Zyta Rudzka, Mariusz Szczygieł, Joanna Bator, Wiesław Myśliwski, Dorota Masłowska i Andrzej Stasiuk.
- W ub.r. „Nike" – za „Wczoraj byłaś zła na zielono" – otrzymała Eliza Kącka. Pochodząca z Lidzbarka Warmińskiego literaturoznawczyni i pisarka zwyciężyła też w Plebiscycie Czytelników.
- W kapitule tegorocznej nagrody zasiadają: Witold Bereś (przewodniczący jury), Anna Arno, Bogdan Białek, Andrzej Brzeziecki, Zbigniew Mentzel, Natasza Parzymies, Radosław Romaniuk i Katarzyna Sawicka-Mierzyńska.



***Olaf Kühl**

- Tłumacz, pisarz i ekspert ds. Europy Wschodniej. W latach 1996-2021 doradca burmistrza Berlina ds. Rosji. Przekładał m. in. książki: Witolda Gombrowicza, Kazimierza Brandysa, Doroty Masłowskiej, Andrzeja Stasiuka i Michała Witkowskiego. W jego przekładzie ukazało się w Niemczech osiem książek Szczepana Twardocha.



OGŁOSZENIE
Kraj/34454687



1 RP

eprasa.pl 80cac0502a

Powiedziałeś, że tłumaczysz tylko tych autorów, których dzieła cię fascynują. Co cię zafascynowało u Twardocha?
– Z jego twórczością spotkałem się dopiero podczas lektury „Morfiny". W Niemczech kilka wydawnictw konkurowało ze sobą o ten tytuł. Wygrał berliński Rowohlt i od tego czasu jestem tłumaczem Twardocha.

Zakochałem się w tej powieści. Fantastyczna stylistycznie, z dynamiczną akcją, dwuznacznym bohaterem, takim trochę macho, a trochę maminsynkiem. Wspaniale mi się ją czytało i tłumaczyło. Odniosła spory sukces. Nie taki jak w Polsce, ale prawda jest taka, że książki polskich autorów zawsze sprzedają się lepiej w Polsce niż w Niemczech. Dzięki „Morfinie" Twardoch na stałe wszedł na niemiecki rynek książki.

Twardoch zawsze podkreśla, że jest śląskim pisarzem, a w swoich książkach pisze o śląskiej, a przy okazji także niemieckiej i polskiej historii. Czy śląskość Twardocha jest czymś, co przyciąga Niemców do lektury jego książek?
– W Niemczech Twardoch jest czytany przede wszystkim jako polski autor. Dopiero podczas spotkań autorskich dochodzi do konfrontacji czytelników z autorem, który mówi, że czuje się Ślązakiem piszącym po polsku. To sprawia, że ludzie muszą jeszcze raz przemyśleć to, co przeczytali. W „Drachu" roiło się od dialogów po śląsku, ale niemieccy czytelnicy odbierali je raczej jako ciekawostkę niż tożsamościowe wyznanie, coś rewolucyjnego.

Bardzo wiele się od Twardocha nauczyłem. Choćby tego, czym jest Śląsk: czymś pomiędzy. Ani Polska, ani Niemcy. Można żartować, że śląskość jest czymś z natury postmodernistycznym. Oglądana z różnych stron wygląda inaczej.

„Nam pizda", tak zaczyna się „Null", nagrodzona właśnie w Plebiscycie Czytelników „Wyborczej" powieść Twardocha, której akcja rozgrywa się m.in. na froncie w Ukrainie. Słyszałem opinie, że to jedno z najlepszych pierwszych zdań w dziejach nie tylko polskiej literatury. Jak je przetłumaczyłeś na niemiecki?
– Nie tłumaczyłem. Na wyraźne życzenie autora zostawiłem oryginał. To słuszna decyzja, bo niemieckie przekleństwa są analne, a słowiańskie genitalne. Oczywiście obie nacje mogą „być w czarnej dupie", czyli „sind am Arsch", ale jednak w języku polskim jest dużo więcej wulgaryzmów pochodzących od słowa „chuj". W ogóle muszę przyznać, że w kwestii wulgaryzmów Polacy mają dużo większy wybór niż Niemcy.

W oryginale zostawiłem też określenie „na chuj". Mam nadzieję, że niemiecki czytelnik po tym, jak kilkanaście razy przeczyta „na chuj", domyśli się, o co chodzi.

Książka ukazała się równocześnie w Polsce i w Niemczech. Pracowałeś zatem nad powieścią, po którą nie sięgnęli jeszcze czytelnicy i która nie miała recenzji.
– Już wcześniej śledziłem losy tej książki. Zaczęło się od tego, że Twardoch opublikował w „Neue Zürcher Zeitung" i „Frankfurter Allgemeine" obszerne teksty poświęcone wojnie w Ukrainie. Wtedy wydawnictwo Rowohlt zaproponowało mu napisanie książki, która łączyłaby eseistykę, dokument i reportaż. Twardochowi pomysł się spodobał, ale po trzech miesiącach stwierdził, że jednak jest powieściopisarzem, a jego sposobem opisywania rzeczywistości jest fikcja. I tak w listopadzie 2024 roku dostałem gotowy tekst powieści, z którym musiałem się uwinąć w dwa miesiące.

To było wyzwanie, ale gdy tekst jest dobry, to chce się nad nim pracować. Nawet po 12 godzin dziennie.

„Null" jest wyjątkową książką w twórczości Twardocha. Pierwszy raz w fikcji pisze o współczesności. Co ciebie w tej powieści zaskoczyło?
– To, jak Twardoch miksuje dokument z fikcją. W „Nullu" jest mnóstwo informacji na temat ukraińskiej armii, uzbrojenia i taktyki wojennej. Myślę, że czytelnicy dowiedzą się z tej książki o wojnie w Ukrainie więcej niż z niejednego reportażu. Wielu bohaterów powieści ma swoich odpowiedników w realnym świecie. Twardoch zakłada im kamuflaż, zmienia nazwiska, numery batalionów. Ta dokumentalność „Nulla" jest niezwykła.

Jednocześnie to nie jest tylko książka o wojnie w Ukrainie. Dla Twardocha równie ważne jest opowiedzenie o tym, dlaczego jego bohaterowie znaleźli się w okopach.

Prawa do ekranizacji książki zostały zakupione przez firmę należącą do Fatiha Akina, jednego z najważniejszych niemieckich reżyserów, zdobywcy Złotego Niedźwiedzia na Berlinale za „Głową w mur". Gdy rozmawiałem z Twardochem o scenariuszu, który ma napisać, zastanawiałem się, jak można zekranizować książkę, w której – pod względem akcji – niewiele się jednak dzieje. I właśnie wtedy Twardoch przypomniał, że przecież można to opowiedzieć przez biografie bohaterów książki.

„Null", a właściwie „Die Nulllinie", był w Niemczech rewelacyjnie przyjęty. Świadczy o tym choćby drugie miejsce w plebiscycie tygodnika „Der Spiegel" na najlepszą książkę wydaną w Niemczech.
– Pochwalę się: za ten przekład dostałem – już po raz drugi – Nagrodę im. Karla Dedeciusa (Karl-Dedecius-Preis).

Recenzje były rewelacyjne. Moim zdaniem Twardoch jest przyjmowany w Niemczech przychylniej niż w Polsce. Książki, które w Polsce mają przeciętną recepcję, jak np. „Powiedzmy, że Piontek", tutaj zdobywają entuzjastyczne opinie.

Florian Illies, bardzo wpływowy krytyk, recenzując „Pokorę", pisał, że Twardoch lepiej opisał I wojnę światową niż Ernst Jünger albo Erich Maria Remarque. Jak to się stało, że człowiek, który nigdy nie był na wojnie – do czasu rosyjskiego ataku na Ukrainę – tak dobrze potrafił ją opowiedzieć?

Sam się wiele razy zastanawiałem, czy on ma wojnę w genach.

Twardoch niemal zawsze pisał o jakiejś wojnie. W „Nullu", jak ktoś powiedział, znalazł swoją wojnę. Splótł historie, które na różny sposób były już obecne w jego prozie.
– Wiesz, czasem miałem poczucie, że on tę wojnę przywołał. Straszny pomysł, co nie? Ale do takiego wniosku może nas doprowadzić tylko wybitny pisarz.

Wspomniałeś o różnicach w odbiorze krytycznym Twardocha. Wydaje mi się, że dystans polskiej krytyki wobec niego w dużej mierze wynika z czytania przez pryzmat publicznej persony Twardocha. Być może w Niemczech jest ona mniej znana lub inaczej postrzegana.
– Coś w tym jest. Twardoch odniósł olbrzymi sukces. Polacy doceniają sukces, ale do pewnego stopnia – gdy nie jest go za dużo. A Twardoch nieraz pokazywał się jako człowiek sukcesu. Nie pasuje do wzoru polskiego pisarza, który powinien być biedny i cierpieć.

Ale jest coś jeszcze. Czytelnicy za rzadko zwracają uwagę na to, że poza dynamiczną akcją, suspensem i błyskotkami narracyjnymi Twardoch pisze prozę bardzo intelektualną.

Na pierwszy plan wysuwa to, co może przyciągnąć, ale jednocześnie zaprasza do wejścia na kolejny poziom czytania. Wtedy znajdziemy u niego filozoficzną refleksję nad historią i ludzkim losem. Dialog z Herodotem łatwo dostrzec. Ale z Peterem Sloterdijkiem już nie.

Niemieccy krytycy częściej niż polscy wchodzą w dyskusję z Twardochem, czują wobec niego respekt. Widzą w nim kogoś, kto zajmuje się historiozofią i ma swoją koncepcję. Widać też, że ci, którzy czytają go od lat, rozwijają się razem z nim. Kolejne recenzje są bardziej pogłębione, ich autorzy znajdują nowe tropy interpretacyjne.

Myślenie o Twardochu wyłącznie jako o twórcy przygodowych powieści to nieporozumienie. Warto go czytać na serio. To pisarz niezwykle oczytany i erudycyjny, co oczywiście sprawia mnóstwo problemów tłumaczowi. Ale właśnie problemy z literaturą są najciekawsze w tej pracy. ●

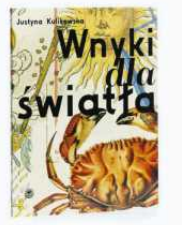
INNI FINALIŚCI „NIKE" 2026



Anna Bikont, „Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów", wyd. Czarne



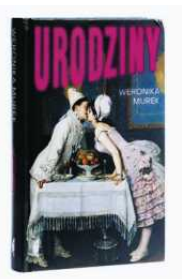
Dorota Grabek, „Zmartwychwstanki", wyd. Czarne



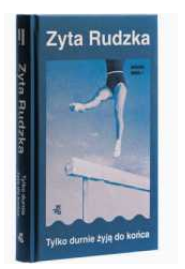
Justyna Kulikowska, „Wnyki dla światła", wyd. WBPiCAK



Krzysztof Łapiński, „Najmądrzejszy. Biografia Sokratesa", wyd. Agora



Weronika Murek, „Urodziny", wyd. Czarne



Zyta Rudzka, „Tylko durnie żyją do końca", wyd. W.A.B.

30 lat Nagrody Literackiej „Nike" w liczbach

587
• tytułów nominowano do Nike;

343
• autorów było nominowanych do Nike;

217
• nominowanych książek napisały kobiety; 370 nominowanych tytułów napisali mężczyźni;

210
• książek znalazło się w dotychczasowych 30. finałach Nike, opublikowało je 90 wydawców;

140
• autorów może się pochwalić tym, że znalazło się w finale nagrody;

74
• nominacje do Nike otrzymało wydawnictwo Czarne (rekord);

35
• książek wydanych przez Czarne trafiło do finału nagrody (rekord);

44
• wydawców znalazło się w finale nagrody „Nike";

19
• lat miała Dorota Masłowska, gdy dostała nominację do Nike za „Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną" (2003), laureatką nagrody – za „Pawia królowej" – została w wieku 23 lat;

10
• razy nominowani byli do Nike Andrzej Stasiuk i Jerzy Pilch;

8
• nominacji w jednym roku - w 2004 uzyskało wydawnictwo W.A.B. (rekord);

6
• razy w finale był Tadeusz Różewicz (rekord);

5
• nagród czytelników zdobyła w sumie Olga Tokarczuk (rekord);

4
• książki wydane przez Czarne znalazły się w jednym finale nagrody w 2017 roku (rekord);

2
• razy nagrodę jury zdobyli Olga Tokarczuk i Wiesław Myśliwski (rekord).

Andrzej rysuje



eprasa.pl 80cac0502a

OGŁOSZENIE

30 lat Nike
Nagroda Literacka

Tegoroczni finaliści:

• Anna Bikont • Dorota Grabek • Justyna Kulikowska • Krzysztof Łapiński
• Zyta Rudzka • Szczepan Twardoch • Weronika Murek



Kto zdobędzie
Nagrodę Literacką
„Nike” 2026?

UROCZYSTA GALA

NIEDZIELA

4 października, godz. 20.30

Oglądaj: wyborcza.pl TVP2 TVP KULTURA

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY
FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl 80cac0502a

WAŻNY TEMAT



Rykoszet

Gdyby ktoś chciał kogoś zabić, to najlepiej „pomylić człowieka z dzikiem" podczas polowania. Można liczyć na wyjątkowo łagodne potraktowanie przez sąd.

Monika Redzisz

Wynajęłam domek w Przybyszowie niedaleko Myszkowa na osiemnastkę mojej chrześnicy – opowiada pani Justyna z Sosnowca. – Z dwoma przyjaciółkami i przyjacielem przyjechaliśmy wcześniej, żeby wszystko przygotować na przyjazd dzieciaków.

O 17 wszystko było gotowe. Przyjaciółki rozwieszały jeszcze tylko przed domkiem baner powitalny. Nie miałam już nic do roboty, więc wyszłam do nich na papieroska. Stanęłam pomiędzy nimi i w tym momencie coś we mnie uderzyło. Jakby mnie ktoś mocno walnął w plecy. Poczułam taki ścisk, jakby słoń na mnie nadepnął. I przestałam oddychać.

Karetka ze szpitala w Zawierciu zjawiła się szybko. Pani Justyna trafiła na OIOM. Jak się okazało, została postrzelona. Miała jednak ogromnie dużo szczęścia w tym nieszczęściu – płuco było przebite na wylot, a żebra połamane, ale kula o 2 mm minęła serce i nie uszkodziła innych ważnych organów wewnętrznych.

– Lekarze powiedzieli mi, że to cud, że przeżyłam – opowiada. – Na drugi dzień rano woda mi się w tym płucu zaczęła zbierać i trzeba ją było odsysać taką rurą przez dwa czy trzy dni. Straszny ból, najgorszemu wrogowi nie życzę. Naprawdę, w życiu bym się nie spodziewała, że mnie ktoś postrzeli... Nie jesteśmy przecież w Ameryce! Człowiek wychodzi przed dom i dostaje kulkę! – Kręci głową.

To nie proboszcz strzelał

Wiadomo było, że strzał padł z lasu. Podejrzenie od razu padło na myśliwych. Tego dnia w okolicy odbywały się polowania. Według obowiązującego prawa myśliwi mogą strzelać zaledwie 150 metrów od zabudowań – kule niosą znacznie dalej.

Przybyszów to obwód łowiecki nr 83 o powierzchni 4370 hektarów; polują tu myśliwi z Koła Łowieckiego „Orle Gniazdo" z Zawiercia, z siedzibą w Przyłubsku. Policja z Zawiercia zabezpieczyła pięć sztuk broni myśliwskiej należącej do czterech myśliwych, którzy mieli w tym dniu zgłoszone polowania, ale badania wykonane w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki wykluczyły, żeby strzał był oddany z którejś z nich.

Sprawę relacjonował Marek Mamoń z częstochowskiego oddziału Gazety Wyborczej i lokalna prasa. Jak pisał Jarosław Mazanek w „Gazecie Myszkowskiej", mieszkańcy Przybyszowa długo byli przekonani, że strzelał proboszcz, również zagorzały myśliwy.

„Tu w okolicy tylko dwie osoby mają broń o takim kalibrze. Jeden z nich był na innym zgłoszonym polowaniu, więc ma alibi, drugi to proboszcz, a na parafii go w tym czasie nie było" – mówili dziennikarzowi. Ostatecznie jednak badania balistyczne wykluczyły udział proboszcza. Wskazały, że strzał oddano ze sztucera marki Browning należącego do innego myśliwego – Tomasza M.

Prokuratora postawiła mu zarzut nieumyślnego postrzelenia kobiety i spowodowania uszczerbku na jej zdrowiu. Akt oskarżenia został sporządzony w trybie uproszczonym, bez konieczności uzasadnienia. Po dwóch latach, 30 czerwca 2026 roku, sędzia Marek Zachariasz z Sądu Rejonowego w Myszkowie wydał wyrok nakazowy, bez przeprowadzania rozprawy. Tomasz M. został skazany na 5 tys. zł grzywny, zapłacenie 20 tys. zł zadośćuczynienia Justynie M. oraz pokrycie kosztów postępowania w wysokości ok. 2 tys. zł.

– Grzywna? Przecież ja prawie straciłam życie! Powinnam się odwołać, ale od wyroku nakazowego ma się na to tylko siedem dni; zanim człowiek pomyśli, jest już za późno. To jest po prostu chore! – mówi pani Justyna z goryczą. – Tyle się nacierpiałam. Dwa lata minęły, a ja dalej mam problemy z oddychaniem. Przez pół roku potem byłam bez środków do życia. Jak nigdy nie byłam bezrobotna, tak akurat wtedy miałam przerwę w pracy, bo zaraz po osiemnastce chrześnicy miałam zacząć kurs na motorniczą. Kurs przepadł, osiemnastka zniszczona, tyle pieniędzy w błoto wyrzucone. Facet nawet mnie nie przeprosił. Pieniędzy zresztą wciąż od niego nie dostałam – mówi.

Zbrodnia i kara

Pani Justyna przeżyła, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. W ciągu ostatnich 10 lat w Polsce z rąk myśliwych zginęło 28 osób. W zeszłym roku dwie, obie w województwie lubelskim. Sławomir A., syn potentata branży wędliniarskiej spod Puław, zastrzelił 60-latka, który stał przed furtką swojego domu. Jest na wolności, ponieważ jego rodzina zapłaciła milion złotych poręczenia.

Trzy miesiące później Dariusz L. zastrzelił innego myśliwego; on również jest na wolności, bo jego rodzina wpłaciła 100 tys. poręczenia majątkowego. W obu przypadkach śledztwo wciąż trwa.

W przeszłości wyroki w podobnych sprawach nie były zbyt wygórowane. Jacek W., który w 2011 roku zastrzelił swoją żonę, dostał rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Ryszard D., który w 2004 roku zastrzelił naganiacza, został skazany na karę dwóch lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Nawet nie został wydalony z Polskiego Związku Łowieckiego, przez lata pełnił funkcję sekretarza Koła Łowieckiego „Ryś". Obaj po paru latach odzyskali pozwolenie na broń, obaj wciąż polują.

Jak to możliwe, że kary są tak nieadekwatne do popełnionych czynów?

– Gdyby ktoś chciał kogoś zabić, to najlepiej „pomylić człowieka z dzikiem" podczas polowania. Wtedy można liczyć na wyjątkowo łagodne potraktowanie przez sąd.

Jest szansa, że nawet na miesiąc nie trafi się do więzienia – mówi sarkastycznie mecenas Adam Kuczyński. – Kary są symboliczne. Ostatnio zapadł wyrok w sprawie zabicia żołnierza na poligonie, formalnie – nieumyślnego spowodowania śmierci. Sąd Rejonowy w Szczecinie skazał go na 2 lata i 10 miesięcy pozbawienia wolności. Niecałe trzy lata za zabicie człowieka?! – oburza się. – Nie cegłą, która mu przypadkiem wypadła z okna; on używał narzędzia do zabijania i zabił, tyle tylko, że nie ten gatunek, co chciał!

Myśliwy, były policjant, który zastrzelił 16-letniego chłopca z Kazachstanu, a następnie uciekł z miejsca zdarzenia, dostał 4 lata i 9 miesięcy za nieumyślne spowodowanie śmierci. Twierdził, że pomylił go z dzikiem. Pełnomocniczce rodziny chłopca, mecenas Karolinie Kuszlewicz nie udało się nakłonienie sądu do tego, żeby przyjął kwalifikację zabójstwa w zamiarze ewentualnym.

A przecież, jeżeli ktoś strzela w nocy do nierozpoznanego celu, to powinien liczyć się z tym, że mo-

eprasa.pl 80cac0502a



isko

FOT. GETTY IMAGES (2)

że zabić człowieka. Kluczowe jest przyjęcie odpowiedniej kwalifikacji.

W prokuraturze sami myśliwi

– Prowadząc sprawy dotyczące różnych nieprawidłowości w łowiectwie, niejednokrotnie musieliśmy robić research, kim jest prokurator albo sędzia prowadzący sprawę, a następnie wnioskować o jego wyłączenie, bo okazywało się, że także jest członkiem Polskiego Związku Łowieckiego. Co rodziło podejrzenie, że może być nieobiektywny. Czasami sprawa ląduje na drugim końcu Polski, bo w lokalnej prokuraturze pracują sami myśliwi – mówi mecenas Kuczyński.

– Niestety, listy członków Polskiego Związku Łowieckiego wciąż są niejawne, mimo że jest już wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w tej sprawie – mówi Izabela Kadłucka z koalicji Niech żyją!, psycholożka, biolożka, nauczycielka akademicka, specjalistka ds. dobrostanu zwierząt, biegła sądowa z zakresu psychologii zwierząt.

– W tej chwili na przykład zakończył się proces w głośnej sprawie zastrzelenia jelenia Bartka w Szklarskiej Porębie. O tym, że sędzią jest członek Polskiego Związku Łowieckiego, dowiedzieliśmy się tylko dlatego, że jest on także prezesem Okręgowego Sądu Łowieckiego, a akurat sądy łowieckie publikują nazwiska swoich członków. Złożyliśmy wniosek o zmianę sędziego, ale nie zostało to uwzględnione.

O tym, że sędzia Marek Zachariasz, który prowadził sprawę pani Justyny, także jest myśliwym należącym do Koła Łowieckiego „Szarak" w Myszkowie, wiem z lokalnych mediów – „Kuriera Zawierciańskiego" i „Gazety Myszkowskiej".

Kilka lat temu sędzia Zachariasz orzekał w sprawie swojego kolegi z koła łowieckiego, Wojciecha Pichety. To lekarz, dyrektor szpitala w Myszkowie, były radny i poseł, przewodniczący Rady Powiatu Myszkowskiego, oskarżony o wystawianie lewych zaświadczeń dla kierowców w Przychodni NZOZ „Światowit". Sąd uznał go za winnego, ale umorzył postępowanie.

Wojciech Picheta poluje nie tylko w Polsce, ale także w RPA – na nosorożce. W 2021 roku oskarżony został razem z 32 innymi osobami o udział w nielegalnym handlu rogami nosorożca białego – gatunku zagrożonego wyginięciem. Prokuratura Okręgowa w Opolu zaproponowała w jego przypadku warunkowe umorzenie postępowania karnego, a sąd w Rybniku przychylił się do tej prośby.

Właścicielem NZOZ „Światowit" w Myszkowie jest zresztą także myśliwy, wiceprezes i łowczy tego samego Koła Łowieckiego „Szarak" Adam Jakubiec. Przychodnia jest od 2017 roku przedmiotem śledztwa w kierunku zarzutu o wyłudzanie środków z NFZ przez zatrudnionych tam lekarzy, fikcyjne zabiegi i wizyty lekarskie.

Mecenas Adam Kuczyński główny problem widzi gdzie indziej.

– Byłbym ostrożny w mówieniu, że te lokalne powiązania czy przynależność do PZŁ rzutują na łagodne wyroki. Myślę, że to się zdarza, ale jednak incydentalnie. Problem leży w całym systemie – mówi. – Przepisy są adekwatne, da się karać surowo, tylko... się nie przyjęło. Sądy po prostu przywykły do karania łagodnego. Jeżeli jest jakaś linia orzecznicza, na przykład taka, że pomylenie człowieka z dzikiem to jest nieumyślne spowodowanie śmierci i za to daje się karę w zawiasach, to wszyscy tak orzekają.

Wiadomo, że z pewnymi osobami się nie zadziera, bo oni chodzą na polowania z komendantem policji, więc policja nam nie pomoże.

Układ na górze

Polski Związek Łowiecki, ogólnokrajowa organizacja, która zrzesza ponad 134 tys. myśliwych i 2808 kół łowieckich, działa na podstawie ustawy z 1995 roku. Do jego zadań zgodnie ze statutem należy: prowadzenie gospodarki łowieckiej, troska o rozwój łowiectwa oraz współpraca z administracją rządową i samorządową w dziedzinie ochrony środowiska przyrodniczego.

Według przeciwników łowiectwa jest wręcz przeciwnie.

Prawo daje w naszym kraju myśliwym wiele przywilejów. Jest to na przykład jedyna grupa mająca dostęp do broni, która zwolniona jest z obowiązku badań okresowych. Także przepisy wprowadzane w ostatnich latach sprzyjają łowiectwu.

Myśliwi mogli na przykład polować również podczas pandemii, gdy reszta społeczeństwa siedziała zamknięta w domach. Zakaz wchodzenia do specjalnej strefy przy granicy z Białorusią ich nie obowiązywał. Od 2020 roku osoba, która utrudnia myśliwym polowanie, popełnia przestępstwo, nawet jeśli jest na swojej własnej ziemi. Grozi jej za to kara grzywny lub więzienia.

Podejmowano wielokrotnie próby zmiany prawa, ale wszystkie były nieskuteczne. Jedyna zmiana, która została wprowadzona pomimo sprzeciwu Polskiego Związku Łowieckiego, to zakaz udziału dzieci w polowaniach i szkolenia psów na żywych zwierzętach z 2018 roku. Uchwalono wtedy również obowiązek badań okresowych, ale natychmiast został zniesiony.

– Gdy organizowaliśmy wystawę w Sejmie, usłyszeliśmy takie zdanie, że jeśli po jednej stronie posadzimy posłów, którzy polują, a po drugiej tych, którzy nie polują, to tych polujących będzie więcej. To bardzo wymowne – mówi Izabela Kadłucka.

– Reprezentacja myśliwych w najwyższych gremiach władzy jest absolutnie nieproporcjonalna do liczby członków i członkiń Polskiego Związku Łowieckiego – potwierdza Michał Suchora z Zielonych.

– Prokurator Generalny Waldemar Żurek zapytany kiedyś, czy zna nowego prezesa Sądu Najwyższego, odpowiedział, że tak, bo spotyka go na polowaniach.

Podejrzewam, że podczas wspólnych polowań rozmawia się o wielu kwestiach istotniejszych niż ta, ile udało się ustrzelić bażantów...

Kiedyś politycy mówili otwarcie o tym, że polują. Wiadomo, że polował prezydent Bronisław Komorowski, prokurator generalny Waldemar Żurek, minister Jan Szyszko, posłowie Eugeniusz Grzeszczak, Janusz Palikot, Paweł Kukiz, Wiesław Kaczmarek, Bogdan Pęk i wielu innych. Dzisiaj nie wiemy do końca, kto w polskich ławach sejmowych jest myśliwym, a kto nie.

Gdy w 2020 roku koalicja Niech Żyją! zapytała wszystkich posłów i senatorów o przynależność do PZŁ, odpowiedziało tylko kilkanaście osób, same niepolujące. W obecnej kadencji Sejmu zapytał o to Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła". Twierdząco odpowiedziały dwie osoby.

Swojego hobby nie kryje tylko posłanka PSL Urszula Pasławska, która należy do Parlamentarnego Zespołu ds. Kultury i Tradycji Łowiectwa, razem z Przemysławem Błaszczakiem, Edwardem Siarką, Kazimierzem Gołojuchem z PiS czy Gustawem Brzeziną, Agnieszką Kłopotek i Stanisławem Tomczyszynem z PSL.

Nie wiemy, czy obecny prezydent poluje, ale raczej sympatyzuje z myśliwymi, skoro do Prezydenckiej Rady ds. Klimatu i Środowiska zaprosił Marcina Możdżonka, prezesa Naczelnej Rady Łowieckiej przy Polskim Związku Łowieckim.

Dlaczego dziś politycy nie mówią o tym otwarcie?

– W Polsce jest około 134 tys. myśliwych. Stanowią niecałe 4 promile społeczeństwa. Jest to więc bardzo niewielka grupa osób, która w dodatku ma bardzo niskie poparcie społeczne. W związku z tym politykom nie opłaca się przyznanie, że polują – mówi Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, geograf, ekspert w dziedzinie ocen oddziaływania na środowisko i ochrony łączności ekologicznej. – Już w 2010 roku, przed wyborami prezydenckimi, Bronisław Komorowski powiedział, że odkłada strzelbę. Widocznie jego sztab stwierdził, że to może być źle odebrane przez wyborców.

– Kiedyś łowiectwo oznaczało przynależność do elity. Fakt, że posłowie i posłanki, którzy są członkami Pol-

eprasa.pl 80cac0502a

skiego Związku Łowieckiego, nie ujawniają swojej przynależności, pokazuje ogromną zmianę – łowiectwo jest już powodem nie do dumy, tylko do wstydu – uważa Michał Suchora z Zielonych.

Układ na dole

Pani Maria z Mazur mieszka tuż przy lesie, w którym często odbywają się polowania.

– Zaczynają dosłownie kilka metrów od naszej posesji – opowiada mi. – Widać, że większość z nich to zamożni ludzie. Jakimi oni samochodami zajeżdżają na te polowania...To już nie te czasy, kiedy mój wujek szedł z dubeltówką do lasu, żeby upolować coś na obiad.

Kiedyś jeden z nich zostawił identyfikator w samochodzie, zerknęłam przez szybę – prokurator! Dużo jest leśników z Lasów Państwowych, lokalnych biznesmenów, policjantów. Kiedyś bractwo kurkowe przyjechało; mieli wieczór mocno zakrapiany, a następnego dnia polowanie.

Byli po prostu pijani, więc wezwałam policję. Policjanci przyjechali, przywitali się z nimi: „Cześć Wiesiu, cześć Zdzisiu". Odmówili badania alkomatem.

Śrut często spada nam na podwórko, dudni o dach. Jadąc w niedzielę na obiad do teściowej, spotykamy myśliwych. Kilka razy widziałam w lesie tułów jelenia bez głowy; obchodzi ich tylko poroże, resztę zostawiają.

Znajdujemy masę martwych ptaków. Tych ptaków mi najbardziej żal. One przecież żadnych szkód rolnikom nie robią, więc po co je zabijać? Myśliwi przyjeżdżają na jeden dzień się pobawić, a my z tym wszystkim zostajemy. Młode zostają same, słyszę, jak wołają matki. To jest dla mnie straszne. Co na to inni?

Polowania tu u nas były zawsze, starsi mieszkańcy są przyzwyczajeni. Mojej cioci myśliwy wszedł kiedyś na podwórko i wystrzelał jej gęsi. Ale warunki życia się zmieniły i ludzie mają dość. Nasze lasy to jest przecież atrakcja turystyczna, ważna dla całej społeczności. Więc jak zaczyna się okres polowań i wszędzie pojawiają się zakazy wstępu do lasu, to ludzie się denerwują. Ale

boją się z myśliwymi zadzierać. To są ludzie zamożni, którzy mają wpływy i potrafią życie utrudnić.

O lokalnych układach rozmawiam także z mieszkańcem Beskidu Niskiego, który prosi o anonimowość.

– Wiem, że dyrektor Magurskiego Parku Narodowego jest myśliwym, prezesem koła łowieckiego, kilkunastu innych pracowników parku także. Wszyscy się znają, razem polują i nawzajem chronią. Mamy tu tzw. policyjne koła łowieckie, w których polują i policjanci, i prokuratorzy – opowiada mi.

– Myśliwi strzelają do zwierząt na samej granicy parku, czasem na jego terenie, a policja lub prokurator umarzają sprawę, bo to koledzy. Polowania odbywają się też w nocy, niezgodnie z przepisami.

Bywają pijani; nieraz ich widziałem w sklepie. Bo taki bogaty myśliwy przyjeżdża nie tylko na polowanie; on się chce rozerwać, pobawić. Ma do dyspozycji hotel Lasów Państwowych albo agroturystyki u innych myśliwych.

Dwa czy trzy lata temu mieliśmy tu wypadek, myśliwy z Warszawy przyjechał. Spadł z ambony, miał 3 promile alkoholu we krwi. Ponoć wszyscy byli tak pijani, że nikt nie był w stanie zawieźć go do szpitala, wykrwawił się na śmierć.

Będąc myśliwym tutaj na wsi, z automatu ma się wyższy status i większe możliwości. Na polowaniu taki rolnik może sobie po koleżeńsku pogadać z prokuratorem i załatwić swoje sprawy. Są bezczelni i niezatapialni. Ludzie po cichu narzekają na ich bezkarność, ale to nigdy nie jest głośne, bo nikt nie chce mieć problemów. Często nawet samorządy działają pod dyktando myśliwych, takie mają wpływy – mówi.

– To specyficzne hobby wiąże się z posiadaniem broni, a broń jest bardzo silnym symbolem władzy – mówi mecenas Adam Kuczyński. – W Polsce powiatowej udział w polowaniach to oznaka prestiżu. Starosta poluje więc z komendantem policji i z prokuratorem. Wspólne polowania są okazją, żeby w męskim towarzystwie zjeść, napić się, postrzelać i załatwić interesy.

To sieć zależności osobistych, która w razie jakichś naruszeń utrudnia egzekwowanie prawa. Jeżeli przekroczymy prędkość, to wiadomo, że policjant kolega z koła łowieckiego da nam mniejszy mandat. Jak przyjdzie nam coś załatwić w urzędzie, kolega urzędnik życzliwie nas potraktuje.

To nie jest nigdzie napisane, ale te powiązania się tworzą, zwłaszcza tam, gdzie ludzi jest trochę mniej niż w wielkim mieście.

To podprogowo działa na społeczeństwo. Wiadomo, że z pewnymi osobami się nie zadziera, bo oni chodzą na polowania z komendantem policji, więc policja nam nie pomoże.

Mam teraz w toku sprawę, w której zgwałcona kobieta obawiała się zgłosić sprawę policji, bo sprawca polował z lokalnymi notablami. Miała poczucie, że jest na przegranej pozycji.

W życiu bym się nie spodziewała, że mnie ktoś postrzeli.

Nie jesteśmy przecież w Ameryce! Człowiek wychodzi przed dom i dostaje kulkę!

– Myśliwi są oczywiście różni – opowiada Zenon Kruczyński, dawniej myśliwy, dziś publicysta i aktywista ekologiczny, inicjator kampanii „Ratuj drzewa" i Niech Żyją!. – Są tacy: „Ja, panie kolego, tylko rogaczyka raz w roku". Inni chętnie chodzą na polowania, ale głównie ze względów towarzyskich, żeby się spotkać z kolegami.

Są też tacy, którzy polują non stop, indywidualnie, z zacięciem. Ale wszyscy przynależą do łowieckiej społeczności, która broni wspólnych przywilejów. Czują się tam pośród siebie i zrobią wszystko, żeby wśród swoich pozostać.

Polują nawet ci, którzy mają zatarte wyroki za myśliwskie zabicie człowieka, środowisko im to umożliwia. Bo co, jeśli im samym kiedyś się to przydarzy?

Jest to noszący cechy paramafijne system współzależności. Takie układy degenerują państwo prawa.

Ile kosztuje polowanie

Żeby wybrać się na polowanie, trzeba najpierw sporo zainwestować. Instrumentarium łowieckie potrafi być kolosalnie drogie.

Myśliwi jeżdżą najczęściej Toyotą Hilux albo Volkswagenem Amarokiem. Nowy Amarok kosztuje ponad 200 tys. Samochód myśliwego musi zostać jeszcze specjalnie przystosowany – z tyłu montuje się kosz, na którym wywożą zabite zwierzęta.

Droga jest również sama broń. Rozpiętość cen jest tu oczywiście ogromna, ale średnio sztucer kosztuje około 10 tys. zł, a myśliwi mają minimum dwie strzelby, często trzy albo cztery, wszystkie uzbrojone w celowniki optyczne. Koszt lunety termowizyjnej zaczyna się od 7 tys., jej montaż kolejne 3.

W domu muszą mieć wymaganą ustawowo szafę na broń – to koszt około tysiąca złotych. Do tego amunicja, stroje kupowane w myśliwskich sklepach. Niektórzy mają odpowiednio szkolone, rasowe psy.

Samo polowanie też kosztuje. Trzeba zapłacić kilkadziesiąt złotych za nagonkę, bo na polowania zbiorowe wynajmuje się podkładacza psów, który ma swoją sforę. Nocować można w kwaterach myśliwskich, które należą do kół i są utrzymywane ze składek członkowskich; składka wynosi 546 zł rocznie.

Ponieważ jednak równocześnie na polowaniu myśliwy zarabia – dostaje zwrot kosztów polowań, 20-40 proc. ceny mięsa, które upolował i oddaje do skupu – podobno najczęściej wychodzi na zero.

Czy dziś na polowania stać jedynie ludzi zamożnych?

– Tradycyjnie polowanie na zwierzęta duże było przywilejem elit. Prawo do tego miała wyłącznie arystokracja, właściciele ziemscy. Chłopstwo mogło sobie zastawiać wnyki na zające i inne drobne zwierzęta – opowiada Zenon Kruczyński. – Puszcza Białowieska ocalała, ponieważ polowali tu królowie.

Do dzisiaj w Białowieży jest uliczka Osoczników, czyli naganiaczy, których utrzymywała arystokracja, i obelisk upamiętniający królewskie polowanie z 1752 roku, w czasie którego zarżnięto kilkadziesiąt żubrów. Widziałem kiedyś mapę Puszczy Białowieskiej z XVII wieku; narysowane tam były wielokilometrowe płoty, które zwężały się i prowadziły na polanę. Tam na specjalnym podeście, pod baldachimem, siadało państwo i strzelało do zwierząt wcześniej zwabianych w ogrodzenia – pułapki.

W PRL-u jednak nastąpiła demokratyzacja. Myśmy z ojcem polowali w Kole Łowieckim „Bekas" przy Stoczni Gdańskiej. Polowała średnia i wyższa kadra techniczna. Polował dyrektor, ale gdyby robotnik zechciał być myśliwym, to też nie miałby kłopotu.

Żadnej tradycji arystokratycznej nie pielęgnowaliśmy, a jednak czuło się, że coś w tym jest. Pamiętam, jak byliśmy z ojcem na wsi witani i goszczeni. Myśliwy to był ktoś. Wieś miała tę tradycję w pamięci. A myśmy się czuli adekwatnie do tego, jak byliśmy traktowani.

Jak jest dziś?

Radosław Ślusarczyk. – PZŁ zrzesza polityków, prawników i prokuratorów, lekarzy, także rolników. Ale łączy ich to, że są majętni i wpływowi. To nie są skromni rolnicy, raczej tacy, co to mają kombajny za kilka milionów i po 150 hektarów ziemi. Poluje też bardzo wielu duchownych, a to jest grupa, która ma istotny wpływ opiniotwórczy, szczególnie w wiejskich społecznościach.

Myśliwi sprzeciwiają się tworzeniu rezerwatów, bo nie chcą, żeby ktoś im zabrał łowisko. Czują, że to jest ich terytorium, i bronią go, jakby to była ich własność, a nie skarbu państwa. Przechodzą obowiązkowy staż, kurs i egzaminy, ale w praktyce traktowani są ulgowo. Często widzę, jak opieszała jest policja w sprawach dotyczących kłusownictwa. Na przykład: jeśli zastrzelono wilka, zwierzę objęte ścisłą ochroną, policja najchętniej by to umorzyła, choć przecież ustalenie, kto strzelał, nie jest trudne.

Nie wiem, czy to wynika z tego, że funkcjonariusze sami są myśliwymi, czy z powiązań towarzyskich. A może po prostu to są dla nich mało istotne sprawy.

Strzał jest tylko finałem

Według badania „Akceptowane, ale regulowane" przeprowadzonego w zeszłym roku na zlecenie More in Common Polska przez agencję Opinia24 89 proc. Polaków, niezależnie od poglądów politycznych, miejsca zamieszkania i wieku, lecz z przewagą kobiet, popiera obowiązkowe i regularne badania lekarskie dla myśliwych. 76 proc. chce zwiększenia odległości polowań od zabudowań mieszkalnych. 78 proc. respondentów uważa, że polowania dla przyjemności powinny zostać zakazane.

Jednak z badań opinii publicznej przeprowadzonych na zlecenie Polskiego Związku Łowieckiego wynika, że 63 proc. Polaków popiera polowania.

– Myślistwo w Europie przeżywa dzisiaj renesans – uważa Miłosz Kościelniak-Marszał, adwokat, który wielokrotnie reprezentował myśliwych w sądzie, autor książki „Postrzelenia na polowaniach. Teoria, praktyka i orzecznictwo". A także myśliwy.

– Gospodarka łowiecka w Polsce rozwija się bardzo dobrze, wypadamy świetnie na tle wszystkich innych krajów Unii Europejskiej – mówi. – Mamy o wiele więcej zwierząt niż 30 lat temu i znacznie więcej myśliwych. Kiedy porównamy dane z lat 70. z dzisiejszymi, to widać, że przez te 50 lat myśliwych przybyło o ponad połowę.

Rok w rok do łowiectwa przychodzi kilka tysięcy osób. To dużo, biorąc pod uwagę, że trzeba się naprawdę temu poświęcić. Najpierw jest roczny staż kandydacki, szkolenie, potem egzamin wielostopniowy, praktyczny i teoretyczny, trzeba też wpłacić wpisowe do PZŁ. Potrzeba czasu, pieniędzy i chęci – mówi.

Każdego roku w Polsce odbywają się prawie 4 miliony polowań indywidualnych i kilkanaście tysięcy polowań zbiorowych. Dlaczego ludzie dziś polują? Co ich do łowiectwa przyciąga? Może to kwestia dostępu do broni? – pytam.

– Swego czasu rzeczywiście, ale w ustawie o broni i amunicji zaszły zmiany i dzisiaj o wiele łatwiej jest uzyskać broń do celów sportowych. Wymaga to wyłącznie odbycia trzymiesięcznego stażu i egzaminu – mówi mecenas Kościelniak-Marszał.

Więc dlaczego przychodzą?

– Bo myślistwo to obcowanie z przyrodą, kulturą i tradycją. Tam są ludzie naprawdę na poziomie, dla których strzelania do zwierząt nie jest zabawą, tylko elementem pewnej kultury. Dla osób z zewnątrz tego środowiska polowanie oznacza zabijanie. Dla nas jest czymś znacznie więcej. To bycie częścią całego przyrodniczego misterium. Strzał jest tylko finałem.

Środowisko myśliwych to też świat w jakiś sposób uporządkowany. Chyba nam dzisiaj tego brakuje. Społeczeństwo jest tak bardzo podzielone, polaryzacja jest ogromna, a tutaj czują się częścią społeczności, pewnej wspólnoty. Nie jest wcale ważne, ile się upoluje. Ważne, żeby być razem, z kompanami – mówi.

– To jest po prostu biznes – uważa Radosław Ślusarczyk. – Zdecydowana większość powierzchni kraju jest objęta obwodami łowieckimi. Dziko żyjące zwierzęta to nasze dobro narodowe, które w chwili strzału zostaje sprywatyzowane. To najszybsza prywatyzacja świata: kiedy dostaje kulę w łeb, staje się własnością koła łowieckiego. Na tym można zarabiać, zarówno sprzedając samo polowanie, jak i pozyskane mięso.

Możemy tylko szacować, jaki jest bilans Polskiego Związku Łowieckiego, bo w tej sprawie państwo abdykowało. Teoretycznie nadzoruje to minister do spraw środowiska, ale co to za nadzór, jeśli PZŁ nie ma obowiązku publikować sprawozdań finansowych?

W Polsce działa co najmniej 175 biur polowań uprawnionych do organizowania polowań dla cudzoziemców. 98 z nich to spółki al-

eprasa.pl 80cac0502a

bo jednoosobowe działalności gospodarcze, a 77 to jednostki organizacyjne Lasów Państwowych. W 2017 roku Lasy Państwowe miały 61,7 mln zł przychodów z polowań dewizowych, a koła PZŁ – 72,5 mln zł, co razem daje ponad 134 mln zł. W sezonie 2025/2026 Lasy Państwowe z samych polowań dewizowych uzyskały 17,99 mln zł.

Ale oprócz aspektu biznesowego jest jeszcze drugi, bardzo ważny. Jeśli mam w ręku broń, to znaczy, że mam władzę. Decyduję o życiu i śmierci. To kuszące, żeby nie powiedzieć: uzależniające, uczucie. Dlatego łowiectwo musi podlegać silnej kontroli społecznej i instytucjonalnej – mówi.

– To jest po prostu behawioralne uzależnienie – mówi Zenon Kruczyński. – Proszę zobaczyć, że prawie nikt nie rezygnuje z polowania.

Poluje się tak długo, jak się da. Kolega miał strzaskaną miednicę po wypadku, ale jak tylko troszkę doszedł do siebie, o kulach ruszył na polowanie, bo było akurat rykowisko. Rękoma się wciągnął na ambonę. Byka patroszył na kolanach.

Co to jest za siła, która trzyma ich w tym stalowym uścisku? Myśliwi często mówią: „Ach, polowanie! To jest prawdziwe życie! Tam się dzieje!". Co się dzieje? Dzieje się zabijanie. Zabijanie powoduje skrajnie silne emocje.

Teraz trwa rykowisko, najważniejsze polowanie w roku. Jelenie przestają być ostrożne, łatwiej je podejść. Zastrzelenie jelenia to niebywały pik emocji, takich emocji, które w codziennym, „nudnym" życiu są niedostępne. A ludzie mają skłonność, żeby uzależniać się od tak wyjątkowych przeżyć. Chcą je powtarzać i powtarzać...

Dlaczego ja zacząłem polować? Bo chciałem być z moim tatą. Miałem 8 lat, kiedy po raz pierwszy pojechałem z nim na polowanie, i tak już zostało. Obydwaj pracowaliśmy w stoczni. W sobotę krócej, tylko do 12. Szybko jedliśmy obiad, wskakiwaliśmy na motory i jechaliśmy na Kaszuby. A tam człowiek był wśród swoich, wśród kolegów.

To był rodzaj męskiej wspólnoty. Między facetami często bywa trudno – rywalizacja, nieufność, puszenie się. Grupa taka jak myśliwi, w której jest wyrazisty kod postępowania, sprawia, że mamy wypracowane sposoby na to, by być razem w męskiej grupie. Podobnie jest w wojsku, w policji, wśród kleru.

Ze 134 tys. myśliwych tylko pięć to kobiety.

– To rodzaj takiego męskiego klubu. Mówią do siebie per kolego, co automatycznie daje poczucie przynależności i wspólnotowości – uważa jedna z moich informatorek. – Wewnątrz jest wiele podziałów, ale na zewnątrz struktura się jawi jako spójna, bo działa na zasadzie organizacji autokratycznej. W czasach, kiedy doświadczamy kryzysu męskości, a na pewno redefinicji tego, czym jest męskość, takie formacje oraz prymitywne, atawistyczne zachowania mogą niektórych mężczyzn pociągać.

Czy ustawa ma szanse?

3 września w Kancelarii Sejmu złożono projekt obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej „Uwaga! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre". Podpisało się pod nim ponad 200 tys. osób – dwa razy więcej, niż było wymagane.

Projekt postuluje wprowadzenie obowiązku badań lekarskich i psychologicznych raz na 5 lat, zwiększenie odległości polowań od zabudowań ze 150 do 700 m, wznoszenie ambon za pisemną zgodą właściciela gruntu, likwidację polowań dewizowych dla obcokrajowców, zakaz nęcenia i dokarmiania zwierzyny, zakaz nagonki i hodowania zwierząt na odstrzał, publiczny rejestr polowań czy jawność finansową Polskiego Związku Łowieckiego.

– Jawność? Po co? Żeby dokuczać i piętnować? – protestuje adwokat Miłosz Kościelniak-Marszał. – W dobie przepisów ochrony danych osobowych nie widzę sensu. To są prywatne sprawy, które nie powinny być przedmiotem publicznej debaty.

Jeżeli zachodzi obawa o stronniczość, to mamy przecież instrumenty prawne w postaci wyłączenia sędziego. A co, gdyby sędzia był zdeklarowanym homoseksualistą, a osoba sądzona krytycznie nastawiona do homoseksualizmu? Za chwilę się okaże, że wszystkich trzeba wyłączyć.

Badania? Nie widzę potrzeby. W ani jednym przypadku postrzeleń przyczyna nie leżała w stanie zdrowia myśliwego. Raz jeden poszkodowany miał niedosłuch i kiedy go wołali, żeby się pokazał na stanowisku, nie usłyszał. W jednym przypadku sprawcą była osoba w wieku powyżej 70 lat, którą można podejrzewać o dysfunkcje.

Mogę powiedzieć jasno: nie ma związku między bezpieczeństwem na polowaniu a stanem zdrowia. To nie jest tak, że myśliwi niedowidzą, niedosłyszą i są psychicznie niestabilni. Przeprowadziłem kwerendę wszystkich spraw dyscyplinarnych o postrzelenia PZŁ od 2014 do 2021 roku: wynika z niej, że w badanym okresie miało miejsce 25 postrzeleń na polowaniach, zawinionych przez polskich myśliwych. To stawia nas w czołówce bezpieczeństwa wśród krajów europejskich.

Grupa potencjalnie najbardziej zagrożona spowodowaniem wypadku to osoby pomiędzy trzecim a dziesiątym rokiem stażu łowieckiego. Mają już trochę doświadczenia i nabierają nadmiernej pewności siebie. Należałoby przypomnieć im wszystkie reguły, ponownie przeegzaminować.

Jestem zwolennikiem corocznego szkolenia z bezpieczeństwa, obejmującego również trening na strzelnicy pod okiem wykwalifikowanego instruktora – uważa.

PZŁ wydał oświadczenie, w którym czytamy m.in.: „Jedną z najpoważniejszych wątpliwości budzi zakaz strzelania do zwierząt łownych w odległości mniejszej niż 700 m od budynków. Według analizy przestrzennej przygotowanej na potrzeby PZŁ strefa ta mogłaby objąć około 75 proc. powierzchni kraju. (...) Tak znaczne ograniczenie dostępu do obszaru prowadzenia gospodarki łowieckiej, połączone z zakazem polowań w nocy, używania termo- i noktowizji oraz polowań z nagonką, uniemożliwi wykonywanie planów łowieckich".

Czy ustawa ma szanse? O jej kształcie decydować będzie Komisja Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, której przewodniczącą jest Urszula Pasławska, myśliwa, która nie kryje swojej pasji do łowiectwa. Twierdzi, że poluje po to, żeby dostarczyć swoim dzieciom zdrowe mięso.

– Policzyłem, że gdybyśmy zaczęli się żywić zgodnie z jej sugestią, to przy obecnym spożyciu mięsa w Polsce – 82 kg na osobę w 2025 roku – zjedlibyśmy wszystkie dzikie zwierzęta w pięć dni... – komentuje Kruczyński.

– To niejedyna osoba polująca w tej komisji, oj, nie. Klaudia Jachira z Zielonych mówiła, że jedno z posiedzeń wyglądało jak odprawa robocza w PZŁ. Ciekawe, jak to się potoczy. Będę tam jako członek Komitetu Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej. Badania pokazują, że większość Polaków nas popiera. I jest to porozumienie ponad podziałami.

– Zwłaszcza sprawa badań okresowych dla myśliwych bardzo porusza społeczeństwo. W tej chwili myśliwi przechodzą badania tylko raz w życiu, kiedy zdobywają uprawnienia, na przykład w wieku 21 lat – mówi Izabela Kadłucka. – Temat wraca po każdym śmiertelnym wypadku, bo chodzi przecież nie tylko o badania wzroku, ale także o poziom impulsywności, agresji, umiejętności radzenie sobie ze stresem.

Na pewno zmienia się świadomość społeczna odnośnie do łowiectwa – kontynuuje Kadłucka. – Coraz częściej słyszę, że ludzie są zaniepokojeni faktem, że ktoś chce zabijać w ramach pasji, hobby czy wolnego czasu. Mnie osobiście szczególnie poruszają lekarze weterynarii, którzy polują. Trudno mi pogodzić te dwie role: myśliwy może zabić na polowaniu lisa, który w innych okolicznościach mógłby trafić do jego gabinetu jako pacjent.

Według badań naukowych potrzeba polowań często współwystępuje z pewnymi określonymi cechami osobowości. Należy do mrocznej triady. Pierwszą z nich jest narcyzm, drugą makiawelizm, natomiast trzecią psychopatia rozumiana nie w sposób kliniczny, ale jako pewien wymiar naszej osobowości.

– Nie jest tak, jak próbują nam wmówić myśliwi, że naszą inicjatywę popierają tylko środowiska wielkomiejskie – dodaje Michał Suchora. – Gros podpisów nie przyszło ze zbiórek w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu, tylko z Polski powiatowej. Dostaliśmy list od rodziny z Podkarpacia, że czują się jak na safari – są budzeni w nocy strzałami, a po ich polach jeżdżą SUV-y. Czują się traktowani przez myśliwych jak chłopi pańszczyźniani i mają tego dość. Największymi beneficjentami naszej nowelizacji byliby właśnie mieszkańcy terenów wiejskich.

Kruczyński opisuje przypadek rolnika, który podpisał się pod inicjatywą, bo myśliwi oszacowali szkody łowieckie, które poniósł, na 30 zł.

– W skali kraju szkody łowieckie stanowią jedną tysięczną roślinnej produkcji rolnej, ale dla indywidualnego rolnika to może być obszar rażącej niesprawiedliwości społecznej. Bogatsi rolnicy wynajmują kancelarie prawne wyspecjalizowane w dochodzeniu odszkodowań od myśliwych i wygrywają sprawy – dostają uczciwe pieniądze. Natomiast mniejszy rolnik macha ręką i bierze, co mu dają.

Z drugiej strony Konfederacja postuluje zniesienie zakazu udziału dzieci w polowaniach. Widać coraz mocniejszą polaryzację i wypracowanie kompromisu wydaje się coraz trudniejsze. W Ministerstwie Klimatu i Środowiska powstał zespół do spraw reformy łowiectwa, który składał się z członków PZŁ i ze strony społecznej, ale na trzecim spotkaniu myśliwi wstali i wyszli. Nie chcieli rozmawiać.

Michał Suchora. – Ja już na tym etapie mam poczucie sukcesu, bo ludzie podpisujący listy często nie mogli uwierzyć, że prawo tak wygląda. „Jak to nie ma badań?" – pytali. Proszę zobaczyć, co się stało z ustawą łańcuchową. Została co prawda zawetowana przez prezydenta, ale on sam złożył swój projekt, niemalże tożsamy z projektem społecznym.

Jak pisze redakcja miesięcznika „Łowiec Polski" w zapowiedzi wrześniowego wydania: „Już za chwileczkę, już za momencik rozpocznie się spektakl, na który czekamy – rykowisko!".

– Tak, zaczyna się rykowisko. – Ciężko wzdycha Zenon Kruczyński. – Jelenie otumanione hormonami przestaną być ostrożne, łatwo będzie je podejść. Ich miłosny okres godowy zamieni się w krwawą jatkę. Znów zastrzelone zostaną najcenniejsze biologicznie zwierzęta – najmocniejsze byki, które nie zdążą przekazać swoich genów. Będą zabijane również łanie i cielaki.

A myśliwi siedzieć będą bezpiecznie na swoich ambonach wyposażeni w termowizory i noktowizory, nawet nocą nie dając tym zwierzętom chwili bez zabijania i ranienia. Kiedyś polowanie wymagało siły fizycznej, zręczności i sprytu, myśliwy musiał być człowiek przemyślnym. Współcześnie do zabicia wystarczy ciche wysunięcie końca lufy przez okienko ambony i siła fizyczna potrzebna do zgięcia palca wskazującego na spuście. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W SPRZEDAŻY wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
100 OBJAWÓW PERIMENOPAUZY

AGATA KULESZA:
SZCZĘŚCIE POJAWIA SIĘ NA CHWILĘ

TRENDY W MODZIE I W KOLORZE
JESIEŃ/ZIMA 2026







Magazyn do nabycia na
PRENUMERATA24.pl.
Dostawa bezpłatna, także do paczkomatu.

Numer dostępny z książką "Prawdziwe zbrodnie. 15 historii, które wstrząsnęły światem" lub magazynem "Psychologia dla rodziców"

1 RP

eprasa.pl 80cac0502a

KRAJ



Po co MU TO MIASTO

Na działalność polityczną wydał już kilkanaście milionów. Dlaczego Łukasz Gibała jest tak zdeterminowany, żeby zostać prezydentem Krakowa

Anna Kolet

Czterdziestodziewięcioletni przedsiębiorca Łukasz Gibała po raz czwarty idzie po fotel prezydenta Krakowa. W jego otoczeniu słyszymy: – Teraz albo nigdy.

Kim jest „wieczny" kandydat na prezydenta Krakowa? I czy w końcu uda mu się przebić krakowski szklany sufit?

●

Anna Grodzka, dawna koleżanka Gibały z ław poselskich, słysząc jego nazwisko, rzuca: – On jest jak Donald Trump. Bardzo zamożny i mocno zdeterminowany, by zdobyć władzę.

Była posłanka Ruchu Palikota przypomina sobie sytuację sprzed wielu lat, kiedy Gibała startował w wewnętrznych wyborach w partii w Krakowie. – Wygrał z wyraźną przewagą. I nic dziwnego, bo wcześniej na te wybory przyjechały z domu pomocy społecznej dwa autokary naszych nowych członków, zwerbowanych przez Gibałę, którzy oddali na niego głos – zżyma się Grodzka.

Gibała odszedł z efemerycznej partii Palikota w 2014 roku, żeby wystartować w wyborach na prezydenta Krakowa. Zdobył zaledwie 11,16 proc. głosów. To była jego pierwsza porażka pod Wawelem. Zaraz potem założył stowarzyszenie Logiczna Alternatywa (dziś Kraków dla Mieszkańców) i zaczął działać charytatywnie, budując w ten sposób swoją rozpoznawalność.

Rozdawał mieszkańcom roślinki antysmogowe, czipował ich psy. Angażował się w pomoc dla dzieci, seniorów, przedsiębiorców, rzemieślników. Walczył z zanieczyszczeniem powietrza, sadził drzewa, zbierał karmę dla bezdomnych zwierząt, wspierał działkowców, krytykował nadmierną zabudowę miasta. Prowadził działalność od Sasa do Lasa, ale dzięki temu w każdej grupie społecznej zaznaczył swoją obecność.

●

Róża Thun, była europosłanka (najpierw PO potem Trzeciej Drogi), wspomina czasy, kiedy w 2009 roku po raz pierwszy startowała do Parlamentu Europejskiego z okręgu małopolsko-świętokrzyskiego: – Nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, a krakowska Platforma niechętnie mnie przyjęła. Wtedy przyszedł do mnie Łukasz Gibała i bezinteresownie zaoferował swoją pomoc. W Krakowie miał duże i prężnie działające koło, sprawiał wrażenie mocno zaangażowanego w swoją działalność. I muszę przyznać, że bardzo mi wtedy pomógł. Organizował spotkania z mieszkańcami, a jego ludzie roznosili ulotki. Bardzo mu zależało, żebym do tego parlamentu weszła. Dlaczego? Nie mam pojęcia.

Róża Thun zauważa, że Gibała (mający doktorat z logiki) na wszystko miał tabelki i wyliczenia. – Dokładnie wiedział, na jakiej ulicy, jak głosują mieszkańcy, gdzie warto zanieść ulotki, na którym słupie powiesić plakat. Wszystko miał dopracowane do perfekcji. To robiło wrażenie.

Grzegorz Lipiec, przed laty przewodniczący PO w Małopolsce, przyznaje, że Gibała zawsze działał z dużą determinacją. Potrafił logistycznie opracowywać warianty zdobycia władzy, również w samej partii, gdzie w końcu został szefem krakowskiego okręgu PO.

●

Jego strategia zdała egzamin w wyborach do sejmiku i dwukrotnie do Sejmu. W walce o fotel prezydenta Krakowa, jak dotąd, nie był w stanie przebić szklanego sufitu. Dziś jest zaledwie radnym w swoim sześcioosobowym klubie Kraków dla Mieszkańców, ale przedwyborcze sondaże dają mu niemal pewne zwycięstwo w II turze. – Pokora i ciężka praca. Nic nie jest jeszcze przesądzone – studzi emocje swoich współpracowników.

Przez ostatnie lata Gibała zdołał zbudować wokół siebie zespół oddanych mu ludzi: aktywistów i społeczników. Chętnie otacza się też przychylnymi mu dziennikarzami, którzy – jak mówi były prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, który rządził miastem przez pięć kadencji – „chodzą na jego pasku".

Ciekawie wygląda współpraca lidera sondaży z założycielami popularnego portalu Krowoderska.pl. Ci zaczynali kilkanaście lat temu jako lokalny blog poświęcony jednej dzielnicy, dziś sami o sobie mówią, że są opiniotwórczym miejskim portalem.

Ich bliska współpraca z Gibałą zaczęła się w kwietniu 2020 r. Wspólnie uruchomili cykl „Krakowski Biznes", w ramach którego opisują działalność lokalnych rzemieślników. Szybko okazało się, że ten biznes opłacił się również samej fundacji wydającej portal. Prześledziliśmy jej finanse z ostatnich lat.

- Jeszcze w 2019 r., czyli przed nawiązaniem współpracy z Gibałą, przychód wyniósł raptem 500 zł,
- Już rok później (po podpisaniu umowy ze stowarzyszeniem Gibały) wzrósł do 80 tys. zł.

1 RP

eprasa.pl 80cac0502a



• W 2021 roku Fundacja Krowoderska.pl miała już ponad 150 tys. przychodu.
• W 2023 r. – 167,8 tys. zł,
• a w ubiegłym roku 157 tys. zł.

I nie byłoby w tym nic nagannego, bo wszak media żyją z tego typu działalności, gdyby nie nagłe zainteresowanie twórców Krowoderskiej odwołaniem w referendum Aleksandra Miszalskiego. To oni stanęli na pierwszej linii frontu; tropili kolesi w urzędzie; na rogatkach miasta wywieszali wielkie bilbordy atakujące prezydenta; któregoś dnia wpadli do magistratu i odświeżaczem powietrza spryskali urzędniczki na dzienniku podawczym, mówiąc, że walczą z epidemią kolesiostwa.

W tych działaniach wspierał ich lokalny patostreamer Mateusz Jaśko, który kolportował komiksy szkalujące Miszalskiego, wieszał plakaty, nagrywał filmiki atakujące prezydenta.

• Łukasz Gibała na konferencji prasowej rozpoczynającej jego kampanię wyborczą. Rynek Główny w Krakowie, 7 sierpnia 2026
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kiedyś Łukasz Gibała aktywnie walczył ze smogiem i głosował za wprowadzeniem SCT w Krakowie, teraz mówi o ograniczeniu jej obszaru.

Informuje, że nie pójdzie w Marszu Równości, choć wcześniej w nim uczestniczył.

Był w postępowym Ruchu Palikota, dziś deklaruje, że nie wynajmie gminnego lokalu pod meczet

Nikomu z otoczenia Gibały nie przeszkadzało, że Jaśko w młodości był trzykrotnie skazywany za pobicia, w tym kobiet, a w kwietniu ubiegłego roku usłyszał wyrok pozbawienia wolności za grożenie dziennikarzowi TVN w głośnej aferze Zondacrypto.

•

Łukasz Gibała wydał już fortunę na swoją działalność polityczną. Lekko licząc kilkanaście milionów złotych. Dotychczasowe kampanie, a było ich w sumie osiem, prowadził z ogromnym rozmachem. Tylko na referendum, które doprowadziło do odwołania Aleksandra Miszalskiego, jego stowarzyszenie wyłożyło niemal 2 mln zł. A w dniu samego głosowania Gibała oferował mieszkańcom darmową podwózkę do lokali wyborczych.

To oczywiście oficjalne wyliczenia, z których komitet referendalny musiał rozliczyć się przed komisarzem wyborczym. Kwot, które poszły na kampanię referendalną poza oficjalnym źródłem, prawdopodobnie nigdy nie poznamy, tak jak nie dowiemy się, kto za to zapłacił.

Nie pomoże w tym na pewno prokuratura, która właśnie umorzyła postępowanie w sprawie hejterskich filmików wypuszczanych w czasie kampanii referendalnej. Te miały skompromitować bliskich współpracowników Miszalskiego. Śledczym nie udało się ustalić, kto stał za nagraniami.

Wcześniej prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie referendum zorganizowanego przez Gibałę 10 lat temu. Wtedy chodziło o odwołanie Jacka Majchrowskiego. Gibała wydał na to prawie 800 tys. zł, ale większość zebranych podpisów była błędna lub sfałszowana. Po 9 latach śledztwa prokuratura stwierdziła, że społeczna szkodliwość czynu była znikoma i zamknęła sprawę.

•

Dla obecnego kandydata na prezydenta Krakowa i lidera sondaży kasa nie gra roli, bo pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Jego ojciec Leszek prowadzi interesy w branży alkoholowej, brat Bartosz jest właścicielem sieci klubów fitness, trudni się udzielaniem kredytów deweloperom. Rodzina działa też na rynku nieruchomościowym. Mają między innymi działki przy ul. Lea, gdzie planowali budowę bloków, i przy ul. Wencla – miał tu powstać hotel.

Sam kandydat też prowadził kilka firm. Na start dostał 50 mln zł w spadku po mamie, która zmarła, gdy ten miał 15 lat. Ostatnio zajmował się produkcją filamentów – czyli materiałów z termoplastu – do druku 3D, planował wielkie inwestycje w Niepołomicach. Jednak kiedy w poprzedniej kampanii wyszło na jaw, że jego firma Ductor była zadłużona w spółkach ojca na ponad 200 mln zł, a oponenci grzmieli, że ktoś, kto nie potrafi zarządzać własnym biznesem, nie podoła rządzeniu miastem, kandydat jeszcze przed głosowaniem poinformował, że spłacił pożyczkę, przekazując swojemu ojcu wszystkie udziały w firmie.

Dziś właścicielem Ductora formalnie jest Leszek Gibała, ale Adrianna Siudy, partnerka Łukasza, pełni w niej funkcję prezeski. To z Ductora poszły pieniądze na referendum. Gibała zapewnia, że jeszcze przed przekazaniem firmy ojcu, zabezpieczył z pieniędzy spółki finansowanie swojej działalności „do końca tej kadencji".

•

W Krakowie wiele osób zastanawia się, dlaczego Gibała trwoni majątek, z taką determinacją walcząc o prezydenturę. – Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – twierdzą jego przeciwnicy. Sam kandydat pytany o to przez dziennikarzy odpowiada wyuczoną formułką: – Jak ktoś mocno w coś wierzy, to musi być wytrwały, konsekwentny i nie może się poddawać, a ja bardzo mocno wierzę w Kraków dla mieszkańców.

Prof. Janusz Majcherek, socjolog z Akademii WSB, nie daje wiary tym zapewnieniom. – Podejrzewam, że za jego uporem mogą się kryć jakieś niejasne intencje – mówi.

Jakie?

– Po pierwsze materialne. Jest człowiekiem biznesu. Pochodzi z rodziny, która zajmuje się przedsiębiorczością, co więcej, taką przedsiębiorczością, której profil może wchodzić w kolizję z interesami miasta, czyli deweloperką, handlem i obrotem gruntami budowlanymi. Uważam, że tak niebywała determinacja, z którą on dąży do objęcia władzy nad Krakowem, może oznaczać, że planuje jakieś przedsięwzięcia, które mogą narażać interes miasta na szwank za cenę realizacji interesów jego lub jego rodziny – zauważa prof. Majcherek.

Podobnego zdania jest prof. Jacek Majchrowski: – Mieszkańcy już trzy razy pokazali mu czerwoną kartkę, ja bym dawno odpuścił. Nie wiem, po co mu ta prezydentura, ale mam dwa przypuszczenia: albo jest to marzenie „złotego chłopca", który wymyślił sobie, że chce być prezydentem Krakowa i od kilkunastu lat nie szczędzi sił ani środków, żeby to osiągnąć, albo stoją za tym interesy rodzinne.

Jako przykład tych interesów podaje działkę przy ul. Lea, na której brat i ojciec polityka planowali ogromną inwestycję deweloperską. Rada miasta w ubiegłym roku zablokowała ją, przyjmując miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dla tego obszaru – przy czym Gibała również głosował za. – Gdyby został prezydentem, mógłby bez problemu załatwić korzystny plan miejscowy, który pozwoli na zabudowę. Intuicja mi podpowiada, że będzie tego próbował – spekuluje były prezydent.

Gibała tłumaczy, że przecież nie przywiąże swoich bliskich do kaloryfera, jeśli będą chcieli wybudować coś w Krakowie, ale podkreśla, że jako prezydent nie będzie podejmował decyzji w sprawie inwestycji swojej rodziny, zrobią to za niego włodarze sąsiednich gmin, bo takie są przepisy.

Z tego powodu decyzję środowiskową w sprawie budowy metra w Krakowie musiał procedować prezydent Oświęcimia, bo rodzina Aleksandra Miszalskiego posiada nieruchomość na trasie oddziaływania inwestycji. I nieważne, że chodzi o 30-metrowe mieszkanie jego rodziców.

•

Dziś były poseł PO i Ruchu Palikota gra kartą osoby spoza układu i kreuje swój antyestablishmentowy wizerunek. Partie polityczne nazywa „czystym złem". Podkreśla, że walczy z istniejącym w Krakowie układem i marzy mu się „nowe otwarcie". Jednak – jak zwraca uwagę prof. Majcherek – nadal nie przedstawił klarownej wizji swojej prezydentury. Unika jednoznacznych deklaracji, żeby przed drugą turą nie narazić się ani lewicy, ani prawicy.

Albo zmienia poglądy, jak chociażby w przypadku strefy czystego transportu. Kiedyś aktywnie walczył ze smogiem i głosował za wprowadzeniem SCT w Krakowie, dziś mówi o ograniczeniu jej obszaru i oddaniu decyzji w ręce mieszkańców. To ukłon w stronę wyborców Jana Hoffmana, inicjatora majowego referendum, który na ostatniej prostej przed pierwszą turą przekazał mu swoje poparcie.

Ale również w stronę wyborców Konfederacji, którzy, jak pokazują badania, w ostatnią niedzielę gremialnie zagłosowali właśnie na Gibałę. To zapewne z myślą o nich kandydat poinformował już, że nie pójdzie w Marszu Równości, choć wcześniej w nim uczestniczył, i nie wynajmie gminnego lokalu pod meczet.

Choć jeszcze kilka lat temu Gibała chciał otaczać PiS kordonem sanitarnym, dziś mówi, że namalowanie sobie ośmiu gwiazdek na czole przez Miszalskiego było „obrzydliwe" i nie stroni od kontaktów z prawicowymi działaczami. Wśród jego kampanijnych doradców znalazło się miejsce między innymi dla Marcina Kędryny, przyjaciela ze szkolnej ławy Andrzeja Dudy, który najpierw był asystentem późniejszego prezydenta w Parlamencie Europejskim, a w 2015 roku prowadził jego kampanię wyborczą, by w końcu trafić do Kancelarii Prezydenta na stanowisko dyrektora biura prasowego.

•

– Również w drugiej turze Gibała może liczyć na głosy prawicy, w tym tej skrajnej – prognozuje prof. Majcherek. – Z tego powodu zwycięstwo „wiecznego kandydata" wydaje mi się być perspektywą niepokojącą, bo on będzie czuł się zobowiązany, by zrewanżować się tym środowiskom i uwzględnić ich interesy, oczekiwania i postulaty w swojej polityce miejskiej. Zwłaszcza że do rządzenia Krakowem będzie potrzebował głosów radnych PiS w Radzie Miasta. Dla mnie Gibała to człowiek enigma. Nie wiem, jakie ma poglądy, nie wiem, dlaczego z taką determinacją walczy o prezydenturę. Z tych powodów jego kandydatura budzi moje obawy – tłumaczy socjolog.

Róża Thun: – Nie chcę mu odbierać ideowości, ale w tym jego zafiksowaniu na wygranie wyborów w Krakowie jest coś dziwnego. Gdyby faktycznie chodziło mu o dobro miasta, to nie wydawałby 2 milionów, żeby odwołać Miszalskiego, tylko po to, by zająć jego miejsce. Przecież to całe zamieszanie z referendum było szkodliwe dla miasta, nie było konkretnego powodu, żeby je robić, a w efekcie ta kadencja jest już dla Krakowa stracona.

Zdaniem byłej europosłanki prezydentura Krakowa to „młodzieńcze marzenie" Gibały. – On z całych sił pragnie, żeby zawiesić sobie na szyi ten złoty łańcuch i wszystko temu podporządkował. ●

eprasa.pl 80cac0502a

INWAZJA PORYWACZY PIS

Właściwie czym różni się Rozwój Plus od KO? I po co było wychodzić z PiS, skoro ludzie ekspremiera są dumni z osiągnięć PiS i planują wspólny rząd z PiS? Pytamy prawą rękę Morawieckiego.

Z **MARCINEM HORAŁĄ**
ROZMAWIA
ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

ZDJĘCIE **SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL**



Należy pan do stowarzyszenia Zdrajcy Plus. Słyszymy to od posłów PiS w telewizji i słyszę od ludzi PiS w kuluarach w Sejmie.
– Mogę się tylko uśmiechnąć. Znam tę narrację i uważam, że PiS zaplątał się w tej sprawie we własne nogi.

Jarosław Kaczyński uważa, że zajął pan miejsce w prezydium Sejmu przypisane jego partii. PiS nadal nie ma wicemarszałka. Może pańscy koledzy mają trochę racji?
– Zgadzam się, że drugi największy klub w parlamencie powinien mieć swojego wicemarszałka, ale trzeci co do wielkości klub – czyli Rozwoju Plus – też zasługuje na to stanowisko. I mamy pełne prawo o nie zabiegać.

Zgłosiliśmy projekt zmiany regulaminu Sejmu, który zakłada, że każdy klub miałby swojego wicemarszałka. No ale posłowie PiS nie podpisali się pod nim. Zapewniam, że zagłosujemy w razie czego za każdym kandydatem na wicemarszałka wystawionego przez Jarosława Kaczyńskiego czy przez Paulinę Henning-Kloskę z Unii Centrum, która też nie ma swojego przedstawiciela w prezydium Sejmu.

W PiS mówią, że ukradł im pan to stanowisko.
– Nie ukradłem. Prawo i Sprawiedliwość miało prawie trzy lata na wystawienie innego kandydata niż Elżbieta Witek.

Na którą nie chciała się zgodzić sejmowa większość ze względu na łamanie regulaminu sejmowego w czasach, kiedy kierowała pracami izby niższej.
– Tej narracji nie kupuję. Każdy klub ma prawo sam wyznaczyć swojego przedstawiciela i wiadomo, że do tej osoby politycy innych formacji będą mieli cały szereg zarzutów. Niemniej trzyletnie upieranie się PiS nie miało sensu. Należało zaprotestować, pokazać problem i wystawić innego kandydata.

PiS konsekwentnie nie chciało, ale nagle zmieniło zdanie, kiedy powołaliśmy klub. Trudno się oprzeć wrażeniu, że tak naprawdę to PiS nie chce mieć wicemarszałka – najważniejsze, żeby Rozwój Plus też nie miał.

Kaczyński twierdzi, że wybór pana na stanowisko wicemarszałka jest wstępem do wspólnych rządów Mateusza Morawieckiego z Donaldem Tuskiem.
– Nie bądźmy śmieszni. Gdyby Marcin Ociepa, czyli kandydat PiS na wicemarszałka, został wybrany głosami Koalicji Obywatelskiej, to czy Jarosław Kaczyński zostałby automatycznie koalicjantem Tuska? Czy Marek Suski albo Kacper Płażyński, wybrani na szefów komisji dzięki wsparciu posłów koalicji, są politycznymi przyjaciółmi obecnego premiera?

Dobrym zwyczajem parlamentarnym jest obecność w prezydium Sejmu przedstawicieli wszystkich sił politycznych. W czasie rządów PiS wybieraliśmy wicemarszałków z KO i z lewicy, a Marek Kuchciński był w kierownictwie Sejmu w czasie rządu PO-PSL.

Błędem było pominięcie ludowców w 2015 roku. Zostało to naprawione, gdy w 2019 roku wicemarszałkiem został Piotr Zgorzelski. Jako Rozwój Plus proponujemy: niech każdy klub w Sejmie ma wicemarszałka i zamkniemy temat raz na zawsze.

Morawiecki nie jest dogadany z Tuskiem?
– Nie jest i nie będzie.

Musi pan zrozumieć jedno – chcemy odsunąć Tuska od władzy. Uznaliśmy, że strategia prezesa Jarosława Kaczyńskiego, która zamyka partię w getcie z 15-, góra 25-procentowym poparciem, da drugą kadencję obecnemu premierowi. Staraliśmy się przekonać prezesa do jej zmiany i bardziej otwartego kursu, poszerzającego poparcie. Zamiast dostrzec w tym szansę, uznano nas za zagrożenie i usunięto z PiS. Dlatego dzisiaj działamy na własny rachunek i proponujemy nową opowieść i prezentujemy nowe propozycje dla Polski.

Czyli co dokładnie?
– Stare partie oferują Polakom kłótnię o to, kto bardziej zepsuł państwo. My chcemy przede wszystkim proponować, jak je naprawić. Od tego, że jedni drugich będą wsadzać, a po wyborach na odwrót, wsadzać będą drudzy pierwszych, nie powstanie ani metr drogi, ani jeden żołnierz nie dostanie karabinu, ani jeden pacjent nie zostanie wyleczony. Musimy przyspieszyć inwestycje, ponownie naprawić finanse publiczne, stawić czoło wyzwaniom demografii, migracji i wielu innym. Chcemy budować Polskę, a nie koncentrować się na niekończącej się bijatyce politycznej.

Przykład: potępiamy to, co obecny rząd robi, niszcząc Trybunał Konstytucyjny. Przyznając, że i PiS popełnił pewne błędy, nie będę tu symetryzował. Ale jednocześnie chcemy przedstawić taką propozycję resetu i uzdrowienia Trybunału, która byłaby po prostu dobra i akceptowalna również dla wyborców mających inne zdanie na temat tego, kto bardziej zawinił w historii.

Jakie konkretnie „błędy" PiS w sprawie Trybunału jest pan w stanie przyznać?
– Nie chcę budować symetrii, ponieważ my nie wysyłaliśmy do Trybunału policji, a to sugeruje Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych. Nawet zamachowcy podczas puczu Janajewa w Moskwie w 1991 roku nie poważyli się siłowo szturmować sądu konstytucyjnego.

My nie wysyłaliśmy do Trybunału ludzi niespełniających ewidentnie wymogów formalnych albo ślubujących przed kolumną w Sejmie zamiast w obecności prezydenta. Rząd PiS nie opublikował trzech wyroków TK wydanych niezgodnie z ustawą o TK – i to tylko czasowo, bo ostatecznie opublikował. Z polecenia ówczesnej prezes TK Julii Przyłębskiej. Teraz rząd zignorował i nie opublikował kilkadziesiąt wyroków – seryjnie i po uważaniu.

Problem z Trybunałem rozpoczął się, kiedy pod koniec kadencji rządu PO-PSL posłowie wybrali dwóch sędziów na zapas. Złamano prawo i tych dwóch pseudosędziów bezwzględnie należało zignorować i wybrać nowych.

Lecz po przejęciu władzy przez nasz obóz w 2015 roku nie cofnęliśmy nogi i anulowaliśmy wybór również trzech pozostałych, których status nie był tak jednoznaczny. To dało początek teorii o tak zwanych sędziach dublerach i całej dalszej historii. Nasi liderzy obawiali się, że TK będzie wsadzał kij w szprychy, nie pozwoli nam przeprowadzić reform, sparaliżuje nasze rządy. Z perspektywy czasu pewnie lepiej było dłużej pomęczyć się z wrogim składem Trybunału, aby później ukształtować jego skład w sposób niepodważalny.

Ale to już jest historia najnowsza. Wyjdźmy do przodu. W ciągu najbliższych dni przedstawimy propozycję głębokiego resetu Trybunału Konstytucyjnego. Chcemy wyjść poza ten spór

Marcin Horała

• Ur. w 1981 r., poseł, wicemarszałek Sejmu. W młodości członek libertariańsko-konserwatywnej Unii Polityki Realnej, pierwszej partii Janusza Korwina-Mikke. Od 2004 r. w PiS. Przez wiele lat był radnym w Gdyni, dwa razy kandydował na prezydenta Gdyni. W Sejmie od 2015 r., obecnie jest jedną z twarzy Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego. Głośno zrobiło się o nim, gdy został pełnomocnikiem rządu do spraw Centralnego Portu Komunikacyjnego, flagowego infrastrukturalnego projektu rządów PiS. Z wykształcenia prawnik i politolog.

eprasa.pl 80cac0502a

i zaproponować zmianę konkretnego fragmentu konstytucji. Zakładamy wybór wszystkich sędziów od nowa w sposób apolityczny i ponadpartyjny.

Zachowując swoje zdanie, wyjdźmy poza mechanizm zawłaszczania TK przez kolejne ekipy rządzące. Tak jak to robi teraz rząd Tuska, wysyłając tam Maciej Berka, byłego ministra i bliskiego współpracownika premiera.

PiS też wysyłał polityków do TK: posłowie Stanisław Piotrowicz i Krystyna Pawłowicz trafili tam prosto z ław sejmowych.
– Ale PiS nigdy nie twierdziło, że w Trybunale nie powinni pracować byli politycy. Obecna koalicja rządząca mówiła inaczej, przygotowała nawet projekt ustawy wprowadzający czteroletnią karencję dla posłów czy ministrów, którzy chcieliby orzekać w TK, po czym sama te swoje propozycje widowiskowo podeptała.

Zróbmy krok do przodu: możemy zakazać wszystkim osobom, które kiedykolwiek zasiadały w Sejmie czy w rządzie, orzekania w Trybunale. Przecież znajdziemy w kraju 15 prawników niezwiązanych nigdy z partiami politycznymi!

Czy Julia Przyłębska była dobrą szefową Trybunału?
– Nie ulega wątpliwości, że działała w niezwykle trudnych okolicznościach, w obliczu nieustannego ataku na Trybunał i osobiście na nią. Natomiast nie powinno być rolą czynnego polityka recenzowanie pracy prezes TK.

A czy Bogdan Święczkowski to dobra osoba w TK?
– Rozumiem intencję pytań, ale nie zagoni mnie pan do swojego obozu. Mogę tylko zaoferować, że nie będę również formułował ocen, że Andrzej Rzepliński był złym prezesem. Zachowajmy swoje oceny przeszłości, myślmy, jak uzdrowić instytucję na przyszłość.

Ale Koalicja 15 Października też zaproponowała uzdrowienie TK: w zawetowanej przez Andrzeja Dudę ustawie był wpisany mechanizm wyboru sędziów przez 2/3 posłów. Sędziów wybierano by na drodze kompromisu. Lecz PiS nie chciał poprzeć tego rozwiązania. Wtedy nie byliście zainteresowani rozmową o TK.
– Nie poparliśmy tego projektu, ponieważ w kolejnym kroku – czyli gdy nie udałoby się zbudować ustawowej większości – sędziowie byliby wybierani zwykłą liczbą głosów. Co w obecnym rozkładzie sił byłoby absurdem i zdradzało oczywistą intencję skoku na TK przez obecną koalicję. A my musimy mieć Trybunał, którego wyroki będą respektowane przez wszystkie strony sporu politycznego.

Przy okazji należałoby też wprowadzić zasadę samodzielnego publikowania wyroków przez TK z pominięciem Kancelarii Premiera.

Czyli prawo łamali i Beata Szydło, i Donald Tusk? Bo jedno i drugie nie drukowało wyroków TK.
– I znowu mnie pan próbuje zagonić do sporu o przeszłość. Pani premier Beata Szydło miała wątpliwości, czy trzy wyroki były wyrokami, albowiem były wydane z naruszeniem obowiązującej w danym momencie ustawy o Trybunale. Mówimy o trzech wyrokach, i to ostatecznie opublikowanych po doprecyzowaniu prawa w tym zakresie. Obecny rząd nie drukuje wyroków hurtowo, ponieważ uważa Trybunał za nieistniejący, choć i w tym jest niekonsekwentny, wysyłając do rzekomo nieistniejącego TK swoich przedstawicieli.

A w jaki sposób chciałby pan doprowadzić do zmiany konstytucji, skoro prawica nie jest zainteresowana uzdrowieniem sytuacji w sądownictwie, a koalicja rządząca nie ma takiej większości?
– Porozumienie na zasadzie wzajemnej negocjacji jest niemożliwe, to prawda. Nie wierzę w okrągły stół w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości, ponieważ każda strona gra na swój interes. Ale może możliwe jest pokazanie takiego rozwiązania, które opinia publiczna po obu stronach sporu uzna za dobre, a politycy, chcąc nie chcąc, będą musieli podążyć za swoimi wyborcami.

Albo i nie.
– Wtedy zamkniemy temat w obecnej kadencji. Przynajmniej zależy nam na rozpoczęciu poważnej debaty publicznej o uzdrowieniu Trybunału Konstytucyjnego, jak i całego państwa zresztą.

To wszystko brzmi naprawdę pięknie, ale chciałbym zrozumieć pewien mechanizm: był pan w PiS, kiedy ta partia rozwalała wymiar sprawiedliwości. Czy w partii toczyła się wtedy dyskusja o Trybunale, Sądzie Najwyższym, atakach na sędziów? Czy pańskie środowisko protestowało? Czy rozmawialiście ze Zbigniewem Ziobrą?
– Taka wewnętrzna dyskusja na pewno się toczyła. Acz w 2015 czy 2016 roku bylem początkującym posłem pierwszej kadencji i nie uczestniczyłem w dyskusjach kierownictwa obozu politycznego.

Zaznaczam, że „rozwalanie wymiaru sprawiedliwości" to pana opinia, a nie moja. Ja bym to nazwał próbą niezbędnej reformy i uzdrowienia tego chorego obszaru, która z perspektywy czasu okazała się nieudana.

Był pan w PiS. Czyli legitymizował to, co dzisiaj krytykuje.
– Oczywiście, że tak. Nie wzięliśmy się jako Rozwój Plus z nieba, nie zaprzeczamy, że rządziliśmy. I uważam, że osiem lat rządów PiS było dobrym czasem dla Polski. Nie możemy jednak twierdzić, że nie popełniono żadnych błędów, a jednym z nich były nasze działania w sądownictwie.

Uważam, że rozpoznania prawicy były słuszne: należało rozbić sądowniczą kastę. Natomiast należało to zrobić metodami innymi niż próbą ręcznego sterowania całym system sprawiedliwości przez ekipę Zbigniewa Ziobry.

Skoro rozmawiamy o błędach, to słyszałem, że było nim wysłanie do TVP Jacka Kurskiego.
– Zdecydowanie.

Jacek Kurski nie znalazłby miejsca na Woronicza, jeśli państwo stworzyliby rząd?
– Nie, ponieważ jest symbolem patologii mediów publicznych.

A więc i PiS-u.
– Ciemniejszych stron skądinąd dobrych rządów. Bo partia Jarosława Kaczyńskiego ma na koncie wiele sukcesów, o których pan widocznie nie chce rozmawiać. Chociażby to jak poprawił się poziom życia Polaków, szczególnie tych poniżej średniej. Jak ogromny dystans odrobiliśmy do Europy Zachodniej. I ile rozpoczęliśmy przedsięwzięć, których realizacja ten dystans by ostatecznie domknęła, teraz niestety w znacznej mierze opóźnionych, okrojonych czy skasowanych.

Natomiast media publiczne powinny być wolne od „kurszczyzny", czyli propagandowych materiałów. Ten model zresztą twórczo rozwinęła obecna dyrekcja TVP. Z tą różnicą, że Jacek Kurski był przynajmniej sprawny biznesowo.

Nie widzi pan różnicy między „Wiadomościami" czasów Kurskiego a obecnymi informacjami, które są rzetelne i obiektywne?
– Z tymi obecnie rzetelnymi to jakiś żart? Obecne kierownictwo mediów publicznych działa tak samo jak Jacek Kurski: metoda jest ta sama, tylko kto inny jest na celowniku. Kiedyś synonimem zła był Tusk, a dzisiaj jest nim Karol Nawrocki.

I naprawdę nie widzi pan, że obecnie każdy polityk opozycji ma prawo pojawić się na antenie telewizji publicznej, a w czasach waszych rządów nawet Andrzej Duda miał z tym problem, ponieważ prezydent chciał się pozbyć Kurskiego z TVP?
– Politycy ówczesnej opozycji byli zapraszani do telewizji publicznej. Osobiście z nimi tam dyskutowałem. Faktem natomiast jest, że ówczesna TVP zwalczała, również część obozu rządzącego, np. Mateusza Morawieckiego.

Czyli uważa pan, że mediami nie powinni kierować politycy?
– To akurat formalny drobiazg.

> Uznaliśmy, że strategia Kaczyńskiego, który zamyka partię w getcie, da drugą kadencję obecnemu premierowi

Na pewno? Jacek Kurski miał gorącą linię z Nowogrodzką.
– No tak, ale przykładowo Dorota Wysocka-Schnepf nigdy nie była politykiem, więc teoretycznie spełniałaby to kryterium, a tymczasem z obiektywizmem nie ma nic wspólnego. Żeby była jasność – prezesem TVP nie powinien też być np. Miłosz Kłeczek z Telewizji Republika. Każdy ma prawo lansować swoje sympatie polityczne, nawet agresywnie, ale nie w publicznej telewizji.

Wysocka-Schnepf na pewno jest obiektywną dziennikarką, czego nie można powiedzieć o Kłeczku.
– Pańskie zdanie zostało odnotowane w protokole *(śmiech)*.

Rafał Trzaskowski jako kandydat na prezydenta zapowiadał likwidację TVP Info. To dobry pomysł?
– Nie, ponieważ chociażby na sytuacje kryzysowe powinniśmy mieć działającą, sprawną infrastrukturę informacyjną, która dociera do każdego domu w Polsce. W razie sytuacji wojny czy nawet zagrożenia, choćby takiego, jak incydenty ostatnich miesięcy z rosyjskimi dronami czy rakietami nie da się w ciągu kilkunastu godzin zbudować nadajników, kupić kamer i wynająć studia telewizyjnego.

Państwo za pomocą mediów publicznych powinno budować ze społeczeństwem komunikację, która opiera się na przekazywaniu rzetelnych informacji. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy w internecie mamy pełno stron podszywających się pod poważne media. To na kanale TVP Info widzowie powinni znaleźć prawdziwe, zweryfikowane, pozbawione emocji fakty.

Skoro płacimy co roku 3 mld zł z budżetu państwa na media publiczne, to one powinny być mniej komercyjne, nie ścigać się z prywatną, nastawioną na zysk konkurencją. W czasach pokoju w TVP jest miejsce na ambitną sztukę, transmisje koncertów muzyki poważnej i nudne, rzeczowe serwisy informacyjne.

Na tej zmianie skorzystałaby też prawa strona, która ma w końcu swoje wysokozasięgowe media tożsamościowe, a po zmianie władzy ich właściciele nie musieliby się obawiać, że ich gwiazdy odejdą do TVP.

Nawet jeśli oglądalność będzie słaba, to niech ludzie mają wybór, niech wiedzą, że mogą w każdej chwili przełączyć się na media przynajmniej starające się być obiektywne.

Uważacie też, że wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby błędem.
– Inaczej: postrzegamy Unię jako narzędzie, dzięki któremu możemy realizować polskie interesy. Każde stanowisko, jakie zajmuje wspólnota europejska, powinno być rozpatrywane pod tym kątem: czy służy Polsce? Dzisiaj bilans naszej obecności w Unii jest dodatni, choć z roku na roku skala korzyści maleje, a kosztów rośnie.

Proszę o konkrety.
– ETS chociażby, a zwłaszcza ETS-2, czyli opłata za emisje dwutlenku węgla. Pakt migracyjny, umowa z Mercosur. Te wszystkie decyzje są sprzeczne z polskim interesem narodowym.

Na które to ETS zgodził się Mateusz Morawiecki w 2019 roku w czasie posiedzenia Rady Europejskiej.
– To nieprawda.

No cóż, jednak prawda: Morawiecki zagłosował za kierunkiem zmian w Unii, jeśli chodzi o politykę klimatyczną.
– Mówimy o czymś innym. Ogólny kierunek dążeń nie przekładał się na żadne wiążące zobowiązania dla Polski. Natomiast Komisja Europejska wprowadziła wiele nowych zasad w różnej formie prawnej, nad którymi nie musiała głosować Rada Europejska, gdzie obowiązuje zasada jednomyślności. Wszystko, co można było tam zablokować, zablokowaliśmy.

Czyli Morawiecki nie miał zdolności koalicyjnych w Unii, nie potrafił przekonać do swojej perspektywy Komisji?
– Jesteśmy w specyficznej sytuacji w Europie, bo wyrośliśmy już z grona krajów małych i biednych, ale jeszcze nie dorośliśmy do grona tych naprawdę dużych i ważnych. W wielu sprawach mamy więc obiektywną sprzeczność interesów z Francją, Niemcami czy nawet Hiszpanią. I budowanie fałszywego poczucia sukcesu, znalezienia się po zwycięskiej stronie różnych głosowań wymagałoby całkowitego porzucenia naszych racji. Nie warto.

Ale Tusk potrafi ich nie porzucać, a osiągać swoje: dzisiaj w Brukseli dyskutuje się nad odsunięciem zakazu produkcji samochodów spalinowych, rząd w trosce o nasz przemysł wyłamuje się z ETS-2. Czyli robi dokładnie to, co chciał Morawiecki.
– To pańska opinia. To na początku rządów Tuska zgodzono się na pakt migracyjny. Później na niekorzystną umowę z Mercosur. Widzimy wyraźnie, że obecność w Unii coraz mniej nam się opłaca, choć mamy jeszcze sporo przestrzeni na reformę wspólnoty europejskiej.

Rozumiem, że hasło Polexitu paraliżuje debatę publiczną, lecz każdy odpowiedzialny polityk powinien rozpatrywać każdy scenariusz. Widzę pańską minę, ale proszę posłuchać: czy na przykład Polacy o przekonaniach liberalno-lewicowych chcieliby być częścią Unii, w której szef Komisji Europejskiej będzie pochodził z Alternatywy dla Niemiec, a większość w Parlamencie Europejskim będą miały takie partie jak AfD, Front Ludowy Marine Le Pen z Francji czy Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna? Czy na przykład chcielibyśmy realizować wspólną politykę z partiami prorosyjskimi? A to nie jest przykład wydumany. Przypominam, że był taki moment, gdzie było już bardzo blisko do narzucenia niemieckiej polityki energetycznej opartej na rosyjskim gazie jako polityki europejskiej.

Przypuszczam, że wielu wyborców lewicowo-liberalnych zaczęłoby wówczas zadawać

eprasa.pl 80cac0502a

sobie te pytania. Nie możemy się nawzajem szantażować tym, że wyjście z Unii jest nie do pomyślenia. Konwencjonalna wojna w Europie też była nie do pomyślenia.

Dzisiaj jesteśmy zwolennikami rozpychania się w Europie, budowania własnej, silnej pozycji i przekonywania, że kontynent wielu prędkości jest dobrą propozycją. Wyobrażam sobie, że Francja, Niemcy czy Portugalia stawiają na walkę z katastrofą klimatyczną, a Austria, Polska i Węgry wręcz przeciwnie. Powiedzmy tak: szanowne elity brukselskie czy tam berlińskie, chcecie ETS-ów albo paktów migracyjnych, to róbcie je u siebie, ale nas do nich nie przymuszajcie, jeżeli nie chcecie naruszać stabilność projektu europejskiego jako takiego.

Dowodem na większą podmiotowość unijnych krajów jest sprawa wspólnej waluty: Polska zyskuje gospodarczo, będąc poza strefą euro, dzisiaj nikt nie ma co do tego wątpliwości. Należy tę zasadę rozszerzyć na politykę klimatyczną, migrację i inne według potrzeby.

To prawda, że instytucje europejskie nie są przygotowane na przejęcie władzy na poziomie unijnym przez skrajną prawicę, niemniej uważam, że lepiej siedzieć przy stole, przy którym zapadają decyzje, niż pozostawać na marginesie kontynentu. Z tego, co pan mówi, słyszę, że należałoby odejść od zasady jednomyślności?
– Inaczej ją zaprojektować. Obecnie Francja i Niemcy mogą zablokować polskie projekty czy reformy, ponieważ mają więcej do powiedzenia w Unii. Mogą narzucać nam rozwiązania ewidentnie dla nas niekorzystne. Zróbmy krok w tył do ostatniego wspólnego mianownika – unii czterech swobód, a resztę zostawmy koalicjom chętnych.

Siłowe narzucanie kolejnych kontrowersyjnych rozwiązań wbrew opiniom wyborców w poszczególnych państwach narodowych będzie się kończyć kolejnymi sukcesami wyborczymi skrajnych ugrupowań, kolejnymi „exitami" i gdzieś na końcu rozsypaniem się całego projektu europejskiego.

Rozumiem, w czym różnicie się od PiS: jesteście za Polską w Unii, chcecie naprawić wymiar sprawiedliwości i odpolitycznić media publiczne. Co was jeszcze różni?
– W konkretach to wystarczy spojrzeć na nasze propozycje. Przedstawiliśmy już trzy duże raporty o demografii, polityce migracyjnej i obronności, do tego kilkadziesiąt mniejszych propozycji.

Ale rozumiem, że bardziej chodzi o syntezę. Otóż nie tylko od PiS, ale w ogóle od starych partii różnią nas priorytety. One oferują przede wszystkim ostateczne rozstrzygnięcie trwającej od ponad dwudziestu lat wojny politycznej. Teraz będą najważniejsze, rozstrzygające wybory – ile razy pan już to słyszał? Teraz nie czas pytać o programy, sprawdzać realizację obietnic, trzeba mocno zabić w bębny, zrównać krok i wreszcie ostatecznie pognębimy tych drugich, pozwalniamy, powsadzamy. I tak w kółko Macieju, to się nigdy nie kończy.

Nie namówi mnie pan na symetryzowanie, ja zdecydowanie uważam jedną z tych opcji za gorszą, a obecny rząd za być może najbardziej antyrozwojowy w najnowszej historii Polski. Ale nigdy walka z politycznym przeciwnikiem nie będzie dla nas celem samym w sobie. Przed naszym krajem stoją potężne szanse i ogromne wyzwania. Jeżeli następne 20 lat zmarnujemy na ciągłe rozstrzyganie tej samej wojny, to z Polski nie będzie co zbierać. Zamiast kłócić się, kto bardziej zepsuł samochód – naprawmy go i gaz do dechy.

Chcę rozumieć, jak to się stało, że Marcin Horała stał się umiarkowanym politykiem europejskiej chadecji, choć przez lata akceptował to wszystko, co robił PiS. Co pan robił przez tyle lat w partii Kaczyńskiego?
– Zacznijmy od tego, że nie jestem „umiarkowanym politykiem europejskiej chadecji" tylko radykalnym budowniczym Wielkiej Polski z atomu, krzemu i stali. Świadomie pożyczyłem frazę akurat polityka lewicy, żeby pokazać, że proste ometkowanie z podręcznika do historii doktryn politycznych nie jest tu adekwatne.

A co robiłem w PiS? Robiłem swoje. Przede wszystkim w ostatnim czasie PiS mocno się zmieniło. W dzisiejszym Prawie i Sprawiedliwości dominuje nurt, który jeszcze dwa lata temu był zmarginalizowany, czyli Suwerenna Polska. Od zawsze uważaliśmy, że środowisko Zbigniewa Ziobry nie powinno kreować głównego przekazu partii. Stało się inaczej i PiS jest teraz trochę jak miasteczko z filmu „Inwazja porywaczy ciał" – przybysze z zewnątrz przejęli kontrolę.

Symboliczną puentą jest, że z PiS sprawnie usunięci zostali Morawiecki, Dworczyk, Cieszyński czy Horała, zaś bryluje Kurski, a nawet usuwanie Mejzy było wieloletnim procesem nie do końca zakończonym sukcesem.

My w Rozwój Plus uważamy, że wyborcy niezadowoleni z obecnego rządu muszą mieć w czym wybierać. Znam wielu ludzi rozgoryczonych Tuskiem, którzy chcieliby zagłosować na kogoś innego, ale tego nie zrobią, jeżeli jedyną możliwością, by być przeciw Tuskowi, będzie zagłosowanie na PiS w jego obecnym kształcie. Będziemy budować alternatywę dla rozczarowanych wyborców koalicji rządzącej, dla rozczarowanych wyborców PiS, którzy nie poznają swojej partii i dla wszystkich Polaków mających dość polityki jako październikowego teatru, w którym aktorzy obrzucają się wyzwiskami i groźbami.

Czyli przyjął pan strategię chadeka Jarosława Gowina, który jako koalicjant Kaczyńskiego głosował, ale się nie cieszył?
– Ja często się cieszyłem. Nie jestem z tych byłych polityków PiS, który będą się wypłakiwać „Wyborczej". Po prostu widzę, co nie zadziałało, co nie spodobało się ludziom, dlaczego odsunęli nas od władzy i krytykuję obecny kurs przyjęty przez kierownictwo PiS.

Powtórzę raz jeszcze: większość decyzji rządu Zjednoczonej Prawicy była słuszna. Były też błędy. A teraz zmienił się PiS, zmieniła się Polska, mamy nowe wyzwania i trzeba na nie dobrze odpowiedzieć.

No to słucham, co wam się udało.
– W trakcie naszych rządów skokowo wzrosła zamożność niższych warstw społecznych Polaków, na czym skorzystała również klasa średnia i wyższa, ponieważ w gospodarce zaczęły krążyć nowe pieniądze przeznaczane na konsumpcję. Przedsiębiorcy zyskali nowych klientów, którzy do 2015 roku, czyli do czasu uruchomienia programu 500+, czy też skokowej podwyżki płac, nie korzystali z ich usług.

Dzięki naszym rządom kilka milionów Polaków wyszło z fazy walki o przetrwanie, ludzie przestali kupować ubrania w lumpeksach, więcej pieniędzy przeznaczyli na jedzenie i nie musieli się zastanawiać, który rachunek można zapłacić w późniejszym terminie i jakie leki wykupić po wypłacie.

Jednocześnie społeczeństwo zaczęło afirmować polskość, przestali się wstydzić swojego kraju. Wcześniej liberalne elity wmawiały ludziom, że patriotyzm jest czymś podejrzanym, a za takimi postawami kryje się nacjonalizm i faszyzm. Dzisiaj patriotyzm został przejęty przez Donalda Tuska, który chętnie fotografuje się na tle biało-czerwonej flagi a unijnej rzadko, choć pamiętam jaka była o to afera na początku naszych rządów.

I w sferze materialnej, i tożsamościowej dokonała się rewolucja ambicji. Polacy wyrośli z kompleksów, mają śmiałość chcieć, marzyć i domagać się więcej. Jesteśmy gotowi do kolejnego skoku rozwojowego, a zarazem on jest niezbędny, żeby uciec przed narastającymi problemami.

Bądźmy precyzyjni, afera była o to, że Szydło usunęła flagi unijne z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Przywrócił je dopiero Tusk w 2023 roku. A częścią waszych rządów był skok na państwo. Ludzie związani z PiS zostali zatrudnieni w spółkach skarbu państwa, instytucjach. Jasne, wcześniejsze rządy też tak postępowały, ale skala waszej karuzeli kadrowej była niespotykana.
– Zdarzały się sytuacje, kiedy ze względu na koneksje jakieś osoby zajmowały stanowiska powyżej ich kompetencji. Niemniej patrząc na ten mechanizm, nie możemy zapominać, czym była III RP, która narodziła się przy Okrągłym Stole: oświecona część elity postkomunistycznej dobrała sobie oświeconą część elity postsolidarnościowej i przejęła państwowe instytucje, wykluczając znaczącą część społeczeństwa z benefitów transformacji.

Właściwie osiem lat rządów PiS było pierwszym momentem po 1989 roku, kiedy druga strona wygasającego podziału postkomunistycznego doszła do władzy. Wcześniej prawica praktycznie nie miała w spółkach skarbu państwa i instytucjach swoich prezesów i dyrektorów, dlatego po 2015 roku nowi ludzie znaleźli się w tych miejscach.

Jacek Kurski jest symbolem patologii mediów publicznych

I nie byli to ludzie głupsi od swoich poprzedników. Bardzo często ten apolityczny niezależny menedżer usuwany ze stanowiska przez „politycznego nominata PiS" swoją niezależną menadżerską karierę zaczynał przed laty od noszenia teczki za Balcerowiczem czy bycia sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w zakładzie, w którym następnie dokonał nomenklaturowej prywatyzacji.

Czyli wymiana elit była wpisana w wasz program?
– Wynikała z wyboru społeczeństwa, które po raz pierwszy w sposób tak wyraźny i konsekwentny oddało władzę obozowi społeczno-politycznemu, który w strukturze III RP miał być trwale wykluczony.

No to sprawdźmy. Jakie kompetencje do zarządzania PZU miała Małgorzata Sadurska, była szefowa Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy?
– Nie znam osobiście, ale pewnie nie była w niczym gorsza od osoby, która uwłaszczyła się w latach 90. na publicznym majątku. Mówię o pewnym mechanizmie: w rządowych instytucjach i firmach pracowały głównie osoby związane ze stroną postkomunistyczną przechodzącą w liberalną. My postanowiliśmy zmienić ten układ. A że media liberalno-lewicowe poświęcały tym zmianom tak dużo uwagi, nie zajmując się innymi projektami Zjednoczonej Prawicy, to inna sprawa. Z perspektywy czytelnika pana gazety „o takich sprawach wcześniej się nie słyszało".

Trudno, żeby się tym nie zajmować, skoro w miejsce doświadczonego dyrektora wsadziliście żonę posła.
– Teraz też się to dzieje. Przykład z Pomorza pierwszy z brzegu – proszę prześledzić aktywność zawodową byłego posła PO Tadeusza Aziewicza. Chyba przynależność polityczna ma tu coś wspólnego z licznymi sukcesami zawodowymi w obszarze spółek skarbu państwa.

Też znam takie przypadki. Ale czy to oznacza, że Rozwój Plus też będzie zatrudniał zaufanych ludzi w spółkach państwowych?
– Przez osiem lat rządów sprawdziliśmy, którzy prezesi i dyrektorzy poradzili sobie w wielkich i mniejszych spółkach. Mamy więc zbudowany pewien zasób kadrowy. I będziemy z niego czerpać, kierując się kompetencjami. To, co mówiłem wcześniej o pierwszej realnej wymianie elit po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy, jest już nieaktualne. Jeżeli ktoś miał kompetencje, to też miał szanse zweryfikować je w praktyce i po tym powinien być oceniany.

Czyli zasada Włodzimierza Lenina, że kadry są najważniejsze, jest panu bliska?
– Kompetentne kadry są bardzo ważne, ponieważ mogą zbudować kompetentne państwo. Dzisiaj jakość państwa odstaje od jakości społeczeństwa, ludzie mają poczucie, że sporo w życiu osiągnęli, zrobili kariery, założyli firmy, pracowali za granicą, poszli do przodu, a instytucje państwa zatrzymały się 20 lat temu. I to trzeba w końcu zmienić.

Pan, jak rozumiem, wchodzi w skład tego kompetentnego zasobu kadrowego, skoro w rządzie PiS odpowiadał za projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego. Który zresztą rząd Tuska kontynuuje, choć postawiono na budowę kolei szybkich prędkości zamiast na połączenia z mniejszymi miastami, które miały się spotykać w megalotnisku w Baranowie. Skoro mówi pan o programie infrastrukturalnym, to jakie inne projekty chciałby pan realizować?
– Tusk tak kontynuuje CPK, że aktualnie nie mogą znaleźć straceńca, który wziąłby za to odpowiedzialność i dał się powołać na prezesa.

Musimy rozbudować porty i terminal głębokowodny w Świnoujściu oraz port zewnętrzny w Gdyni. Osiągnięcia rządu w tym pierwszym to otwarcie budowy tymczasowej drogi dojazdowej na przyszłą, daj Boże, budowę terminalu. W tym drugim – ośmiokrotne przełożenie przetargu. Na pewno trzeba wrócić do stopnia wodnego w Siarzewie.

Ale ekolodzy twierdzą, że regulacja rzek to samobójstwo dla ekosystemu. Po co to robić?
– Samo Siarzewo? Trzeba podeprzeć stopień wodny we Włocławku, który był projektowany jako element kaskady dolnej Wisły i jest konstrukcyjnie nieprzystosowany do samodzielnej eksploatacji. A elektrownia wodna to źródło stabilnej nieemisyjnej energii, uregulowanie stanów wodnych, to ratunek dla okolicznego rolnictwa, narażonego na coroczne klęski suszy. Dodatkowy most przez Wisłę też na pewno się przyda. W szerszym obrazku – wodny transport śródlądowy dla określonych grup towarów jest najbardziej efektywny. W nizinnych krajach europejskich odpowiada zazwyczaj za kilka procent przewozów, gdy w Polsce to znikome promile. Ostatnie kilka dekad to była całkowita dewastacja w tym obszarze, więc będzie trzeba dużo czasu i nakładów, ale powinniśmy stopniowo zmierzać w tym kierunku.

Idźmy dalej. Trzeba przyglądać się rozwojowi technologii małych elektrowni jądrowych, czyli SMR-ów.

Cieszę się, że ta ekipa realizuje po swojemu projekt Izery, czyli samochodów elektrycznych produkowanych w Polsce. Szkoda, że po trzech latach niszczenia projektu. To ważny przykład: nagle się okazuje, że to wszystko, co w czasach naszych rządów, zdaniem ówczesnej opozycji, było bzdurą, megalomanią i szaleństwem, dzisiaj jest realizowane. Albo mamy próbę udawania, że jest.

No dobrze, a w czym chcemy być lepsi od innych krajów, co ma nasz wyróżniać? Nie inwestujemy w sztuczną inteligencję, a nawet gdyby, nie mamy takich pieniędzy, doświadczenia i specjalistów jak Amerykanie. W innych dziedzinach nie mamy starych korporacji z całym zapleczem badawczym i kapitałem, jak kraje „starej"

eprasa.pl 80cac0502a

Konfederacja Korony Polskiej jest niejednorodnym środowiskiem. W niektórych aspektach pokrywa całe centrum polityczne

Unii. A wy wierzycie, że państwo może pomóc innowatorom.
– Oczywiście. Przykład pierwszy z brzegu – potężny, idący w setki miliardów strumień zamówień publicznych, które w nieporównanie większym stopniu powinny być kierowane bez ogródek, ręcznie, do polskich firm tworzących na tych zamówieniach nowe zdolności przemysłowe. Czyli dokładnie odwrotnie, niż zrobił to rząd, na przykład zmieniając założenia programu kolejowego CPK.

Innowacje, gospodarka, inwestycje, naprawa TK. Jakbym słyszał liberała z obecnego rządu. To czym się różnicie od KO?
– Szanuję przewrotność pytania. Tym się różnimy, że rząd KO mówi o inwestycjach, ale realnie to je głównie zablokował, opóźnił lub skasował, niszczy TK i inne instytucje.

Żeby to wszystko zrealizować, trzeba rządzić. A wy w sondażach macie 5 proc., a prawica jest rozdrobniona, choć ma silnego sojusznika, czyli prezydenta Nawrockiego. Czy wyobraża pan sobie wspólny start Rozwoju Plus z PiS w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych? Dla dobra Polski rzecz jasna, nie dla ocalenia skóry ludzi, którzy zaryzykowali i poszli za Morawieckim.
– To niezwykle mało prawdopodobne. Rzecz jasna – pozostając uczciwym intelektualnie – nie można teoretycznie wykluczać żadnego scenariusza, lecz nie po to się rozeszliśmy, żeby teraz się znowu łączyć.

Co do sondaży to spokojnie, są wystarczające. Wie pan, ile w analogicznym okresie przed wyborami w 2001 roku miał powstający wówczas PiS? Zero, bo jeszcze nie istniał. Potem balansował w okolicach progu, powoli rósł w sondażach, żeby dojść w wyborach niemal do 10 procent.

Ja też uważam, że dla nas scenariusz bazowy w wyborach za rok to niskie wyniki dwucyfrowe, takie 10-12 procent. W wypadku, gdy coś pójdzie mocno nie tak, to 8-10 – ale pozytywna niespodzianka w drugą stronę, czyli 15 i więcej, też jest możliwe. Oraz zobaczy pan, że do ostatniego sondażu będziemy mieli poparcie zaniżone o parę punktów w stosunku do rzeczywistego.

A wasz podział nie był tylko taktyczny? Premierowi Morawieckiemu wypsnęło się, że podział Konfederacji na mentznenowo-bosakową i braunową dał wzrosty poparcia jednej i drugiej i tak samo miało być z wami.
– Nie. Naszym bazowym scenariuszem było uzdrowienie sytuacji w PiS, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że posłaniec złych wiadomości może zostać ścięty. Skoro Jarosław Kaczyński nie uwierzył w naszą diagnozę – czyli w postawienie na szeroką partię, która jest w stanie dotrzeć do wyborców umiarkowanych, tak jak w 2019 r., kiedy PiS zdobył najlepszy wynik ze wszystkich partii w historii wolnych wyborów w Polsce – to nie przestaniemy mówić głośno o naszych wartościach i pomyśle na Polskę.

Gdyby celem była reelekcja i kolejne cztery lata wygodnego życia w opozycji, mógłbym siedzieć cicho i zostać w PiS. W 2023 z czwartego miejsca na liście zrobiłem drugi wynik, najlepszy z „czwórek" PiS w całym kraju. Dostałbym się spokojnie do Sejmu i w 2027. Nie mogłem się jednak zgodzić na kierunek pustej radykalizacji, która cieszy 10 proc. wyborców prawicy i być może przez kolejne maksymalnie 10 proc. jest możliwa do zaakceptowania. Taki PiS jako jedyna albo dominująca oferta po stronie opozycji to gwarancja kolejnej kadencji Tuska.

To wyobraża pan sobie wspólny rząd z Kaczyńskim czy nie wyobraża?
– Wyobrażam. Wszystko wskazuje na to, że po przyszłych wyborach krajem będzie rządziła centroprawicowa koalicja. Wyborcy zdecydują, jaki będzie w niej układ sił i kto będzie miał wpływ decydujący. Jeżeli chcieliby, żeby był to rząd sprawnego zarządzania państwem, skoku rozwojowego, obniżenia toksyczności sporu politycznego i śmiałego zmierzenia się z wyzwaniami, które przed nami stoją – dadzą Rozwój Plus duży wpływ na ten rząd.

A jeśli będziecie mieli do wyboru rząd z Tuskiem lub wspólne rządy z Braunem, to co wybierzecie?
– Rząd mniejszościowy bez naszego udziału albo przedterminowe wybory.

Czyli z Braunem rządy są niemożliwe?
– Na pograniczu niemożliwości. Jestem w stanie wyobrazić sobie scenariusz, w którym formacja Grzegorza Brauna nie wchodzi do rządu, ale go popiera w kluczowych głosowaniach. W efekcie powstaje gabinet mniejszościowy, ale z większością w Sejmie.

Proszę nie zapominać, że Konfederacja Korony Polskiej jest niejednorodnym środowiskiem. W niektórych aspektach pokrywa całe spektrum polityczne, bo z jednej strony są tam osoby, które chwaliły Rosję i Putina z pozycji wręcz komunistycznych, są monarchiści, a jednocześnie pracuje tam poseł Sławomir Zawiślak, który wcześniej był w PiS, którego znam i który w wielu sprawach ma rozsądne poglądy.

Na pewno nie będziemy współpracować z osobami oskarżanymi niebezpodstawnie o szpiegostwo na rzecz Rosji.

I naprawdę wyobraża pan sobie, że po tych wszystkich złych słowach o kolegach, którzy zostali z PiS, mógłby pan z nimi pracować w rządzie?
– My pierwsi nie atakujemy, taką mamy zasadę. Ale jak ktoś nas publicznie obraża, to nie pozostajemy dłużni. Każdy uczciwy i wnikliwy obserwator widzi, że nie ma tu symetrii ciosów zadawanych w obie strony. Raczej to PiS próbuje nas zatłuc, co im się nie udaje, więc mam nadzieję, że się opamiętają. My nie będziemy pamiętliwi.

Mateusz Morawiecki wszedłby do takiego rządu jako minister czy premier?
– To pytanie do premiera Morawieckiego. Na pewno Rozwój Plus jako formacja jest gotowy do rozmów o przyszłym patriotycznym, propolskim, prorozwojowym rządzie, w którym było miejsce nie tylko dla środowisk prawicowych.

Przykład pierwszy z brzegu – posłanka Paulina Matysiak, do niedawna przedstawicielka Razem, klasycznie lewicowa, która zna się na polityce transportowej. Nie wiem, czy sprawny transport publiczny jest prawicowy, czy lewicowy, ale na pewno jest potrzebny i dobry rząd powinien go zapewnić.

A czy Jarosław Kaczyński pogratulował panu nowego stanowiska? To byłby dobry znak przed rozmowami koalicyjnymi po wygranej prawicy, której jest pan tak pewien.
– Nie, ale nie oczekuję gratulacji od polityków. Mile mnie natomiast zaskoczyły gratulacje od zupełnie prywatnych znajomych czy w ogóle obcych osób mijanych na ulicy. Myślałem, że funkcja wicemarszałka nie jest tak powszechnie kojarzona. Chyba swoimi atakami koledzy z PiS zapewnili mi dobrą reklamę. ●

Wina Tuska


FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli Gizela Jagielska (na zdjęciu) będzie musiała wyjechać z kraju, to znaczy, że Braun wygrał z państwem polskim. Z rządem i ze wszystkimi instytucjami mającymi dbać o bezpieczeństwo, zdrowie, życie obywateli.



Agnieszka Kublik

Przed tygodniem w warszawskim sądzie Braun prowokacyjnie pytał sędziego, „czy na szyi nosi orła, czy gwiazdę Dawida?". Sędzia wyprosił go z sądu na pół godziny. Przerwa nie pomogła, Braun się nie uspokoił. Ale cóż to w ogóle za kara za możliwość głoszenia swoich antysemickich poglądów. Żadna.
I to ludzie braunopodobni widzą, czują i wykorzystują.

Właśnie uznali się za wielkiego kadrowego szpitala we Wrocławiu. Chcą nie pozwolić, by tu pracowała doktorka Gizela Jagielska. Protestują zawczasu, zanim konkurs dla lekarzy zostanie rozstrzygnięty. Na szczęście Jagielska właśnie dostała tę pracę.

Na ustach mają modlitwę i takie słowa: „Gdy będziesz rodzić, obok może być zabijane dziecko". W dłoniach głośniki i fotki ze zdjęciami rozkawałkowanych płodów.

Doktorka Jagielska to ta wspaniała ginekolożka, która pomaga kobietom zgodnie z najnowszą wiedzą medyczną, etyką i prawem. Wyróżniona przez „Wysokie Obcasy" i Kongres Kobiet. Została Człowiekiem Roku „Gazety Wyborczej".

Stała się wrogiem dla tak zwanych obrońców życia, gdy jako jedyna miała odwagę, by pomóc pani Anicie, która miała urodzić dziecko z wrodzoną łamliwością kości. Uratowała – i nie jest to przesada – życie pani Anicie. I uratowała jej dziecko – zaoszczędziła mu godzin albo i dni dogorywania w niewyobrażalnym cierpieniu.

Jak to świadczy o państwie i lekarzach, że trzeba odwagi, by respektować prawo kobiety? I działać wbrew innym lekarzom, którzy bardziej bali się systemu i o siebie niż o życie swojej pacjentki?

Braun tak się przejął tą sprawą, że pojechał do szpitala w Oleśnicy, gdzie pracowała ginekolożka, by ją spostponować – oskarżył ją między innymi o „mordowanie dzieci" i porównał do doktora Mengele – zastraszyć i fizycznie zatrzymać. Domagał się od policji aresztowania Jagielskiej. A policja się bezczynnie przyglądała, bo Braun miał immunitet europosła.

Teraz ma zarzuty dotyczące pozbawienia wolności, naruszenia nietykalności cielesnej, znieważenia i pomówienia doktor Jagielskiej. Ale za Braunem jeżdżą jego fani, działacze pro-life oraz środowisk skrajnie narodowych. Odprawiają swe nienawistne rytuały bezkarnie.

Wcześniej protestowali między innymi w Ostrzeszowie, bo ordynatorem ginekologii miał zostać doktor Łukasz Jagielski, mąż doktor Gizeli. A jej samej w tym szpitali podziękowano. Zapewne nie ze względu na niewystarczające kompetencje.

Niemożliwe, by było niemożliwe legalne rozpędzanie takich protestów. To przeraża kobiety w ciąży i im zagraża. Dezorganizuje pracę szpitali, a to jest naprawdę niebezpieczne – „narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia" nie byłoby naciąganym pretekstem do zastosowania Kodeksu Karnego.

Lecz państwo w tej sprawie milczy. Ministra zdrowia nie stanęła w obronie prześladowanej lekarki. Żaden urząd państwowy – nawet Rzecznik Praw Obywatelskich – nie powiedział publicznie, że to dyrektorzy szpitali decydują, jakich lekarzy zatrudniają, a nie rozmodlony motłoch pod szpitalem. Nie polityka ma decydować, kto nas będzie leczyć, a dyplomy, doświadczenie i kompetencje. To państwo ma nam gwarantować, tak jak i to, że każdy, kto nie przestrzega zasad i prawa, musi być ukarany.

Kto stanie w obronie doktorki Gizeli? Kto stanie w obronie pacjentek? Kto powie, że ulica to nie wielki kadrowy szpitali?

Jagielska już w styczniu mówiła, że nie chce pracować w Polsce, bo tu to „prolajferzy" dyktują warunki, a politycy się ich boją. Ba, nie tylko zwyczajnie boją. Państwo daje się tym grupkom oszołomów szantażować.

Jeśli Gizela Jagielska będzie musiała wyjechać z Polski, bo szantaż się udał, to znaczy, że Braun ze swoimi poglądami – antysemickimi, antyukraińskimi, antyeuropejskimi, antyaborcyjnymi i proputinowskimi) – wygrał z państwem polskim. Wygrał z rządem i ze wszystkimi instytucjami mającymi pilnować prawa, karać przestępców i dbać o bezpieczeństwo, zdrowie, życie obywateli.

Pozwolenie mu na taką bezkarność przed przyszłorocznymi wyborami to byłby niewybaczalny błąd. I niepojęty. Bo nie kto inny, jak premier Donald Tusk ostrzegał w czerwcu w Sejmie przed brunatnieniem polskiej polityki.

Tak się u nas porobiło, że jak Tusk się nie wścieknie, to urzędnicy siedzą cicho. ●

eprasa.pl 80cac0502a

Wołyń i lepsze samochody pamiętamy

Fokalizacja i transwaluacja. Ukraińcy przechodzą w Polsce brutalny kurs antropologii ALBO W ostatnich dniach Kościół zachowuje się pięknie.



Marcin Matczak

Dla niektórych zbrodnia w Jarosławiu wygląda jak polityczny prezent od losu. Oto Ukrainiec brutalnie zabija polskiego księdza i rani dwóch innych. Mamy więc w jednym element narodowościowy i element sakralny, a przemoc jest skierowana nie tylko ku polskości, ale i ku religii. Zatem atak na świętość.

Wielokrotnie w naszej historii byli ludzie, którzy próbowali wykorzystać tragedię do celów politycznych i zarzucić Polakom na głowy stereotyp jak worek po ziemniakach, żeby nie było nic widać i żeby wydawało się, że ktoś nas dusi.

Najlepiej do takiej instrumentalizacji nadaje się zbrodnia na niewinności, na przykład na dziecku, albo na świętości. Zabicie księdza daje się przecież wpisać i w zamordowanie ojca Kolbego przez nazistów, i w bestialstwo komunistów, i w męczeństwo księdza Popiełuszki. Nie jest więc to zwykła zbrodnia, ale kwalifikowana. I dlatego nadaje się ona do przeprowadzenia najbardziej absurdalnego rozumowania, na jakie stać umysł nacjonalisty.

To rozumowanie wygląda tak: kiedy zabija Polak, jest oczywiste, że to on jest winny zbrodni, a nie my wszyscy. Ale kiedy zabija Ukrainiec, w jakiś dziwny sposób winni są wszyscy Ukraińcy. Zaciera się twarz konkretnego sprawcy, znika imię Ihora R., a jego miejsce zajmuje awatar Nienawidzącego Polski Banderowca, który czyha na wszystko, co polskie, bo tego nienawidzi.

Ta niewyraźna twarz awatara zostaje następnie przyklejona do człowieka, który spokojnie wychodzi ze sklepu, a którego trzech osiłków pobije za akcent. Nienawidzącym Polski Banderowcem stanie się kierowca Ubera albo sprzedawca w Żabce, albo nastolatka w autobusie, której łaskawie się nie pobije, ale każe się jej wracać tam, skąd przyjechała. I tak to się potoczy.

Nauki społeczne znają ten mechanizm. Psycholog społeczny Brian Lickel nazywa go odwetem zastępczym. Nie da się odpłacić zabójcy z Jarosławia bezpośrednio, więc odpłaca się komuś, kto jest pod ręką i choć w jakimś zakresie jest do zabójcy podobny - pochodzi z tego samego kraju.

Ale to nie wszystko. Antropolog Stanley Tambiah, badając zamieszki etniczne w Azji Południowej, opisał dwa procesy, które takiemu odwetowi torują drogę: fokalizację i transwaluację.

Pierwszy to odzieranie lokalnego incydentu z jego konkretu. Nie chodzi o to, mówią nam, że konkretna osoba zabiła. To zabójstwo jest symbolem ogólniejszej nienawiści i tylko idiota widziałby w nim odosobniony incydent. Oni przecież ZAWSZE tak robili i oni WSZYSCY tacy są.

Transwaluacja dopełnia tę myślową drogę: podłącza zbrodnię do szerszego, zbiorowego sporu między Polakami a Ukraińcami.

O tym, że transwaluacja już się dokonuje, świadczy jedno zdanie wypowiedziane przez mieszkankę Jarosławia po zabójstwie księdza: „No wie pan, historia się lubi powtarzać, ile tam ludzi wymordowali w czasie wojny na Wołyniu. Potomkowie zabójców są tu dalej". Zabójstwo popełnione przez człowieka, który, jak wszystko wskazuje, działał w ostrej psychozie, zostaje więc wpisane w ciąg zdarzeń sięgający 1943 roku.

A przecież nawet gdyby sprawca działał z zimną krwią, odpowiadałby on sam, a nie jego rodacy. Lecz idea „odwiecznej walki narodów" dodatkowo wynosi i uszlachetnia to, co małe: prywatne powody do nienawiści, na przykład konkurencję o pracę albo lepszy samochód, którym „oni" jeżdżą. Zawsze milej jest nienawidzić w blasku flagi i godła niż nikczemnie sączyć żółć na własny rachunek.

●

Żeby na glebie indywidualnej psychozy zabójcy nie wyrosła zbiorowa psychoza narodowa, różni ludzie apelują do rozsądku i sumienia. Pięknie zachowuje się Kościół, który wzywa, by nie rozszerzać odpowiedzialności za zbrodnię jednego człowieka na innych. Prawdziwie po chrześcijańsku mówi w homilii jeden z zaatakowanych księży: przebacza sprawcy i nawołuje, żeby zasadę indywidualnej odpowiedzialności, którą stosujemy do własnego narodu, stosować także do innych.

Te wezwania natychmiast spotykają się jednak z zażartą krytyką. Krytykują je ci, którzy chcą na tej śmierci skorzystać, choćby po to, by dać upust własnej agresji. „Zamiast nadstawiać drugi policzek, wolę rozerwać jego policzek i do niego napluć" – pisze w sieci jeden z polskich chrześcijan.

Ale jeszcze bardziej odrażający są ci, którzy tę nienawiść umiejętnie wzmacniają do celów politycznych. Ci ludzie potrzebują wojny polsko-ukraińskiej, bo tylko prymitywnymi emocjami potrafią jednoczyć naród: agresją, poczuciem zagrożenia, ksenofobią. Badacze przemocy etnicznej nazywają ich przedsiębiorcami przemocy. Handlują oni zbrodnią i narosłymi wokół niej emocjami, wymieniając je na poparcie polityczne. Nawet wizja linczu, który, jak uczy historia, w takich sytuacjach może się zdarzyć, nie zmusza ich do refleksji.

Do takiego braku refleksji narodowcy zdążyli nas przyzwyczaić. Zaskakuje jednak, że przyłączają się do nich ludzie, wydawałoby się, rozsądni.

Leszek Miller, który od jakiegoś czasu ewidentnie hołduje sympatiom konfederackim, na wpis wzywający do stosowania w sprawie Jarosławia odpowiedzialności indywidualnej, a nie zbiorowej, odpowiedział: „Co to za bełkot?". Jednocześnie w innym wpisie oburza się, że Polaków za konkretne akty agresji oskarża się zbiorowo, a Ukraińców nie wolno.

Jako człowiek inteligentny powinien wiedzieć, że wzywanie, by stosować odpowiedzialność indywidualna wobec obcych tak jak wobec swoich to jeden z najskuteczniejszych sposobów, by nie dopuścić do eskalacji przemocy. Powinien też zauważyć, że „bełkotem" nazwał w istocie to samo, co mówił z ambony ksiądz z Jarosławia. Pisze jednak to, co pisze, zbiera poklask i wykorzystuje swoją pozycję nie do gaszenia emocji, lecz do ich podsycania.

Powiadają, że kto za młodu nie był komunistą, ten na starość będzie... powiedzmy, nieprzyzwoity. Okazuje się, że można być za młodu komunistą i to naprawdę niczego nie gwarantuje.

Obowiązkiem każdego przyzwoitego człowieka jest dziś praca na rzecz obniżenia emocji, które mogą prowadzić do kolejnych zbrodni. Kto pracuje na rzecz ich wzmocnienia, jest nieprzyzwoity. I to jest najsłabsze słowo, jakiego można w tym kontekście użyć. ●

Deptanie

Skoro bokserzy mogą mieć pogardliwy stosunek do karateków, to dlaczego socjolodzy nie mogą darzyć pogardą polonistów?



Michał Rusinek

Profesor Zdzisław Krasnodębski, socjolog, filozof społeczny, publicysta, nauczyciel akademicki, europoseł, były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego i jeden z filarów intelektualnych PiS-u, opublikował niedawno ciekawy felieton w „Tygodniku Solidarność". Nie pisze w nim wprawdzie, jak to zwykle czynił, o upadku idei postępu, ale ubolewa nad poziomem intelektualnym współczesnych elit.

Zaczyna od przypadku Jasona Ardaya, który „był wybitny, ponieważ głosił [...] duszoszczypatielne tezy, wspierane wyglądem i podrasowaną biografią". Nie chcę wchodzić w dyskusję na temat tej tragicznej postaci, zastanawiające jest jednak, że prof. Krasnodębski wypomina Ardayowi akurat wygląd. Czyżby naukowcy nie byli wolni od zazdrości dotyczącej kwestii nienaukowych?

Mniejsza o to. Arday nie jest zdaniem naszego profesora przypadkiem odosobnionym, bo „ludzi pozbawionych wiedzy, odpowiednich kwalifikacji i talentów, ale głoszących to, co należy, wzruszających swoim losem, epatujących swoim humanizmem lub/i pseudonaukowym bełkotem" jest więcej. Także w Polsce.

Tu pojawia się przykład, najprawdopodobniej wymyślony przez pana profesora: „Wystarczy np. rzucić fundamentalne pytanie [...], czy Wokulski z Rzeckim nie byli przypadkiem parą kochanków, a Izabella Łęcka lesbijką, by zostać wybitnym polonistą". Tym samym pan profesor włączył się – raczej na ślepo – w gorący spór wokół netfliksowej ekranizacji „Lalki", chociaż akurat jej twórcy takich fundamentalnych pytań nie postawili.

A przy okazji pokazał dość specyficzny stosunek do współczesnej polonistyki. Cóż, skoro bokserzy mogą mieć pogardliwy stosunek do karateków, to dlaczego socjolodzy nie mogą darzyć pogardą polonistów?

Następnie profesor Krasnodębski przechodzi do ataku na Tomasza Jastruna. Nie wspomina wprawdzie o jego wyglądzie, bo może mniej mu go zazdrości, ale konstatuje, że jest on „nieco już zapomniany". Jastrun naraził się Krasnodębskiemu, bo „spostponował na swoim Facebooku dwóch wybitnych polskich pisarzy i intelektualistów", pisząc: „Przypadek Antoniego Libery, a też Bronisława Wildsteina jest ciekawy, gdyż ukazuje, jak to było możliwe, że ludzie świetnie wykształceni i inteligentni mogli popierać faszyzm i stalinizm".

Krasnodębski nie tylko zgadza się z tezą Jastruna, która nie jest dla niego odkrywcza („wiemy od dawna, że wykształceni i inteligentni mogli popierać faszyzm i stalinizm"), ale także podaje przykłady Heideggera, Schmitta, Lukácsa, Brunsa i Baumana. Ba, nawet radykalizuje tezę Jastruna, pisząc, że „to właśnie ludzie wykształceni i inteligentni ulegają ciągotom totalitarystycznym i autorytarnym, że siedząc nad książkami, marzą o przemocy i krwawej rzezi oponentów".

Następnie profesor przechodzi do obrony Libery i Wildsteina. Jego zdaniem Jastruna skłonił do ataku na „wybitnych pisarzy i intelektualistów" banalny fakt, że biorą oni udział w spotkaniach z prezydentem Nawrockim.

Żeby jednak przeprowadzić taką obronę, polegającą na sprowadzeniu reakcji Jastruna do absurdu, Krasnodębski musi wyjąć z kontekstu dłuższego tekstu tylko jedno zdanie. Być może socjologom wolno, bo polonistom już raczej nie wypada.

Otóż Jastrun cytuje konkretne wypowiedzi Libery, które stanowią argumenty dla tezy, że nawet ludzie wykształceni mogą popierać niebezpieczne ideologie. Na przykład: „Dzisiaj – zwłaszcza pod rządami wiernopoddańczej wobec Berlina Koalicji Obywatelskiej – jesteśmy na etapie systematycznego podporządkowywania rodzimej administracji, rynku pracy i zbytu centrom decyzyjnym za granicą. Krótko mówiąc: neokolonializm kwitnie, i to w najlepsze".

I dalej: „Obecnie jest właściwie już zupełnie jasne, do czego zmierza ów proces, zwany niewinnie i wzniośle integracją, mającą otwierać nowy etap historii. Jest to nic innego jak kolejna próba podboju, tyle że nie środkami militarnymi, jak to bywało w przeszłości, lecz środkami prawno-administracyjnymi i ekonomicznymi, a następnie stworzenia kontynentalnego tworu na podobieństwo imperium Karola Wielkiego, a jeszcze bardziej: Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, w którym to molochu pomniejsze państwa/narody byłyby prowincjami".

To zdumiewające, że profesor Krasnodębski nie dostrzega w tych wypowiedziach dość przerażającej presupozycji: nie trzeba być naukowcem, żeby zauważyć, że powtarzanie sloganów o zagrożeniu ze strony wyimaginowanego imperium zachodniego w sytuacji, kiedy zagraża nam realne imperium na Wschodzie, jest działaniem po myśli owego wschodniego imperium. Stąd przecież bierze się teza Jastruna, a nie z faktu, że autor tych słów spotyka się z prezydentem RP.

Na koniec subtelny intelektualista Krasnodębski pozwala sobie na łopatologiczne wyjaśnienie niegodnego zachowania Tomasza Jastruna. „Czy to symptom przeczulenia wynikającego z ciągle »nieprzepracowanej« traumy rodzinnej?" – pyta profesor i przypomina, że ojciec Tomasza, Mieczysław Jastrun, był autorem „wiekopomnego »Trenu na śmierć generała Świerczewskiego«".

Smutno konstatuje, że „kiedyś wydawało się, że pokolenie dzieci przemyślało błędy rodziców", ale przykład Jastruna pokazuje Krasnodębskiemu, że nie przemyślało. Bo dla Jastruna ważny jest znienawidzony przez Krasnodębskiego „postęp" i w imię owego postępu swoim wpisem na Facebooku depcze Jastrun tych, którzy „stają mu na drodze".

Zwykle współczujemy deptanym i stajemy po ich stronie, ale tym razem odnosimy wrażenie, że to jednak oni, być może z frustracji czy głupoty, depczą to, o co ich poprzednicy – i oni sami – niegdyś walczyli. Depczą, maszerując dziarsko na wschód, świadomie lub nieświadomie prosto w objęcia uśmiechającego się do nich Władimira Putina. ●

eprasa.pl 80cac0502a

ŚWIAT



Czas apokalipsy

Zewsząd słychać, że koniec świata jest bliski. Jedni chcą go powstrzymać, inni przyspieszyć.

• **Mężczyzna przebrany za Jezusa Chrystusa na Times Square w Nowym Jorku. Tuż przed odbywającą się tutaj co roku paradą z okazji Halloween (21.10. 2015)**
FOT. KENA BETANCUR/GETTY IMAGES

eprasa.pl 80cac0502a

Apokaliptyzm Muska ma charakter prometejski: aby przetrwać, człowiek musi stać się gatunkiem międzyplanetarnym

Robert Stefanicki

Niedawno ujawniono, że związany z MAGA miliarder z branży technologicznej Peter Thiel kieruje sekretnym stowarzyszeniem Dialog, które zrzesza wybranych liderów biznesu i polityki. W gronie członków są podobno naczelny dowódca NATO w Europie Alexus Grynkewich, zięć prezydenta USA Jared Kushner, sekretarz skarbu Scott Bessent i była szefowa wywiadu Tulsi Gabbard.

Dialog organizuje zamknięte, kilkudniowe spotkania w luksusowych kurortach na całym świecie, a ostatnio osiadł w stałym kampusie w Wirginii, obok siedzib Pentagonu i CIA. Uczestnicy mają zakaz ujawniania treści dyskusji. Przykładowe tematy paneli: „Nawigowanie w III wojnie światowej", „Budowanie kultu", „Powrót do atomu".

Organizacja tworzy profile swoich członków, przypisując im rangę od A do C. Najbardziej wpływowe postacie są zwolnione z opłat za udział, podczas gdy pomniejsi goście płacą kwoty przekraczające 10 tys. dol. Dialog niczym sekta oferuje też swatanie uczestników spotkań przy pomocy algorytmów.

Od badacza AI do proroka zagłady

Niby nic nowego. Dyskretne, nieformalne sieci zrzeszające arystokrację, filozofów i przemysłowców powstawały już na przełomie oświecenia i rewolucji przemysłowej. Wiek później Bohemian Club organizował w kalifornijskim lesie coroczne, kilkudniowe obozy z udziałem najpotężniejszych ludzi w USA. To tam kształtowało się środowisko, które później uczestniczyło w pracach nad bombą atomową w ramach projektu „Manhattan".

Podczas zimnej wojny powołano Grupę Bilderberg obradującą za zamkniętymi drzwiami na konferencjach łączących elity polityczne, finansowe, wojskowe i medialne z Ameryki i Europy Zachodniej. Bardziej otwartą naturę miał Klub Rzymski, naukowo-gospodarczy think tank założony w celu analizy globalnych zagrożeń dla ludzkości – jego najsłynniejsze dzieło to opublikowany w 1972 roku raport „Granice wzrostu" ostrzegający przed przeludnieniem i wyczerpaniem zasobów.

Dialog mocno kojarzy się też z lożą wolnomularską. Tyle że masoneria wyrastała z oświeceniowego optymizmu i wiary w postęp, a ruch wokół Petera Thiela działa z pozycji inżynierii społecznej i przemawia językiem technokratyczno-religijnego katastrofizmu.

Sztuczna inteligencja, broń biologiczna i zmiany klimatyczne to w interpretacji Thiela odpowiedniki biblijnych plag. AI postrzega jako punkt zwrotny porównywalny z wyprodukowaniem pierwszej bomby atomowej, gdyż autonomiczne systemy uzbrojenia mogą doprowadzić nas do zagłady.

Należy odnaleźć nowego katechona – siłę powstrzymującą nadejście chaosu i zła. W obecnych czasach tę rolę może odgrywać „podświadome" spowalnianie postępu technologicznego (dostaliśmy aplikacje zamiast latających samochodów), lecz to grozi stworzeniem totalitarnego rządu światowego, który Thiel utożsamia z biblijnym Antychrystem. Taki rząd miałby ściśle regulować technologię kosztem wolności i demokracji. Ratunkiem jest poszukiwanie alternatywnych struktur społecznych wspieranych nowymi wynalazkami technicznymi.

Thiel to skrajny, ale nie odosobniony przypadek. Jest wiele wpływowych postaci, które ostrzegają przed kryzysem cywilizacyjnym i zbliżającą się katastrofą. We wrześniu w USA doszło do najświeższej fali paniki wywołanej wpisem Jacoba Coxona, który odszedł z firmy Anthropic, stwierdziwszy, iż „ludzie tworzący sztuczną inteligencję szczerze wierzą, że może nas wszystkich zabić do końca dekady".

Co kilka miesięcy zdarza się podobne przejście badacza AI na stanowisko proroka zagłady. Niektórzy (w końcu to umysły ścisłe) usiłują wyliczyć jej prawdopodobieństwo na wzór równania Drake'a służącego szacowaniu szans na istnienie inteligentnego życia pozaziemskiego.

Ponieważ wszystkie te wartości opierają się na spekulacjach, szacunki wahają się od zera do niemal całkowitej pewności, przy czym często jest wskazywany poziom około 10 procent – akuratny, żeby się bać, a nikt nie będzie miał pretensji, jak prognoza się nie ziści.

Ruch Świętych w Dniach Ostatnich i QAnon

Trendsetterem apokaliptyzmu są, jak zwykle, Stany Zjednoczone. To jeden z kodów kulturowych, na których ufundowano ten kraj. Wizję historii jako egzystencjalnego starcia Dobra ze Złem przywieźli już „pielgrzymi" na pokładzie statku „Mayflower". Pierwsi osadnicy byli przekonani, że stary świat (Europa) jest zepsuty i skazany na zagładę, a nowy świat (Ameryka) to biblijna pustynia, na której wybrane przez Boga społeczeństwo zbuduje Nową Jerozolimę. Sukces kolonii miał być dowodem przymierza ze Stwórcą, porażka ściągnęłaby na ludzkość Boski gniew.

W XIX wieku Ameryka była wylęgarnią nowych ruchów religijnych niestrudzenie odliczających dni do końca świata. W najlepszym razie kończyło się to wielkim rozczarowaniem, w najgorszym – masowymi samobójstwami członków sekt, którym guru wyprali mózgi.

Na tym podłożu narodził się ruch milerytów, z którego wyrośli Adwentyści Dnia Siódmego wypatrujący rychłego powrotu Chrystusa. W tym samym nurcie ukształtowali się Świadkowie Jehowy oraz Ruch Świętych w Dniach Ostatnich, czyli mormoni.

Wraz z rozwojem metropolii apokaliptyzm przeniósł się z wiejskich zborów na ulice miast. To wtedy narodził się jeden z archetypów amerykańskiej kultury popularnej: uliczny prorok w zniszczonym płaszczu lub włosiennicy, brodaty, trzymający transparent z napisem: „The end is nigh" (Koniec jest bliski) lub „Repent or burn" (Kajajcie się lub spłońcie).

Po zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki apokalipsa przestała być tylko koncepcją religijną. W latach 50. i 60. Amerykanie powszechnie budowali przydomowe schrony, oczekując wojny nuklearnej z ZSRR. Lęk przed kataklizmem stworzył kulturę preppersów.

Opowieści o końcu świata, w wyniku III wojny albo najazdu kosmitów, budowały fortuny w Hollywood. Ewangelikalni kaznodzieje tacy jak Billy Graham czy Hal Lindsey ze zręcznością autorów horoskopów dopasowywali wydarzenia geopolityczne do Księgi Objawienia. Związek Radziecki utożsamiano z biblijnym najeźdźcą z północy, a powstanie państwa Izrael miało być krokiem na drodze do Armagedonu.

W XXI wieku uliczny prorok z kartonową tablicą przeniósł się do internetu. Powstały w jego mrocznych czeluściach ruch QAnon to odmiana sekty milenarystycznej (oczekującej gwałtownej zmiany świata), z własnym proroctwem o ostatecznym starciu Dobra ze Złem, obietnicą ujawnienia prawdy i postacią zbawiciela: Donalda Trumpa.

Kto zabije Antychrysta

Jednym z najbardziej wpływowych i sprawczych ruchów apokaliptycznych we współczesnym świecie jest chrześcijański syjonizm. To nurt w ramach wyznania ewangelikalnego, wedle którego powrót Żydów do Ziemi Obiecanej oraz utworzenie i obrona państwa Izrael są warunkiem koniecznym do wypełnienia się proroctw biblijnych i ponownego przyjścia Jezusa Chrystusa (paruzji).

Aby nadszedł koniec czasów, na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie, gdzie obecnie stoją meczety, musi zostać odbudowana świątynia żydowska. Wierni chrześcijanie zostaną zabrani do nieba, podczas gdy na Ziemi rozegra się siedmioletni okres wielkiego ucisku pod rządami fałszywego proroka lub „rządu światowego". U stóp wzgórza Megiddo (Armagedon) w Izraelu dojdzie do ostatecznej krwawej bitwy między siłami Zła a powracającym Chrystusem, po której nastąpi Tysiącletnie Królestwo Boże.

Organizacje tego nurtu – jak licząca ponad 10 milionów członków Christians United for Israel – stanowią jedną z najsilniejszych grup nacisku w polityce zagranicznej USA i twarde jądro elektoratu prawicy. Żaden republikański polityk ubiegający się o prezydenturę lub mandat w Kongresie nie może pozwolić sobie na zignorowanie, a nie daj Boże wykpienie ich eschatologicznych oczekiwań.

To jedna z przyczyn bezwarunkowej pomocy USA dla Izraela. Mniejsza o to, że dla najbardziej ortodoksyjnych chrześcijańskich syjonistów ostatecznym celem jest nawrócenie Żydów lub ich zagłada w bitwie pod Armagedonem. Co oznacza, że pokój na Bliskim Wschodzie jest działaniem wbrew woli Boga.

Także przez ten pryzmat należy odczytywać groźby Trumpa wobec Iranu, w tym tę, że „cała cywilizacja umrze tej nocy i nigdy nie zostanie przywrócona". Oraz żądne krwi wystąpienia Pete'a Hegsetha, chrześcijańskiego syjonisty wytatuowanego w symbole i hasła z krucjat.

Sekretarz obrony – pardon: wojny – uważa się za rycerza walczącego o ocalenie cywilizacji, której zagrażają islamski terroryzm, latynoscy handlarze narkotyków, chińscy komuniści i „kulturowy marksizm" w USA. A nie jest jedyny. Amerykańscy żołnierze złożyli wiele skarg na dowódców, którzy zagrzewają ich do boju przeciwko Iranowi, wykorzystując biblijną retorykę końca świata.

Ta ma swoje odbicie w islamie. Według niektórych hadisów w miejscowości Dabik w Syrii ma się rozegrać decydująca bitwa między muzułmanami a „Rzymianami". Na czele tych pierwszych stanie mesjasz Mahdi i na spółkę z Jezusem zabiją Antychrysta, co doprowadzi do sądu ostatecznego. Tę opowieść wykorzystywali w swojej propagandzie dżihadyści z ISIS, przekonując, że Rzymianami są walczące z nimi wojska zachodnie.

Rosyjska tradycja jest przesiąknięta apokaliptyzmem wywodzącym się od XV-wiecznej przepowiedni mnicha Filoteusza: „Dwa Rzymy padły, trzeci [Moskwa] stoi, a czwartego nie będzie". W tym ujęciu Rosja jest katechonem, ostatnim bastionem prawowiernej wiary i ładu, który chroni świat przed nadejściem Antychrysta i finalnym chaosem.

Współczesna Cerkiew Prawosławna oraz kremlowscy ideolodzy z Aleksandrem Duginem na czele zinterpretowali wojnę z Ukrainą i konfrontację z Zachodem w kategoriach metafizycznych jako ostateczne i nieuchronne starcie z zepsutym, nihilistycznym Zachodem. Apokalipsy nie należy się bać, bo to konieczny warunek do narodzin nowego świata.

„My jako męczennicy trafimy do nieba, a oni po prostu zginą", powiedział Władimir Putin w 2018 roku.

Kremlowscy propagandyści powtarzają tę frazę, postulując użycie broni jądrowej, aby odwieść „kolektywny Zachód" od pomocy Ukrainie.

Siewcy lęków

Już August, pierwszy cesarz rzymski, aby usprawiedliwić koncentrację władzy w swoich rękach, przekonywał, że Rzym stoi w obliczu moralnego upadku. Współcześnie do lęków przed końcem świata (dosłownym lub metaforycznym) coraz częściej odwołują się nie tylko politycy fanatyczni, ale też cyniczni, a nawet demokraci.

Najczęściej jednak jest to domena prawicowych populistów bez względu na narodowość złączonych przekonaniem, że liberalna demokracja, prawa mniejszości i globalizacja nie są etapem postępu, lecz dekadencją prowadzącą do moralnej i fizycznej zagłady. O upadku cywilizacji europejskiej z powodu imigracji, integracji albo tolerancji dla homoseksualizmu zgodnie mówili J.D. Vance, Władimir Putin, Viktor Orban, Nigel Farage oraz politycy z PiS i Konfederacji.

Siewcy lęków zapożyczyli apokaliptyczną narrację od przywódców sekt. Wiedzą, że to jeden z najskuteczniejszych mechanizmów zarządzania społeczeństwem. Dzielą ludzi na dwa obozy: tych, którzy „rozumieją powagę zagrożenia", oraz tych, którzy „prowadzą nas do katastrofy". Przeciwników traktują nie jak rywali, z którymi można debatować, lecz jak przeszkodę na drodze do wyimaginowanego raju.

Zwiększona polaryzacja i kanalizowanie lęku w nienawiść przeciwko konkretnej grupie pozwala utrzymać mobilizację elektoratu bez konieczności rozwiązywania strukturalnych przyczyn problemów. Wyborcy pytają już nie o to, kto ma lepszą politykę gospodarczą, lecz o to, kto uchroni ich przed zagładą.

Rośnie przekonanie, że sytuacja wymaga natychmiastowych, drastycznych decyzji bez czasu na konsultacje i debatę parlamentarną. W efekcie kolejne obszary życia zostają podporządkowane władzy wykonawczej, służby dostają nadzwyczajne uprawnienia, zasady państwa demokratycznego są wieszane na kołku – wszystko pod hasłem ochrony obywateli.

Snuta odgórnie apokaliptyczna mgła przenika do mas. Według nowych badań opublikowanych w czasopiśmie „Journal of Personality and Social Psychology" prawie jedna trzecia ankietowanych w USA i Kanadzie wierzy, że świat skończy się za ich życia.

Nie, żeby nie było się czego bać, bo zawsze jest. Ostrzeżenia przed katastrofą bywają zasadne. Jednak dziś algorytmy mediów społecznościowych sprzyjają histerii i wierze w spiski, premiując treści wywołujące silne, negatywne emocje.

Ziemia płonie, Putin szykuje się do ataku, Trump oszalał, Czarnek wyprowadzi nas z Unii, sztuczna inteligencja pozbawi dochodu. A w drugiej bańce: Ukraina wciąga nas w wojnę, Polska traci suwerenność, Bruksela zakaże samochodów i jedzenia mięsa, imigranci nas zgwałcą i zabiorą pracę.

Książki, filmy i seriale o nadchodzącej zewsząd apokalipsie mnożą się i cieszą wzięciem większym niż podczas zimnej wojny. Geopolitycy prognozują załamanie demograficzne i gospodarcze: zablokowanie łańcuchów dostaw, głód w wielu regionach świata

eprasa.pl 80cac0502a

oraz powrót do brutalnej, lokalnej rywalizacji o zasoby w warunkach stałej groźby konfliktu zbrojnego.

„Zagrożenie wynika dziś z możliwości jednoczesnego wybuchu konfliktów na różnych kontynentach, które stopniowo mogą eskalować w stronę Armagedonu. Po raz pierwszy od kubańskiego kryzysu rakietowego z 1962 roku dziennikarze, politycy i dowódcy wojskowi zaczęli otwarcie mówić o ryzyku totalnej wojny nuklearnej oraz o konfliktach regionalnych zdolnych pochłonąć miliony ludzkich istnień", pisze w przedmowie do niedawno wydanej u nas książki „Koniec wszystkiego" Victor Davis Hanson.

Korzyści ze strachu przed apokalipsą

Destrukcja bywa twórcza. Przekonanie o zbliżającym się końcu świata lub o przełomowym momencie dziejowym popychało ludzi do buntów i tworzenia nowych porządków społecznych. Niższe warstwy mobilizowały się przeciwko uciskowi feudalnemu i kościelnemu, ludy podbite przeciwko mocarstwom kolonialnym.

Pierwsi chrześcijanie żyli w oczekiwaniu na rychłe ponowne przyjście Chrystusa i sąd nad Imperium Rzymskim. To dawało im siłę do trwania w wierze i znoszenia prześladowań, co w konsekwencji doprowadziło do przekształcenia cywilizacji europejskiej.

Średniowieczne ruchy milenarystyczne, jak czescy taboryci, niemieccy anabaptyści czy angielscy lollardzi, uważały, że wobec zbliżającego się sądu ostatecznego wszyscy ludzie są równi, i wyciągały z tego postępowy wniosek: należy znieść poddaństwo, pańszczyznę i podziały klasowe, aby ustanowić królestwo Boże na ziemi – jak nie po dobroci, to siłą.

Jednym z najkrwawszych konfliktów w historii świata było powstanie Tajpingów w Chinach (1850-1864). Nauczyciel Hong Xiuquan ogłosił się młodszym bratem Jezusa Chrystusa i stworzył ruch, który dążył do obalenia dynastii Qing i ustanowienia Niebiańskiego Królestwa Wielkiego Pokoju. Wojna pochłonęła od 20 do 30 milionów istnień ludzkich.

W XX wieku religijną eschatologię zastąpiła świecka. Zarówno komunizm, jak i narodowy socjalizm czerpały ze schematu myślenia milenarystycznego: stary, zepsuty (przez kapitalistów, Żydów, wykształciuchów...) świat trzeba zniszczyć, aby mogła powstać nowa, utopijna rzeczywistość. Narracja o tworzeniu nowego człowieka oraz lepszego, ostatecznego ładu legitymizowała masowy terror i zagładę.

Nieraz strach przed końcem świata przynosił ludzkości trwałe korzyści. XIX-wieczni abolicjoniści ewangelikańscy traktowali niewolnictwo jako grzech sprowadzający gniew Boży na cały naród, co nadało walce o jego zniesienie bezkompromisowy, moralny wymiar.

Epidemie dżumy i cholery, które sprzyjały powszechnemu przekonaniu o nadchodzącej zagładzie, wymusiły na europejskich miastach tworzenie kanalizacji, urzędów zdrowia publicznego, lazaretów i restrykcyjnych przepisów sanitarnych.

Apokalipsy obu wojen światowych były impulsem do stworzenia organizacji międzynarodowych mających zapobiec kolejnej. Podczas zimnej wojny wizja zniszczenia nuklearnego stworzyła podwaliny pod nową architekturę bezpieczeństwa i kontroli zbrojeń.

Obawy przed konsekwencjami dziury ozonowej skłoniły państwa do porozumienia, które skutecznie wyeliminowało szkodliwe freony. Strach przed kryzysem klimatycznym stał się kołem zamachowym dla rozwoju odnawialnych źródeł energii i pojazdów elektrycznych.

Akceleracjoniści z lewa i z prawa

W przeciwieństwie do wcześniejszych, religijnych koncepcji, które zapowiadały nowy, sprawiedliwy ład po zagładzie, świecki apokaliptyzm często nie oferuje żadnej pozytywnej wizji. A skoro katastrofa jest nieunikniona i nic od nas nie zależy, działanie nie ma sensu. Pozostaje rozpacz i nienawiść wobec wrogów. Co prowadzi z jednej strony do anomii społecznej, z drugiej do tworzenia się wspólnot podobnie zalęknionych w internecie.

Ludzie poszukują prostych odpowiedzi i jasnych podziałów: my jesteśmy świadomi, oni tkwią w błędzie. Następuje spadek zaufania do państwa, giną niuanse i akceptacja rozwiązań kompromisowych. Skoro stawką jest przetrwanie, dotychczasowe normy prawne i społeczne tracą rację bytu.

Specyficzną odmianę myślenia apokaliptycznego prezentują akceleracjoniści. Oni szukają nie drogi ucieczki przed zagładą, lecz tego, jak ją przyspieszyć. Według J.M. Bergera, autora książki „Ekstremizm", jest to najbardziej nihilistyczna doktryna we współczesnym radykalizmie.

Opiera się na założeniu, że obecnego systemu nie da się naprawić ani zreformować, w związku z czym należy celowo zintensyfikować jego najgorsze, najbardziej destrukcyjne procesy, aby definitywnie upadł. To instytucje opóźniające rozpad są problemem.

Państwo opiekuńcze, organizacje międzynarodowe, regulacje rynku, normy społeczne czy prawa mniejszości nie chronią cywilizacji, lecz przedłużają agonię świata, który i tak skazany jest na upadek.

Akceleracjonizm ukształtował się w latach 90. XX wieku w Wielkiej Brytanii i z czasem wykształcił dwa zwalczające się obozy: lewicowy i prawicowy. Ten pierwszy uważa, że należy odejść od tradycyjnego ekologizmu i przyspieszyć rozwój technologii, aby wyzwolić ludzkość od pracy najemnej i stworzyć świat postkapitalistyczny, z automatyzacją i bezwarunkowym dochodem podstawowym.

Podczas gdy nurt prawicowy stoi na stanowisku, że kapitalizm i postęp technologiczny są procesem samosterownym. Nie należy go pętać normami etycznymi, prawami człowieka czy polityką społeczną, lecz przyspieszyć, żeby rozbił państwa narodowe. W miejsce demokracji prawicowi akceleracjoniści proponują technokratyczny feudalizm, w którym miasta-państwa są zarządzane jak prywatne korporacje.

Radykałowie, tacy jak Ostatnie Pokolenie, odrzucają tradycyjny lobbing i stopniowe reformy na rzecz dramatycznych, przyciągających uwagę mediów aktów wandalizmu czy sabotażu, aby przyspieszyć walkę z kryzysem klimatycznym.

Po drugiej stronie anarcho-faszyści marzą o wywołaniu wojny domowej i sparaliżowaniu państwa, żeby przyspieszyć upadek systemu. Temu ma służyć niszczenie stacji elektroenergetycznych, zatruwanie ujęć wody, ataki na meczety czy synagogi.

Skrajności mają się ku sobie nie tylko w warstwie ideologicznej, ale i w praktyce. Amerykańska Baza, którą FBI opisuje jako „rasowo motywowaną, brutalną grupę ekstremistyczną dążącą do przyspieszenia upadku rządu Stanów Zjednoczonych, podżegania do wojny rasowej i ustanowienia państwa etnicznego białych", po porażce w USA wzięła się do pomagania Rosji w zamachach na krytyczną infrastrukturę Ukrainy i prominentnych Ukraińców.



FOT. SHUTTERSTOCK

Prawie jedna trzecia ankietowanych w USA i Kanadzie wierzy, że świat skończy się za ich życia

Zatrzymani członkowie pokrewnej grupy Atomwaffen Division czerpali instrukcje budowy bomb oraz zasady bezpieczeństwa operacyjnego z anglojęzycznych magazynów Al-Kaidy i ISIS. Mimo powszechnej islamofobii w tych środowiskach duża część białych suprematystów (np. platformy powiązane z ruchem Groyperów Nicka Fuentesa) otwarcie celebrowała masakrę zgotowaną Izraelczykom przez Hamas 7 października 2023 roku. Antysemicka frakcja akceleracjonistów uznaje dżihad za użyteczne narzędzie do osłabienia „światowego syjonizmu" i wywołania globalnego chaosu.

Również część skrajnych lewicowców dostrzegła w przemocy dżihadystów, w tym atakach na USA z 11 września, pożyteczny cios w kapitalistów i nadzieję na rozbicie mieszczańskiej stabilności Zachodu. Sławny „Szakal", marksistowski terrorysta odpowiedzialny za liczne zamachy w Europie pół wieku temu, w więzieniu przeszedł na islam i w 2003 roku wydał książkę „Rewolucyjny islam", gdzie argumentował, że po upadku Związku Radzieckiego dżihadyzm jest jedyną siłą zdolną zniszczyć globalny kapitalizm i amerykański imperializm.

Prometeizm Muska

W Dolinie Krzemowej filozofia akceleracjonizmu jest obecna u technooptymistów będących w opozycji do AI doomerów, czyli ludzi ostrzegających przed egzystencjalnym zagrożeniem ze strony sztucznej inteligencji.

W ujęciu Beffa Jezosa (pseudonim kanadyjskiego fizyka kwantowego uważanego za ojca chrzestnego tego ruchu) rozwój technologii i kapitału jest nie tylko wyborem ludzkim, lecz także prawem fizyki: wszechświat naturalnie dąży do zwiększania entropii, a próba zatrzymania lub spowolnienia postępu jest nie tylko głupotą, ale wręcz działaniem przeciwko naturze. Każdy problem stworzony przez technologię (np. bezrobocie, zmiany klimatyczne) można jego zdaniem rozwiązać wyłącznie przy użyciu jeszcze większej ilości jeszcze nowocześniejszej technologii.

Dawniej to środowisko deklarowało poglądy libertariańskie lub liberalne, lecz ostatnio gwałtownie przesuwa na prawo, tworząc sojusz z prawicowym populizmem i neoreakcją. W poszukiwaniu siły politycznej, która usunie bariery regulacyjne, do Partii Republikańskiej zbliżyło się wielu technooligarchów, w tym Elon Musk i Peter Thiel.

Obu łączy odrzucenie liberalizmu, choć podejście mają różne. Thiel, aby zapobiec powstaniu „totalitarnego rządu światowego", inwestuje w technologie wojskowe i inwigilacyjne, wspiera tworzenie alternatywnych struktur, jak kryptowaluty i autonomiczne osady na oceanie (seasteading), finansuje też radykalnie prawicowych polityków, którzy mają „zburzyć biurokratyczny skansen" od środka.

Z kolei Musk wierzy w scenariusz zapaści cywilizacyjnej wynikającej ze spadku dzietności oraz „wirusa przebudzenia", który jego zdaniem niszczy zachodnią wolność słowa, naukę i wiarę w postęp. Apokaliptyzm Muska ma charakter prometejski: aby przetrwać, człowiek musi stać się gatunkiem międzyplanetarnym.

Plany kolonizacji Marsa przez SpaceX są bezpieczniejszą, choć znacznie bardziej kosztowną wersją ewakuacji, której niektóre sekty próbowały dokonać przez masowe samobójstwa. „Opuszczamy tę Ziemię, aby w pełnej wolności i świadomości dokonać tranzytu do Syriusza", pisał w pożegnalnym liście do swoich wyznawców Luc Jouret, guru Zakonu Świątyni Słońca. „Zapowiadany regres i zniszczenie naszej planety nie pozostawiają nam innego wyboru".

Apokaliptyzm, zwłaszcza w odmianie akceleracyjnej, ma wielu krytyków, którzy obnażają go jako narcyzm przebrany w szaty proroctwa, uwodzący ludzi o ograniczonej wyobraźni i mało kreatywnych. Bo łatwiej czekać na koniec świata, niż mozolnie budować lepsze społeczeństwo.

Akceleracjonizm „opiera się na wątpliwym założeniu, że z całkowitego chaosu automatycznie wyłoni się coś lepszego", napisał w „Guardianie" Andy Beckett, podczas gdy „historia pokazuje, że upadek zazwyczaj przynosi po prostu przemoc, chaos i rządy najsilniejszych".

Coś podobnego dostrzegła już Hannah Arendt w „Korzeniach totalitaryzmu": „Ostatni wiek przyniósł mnóstwo ideologii, które udają, że są kluczami do historii, lecz w rzeczywistości są jedynie desperacką próbą uniknięcia odpowiedzialności".

Krytycy powinni mieć z tyłu głowy, że fatalizm jest zaraźliwy i łatwo wpaść w tę pułapkę. Iracki pisarz Gilgamesh Nabil narzeka, że rządzące elity swoimi narracjami wpychają świat „w nową erę religijnej obsesji, z opowieściami o końcu czasów, wojnami religijnymi oraz usprawiedliwianiem masowej przemocy i dehumanizacją przeciwników". Po czym sam daje się ponieść przekonaniu, że nadchodzi koniec: „Jeśli ta fala się utrzyma, może zamknąć wszelką nadzieję na świat rządzony demokratycznie, prawami człowieka i prawem międzynarodowym".

Nadziei nie gaście. Proroctwa o nadejściu apokalipsy jakoś nigdy się nie wypełniają. Podczas pandemii „New Yorker" zamieścił taki oto rysunek: zza pleców brodacza wieszczącego, że „Koniec jest blisko", wychodzi kobieta z tablicą: „Właściwie to dopiero początek". ●

eprasa.pl 80cac0502a

PLUTON MARINES *zamiast* „UCZTY” PLATONA



„New York Times” i CNN przejmują się Harvardem. Mało kogo obchodzi w wielkomiejskiej, liberalnej Ameryce, co trumpiści wyprawiają na lokalnych uniwersytetach dla niższych klas społecznych

Mateusz Mazzini

Pierwszy raz spotkaliśmy się 13 lat temu. On był już wtedy światowej sławy naukowcem, uznany ekspertem od historii Europy Środkowo-Wschodniej. Ja zaczynałem ostatni rok studiów i każdą wolną chwilę spędzałem na otwartych seminariach, nawet jeśli nie dotyczyły bezpośrednio mojego kierunku ani pracy magisterskiej.

Jedną z cech Oksfordu jest to, że przyciąga wybitnych specjalistów niemal ze wszystkich dziedzin i są oni dostępni na wyciągnięcie ręki. Dlatego, kiedy wśród znajomych rozeszła się informacja, że wykład gościnny w sąsiednim college'u wygłosi Timothy Snyder, biliśmy się o wolne miejsca, bo nie było ich zbyt wiele.

Wtedy do Wielkiej Brytanii przyjeżdżał jako profesor historii na Yale, jednej z placówek prestiżowej Ligi Bluszczowej, koła zamachowego amerykańskiej nauki, ale też reprodukcji elit, głównie liberalnych. Dzisiaj wykłada na Munk School of Global Affairs and Public Policy na Uniwersytecie w Toronto – placówce bardzo dobrej, ale jednak mającej co najwyżej ułamek globalnej rozpoznawalności Yale.

Do Kanady Snyder przeniósł się jeszcze przed powrotem Donalda Trumpa do Białego Domu, w wywiadach zarzeka się, że decyzja nie była motywowana względami politycznymi.

Historyk zajmuje się dzisiaj głównie Ukrainą, regularnie jeździ na wschód tego kraju, pisze teksty porównujące reżim Putina do totalitaryzmów XX wieku. Jak sam mówi, jeśli do USA w ogóle podróżuje, to „jako organizator życia politycznego”.

Kiedy spotkaliśmy się w ubiegłym roku w Poznaniu przy okazji konferencji Impact CEE, zapytałem go o życie w Kanadzie. Odpowiedział dwoma słowami: – No drama.

Tymi słowami można by podsumować cały temat tego artykułu, czyli eksodus badaczy, pracowników naukowych i zagranicznych studentów z amerykańskiego sektora uniwersyteckiego.

•

Odkąd do władzy wrócił Trump, a jego nominaci z ruchu MAGA rozpoczęli ideologiczne czystki w państwowych instytutach badawczych oraz otwartą wojnę z uniwersytetami, coraz mniej osób chce do USA przyjechać na studia lub w celu rozpoczęcia kariery naukowej, a coraz więcej z kraju ucieka.

Motywacje są różne, nie należy tych ludzi wrzucać do jednego worka. Jedni opuszczają Stany z powodów jednoznacznie politycznych, widząc w 47. prezydencie nowe wcielenie znanego potwora, jakim był amerykański izolacjonistyczny faszyzm czasów międzywojennych.

Do tego grona należy profesor Jason Stanley, znany w Polsce filozof, znajomy i współpracownik Snydera, który także zamienił New Haven (gdzie znajduje się Yale) na Toronto. – Przeprowadziłem się, bo prawica wygrała wybory – stwierdza wprost. Jego zdaniem demokracja w Stanach jest nie tyle zagrożona, ile już upadła, dlatego trzeba zejść do intelektualnego podziemia, przegrupować się, napisać świat na nowo i wrócić z gotowym pomysłem.

Inni opuszczają USA z powodu wszechobecnej atmosfery strachu, napięcia, upolitycznienia całego sektora. Ludzie MAGA nie ukrywają, że swojej krucjaty jeszcze nie skończyli, co bardziej radykalni członkowie administracji i powiązani z nią hunwejbini prawicy na platformach internetowych domagają się lustrowania życiorysów kadry naukowej, wycofywania grantów czy publicznych deklaracji lojalności wobec prezydenta.

Jeszcze inni akademicy skarżą się na ingerencję władz w swobodę nauczania – i często nie jest to wyłącznie przewrażliwione czcze gadanie. Martin Peterson, profesor filozofii na Texas A&M University, zdziwił się, kiedy w styczniu władze uczelni kazały mu przed rozpoczęciem nowego semestru wykreślić z listy lektur „Ucztę” Platona. Wszak to jeden z najważniejszych utworów filozoficznych czasów starożytnej Grecji.

Ale z formalnego punktu widzenia pokazywanie studentom tego tekstu stało się zwyczajnie nielegalne. Stan Teksas zakazał bowiem nauczania na swoim terytorium czegokolwiek, co miałoby związek „z ideologią gender albo teorią ras”. A w „Uczcie” znaleźć można długie fragmenty opisujące homoseksualizm, w dodatku Platon dywaguje na temat istnienia większej liczby płci niż dwie. To kwalifikuje się już na treści *woke*, jak zbiorczo określa się tematy progresywne, tożsamościowe, związane z nową lewicą.

Peterson bronił się, tłumacząc, że „Uczta” jest tekstem kluczowym dla zrozumienia myśli platońskiej, a tematy zakazane przez władze stanowe akurat w starożytnej Grecji funkcjonowały w zupełnie innym kontekście społecznym i politycznym. W rozmowie z publicznym radiem NPR dodawał, że prawica emanuje hipokryzją, bo z jednej strony domaga się „powrotu do korzeni” i wskrzeszenia ducha „cywilizacji Zachodu i klasycznej humanistyki” na uczelniach, a z drugiej demonstruje, że nie ma bladego pojęcia, co w tych tekstach się znajduje. Radykałów z MAGA nazwał publicznie ignorantami, którzy Platona cenzurują, nie przeczytawszy żadnego z jego dzieł. Na nikim jednak nie zrobiło to wrażenia, tekst został wykreślony z sylabusa.

Na Florydzie, gdzie gubernatorem jest niegdyś bliski Trumpowi, dzisiaj stopniowo się od niego odcinający Ron DeSantis, prawica wzięła z kolei na cel badania mobilności społecznej i klasowość w amerykańskim społeczeństwie. W marcu władze stanowe wykreśliły podstawy socjologii z listy kursów obowiązkowych na 12 uniwersytetach publicznych. Z kolei na wydziałach socjologii tych uczelni zrewidowano obowiązkowe podręczniki, wyrzucając rozdziały o tematach rasowych, etnicznych, ale też stratyfikacji społecznej, klasowości i nierównościach materialnych w amerykańskim społeczeństwie.

W proteście przeciwko cenzurze z nauczania socjologii zrezygnowało kilkoro profesorów, ale ich akty strzeliste i próba zwrócenia uwagi mediów głównego nurtu okazała się kompletnie nieudana.

Cas Mudde, holenderski politolog z University of Georgia, jeden z najlepszych na świecie ekspertów od populizmu i skrajnej prawicy w Europie, pisał wtedy na platformie LinkedIn, że atak na treść sylabusów na Florydzie i w Teksasie jest dowodem na gigantyczne dysproporcje między traktowaniem przez elity i społeczeństwo prestiżowych szkół Ligi Bluszczowej a podejściem do mniejszych, położonych w innych częściach kraju placówek.

Podczas gdy ataki administracji federalnej na Harvard, Columbię albo Brown były precyzyjnie relacjonowane i szeroko komentowane przez „New York Timesa” czy CNN, o problemach uniwersytetów poza wschodnim i zachodnim wybrzeżem nie pisał prawie nikt. Tymczasem, twierdzi Mudde, bywają one często nawet ważniejsze od prestiżowych uczelni, bo są znacznie bardziej dostępne – choćby dlatego, że są zwyczajnie tańsze – dla studentów z niższych klas społecznych, mniejszości etnicznych czy rasowych.

Dlatego zdaniem holenderskiego politologa interwencje w treść sylabusów i sposób nauczania ma większe przełożenie na amerykańskie społeczeństwo właśnie tam: na Florydzie, w Teksasie, w Georgii, gdzie sam wykłada, niż na znanych całemu światu z hollywoodzkich kadrów filmowych kampusach uniwersyteckich w Nowej Anglii.

•

Często jednak powód rezygnacji z kariery naukowej w Stanach Zjednoczonych jest znacznie bardziej błahy, choć wciąż bezpośrednio związany z działaniem administracji Trumpa.

Rząd federalny na potęgę tnie finansowanie na badania i rozwój, w dodatku robi to na oślep. Ponieważ na cel wziął całe uniwersytety, a MAGA nie używa skalpela, tylko piły mechanicznej, wstrzymywano po prostu wszystkie strumienie finansowania federalnego.

Ku uciesze prezydenta. Maggie Haberman i Jonathan Swan, reporterzy polityczni „New York Timesa” i autorzy bestsellerowej książ-

eprasa.pl 80cac0502a



FOT. RICK FRIEDMAN / AFP

• Studenci Uniwersytetu Harvarda protestują przeciwko decyzji administracji prezydenta Trumpa o zamiarze zerwania wszelkich umów finansowych z uczelnią. Cofnięcie dotacji ma zmusić tę prestiżową instytucję do poddania się nadzorowi i cenzurze (27 maja 2025 r.)

ki „Regime Change" o kulisach obecnej prezydentury, opisują, jak Trump, siedząc w Gabinecie Owalnym, pyta współpracowników, czy „całkowite odcięcie Harvardu od pieniędzy nie byłoby fantastyczne?".

Ta nienawiść po części motywowana jest przekonaniem, że uczelnie to po prostu siedliska ludzi, którzy go nienawidzą i nim gardzą, dlatego trzeba je ukarać. Również w ten sposób objawia się kompleks parweniusza, który, choć od dzieciństwa był dziedzicem nieruchomościowej fortuny, zawsze czuł, że odstaje od rówieśników ze „starymi" pieniędzmi, nigdy nie poczuł się pewnie w establishmencie. No i nie ma dyplomu z Ivy League, tylko podrzędnej nowojorskiej uczelni wojskowej.

Na co nakłada się jego oparty na zamiłowaniu do dramy sposób zarządzania. Haberman i Swan przekonują, że Trump przy takich decyzjach kieruje się logiką show-biznesu, a przecież doprowadzenie najbardziej rozpoznawalnej uczelni na świecie do bankructwa świetnie oglądałoby się w telewizji.

Wreszcie prezydent ma autentyczne uczulenie na ekspertów, jednocześnie się jej bojąc. Harvard to wciąż bastion świetnej analizy prawnej i politologicznej, więc z kampusu mogłaby wyjść ofensywa przeciwko jego prezydenturze.

Wszystkich grantów położonej w Cambridge uczelni administracja nie wstrzymała, ale według danych opublikowanych przez stację PBS, do tej pory druga kadencja Trumpa kosztowała Harvard już 2,7 miliarda dolarów w postaci nie tylko utraconego finansowania projektów naukowych, ale też wycofanych kontraktów komercyjnych z rządem federalnym. Narodowy Instytut Zdrowia (NIH), jednostka badawcza zajmująca się zdrowiem publicznym, szczepionkami czy leczeniem raka, najpierw straciła 4 miliardy dolarów obiecanych zwrotów własnych wydatków grantowych, a potem przeszła 35-procentową redukcję budżetu. Prestiżowe czasopismo „Nature" ujawniło potem, że jedynym obszarem badań, który nie ucierpiał, były projekty związane z obronnością i zadania realizowane dla wojska.

Łącznie od stycznia 2025 roku anulowano 5844 umowy grantowe w NIH oraz 1996 kontraktów w Narodowej Fundacji na rzecz Nauki (NIF).

Duże straty poniosły inne znane uczelnie, w tym Cornell i Northwestern University.

Nowojorska Columbia, pierwszy popularny uniwersytet, który rząd wziął na cel, najpierw dostał ostrzeżenie w postaci zawieszenia 400 mln dolarów w grantach, a potem poszedł na ugodę – między innymi przyznając się w liście skierowanym do studentów i kadry do „zaniechań" w walce z antysemityzmem oraz całkowicie rezygnując z brania pod uwagę kryteriów rasowych, etnicznych i płciowych w rekrutacji czy przy zatrudnianiu – żeby choć część pieniędzy została odblokowana.

Co ciekawe, o ile ludzie Trumna argumentowali, że chcą uczelnie ukarać za bierność wobec studenckich protestów na rzecz Palestyny po wybuchu wojny w Gazie, to odtajnione dokumenty sądowe pokazały, że wcale nie

Prawica MAGA z jednej strony domaga się na uczelniach „powrotu do korzeni", wskrzeszenia ducha „cywilizacji Zachodu i klasycznej humanistyki", a z drugiej zakazuje Platona, demonstrując, że nie ma pojęcia, o czym są te teksty

chodziło o ten konflikt. Administracja domagała się między innymi przekazania przez uniwersytety nagrań z monitoringu na campusach z okresu kampanii wyborczej przed wyborami z 2020 roku, które Trump przegrał. Wtedy demonstracji przeciwko polityce rządu Izraela na uczelniach nie było – bo nie było jeszcze pełnowymiarowej wojny z Palestyńczykami, a poza tym trwała pandemia i zgromadzeń publicznych było niewiele. Troska o dobrostan studentów pochodzenia żydowskiego – a także o wpływowych sponsorów i przyjaciół politycznych Republikanów – była tylko wymówką dla szerszej ofensywy przeciwko całej społeczności naukowej i akademickiej.

Listę ofiar można rozwijać jeszcze długo. Z powodu niemal całkowitej likwidacji USAID, działającej na całym świecie federalnej agencji pomocy rozwojowej, wykonujący sporo badań i realizujący działania dla tej instytucji Johns Hopkins University stracił 800 mln dolarów w grantach, przez co musiał zwolnić dwa tysiące osób.

Oberwały też szkoły z drugiego końca kraju. University of California Los Angeles (UCLA) musiał wstrzymać szereg programów badawczych, bo administracja zawiesiła miliard dolarów już przyznanego finansowania.

Duże uczelnie straciły wielkie kwoty, ale gorsze nawet spustoszenie odbywa się w mniejszych instytucjach. Harvard przetrwa bez dwóch miliardów federalnych pieniędzy, ale już taki University of Massachusetts w Amherst bez 6 milionów grantu z NSF na badania nad infrastrukturą energii odnawialnej popada w olbrzymie kłopoty i musi zwalniać mnóstwo ludzi.

•

Tyle dowodów anegdotycznych, dane statystyczne pokazują jeszcze bardziej przerażający obraz.

Lauren Hamilton z NPR podała w sierpniu, że liczba zagranicznych kandydatów aplikujących na studia w USA spadła aż o jedną piątą w ujęciu rocznym. Co prawda spada od pięciu lat z rzędu, więc można to uznać za argument przeciwko rzekomej szkodliwości ruchów MAGA. Jednak spadek rok do roku nigdy nie był tak drastyczny – a mowa o naprawdę sporej liczbie ludzi, bo studentów spoza Stanów Zjednoczonych na wszystkich poziomach nauki jest za oceanem 1,1 miliona.

Tracą wszystkie dyscypliny i dziedziny, bo ze studiów w USA rezygnują nie tylko ci, których poglądy, zainteresowania naukowe czy przyszłe badania można uznać za politycznie nieprzychylne lub ideologicznie wrogie obecnej władzy.

Rzeczywiście jest coraz mniej historyków, socjologów, studentów stosunków międzynarodowych, ale zaczynają pustoszeć – głównie z powodu braku pieniędzy – także kierunki ścisłe. Union of Concerned Scientists, organizacja pozarządowa zajmująca się promocją nauki w Ameryce, obliczyła, że w roku akademickim 2023-24, a więc ostatnim niedotkniętym polityką Trumpa, studenci zagraniczni obronili niemal 40 proc. wszystkich doktoratów przyznanych w inżynierii i naukach ścisłych. W matematyce i naukach informatycznych, w tym w instytutach zajmujących się sztuczną inteligencją oraz w prywatnych podmiotach mających prawo prowadzenia projektów doktorskich – ponad połowę.

Gwałtowne spadki zanotowano również w poziomie optymizmu wobec własnej kariery. O połowę mniej cudzoziemskich absolwentów studiów doktoranckich planuje pozostanie w USA w celach zawodowych. Spadł odsetek satysfakcji z nauki i prowadzonych badań, pogorszyła się ocena warunków pracy. Wreszcie – mniej osób niż w 2024 roku chce w ogóle na akademii zostać.

Periodyki poświęcone edukacji wyższej są pełne absurdalnych z europejskiego punktu widzenia historii. Jeden z wietnamskich doktorantów na dużej uczelni opowiedział magazynowi „Scientific American", że wycofał się z międzynarodowych projektów badawczych z europejskimi placówkami, bo bał się, że jeśli pojedzie na kilkutygodniowy staż do Francji czy Włoch, nie będzie w stanie wrócić, bo policja imigracyjna ICE zatrzyma go na granicy.

Mowa o kimś, kto w USA przebywa legalnie, na wizie studenckiej, najpewniej realizując projekt badawczy, który może przynieść korzyści ogółowi społeczeństwa.

Mnożą się opowieści o studentach, którzy miesiącami nie pojawiali się w laboratoriach, bojąc się łapanek na kampusach, a nawet na ulicach. Amerykańska prasa raz po raz publikuje fotoreportaże o ostatnich naukowcach na tle pustych sal, w których kurzy się wart miliony dolarów sprzęt. Laboratoria nie zostały oficjalnie zamknięte, ale życie w nich zamarło, bo w wyniku zamrożenia lub obcięcia grantów zabrakło pieniędzy na pensje, więc ludzie zmienili plany, porzucili badania, przeszli do sektora prywatnego.

Niektórzy badacze zajmujący się nowotworami powiedzieli „The New York Times Magazine", że działania trumpistów w kilka tygodni cofnęły o 40-50 lat prace nad leczeniem raka w USA.

•

Włożenie sobie kija w naukowe szprychy przez Amerykanów nie przeszło niezauważone w innych krajach. Wszak środowisko akademickie USA to wciąż superpotęga, nagromadzenie talentu i doświadczenia niespotykane w ludzkiej historii. A teraz, wskutek nieustannych i uznaniowych zmian, ciągłej niepewności, zaciskania pasa, gigantycznego ciśnienia propagandowego i presji politycznej, ta superpotęga krwawi, traci najlepsze elementy i potencjał przyszłego rozwoju.

W przyrodzie nic nie ginie, co najwyżej zmienia właściciela, a polityka międzynarodowa to coraz bardziej gra o sumie zerowej. Jeśli więc Stany Zjednoczone tracą, to ktoś zyskuje. Tylko kto?

Pierwsza w tym rankingu jest jak na razie Kanada, która ściąga nie tylko medialnie rozpoznawalnych humanistów, jak Snyder czy Stanley. Wręcz przeciwnie, ci dwaj naukowcy wcale nie są reprezentatywni dla transferu wiedzy i kompetencji na północ Nowego Świata. Rząd w Ottawie podjął bowiem strategiczną decyzję o stworzeniu specjalnego federalnego programu dla wsparcia nauki, którego beneficjentami są właśnie amerykańscy profesorowie – z reguły z dekadami okraszonej sukcesami kariery.

Podczas gdy dwaj znani w Polsce autorzy przenieśli się do Toronto z własnej woli, w wyniku indywidualnych inicjatyw, cała masa innych uznanych naukowców, przede wszystkim ekspertów w naukach ścisłych, została do Kanady zaproszona albo po prostu skuszona konkretnymi propozycjami wspieranymi przez władze. Jak wylicza magazyn „Forbes", w ramach nowej inicjatywy na kanadyjskie uczelnie przeniosły się już 64 osoby z tytułem profesorskim, które jeszcze niedawno wykładały w innych krajach. 48 z nich, czyli 75 proc., przeszło z uniwersytetów i politechnik w Stanach Zjednoczonych.

48 osób – na liczące setki tysięcy ludzi amerykańskie środowisko akademickie – to może wydawać się niewiele.

Ale po pierwsze, mówimy o naprawdę zasłużonych badaczach zajmujących się kluczowymi obecnie dziedzinami, jak Seth Guikema, który na University of Michigan zajmował się przygotowaniami na zmiany klimatu, w tym zwiększeniem odporności społecznej. Czy Ethan Zuckerman, znany na całym świecie medioznawca i ekspert od wpływu nowych technologii na społeczeństwo, który w nowym roku akademickim zacznie wykładać na McGill University w Montréalu, dokąd przeniósł się nie byle skąd, bo z najlepszej na świecie uczelni technologicznej, czyli MIT. Zuckerman jako powód przeprowadzki kurtuazyjnie wskazuje wysoki poziom zespołu, z którym może pracować, ale zaraz dodaje, że równie ważna jest orientacja prowadzonych tam badań – mianowicie „nad wzmacnianiem de-

eprasa.pl 80cac0502a

mokracji". Na to na pewno nie dostałby grantu z NIH czy NIF, za to mógłby być pewien uciążliwych oskarżeń ze strony influencerów MAGA, a może i lustracji przez pracowników rządu federalnego.

A po drugie, te 48 osób to wynik dziesięciu miesięcy działania programu. A Eddie Goldenberg Research Chairs – nazwany tak od imienia słynnego kanadyjskiego prawnika i modernizatora tamtejszej administracji publicznej – jest zaplanowany na 12 lat z możliwością przedłużenia. I ma niebagatelny budżet miliarda dolarów kanadyjskich, czyli około 720 mln dolarów amerykańskich.

Migranci z największym dorobkiem naukowym otrzymują milion dolarów kanadyjskich rocznie, młodsi naukowcy – połowę tej kwoty. Co najważniejsze jednak, kontrakty przewidziane są na okres ośmiu lat. W ten sposób Kanada chce nowych badaczy do siebie przywiązać na dłużej i uniknąć efektu jojo – bo po ewentualnym prezydenckim zwycięstwie Demokratów w 2028 roku cała kohorta uchodźców z amerykańskich uczelni zapewne wróciłaby na południe.

Oprócz tych dwóch ścieżek dostępne są inne granty – dla młodych liderów w nauce, dla początkujących badaczy i dla takich, którzy potrzebują wsparcia infrastrukturalnego. W tym ostatnim programie najczęściej chodzi o zakup sprzętu albo rozwój własnego, dotychczas niedoinwestowanego laboratorium.

Nad wszystkim czuwają dwa ministerstwa. Ale – co intrygujące nie tylko z polskiej perspektywy – nie nauki, szkolnictwa, czy edukacji, lecz przemysłu i rozwoju oraz zdrowia – czyli dwóch dziedzin, które bezpośrednio wpływają na poziom życia obywateli i stabilność społeczną.

Ze wszystkich działań Kanadyjczyków obliczonych na przejęcie naukowców od wielkiego i coraz bardziej aroganckiego sąsiada ten ruch najbardziej zasługuje na refleksję. Pokazuje bowiem, jak ambitne kraje myślą o sektorze akademickim w szerokim, systemowym sensie, już na poziomie koncepcyjnym.

Gdy w Polsce, tak samo jak w bardzo wielu krajach Europy kontynentalnej, uczelnie pozostają państwami w państwie, wieżami z kości słoniowej i przechowalniami etatów, Kanada stara się przyciągnąć największe talenty z innego kraju, rozpatrując ich kandydatury w kategoriach długofalowej, wieloletniej użyteczności społecznej i gospodarczej.

●

Ale to wszystko nie oznacza naukowo-innowacyjnego *finis Americae*.

720 mln dolarów i milion rocznie na głowę przez osiem lat jest niezłą zachętą, a przede wszystkim dowodem na to, że państwo poważnie podchodzi do sprawy i nie zmieni zdania za chwilę – lecz w skali całego amerykańskiego sektora akademickiego to autentyczne grosze.

W tym tkwi największa różnica pomiędzy nauką uczelnianą w USA a praktycznie każdym innym krajem na świecie. Profesorowie ze stałą posadą, tak zwani *tenured professors*, są praktycznie nieusuwalni, nie obowiązuje ich wiek emerytalny, mogą pracować tak długo, jak chcą – i zarabiają często autentyczne miliony na samych uczelniach. A jeśli przy okazji komercjalizują swoje badania, współpracują z sektorem prywatnym, są ekspertami albo, co równie częste, występują w mediach, stając się quasi-influencerami, ich przychody mogą być olbrzymie.

Nikt w Europie, nawet Wielka Brytania, nie ma środków, by pod tym względem konkurować ze Stanami Zjednoczonymi. Najlepszym dowodem są ogłoszenia o pracę lub informacje o rekrutacji dla pracowników naukowych na najbardziej prestiżowych uczelniach po naszej stronie Atlantyku – Oksfordzie czy Cambridge. Popularny – niestety prześmiewczo – był ostatnio post reklamujący pozycję młodszego badacza na Oksfordzie, docelowo mającego pracować w zespole badaczy bezpieczeństwa sztucznej inteligencji.

Kpiny komentatorów dotyczyły widełek płacowych ustawionych na poziomie od 35 do 45 tysięcy funtów rocznie. Nawet górna granica tego zakresu – 225 tys. zł rocznie, nieco ponad 18 tys. zł miesięcznie – jest śmiesznie niska, niespecjalnie doświadczony analityk w banku inwestycyjnym czy firmie doradczej zarobi w Londynie dwa razy tyle. A mówimy o próbie przyciągnięcia najlepszych twórczych umysłów, by dogonić globalnego lidera najgorętszej obecnie technologii.

Dla porównania – według danych portalu Payscale analogiczne stanowisko w ekosystemie biznesowo-naukowym w USA oznacza wynagrodzenie od 86 do 115 tysięcy dolarów rocznie, czyli 28-37 tys. zł miesięcznie. Nie mówiąc o Dolinie Krzemowej, gdzie za takie rzeczy zarabia się teraz po kilka czy kilkanaście milionów dolarów.

Dlatego, nawet jeśli amerykańska akademia zaczyna krwawić, to w skali całego organizmu mowa raczej o pojedynczych ukłuciach niż wielkiej ranie zagrażającej dalszemu funkcjonowaniu. Owszem, reputacja sektora jest coraz gorsza, a sporo znanych osobistości wyjechało. W dalszym ciągu są to jednak decyzje bardziej osobiste niż wymuszone względami zewnętrznymi. Część osób dusi się w coraz bardziej autorytarnych Stanach Zjednoczonych, część pracuje w dziedzinach, które pod rządami Trumpa przestały istnieć z dnia na dzień. Lecz jedynym krajem, który realnie może konkurować z Ameryką pod względem całościowym – czyli ogólnych nakładów na naukę, pieniędzy dla samych badaczy i zaawansowania technologicznego – są w tej chwili Chiny.

Tu jednak obraz przepływu kapitału ludzkiego jest dość niejednoznaczny.

Owszem, są już pierwsze głośne przykłady zamiany wolnych, kapitalistycznych Stanów na komunistyczne, scentralizowane Państwo Środka. Omar Yaghi, laureat Nobla z chemii, który prestiżową pozycję na kalifornijskim Berkeley zamienił na Tsinghua University w Chinach, gdzie dostał do poprowadzenia nowe laboratorium oparte o sztuczną inteligencję. Konserwatywny amerykański portal American Greatness szacuje, że od początku 2025 roku Chińczykom udało się zwabić 105 badaczy z amerykańskich uniwersytetów, głównie dzięki olbrzymim wynagrodzeniom. Problemem jest też powrót samych Chińczyków do Chin. Wspólne badanie Harvardu, Princeton i MIT wskazało, że pomiędzy 2010 a 2021 rokiem aż 20 tys. badaczy z Chin lub chińskiego pochodzenia, którzy karierę zaczynali w USA, przeniosło się do innych krajów. Dwie trzecie wróciło do Chińskiej Republiki Ludowej.

Lecz na podstawie tych danych ciężko generalizować, bo dotyczą populacji często silnie zideologizowanej i związanej z państwem totalitarnym na różnych poziomach: emocjonalnie, rodzinnie, nierzadko też politycznie, bo istnieją też chińscy naukowcy, którzy naprawdę wierzą w system i Xi Jinpinga. Niemniej trend się nasila, a życie w USA przestaje być dla obcokrajowców takim magnesem jak kiedyś.

Jednocześnie nie można zapominać, że do Chin raczej nie przeniosą się humaniści, antropolodzy czy badacze zajmujący się naukami społecznymi. W ich dziedzinach pieniądze czy infrastruktura nie są tak ważne, kluczowa jest wolność wypowiedzi, poglądów i prowadzenia badań. A ta w państwie totalitarnym, uprawiającym cyfrowy nadzór na masową skalę, pełnym tematów tabu – vide Tybet czy Ujgurzy – i nastawionym na potwierdzanie starożytności oraz wyjątkowości etnicznych Chińczyków Han po prostu nie istnieje.

To zastrzeżenie musi wybrzmieć, bo dopełnia obraz Chin coraz bardziej idealizowanych na Zachodzie jako pragmatyczne, odpowiedzialne i perspektywiczne. Owszem, ludzie się tam przenoszą, bo Xi sypie pieniędzmi, ale raczej do swojej wizji świata nikogo z Europy czy szeroko rozumianego świata atlantyckiego nie przekonuje.

Nawet jeśli więc amerykańska akademia się pogrąża, to wciąż bardzo powoli. Ten koń jest wysoki, spadek będzie długo trwał – a za parę, parenaście miesięcy koń może przyklęknąć i poprosić jeźdźców o powrót w siodło.

Co oczywiście nie znaczy, że nie ma w tym procesie szans dla innych państw. Żeby jednak przejąć znaczącą część tego tortu, potrzeba wielkich pieniędzy i systemowego myślenia rozłożonego na dekady, a nie pojedynczą kadencję lub jeden rok akademicki.

A z tym zbiurokratyzowane, chore na grantozę, uzależnione od krótkich cykli finansowania, nierzadko też upolitycznione – mniej ideologicznie, bardziej w sensie niestabilności systemowej, czyli wizji organizacji oraz celów nauki i akademii zmieniających się wraz z ekipami rządzącymi – a przede wszystkim niedofinansowane, odcięte od wielkiego kapitału i realnych potrzeb społecznych systemy państw europejskich mają problem.

Nie każdemu do przeprowadzki wystarczy przecież „no drama". ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY NAKŁAD KONTROLOWANY

REKLAMA
Kraj/34423010



1 RP

eprasa.pl 80cac0502a

MAGIA, MORZE I WIATR



FOT. SHUTTERSTOCK

• Miasto Rovinj na chorwackiej Istrii przez wieki należało do Republiki Weneckiej. Do 1763 r. starówka znajdowała się na wyspie, która została połączona z lądem

Oto zachodnia granica śródziemnomorskiej Słowiańszczyzny: **Istria i Kvarner.**

Aleksandra Wojtaszek*

Ierra magica pełna stworzeń z mitologii; miejsce urodzenia pierwszego wampira. Rzymski amfiteatr obok podupadającej stoczni, dawny salon monarchii kilka kilometrów od jej portowej maszynowni. Na talerzach pachnące truflami makarony albo owoce morza, ale i jagnięcina z rusztu oraz autochtoniczny gatunek bydła. Półwysep z cukierkowymi portami i średniowiecznymi miasteczkami, o którym pisali Juliusz Verne, James Joyce, a być może także Dante – ale on lokował tu bramę do piekieł. Miasto okupowane przez włoskiego poetę i faszystę. Oto zachodnia granica śródziemnomorskiej Słowiańszczyzny: Istria i Kvarner.

Trzy żywioły i mnóstwo blizn

To dwa odmienne regiony o różnej historii, naznaczone jednak wspólnym piętnem pograniczności. Kształtowały je trzy główne żywioły: słowiański, włoski, ale też austro-węgierski. Nie zawsze bezkonfliktowo: na tym małym obszarze w XIX w. rozegrały się aż trzy procesy wykuwania się nowoczesnych narodów – chorwackie i słoweńskie odrodzenie narodowe oraz włoskie *risorgimento*.

Dziś lokalna wielokulturowość to powód do dumy i sprzedawany turystom artefakt, ale w przeszłości pozostawiła po sobie wiele blizn, zarówno po włoskiej, jak i słowiańskiej stronie.

Podstawowa różnica między Istrią a sąsiadującym z nią Kvarnerem jest nieco efemeryczna: mieszkańcy Istrii swoją istryjskość postrzegają bardzo serio, stanowi ona wyrazistą tożsamość.

Tymczasem Kvarner pozostał mozaiką, archipelagiem zgromadzonych wokół zatoki światów. Składają się na niego fascynujące wyspy: naznaczony historią Krk czy bujny w naturę Cres, uzdrowiskowy Lošinj i średniowieczny Rab. Archipelag Brijuni znany jest zaś jako niegdysiejsza luksusowa rezydencja Tity, po której Chorwacja odziedziczyła m.in. park safari.

Kvarner to także Opatija, kolebka chorwackiej turystyki i jeden z najstarszych kurortów nad Adriatykiem, z secesyjnymi willami, hotelami i nadmorskimi promenadami, ale i górzysty, dziki Gorski Kotar, gdzie zimą długo zalega śnieg, a w lasach spotkać można rysia, wilka i niedźwiedzia. Tym razem wybierzemy się jednak do Rijeki, trzeciego co do wielkości miasta Chorwacji, stolicy Kvarneru.

Pula, której nie lubił Joyce

Podróż po północnych obrzeżach Adriatyku zacznijmy od półwyspu Istria i jego największego miasta Puli.

Lubię tu przy aromatycznej kawie albo kieliszku teranino – lokalnego likieru na bazie czerwonego wina – siadywać w barze Uliks, czyli Ulisses. Tuż obok przysiadł wykuty w kamieniu James Joyce. To zabawna ironia, bo irlandzki pisarz nie przepadał ani za Pulą, ani za Istrią: w listach nazywał miasto „nadmorską Syberią" i „zapomnianym przez Boga miejscem", a Istrię „nudną krainą zamieszkaną przez durnych Słowian w małych czerwonych czapkach i za dużych spodniach".

To marudzenie pisarza miało swoje powody – trafił tu jako nauczyciel angielskiego po tym, jak nie został przyjęty do pracy ani w Trieście, ani w Zurychu. Zarabiał marnie, mówił zupełnie innym włoskim niż lokalni, a w dodatku marzł w wynajmowanym mieszkaniu, bo trafiła się wtedy na półwyspie zima stulecia z temperaturami spadającymi nawet do 10 stopni na plusie! Nie brzmi to szczególnie dramatycznie, ale gwarantuję, że kto doświadczył lodowatej bury wiejącej na chorwackim wybrzeżu, nie będzie się śmiał.

Wbrew narzekaniom słynnego Dublińczyka Pula była wówczas prężnym i kosmopolitycznym miastem – od połowy XIX w., kiedy stała się głównym austro-węgierskim portem wojennym. Obecny wygląd miasta jest w dużej mierze dziedzictwem tamtych czasów: powstały wtedy m.in.: arsenał, stocznia, koszary czy szpital wojskowy. Pula była tak strategiczna dla Austro-Węgier, że otoczono ją systemem fortów, baterii i umocnień chroniących port od strony lądu i morza; do dziś okolice miasta są nimi naszpikowane.

To też początki przemysłu, choćby podupadającej obecnie stoczni Uljanik, która nadała miastu robotniczy charakter. Dzięki stacjonującej tu marynarce miasto rozbrzmiewało wieloma językami. Na co dzień posługiwano się przede wszystkim włoskim, ale też chorwackim, a w oficjalnej administracji niemieckim (w tym czasie w sąsiedniej Rijece językiem urzędników był węgierski – dla Węgrów to Rijeka była oknem na Adriatyk).

Antyk bazą do modernizacji

Modernizacja miasta odbywała się na istniejącym od wieków antycznym materiale – może nadgryzionym zębem czasu, ale wciąż majestatycznym.

W Puli znajduje się Arena, jeden z najlepiej zachowanych rzymskich amfiteatrów na świecie. Gladiatorów zastąpili aktorzy i muzycy, choć latem na scenę czasem wracają także inscenizowane walki rzymskich wojowników. Współcześnie odbywają się tu głównie koncerty i projekcje filmowe (choćby w ramach Pulskiego Festiwalu Filmowego, którego główna nagroda to właśnie Arena).

Aby podkreślić obecną przynależność antycznego dziedzictwa, dwadzieścia kilka lat temu Chorwaci obwiązali amfiteatr gigantycznym krawatem, który uważają za swój wynalazek i symbol – od miejscowych chustki wią-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 80cac0502a

zane pod szyją mieli przejąć żołnierze Napoleona, a od Francuzów cała reszta świata.

Starożytnych śladów jest w Puli wiele, nie są tylko martwymi zabytkami, ale elementem normalnego życia miasta, podobnie jak choćby w dalmatyńskim Splicie. Świątynia Augusta znajduje się na dawnym antycznym forum będącym dziś jednym z głównych placów miasta. W położony obok ratusz miejski wbudowano fragmenty świątyni bogini Diany. Znad kawy w Ulissesie widzę też Łuk Sergiuszów nazywany Złotą Bramą, czyli łuk triumfalny z I wieku p.n.e. Teraźniejszość nieustannie miesza się w Puli z przeszłością, a upadłe imperia, od Rzymu po Jugosławię, przypominają o nietrwałości wszechrzeczy. W tej sytuacji pozostaje tylko napić się wina, najlepiej lokalnego: białej malvaziji albo czerwonego teranu.

Żywioł włoski

Pula to tylko jedno z wielu słynnych miast na półwyspie. Nadmorski Rovinj to miejsce jak z pocztówki: stare miasto na półwyspie pełne jest wąskich uliczek. Gęsta zabudowa to nie przypadek: do XVIII w. było wyspą, musiano więc budować obok siebie i raczej w górę.

W tym najbardziej weneckim mieście półwyspu do końca II wojny światowej dominował żywioł włoski. Do dziś oficjalna nazwa miasta jest dwujęzyczna: Rovinj – Rovigno, a włoska społeczność to nadal element lokalnej tożsamości. Niemal co dziesiąty mieszkaniec miasta deklaruje narodowość włoską; na całym półwyspie to 5 procent.

Inaczej jest w Rijece: ponad 100-tysięcznym mieście Włochów jest zaledwie 1,5 tysiąca, choć znajomi z Rijeki opowiadali mi o prężnie działających włoskich szkołach i stowarzyszeniach. Niewątpliwie jednak Włosi są tu raczej elementem pejzażu kulturowego i pozytywnego, ale będącego pieśnią przeszłości stereotypu o szczęśliwej wielokulturowej krainie.

Ojczyzna pierwszego wampira

Tym, co dziś łączy Istryjczyków, jest wyjątkowe poczucie lokalnej tożsamości. W całej Chorwacji regionalność jest ważną kategorią: ludzie chętnie posługują się tu dialektami i deklarują miłość do małej ojczyzny.

Nawet na tym tle Istria jest jednak wyjątkowa – w latach 90. nacjonalistyczni politycy oskarżali mieszkańców półwyspu o chęć oddzielenia się od reszty kraju. Zarzuty były mocno przesadzone, ale faktycznie Istria nigdy nie dała się ponieść fali chorwackiego nacjonalizmu, deklarowała raczej swoją odrębność, tradycje różnorodności i antyfaszyzmu.

Popularna nazwa półwyspu, czyli *terra magica*, odwołuje się do powszechnej nawet dzisiaj wiary w rozmaite mitologiczne stworzenia: sztrigunów, których uznać można za krewnych naszych strzyg, walczących z nimi krsników, olbrzymów, a także orków czy mor.

Istryjczycy podkreślają też, że to właśnie u nich, w wiosce Kringa, urodził się pierwszy znany z imienia i nazwiska europejski wampir Jure Grando, którego po śmierci chłopi przebili osinowym kołkiem, aby przestał terroryzować okolicę.

Dziś na Istrii dominuje bardziej luksusowy wariant turystyki niż w innych częściach Chorwacji, przede wszystkim gastronomicznej: zamiast masowych apartamentów blisko morza oferowane są luksusowe wille w głębi lądu, restauracje z gwiazdkami Michelin oraz polowania na wykwintne białe trufle, które wyjątkowo licznie występują w dolinie Mirny.

Rijeka. Rzeka graniczna nad morzem

Zawsze marzyłam o tym, aby pisać reportaże jak prawdziwy anglosaski podróżnik, biały mężczyzna w średnim wieku: spoglądając z balkonu na świat poniżej. Samo owładnięcie takim spojrzeniem wystarcza, aby zrozumieć naturę lokalnej rzeczywistości.

Tym razem mam ku temu sposobność, z okien hotelu Continental bowiem, gdzie umieścili mnie organizatorzy lokalnego festiwalu literackiego, rozpościera się widok na Martwy Kanał. Tak nazywają go miejscowi – kiedyś płynęła tu rzeka nazywana po prostu Rzeką (Riječina), od której nazwę wzięło całe miasto: chorwacka Rijeka, włoskie Fiume. Martwy Kanał nie tylko z okna wygląda malowniczo: to położona w samym centrum miasta przystań pełna małych łodzi.

Do połowy XIX wieku Rijeka mierzyła się z powodziami podtapiającymi miasto. Po tym, jak unormowano koryto, prowadząc je bezpośrednio do morza, do starego kanału napłynęła woda morska, a trójkątny obszar pomiędzy zyskał miano delty. To tutaj właśnie mieści się Continental, najdłużej działający hotel w mieście – jego kawiarnia była centrum miejskiego życia już 150 lat temu.

Jednak tym, co najważniejsze w historii Martwego Kanału, jest jego funkcja graniczna: w międzywojniu oddzielił włoską i jugosłowiańską część miasta. W opowieści o Rijece i jej okolicy a także półwyspie Istria ten element historii powraca nieustannie: położenie na zachodniej granicy Słowiańszczyzny, w miejscu, gdzie mniej lub bardziej pokojowo ścierały się żywioł włoski i słowiański.

Poeta okupuje miasto

Jeden z najlepszych chorwackich dokumentów zaczyna się w tym samym miejscu: archiwalną fotografią, a potem kadrem z dzisiejszym widokiem na hotel Continental i stary most. Film „Fiume o morte!" [Fiume albo śmierć] Igora Bezinovicia opowiada o 16 miesiącach okupacji Rijeki przez Gabriele D'Annunzia i jego zwolenników w latach 1919-1920.

D'Annunzio to dość nietypowa postać: znany we Włoszech poeta i pisarz, weteran I wojny światowej stał się nie tylko dzięki swoim poglądom, ale też hasłom i gestom „Janem Chrzcicielem włoskiego faszyzmu".

Po I wojnie światowej Rijeka stała się terytorium spornym: w 1919 roku wbrew woli własnego rządu D'Annunzio na czele grupy zbuntowanych żołnierzy i ochotników zajął miasto. Przez następne kilkanaście miesięcy Rijeka była czymś pomiędzy okupowanym miastem, politycznym laboratorium, koszarami a wielkim spektaklem. D'Annunzio urządzał niemal codzienne ceremonie, parady i przemówienia. Przemawiał z balkonu do tłumów, budował wokół siebie kult przywódcy, wymyślał rytuały, posługiwał się rzymskimi pozdrowieniami, celebrował przemoc i wojskową męskość.

Do Fiume ciągnęli nie tylko nacjonaliści i byli żołnierze, lecz także futuryści, anarchizujący artyści, awanturnicy, rewolucjoniści i ludzie odrzucający powojenny porządek Europy. Jednocześnie był to niewątpliwie opresyjny, faszyzujący reżim, a włoski poeta doprowadził miasto do zupełnego upadku ekonomicznego.

Wokół tych miesięcy narosło wiele legend: popularne są opowieści o wszechobecnej kokainie, totalnej swobodzie obyczajowej i wolnej miłości, piractwie jako podstawowym modelu ekonomicznym i licznych meczach piłkarskich. Nawet jeśli w wielu z nich jest więcej niż ziarno prawdy, warto pamiętać, że dla większości mieszkańców Rijeka przez wiele miesięcy była po prostu miastem okupowanym przez uzbrojoną paramilitarną formację.

Każdy to pamięta inaczej

W listopadzie 1920 roku rządy Włoch i Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców dogadały się ponad głową ekscentrycznego poety: zgodnie z traktatem w Rapallo Rijeka została Wolnym Miastem Fiume, natomiast Sušak po drugiej stronie rzeki Rječiny pozostał w państwie Jugosłowian.

D'Annunzio nie uznał porozumienia, sprawy trzeba było zakończyć siłą – ostatecznie jego oddziały zaatakowała włoska armia, z którą buntownicy nie mieli szans. Wolne Miasto Fiume przetrwało jednak bardzo krótko: cztery lata później zostało przyłączone do Włoch, a Sušak, dziś po prostu wschodnia część miasta, pozostał po stronie jugosłowiańskiej. Rijeka została w samym swoim centrum przecięta granicą biegnącą wzdłuż Martwego Kanału.

Pamięć o faszyzującym poecie wciąż jednak stanowi kość niezgody: w 2019 roku, w setną rocznicę wkroczenia D'Annunzia do Rijeki, w Trieście odsłonięto jego pomnik. Choć przedstawia pisarza z książką, trudno uznać tę datę za przypadkową.

W tym samym czasie w Rijece otwarto wystawę o wymownie polemicznym tytule „L'Olocausta di D'Annunzio" (Męczeństwo D'Annunzia), poświęconą przemocy i ciemnym stronom jego 16-miesięcznych rządów. Podkreślano, że była to nielegalna okupacja miasta naznaczona włoskim nacjonalizmem i antyslawizmem; to także epizod poprzedzający bezpośrednio faszyzm, z którego zaczerpnął on liczne inspiracje, przynajmniej na poziomie symbolicznym.

Istria włoska

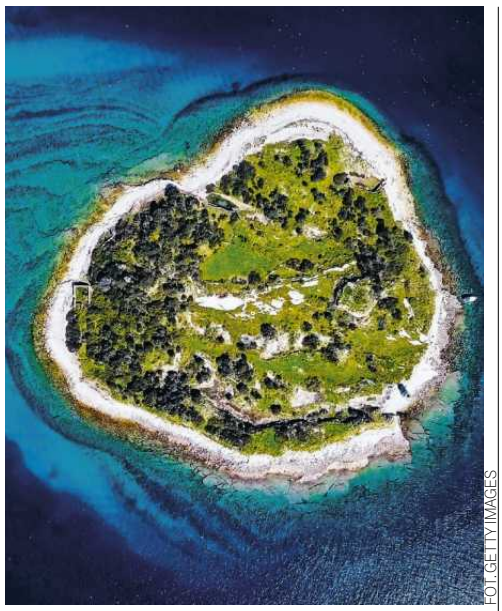
Historia XX wieku, zarówno Istrii, jak i Kvarneru, to dla wielu wciąż bolesny temat.

Po rozpadzie Austro-Węgier Istria przypadła Włochom, a lokalni Słowianie, szczególnie po dojściu do władzy faszystów, znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Znaczenie miały też kwestie klasowe: faszyści odwoływali się do istniejących wcześniej podziałów na „włoskie miasto" i „słowiańską wieś". Kształtująca się przed I wojną światową słowiańska klasa średnia masowo emigrowała



• „Martwy Kanał" to jeden z najbardziej malowniczych zakątków Rijeki. Powstał po zmianie biegu rzeki Rječina. Dawne koryto zostało odcięte od głównego nurtu i było kiedyś portem dla łodzi rybackich

FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. GETTY IMAGES

• Jedna z wysp w Parku Narodowym Brijuni (Wysp Briońskich). Archipelag to 14 wysp i wysepek u zachodnich wybrzeży Istri



FOT. SHUTTERSTOCK

• „Dziewczyna z mewą" autorstwa rzeźbiarza Zvonko Cara. Od 1956 r. jest symbolem kurortu Opatija i całej zatoki Kvarner

eprasa.pl 80cac0502a

do pobliskiego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, zamykano chorwackie i słoweńskie szkoły, czasopisma i stowarzyszenia, a publiczne używanie języków słowiańskich zostało drastycznie ograniczone.

Nie oznacza to, że Włosi i Słowianie nie walczyli czasem ramię w ramię, czego najbardziej znanym przykładem jest istryjskie miasteczko Labin.

W roku 1921 Mussolini nie doszedł jeszcze do władzy, ale faszyści dawali już popalić w okolicy jako ruch paramilitarny. We Włoszech kończyło się biennio rosso: czerwone dwulecie lat 1919-1920, kiedy robotnicy masowo strajkowali i zajmowali fabryki. Górnicy z Labinu również postanowili się zbuntować. Po pobiciu przez faszystów związkowca Giovanniego Pippana rozpoczęli strajk, zajęli kopalnię i sami wznowili wydobycie.

Powodem wzniecenia buntu były nie tylko ciężkie warunki pracy, ale też opór przeciwko narastającej przemocy faszystów i napięcia narodowościowe na świeżo przyłączonej do Włoch Istrii. Nie tylko włoscy socjaliści, ale i lokalna wiejska ludność stanęli po stronie powstańców. Po dwóch miesiącach samorządności „Labinska Republika" została rozbita przez włoskie siły państwowe: wojsko, karabinierów, a nawet dwa okręty wojenne. Miejscowi są z tego epizodu robotniczej komuny wyjątkowo dumni – nazywają go pierwszym w historii antyfaszystowskim powstaniem na świecie.

Istria jugosłowiańska

20 lat później trwała II wojna światowa. Po kapitulacji Włoch we wrześniu 1943 roku na Istrii na chwilę rozsypał się dotychczasowy porządek. Jugosłowiańscy partyzanci przejęli znaczną część półwyspu, rozbrajali włoskich żołnierzy i policjantów oraz ogłosili przyłączenie Istrii do Jugosławii.

Partyzancka władza trwała zaledwie kilka tygodni; jesienią Istrię zajęli Niemcy, a sytuacja odwróciła się ponownie w 1945 roku, gdy półwysep opanowały oddziały Tity. Rozpoczęły się rozliczenia z przedstawicielami faszystowskiego aparatu i lokalnych elit związanych z włoską administracją.

Wśród zatrzymanych i zabitych byli jednak nie tylko przedstawiciele faszystowskiego aparatu i osoby odpowiedzialne za represje, lecz także ludzie uznani przez nową władzę za przeciwników politycznych oraz ofiary lokalnych porachunków. Kilka tysięcy osób, nie tylko narodowości włoskiej, straciło życie w powojennych zawieruchach i konfliktach. Wtedy też nowe słowo stało się symbolem przemocy: „fojba" to występująca często na półwyspie głęboka jaskinia krasowa, w której lądowały ciała zabitych.

To nie był jednak koniec: w kolejnych miesiącach Włosi masowo opuszczali swoje domy. Powojenne wyjazdy obejmowały przede wszystkim ludność włoską z terenów, które po wojnie znalazły się w Jugosławii: Istrii, Rijeki, Zadaru i wysp Kvarneru.

Nie ma zgody co do charakteru tej ucieczki. Włosi mówią o wygnaniach i exodusie oraz niewinnych ludziach przerażonych zemstą krwiożerczych komunistów. Jugosłowiańscy historycy opowiadali o faszystowskich kolaborantach, a także propagandzie płynącej z Rzymu, straszącej i zachęcającej do wyjazdu. Co do liczb także nie ma zgody, ale szacuje się, że było to 200, a nawet 300 tysięcy ludzi.

– Opuszczenie przez Włochów Istrii, choć tragiczne, było w jakimś stopniu po prostu reperkusją II wojny światowej tak jak wyjazd Niemców z Polski czy z Czechosłowacji – tłumaczył mi kiedyś Franko Dota, istryjsko-chorwacki historyk o włoskich korzeniach. – Rovinj nieco przypomina w tym kontekście powojenny Wrocław.

Kładka nad Kanałem

Nad Martwym Kanałem w Rijece przerzucono cienką, białą kładkę o szklanych bokach. Wygląda jak prosta kreska poprowadzona nad wodą, która na końcu nagle się łamie i wyrasta w dwie wysokie, surowe płyty pomnika.



FOT. GETTY IMAGES

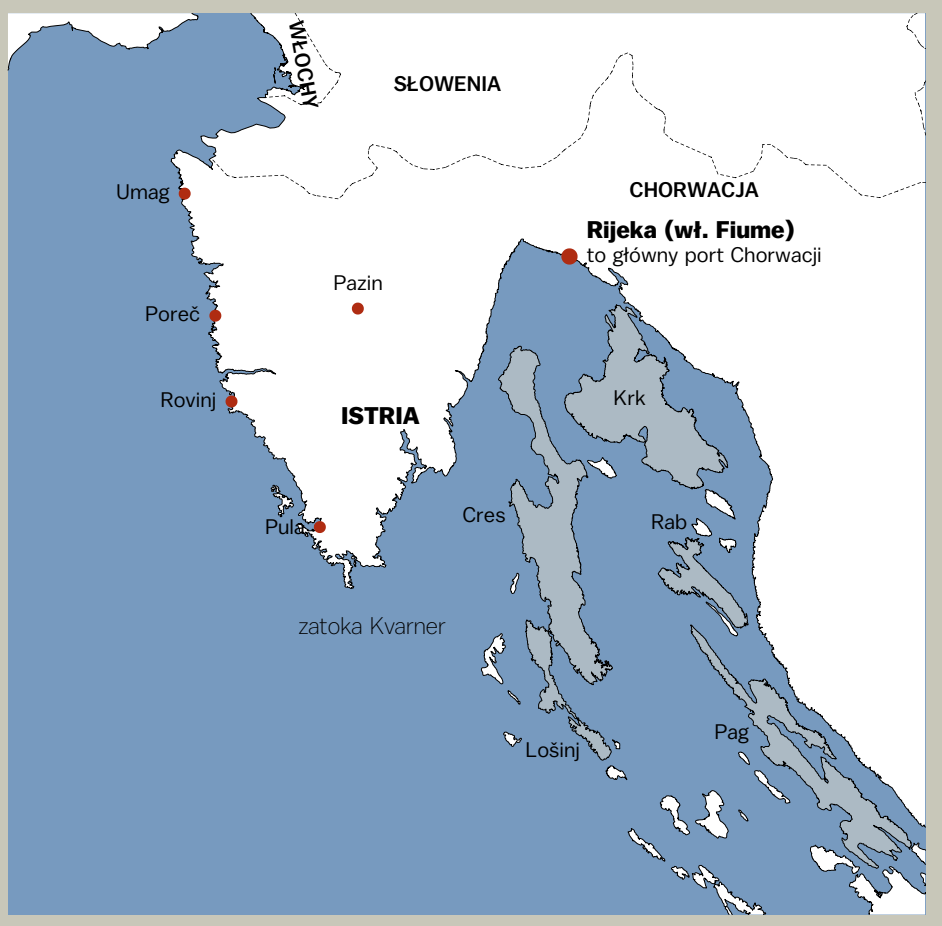
• **Archipelag Brijuni. W latach 1947-80 była tu letnia rezydencja przywódcy Jugosławii Josipa Broz Tity. Dostawał w prezencie egzotyczne zwierzęta, dlatego stworzył tu park safari**



FOT. GETTY IMAGES

• **Łuk Sergiuszów (Złota Brama) w Puli. Obok słynnego rzymskiego amfiteatru, to jeden z najcenniejszych zabytków, jakie pozostawili po sobie w Puli i na Istrii starożytni Rzymianie**

Półwysep Istria, Rijeka i zatoka Kvarner



© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: OPENSTREETMAP, ISTAT/GEOBOUNDARIES, NATURAL EARTH

Ten nowy most, otwarty w 2001 r., opowiada zupełnie inną historię, w której włoscy sąsiedzi dawno przestali być głównymi rywalami: nie tylko realnie, ale i w walce o pamięć historyczną. Upamiętnia chorwackich obrońców walczących w wojnie ojczyźnianej, taką nazwę Chorwaci nadali bowiem wojnie w latach 90., która jest dla nich walką o niepodległość.

Nazwiska zmarłych obrońców wykute są na obeliskach: mają przypominać o ich poświęceniu i życiu oddanym za niepodległą Chorwację, uwolnioną z oków Jugosławii. Z mostu dochodzimy jednak niemal bezpośrednio do Placu Tity, nazwanym tak po dożywotnim prezydencie Jugosławii. W Rijece sprawy nigdy nie są nazbyt oczywiste.

Przez pozostałych mieszkańców Chorwacji Rijeka jest często wyśmiewana. Nigdzie nie pasuje do końca. Niby miasto nad morzem, ale bardziej przemysłowe niż turystyczne, w dodatku pogoda wcale nie jest tu gwarantowana, nawet w lecie: regularnie zdarzają się krótkie, ale dotkliwe opady deszczu.

W obraźliwej kibicowskiej przyśpiewce wymierzonej w Rijekę i jej mieszkańców (oraz drużynę, która zdobyła mistrzostwo kraju w 2017 i 2025 roku) padają słowa: „Parszywa Rijeko, śmierdzące miasto, pełna jesteś Serbów". Nie chodzi tylko o serbską mniejszość narodową, ale też o samą tożsamość miasta, które uchodzi za jugosłowiańskie, lewicowe i wieloetniczne, a czasem po prostu niewystarczająco nacjonalistyczne na tle reszty kraju.

Kiedy przygotowuję się do swojego wystąpienia na festiwalu literackim Vrisak, czyli dosłownie Krzyk, słyszę od znajomych: „Nie przejmuj się, w Rijece możesz sobie pozwolić na dobitne wyrażanie swoich poglądów, tam więcej uchodzi". Być może jednak bardziej niż reakcje zgromadzonej publiczności robi na mnie wrażenie jej liczba. Podczas trwającego przez tydzień festiwalu każdego dnia księgarnia wypełniona jest aż po brzegi.

W zainspirowanej miastem piosence „Rzeka snów" urodzony co prawda w Splicie, ale grający z zespołem Fiumens Neno Belan śpiewa: „Rzekę snów, źródło nadziei, wir pragnień. Moje życie – wszystko odnalazłem na tym brzegu". ●

Aleksandra Wojtaszek



• Bałkanistka, dziennikarka i tłumaczka. Ma doktorat z literaturoznawstwa, pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim. Autorka zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację" (Czarne, 2023), który został przetłumaczony na pięć języków i stał się bestsellerem w Polsce i na Słowacji, oraz monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa". Laureatka m.in. Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO i nagrody Europejski Poeta Wolności. Publikuje w: „Tygodniku Powszechnym", „Herito", „Dwutygodniku" i „Polityce".

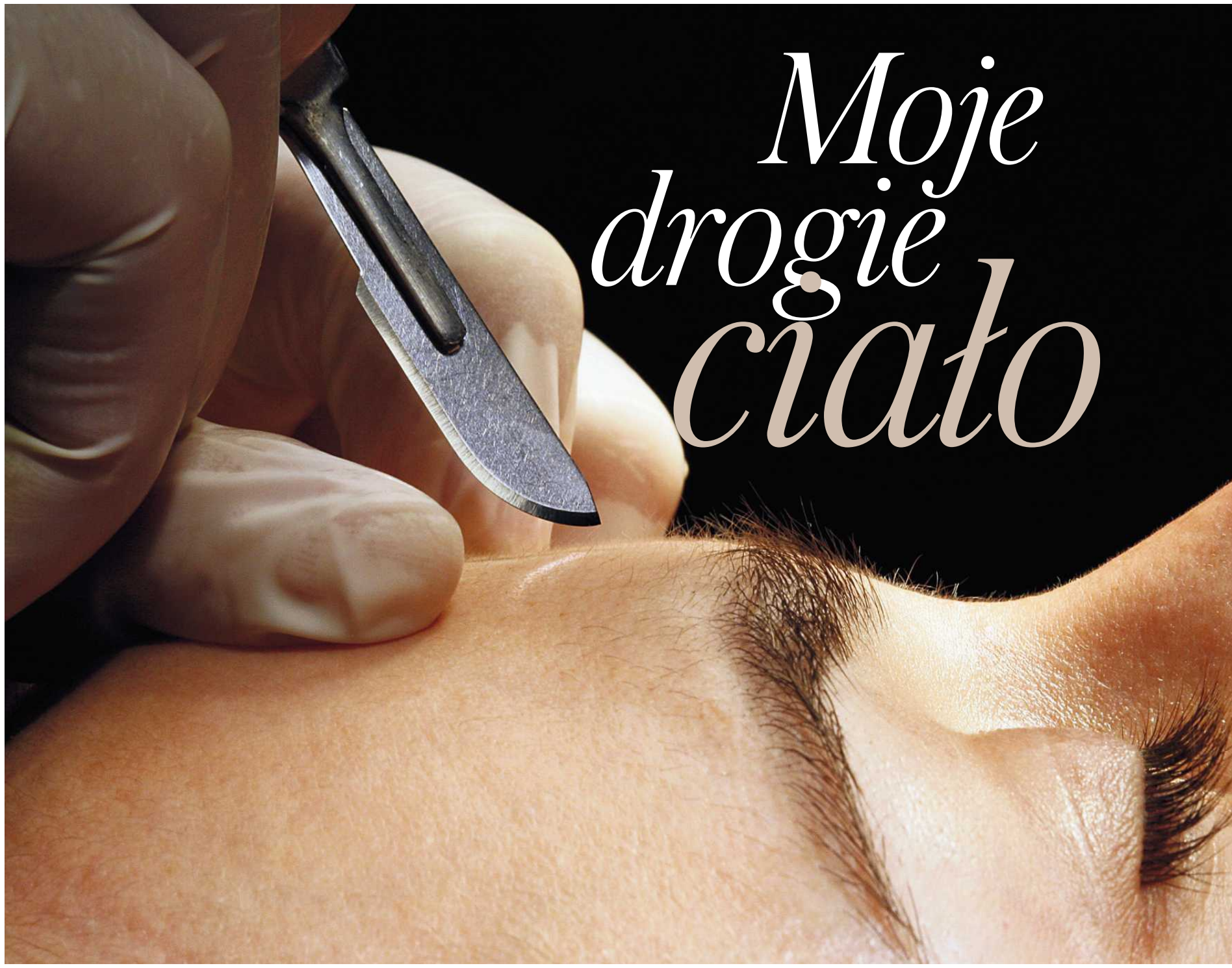
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **FJAKA, KLAPA I OJKANJE** **Alicja Dąbrowska** rozmawia z **prof. dr. hab. Maciejem Czerwińskim z UJ,** filologiem slawistą, literaturoznawcą, językoznawcą i tłumaczem, autorem opracowania **„Chorwacja. Dzieje, kultura, idee"**.

eprasa.pl 80cac0502a

KULTURA OBYCZAJE NAUKA



Moje drogie ciało

A potem człowiek myśli, że jak sobie zrobi taką twarz, takie usta czy taki odbyt, **to będzie miał piękne życie.**

Z **DOKTOR JOANNĄ KURMANOW,** CHIRURG PLASTYCZNĄ ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Gdybym chciała sobie u pani powiększyć piersi, o co by mnie pani najpierw spytała?
– Co pani w ogóle wie na temat implantów. Potem pokazałabym pani, jakie rodzaje mamy. Wybór jest duży: anatomiczne, przypominające naturalne piersi. Okrągłe, o różnych strukturach. Mniejsze, większe. Proszę sobie wziąć do ręki.

Jakie miłe w dotyku!
– Prawda? Potem spytałabym panią: „Czego pani oczekuje od zabiegu? Żeby wszyscy mówili, jakie ma pani ładne piersi? Czy jakie ma pani ładne implanty?”.

Najczęściej słyszę: „Chciałabym, żeby wyglądały naturalnie”. Wtedy ustalamy definicję tego słowa. Bo dla jednej pani „naturalnie” oznacza duże, sterczące piłki. A dla innej – małe piersi w kształcie łzy.

Jak już to ustalimy, przymierzamy implanty do ciała. Często kobiety chcą mieć je duże, bo „koleżanka ma takie”, bo „widziałam w internecie”. A kiedy proponuję im mniejsze, dopytują: „A dlaczego?”.

Wyjaśniam wtedy, że implanty dopasowuje się do konkretnej osoby: jej sylwetki, ale też etapu i stylu życia. Ważne jest, czy kobieta już rodziła, czy w ogóle planuje dzieci, czy ćwiczy, jaka jest jakość jej tkanek, i tak dalej.

Powiedzmy, że przychodzi trzydziestoparolatka, która mówi, że chce mieć duże implanty, bo całe życie miała płaską klatkę piersiową, ale dwójkę dzieci już odchowała, więcej mieć nie chce. Tłumaczę wtedy, że jasne, możemy to zrobić, jeśli jednak wejdzie w okres menopauzy, to musi bardzo uważać na wahania wagi.

Bo co się może stać?
– Przybędzie jej tkanki tłuszczowej, ubędzie mięśniowej, co zmieni całą sylwetkę i kształt piersi też. I jeśli ta pani nie wdroży treningu oporowego, siłowego albo nie będzie chociaż dźwigać zakupów, najlepiej na 10. piętro, to jej piersi będą wyglądały na przykład tak [doktor Kurmanow pokazuje dwa zdjęcia].

Na pierwszym zdjęciu pacjentka jest tuż po zabiegu. Jej piersi już są dość duże. A tu kilka lat później, kiedy w okresie menopauzy przytyła ponad 10 kg.

Tu już są bardzo duże.
– No więc właśnie. Dobierając implanty, czy w ogóle robiąc jakąkolwiek operację plastyczną, nie możemy patrzeć tylko na „tu i teraz”.

Co się dzieje z takimi implantami po 15, 30 latach?
– Nic nie jest wieczne. Obecnie producenci mówią, że są na jakieś 10 lat, choć mam pacjentki, które mają je zdecydowanie dłużej – 15 i 17 lat. I nic złego się nie dzieje. Wiele jednak, jak wspomniałam, zależy od stylu życia.

Proszę zobaczyć, na tym zdjęciu jest pacjentka, której włożyłam implanty 14 lat temu. Nadal wyglądają bardzo dobrze, ale ona regularnie ćwiczy, zdrowo się odżywia. Po prostu dba o siebie.

Czy implanty się wymienia?
– Oczywiście, jeśli na przykład dojdzie do pęknięcia, rotacji, przemieszczenia czy przykurczu torebki łącznotkankowej.

Zdarza się też – choć bardzo rzadko – chłoniak związany z implantami piersi. Do tej pory odnotowano jakieś 1600 przypadków na świecie.

A gdybym miała 18 lat i chciała powiększyć piersi?
– To nie u mnie. Ja operuję pacjentki powyżej 22.-24. roku życia. Uważam, że do podjęcia takiej decyzji trzeba mieć dojrzałość emocjonalną.

Miałam kiedyś taki przypadek. Matka, sama po operacji plastycznej, przyprowadziła szesnastoletnią córkę, którą zostawił partner, bo „miała małe piersi”. Odmówiłam. Stwierdziła, że rujnuje życie jej córce.

Myśli pani, że ta dziewczynka mogłaby żałować?
– Nie wiem. Pytanie, dlaczego ona to robiła. Dla siebie? Dla tego chłopaka? A może dla tej mamy?

W Stanach Zjednoczonych operacje z implantami silikonowymi ze względów estetycznych można przeprowadzać od 22. roku życia. Wcześniej tylko po mastektomii, urazie lub przy wadzie wrodzonej.

Jak poczytamy o psychologii rozwoju, to się dowiemy, że akceptacja siebie i własnego ciała kształtuje się znacznie dłużej niż te 16 lat.

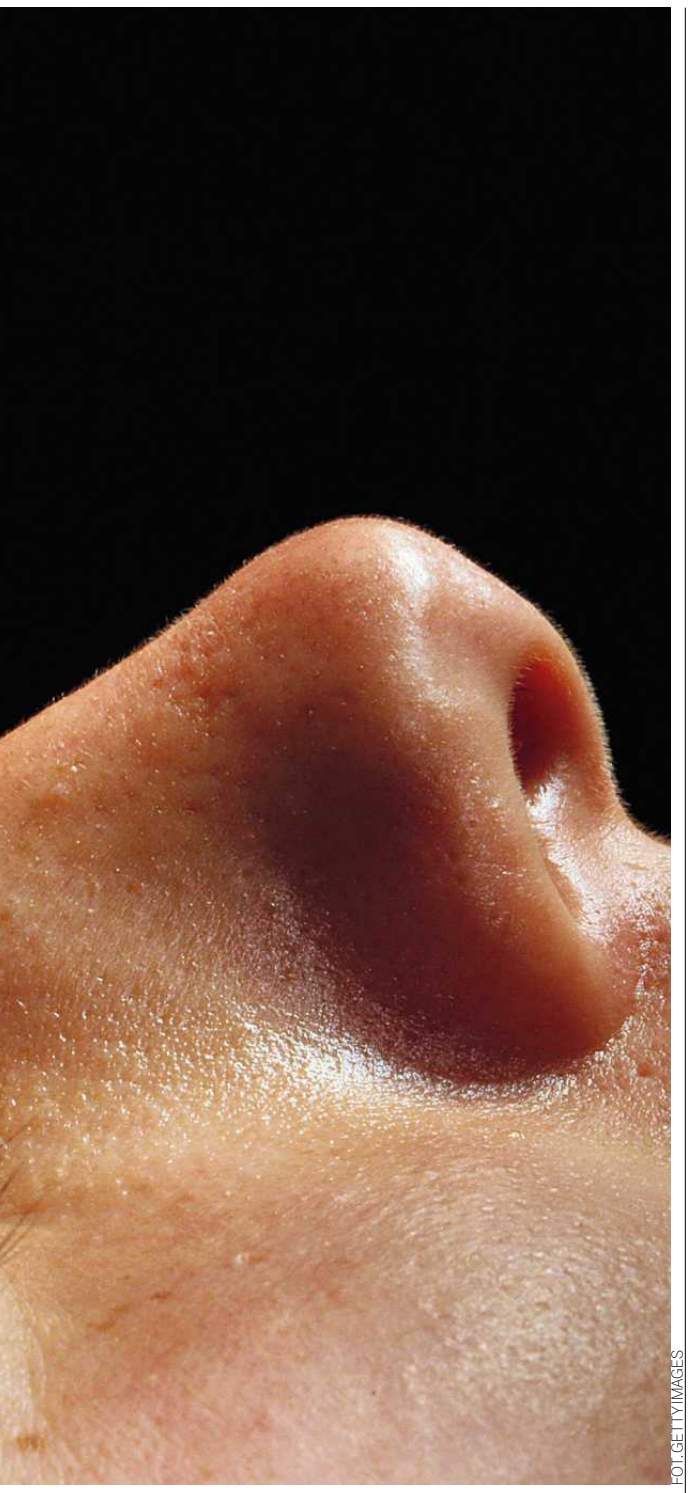
Moje zasady są takie, inni lekarze mają inne.

Byłam ostatnio w Turcji na szkoleniu dla chirurgów plastycznych. Mają tam duże doświadczenie. Podejmują się operacji obarczonych olbrzymim ryzykiem, a unijne prawa tam nie obowiązują. Od zeszłego roku władze tureckie mają listę certyfikowanych klinik, ale co pani zrobi, jak wróci pani do Polski i będzie mieć 40 stopni gorączki, a z rany będzie się sączyć ropa? Poleci pani z powrotem do Turcji?

Raczej pójdę do najbliższego szpitala.
Były takie przypadki.
– I będą panią ratować. Na NFZ.

I co na tym szkoleniu w Turcji?
– Tam, skądinąd bardzo sprawny chirurg, włożył olbrzymie implanty młodej, bardzo szczupłej dwudziestotrzyletniej dziewczynie. O, takie.

eprasa.pl 80cac0502a



FOT. GETTY IMAGES

Jest taki trend, który wśród mężczyzn nabiera ostatnio rozpędu: „looksmaxxing”. Bardzo zresztą niepokojący.

O matko!
– Dwa lata wcześniej włożył jej mniejsze implanty, wielkości 250 ml. Ale pacjentka wróciła, bo zapragnęła mieć dwa razy większe. I on jej to zrobił. Ja bym się nie zgodziła. Bo co będzie z tymi piersiami za rok, dwa, dziesięć? Nie mówiąc o tym, jaki to ciężar.

U mnie konsultacje przed zabiegiem są nawet trzy. Potem jeszcze kieruję pacjentki na rozmowę z panią psycholog.

Zawsze?
– Dwa razy tego nie zrobiłam i żałuję. Mimo doświadczenia nie zauważyłam „czerwonej flagi”.

Psycholog, z którą współpracuję, ma więcej czasu, żeby przyjrzeć się dokładnie motywacjom pacjentki. No i jest w tym specjalistką.

Co dla pani jest taką „czerwoną flagą”?
– Jedną z nich jest to, kiedy pacjentka przychodzi z mężem lub partnerem i pyta: „Czy mąż może wybrać implanty?”. Wtedy delikatnie proszę, żeby poczekał na zewnątrz, bo najpierw muszę zebrać wywiad, dopytać pacjentkę o ewentualne choroby, porody, oczekiwania.

A kiedy drzwi gabinetu się zamkną?
– Tłumaczę jej, że to poważny zabieg operacyjny i że to ona będzie ponosić jego konsekwencje.

Mówię: „Pani partner czy mąż może się zmienić. A co, jeśli ten następny będzie chciał, żeby miała pani jeszcze większe piersi? Albo mniejsze? Podda się pani kolejnej operacji?”.

To jest coś, czego nauczyłam się przez te ostatnie dwadzieścia kilka lat: że takie decyzje trzeba podejmować samodzielnie, niezależnie od opinii partnera.

Jak reagują mężczyźni, którzy chcą decydować, a pani każe im czekać?
– Zdarza się, że się obrażają. Bywają agresywni. Trzaskają drzwiami, bo „ja chcę”, „ja płacę”, bo „specjalnie wziąłem wolne z pracy”. Proszę spytać w rejestracji, ile tu takich sytuacji było.

Z kolei, gdy przychodzą młode pacjentki, by powiększyć piersi, a w planach mają dzieci, zachęcam je, by zrobiły to dopiero, jak już wszystkie dzieci będą w domu. Bo w trakcie ciąży różne rzeczy mogą się z tymi piersiami dziać: powiększą się, skóra się rozciągnie, potem jest karmienie, okres po ciąży i tak dalej.

A czy taką „czerwoną flagą” może być na przykład myślenie: „jak już będę mieć te nowe piersi, to moje życie się wreszcie odmieni”?
– Wtedy mówię wprost, że chirurgia plastyczna życia nie odmienia: mąż nie wróci, lepszej pracy się nie dostanie.

Zresztą, badania pokazują, że chirurgia plastyczna jest fajna tylko przez pierwszy, drugi rok po operacji. Później człowiek się przyzwyczaja. To tak, jakby kupiła sobie pani nowego Mercedesa. Na początku jest super, chwali się nim pani, a później staje się to już zwyczajne. I ja się cieszę, kiedy pacjentki uznają, że te nowe piersi są już dla nich normą. To znaczy, że czują się z nimi dobrze.

Choć, muszę przyznać, że miałam dwie takie panie, które po operacjach naprawdę odżyły: jedna miała mocno zdeformowaną klatkę piersiową, druga – podłużne piersi, tzw. snoopy breast. One cały czas mają radość z tej zmiany, bo wcześniej te ich piersi były powodem dużego cierpienia.

W jakiej sytuacji by pani jeszcze odmówiła?
– Kiedy pacjentka przychodzi ze zdjęciem na przykład jakiejś gwiazdy i mówi: „Chcę mieć DOKŁADNIE tak”. Zapala mi się wtedy czerwona lampka, że ta osoba może w ogóle nie brać pod uwagę tego, że ma zupełnie inną sylwetkę i takich samych piersi nie da się u niej zrobić. Albo może być to obarczone dużym ryzykiem.

Na marginesie, każda operacja wiąże się z ryzykiem. Powikłania zawsze mogą wystąpić.

Rozumiem, że pacjentki muszą podpisać zgodę, że są tego świadome?
– Omawiam to z nimi, a do domu dostają jeszcze „Formularz zgody na zabieg operacyjny z zakresu chirurgii plastycznej”. Proszę zobaczyć, ile tego jest.

14 stron. Co tu mamy?
– Wymienione są tu możliwe czynniki ryzyka, jak i potencjalne powikłania. Na przykład: przykurcz torebki, pęknięcie implantu, wypchnięcie protezy na zewnątrz oraz wiele innych.

Co jest bezwzględnym przeciwwskazaniem do operacji plastycznej?
– Nieleczona cukrzyca, nieleczone nadciśnienie, zaburzenia gospodarki hormonalnej – niedoczynność czy nadczynność tarczycy. Palenie papierosów, bo zaburza gojenie się ran. Nieprawidłowa morfologia, zaburzenia krzepnięcia krwi. Uczulenie na któryś z leków podawanych przy sedacji. Aktywna infekcja. To te najważniejsze.

Zasadniczo operacje plastyczne planowe robi się u zdrowych osób. To nie jest chirurgia ratująca życie. Pacjentka musi przed zabiegiem dostarczyć komplet badań.

A co niepożądanego może się wydarzyć po operacji?
– Zakażenie rany, rozejście się blizny operacyjnej, krwawienie.

Dawno temu przyjechała do mnie kobieta na operację wszczepienia implantów. Po zdjęciu szwów wszystko wyglądało pięknie. Wróciła do domu. Po dwóch dniach dzwoni i mówi, że z jednej i drugiej strony rozeszły się jej blizny. Wysyła zdjęcia. Jak to zobaczyłam, krzyknęłam: „Jezu, proszę natychmiast przyjechać”.

Przyjechała, powiedziałam jej, że od razu te implanty wyciągamy. Ale się nie zgodziła. Dosłownie mi uciekła. Dzwoniłam, nie odbierała. W końcu odebrała. Skierowałam ją do innego lekarza w jej mieście i zaoferowałam, że za wszystko zapłacę, tylko niech natychmiast zgłosi się po pomoc. Poszła, ale tam też nie zgodziła się na usunięcie implantów. Lekarz tylko założył szwy. Wiadomo było, że dobrze się to nie skończy. Po czterech tygodniach trafiła na stół operacyjny.

Popełniła pani jakiś błąd podczas operacji?
– Na początku tak myślałam. Zachodziłam w głowę, co tam się mogło wydarzyć. Później się okazało, że tuż po zdjęciu szwów partner tej pani tak mocno ją ścisnął w miłosnym uniesieniu, że tkanka się rozerwała.

Zawsze powtarzam pacjentkom: rekonwalescencja jest szalenie ważna, a zabieg nie kończy się wraz z usunięciem ostatniego szwu.

Zabieg to proces. Najpierw jest konsultacja przedoperacyjna, gdzie poznaję pacjentkę, a ona mnie i nawiązujemy wzajemne zaufanie. Potem sama operacja. A później opieka pooperacyjna, kiedy jestem dla swoich pacjentek 24 godziny pod telefonem aż do usunięcia szwów, czyli przez jakieś dwa tygodnie.

I zdarza się, że pacjenci piszą albo dzwonią – w środku nocy albo nad ranem, żeby rozwiać wątpliwości. Kiedyś po północy zadzwoniła pacjentka po operacji uszu, że ją strasznie boli i że krwawi. Pomyślałam: „Matko, co tam się stało?”. Załatwiłam szybko salę operacyjną. Zadzwoniłam do niej – nie odbiera. Myślę: Umarła. Wreszcie o 5.00 nad ranem odebrała. Powiedziała, że zasnęła i że właściwie czuje się już lepiej.

Czy są jakieś zabiegi, których pani nie wykonuje?
– Na przykład BBL („Brazilian Butt Lift”), czyli przeszczep tłuszczu własnego w pośladki.

To jest zabieg, po którym jest najwięcej powikłań, ale też zgonów. Nawet jedna śmierć na trzy tysiące operacji, jak informuje Brytyjskie Towarzystwo Chirurgów Plastycznych i Estetycznych (BAAPS).

Najpierw odsysają pani tłuszcz zewsząd, z podbródkiem włącznie, a potem wstrzykują go pani w pośladki. Częściowo ulega on tam wchłonięciu, a częściowo martwicy, przez co ta pupa staje się miejscami twarda i nierówna.

W miarę upływu czasu zostanie w niej masa tłuszczu. Mięśni tam raczej nie będzie, bo osoby, które się na to decydują, rzadko ćwiczą. Starzenie się będzie postępować i to wszystko będzie tak opadać.

Pokazała mi pani zdjęcia popularnej szwedzkiej influencerki z taką ogromną pupą. Ma 27 lat i już ledwo chodzi.
– Pytanie, jak będzie się poruszać w wieku lat 40 czy 50. I jak jeszcze zapłaci za ten zabieg, bo wykonuje się go stosunkowo krótko i nie znamy wszystkich jego konsekwencji.

Kolumbijski chirurg plastyczny Alfredo Hoyos z kolei znany jest z anatomicznego, powierzchownego „rzeźbienia” ciała – brzucha, pleców, ramion. Odsysa tłuszcz w jednych miejscach, w innych zostawia go więcej i modeluje tak, żeby pokazały się zarysy mięśni. O takich zabiegach wykonanych na brzuchu mówi się „fake abs”.

Czyli taki sztuczny „sześciopak”?
– Dokładnie. Na początku to wygląda super. Ale później, w miarę jak pacjent się starzeje, a szczególnie jak przytyje, to na tym brzuchu zamiast tego „kaloryfera” robią się takie „kiełbaski”. Brzuch wygląda nienaturalnie, a pacjent nie jest zachwycony swoimi „fake abs”, bo te niby mięśnie są miękkie w dotyku. Dotykałam ich i powiem pani, że jest to bardzo dziwne uczucie...

Była też kiedyś u mnie 60-letnia pacjentka po bardzo agresywnej liposukcji zrobionej w Stanach Zjednoczonych. Na brzuchu miała zostawiony praktycznie sam mięsień, jednak z czasem ta tkanka zaczęła się starzeć i marszczyć. Niestety, nie umiałam jej pomóc, bo miała tam skórę cieniutką jak pergamin. Jedy-



***Joanna Kurmanow**

• Specjalistka II stopnia z chirurgii plastycznej, rekonstrukcyjnej i estetycznej. Jako pierwsza i jedyna w Polsce wprowadziła prehabilitację do chirurgii plastycznej. Edukuje o świadomej chirurgii plastycznej, menopauzie i zdrowym starzeniu, pokazując na własnym przykładzie znaczenie aktywności fizycznej, odżywiania i redukcji stresu

eprasa.pl 80cac0502a

ne, co ewentualnie wchodziło w grę, to mikroprzeszczepy tłuszczu, ale to też by było ryzykowne.

Czyli najpierw się ten tłuszcz wysysa, a potem trzeba by go było wcisnąć z powrotem?
– Nie mówiąc o tym, że kobietom trochę tej tkanki tłuszczowej jest potrzebne. Ma to wpływ na całą ich gospodarkę hormonalną. Pacjentki kompletnie pozbawione tłuszczu są narażone na wcześniejszą menopauzę.

Inny modny zabieg to „deep plane", czyli głęboki lifting twarzy. Jego też pani nie wykonuje. Dlaczego?
– Kiedyś robiłam liftingi, aż w pewnym momencie kobiety przerzuciły się na „wypełniacze", bo jak tu i tam się napompowało, to ładnie wyglądało. Aż któregoś dnia przyszła do mnie pacjentka na lifting. Niestety, ukryła przede mną, że wcześniej miała robione jakieś zabiegi na twarz.

A taki kwas hialuronowy na przykład miał się rozpuszczać w pół roku, a tak naprawdę jego cząsteczki pozostają w tkankach i po 10, i po 15 lat, powodując niekiedy przewlekłe stany zapalne. Podobnie jak inne preparaty – aquamid czy PMMA.

Cały czas ktoś próbuje znaleźć jakąś substancję, która przywróci i zachowa młodość. Był kiedyś zresztą taki preparat o nazwie Macrolane – usieciowany żel kwasu hialuronowego, który stosowano w zabiegach powiększania piersi, pośladków, łydek.

Po jakimś czasie się z niego wycofano, bo okazało się, że tworzy torbielowate zbiorniki, grudki i mikrozwapnienia. Trzeba to było rozbijać, a radiolodzy mieli problem, żeby ustalić, czy to nowotwór, czy coś innego.

Wrócimy do wątku tych preparatów. Ale co z tą pacjentką?
– To był mój ostatni lifting. Jak zaczęłam ją operować i odkryłam, że w tkankach twarzy znajduje się dużo różnych preparatów, to się wystraszyłam.

Operacja na takiej twarzy jest niebezpieczna: grozi martwicą tkanek, porażeniem nerwów. Wymaga ogromnej wprawy i czujności. Zabieg trwał pięć godzin i to było pięć godzin mojego stresu. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, ale powiedziałam sobie, że to nie jest warte moich nerwów.

Uważam, że w chirurgii plastycznej trzeba mieć swoją działkę i wyrobioną w niej rękę. Nie da się robić wszystkiego. Więc jak słyszę, że jakiś chirurg, nie plastyk, ale na przykład specjalista chirurg proktolog, robi liftingi typu „deep plane", bo „pasjonuje się chirurgią plastyczną", to mi ręce opadają.

Ja się specjalizuję w operacjach plastycznych piersi, brzuchów na przykład po ciąży, powiek, uszu i w labioplastyce [operacji warg sromowych].

Ale jeśli zgłasza się do mnie pacjentka, która ma gigantomastię, czyli przerost piersi, to podpowiadam jej, jak znaleźć taki zabieg na NFZ, bo jej się to po prostu należy. Podobnie jak pacjentkom po nowotworach lub urazach.

Jeśli zaś przychodzi do mnie pacjentka albo pacjent z dużą nadwagą na przykład na operację brzucha, staram się ich przekonać, żeby najpierw zadbali o siebie. I niekoniecznie od razu Ozempikiem, ale zmieniając styl życia – dbając o odpowiednie odżywianie, ćwiczenia, sen i naukę radzenia sobie ze stresem. Bo bez zmiany nawyków takie operacje mijają się z celem.

Pacjenci zawsze mogą pójść do innego lekarza.
– Oczywiście i znajdą go bez problemu. Wysłałam pani zresztą link do programu, w którym pewien lekarz przyjął trzynastolatkę na liposukcję brzucha i jeszcze jej naubliżał od prosiaków.

Swojego czasu zabiegi nieoperacyjnego powiększania piersi robiła w Poznaniu pani stomatolog.



FOT. GETTY IMAGES

– To była głośna sprawa z preparatem o nazwie „aquafilling" – żelem, który w 98 procentach składał się z soli fizjologicznej, a w dwóch procentach z poliakrylamidu, czyli plastiku. Reklamowano go jako preparat wchłanialny – w ciągu pięciu lat miał zostać wydalony przez nerki, tak się jednak nie działo. Okazało się, że przemieszcza się daleko poza miejsce podania – do pachwin, ramion; niszczy powięź, mięśnie.

Błędem było dopuszczenie tego preparatu na rynek Unii Europejskiej, no ale przez kilka lat tego typu zabiegi robiło wielu lekarzy, również chirurdzy plastyczni.

Oficjalnie „aquafilling" w Polsce wycofano w 2020 roku, ale mleko się rozlało i wiele pacjentek zostało okaleczonych. Niektóre musiały się poddać amputacji piersi.

Miała pani pacjentki po takich zabiegach?
– Do dziś przychodzą. Usunięcie tego żelu w całości nie jest możliwe. Niektóre pacjentki mają po nim bardzo zdeformowane piersi, więc chcą założyć sobie implanty, żeby jakoś wyglądać. Nie podejmuję się tego, bo za rok, dwa może się w tych piersiach rozwinąć kolejny stan zapalny i trzeba będzie te implanty wyciągać.

Dziś usuwaniem tego toksycznego preparatu oraz leczeniem jego następstw zajmują się wybrane szpitale. Ogromne zasługi ma tu profesor Noszczyk ze Szpitala Orłowskiego i dr Elżbieta Radzikowska z MSWiA w Warszawie.

Powtarzam, żaden zabieg, a zwłaszcza taki nowy, modny nie jest całkowicie bezpieczny. Dlatego ja wolę robić takie, które zostały już sprawdzone, przetestowane przez lata, a przede wszystkim takie, które przyniosą długotrwały rezultat dla pacjenta. Sprawią, że jego ciało będzie wyglądać naturalnie i harmonijnie.

I taki trend w chirurgii plastycznej zaczyna się wykluwać. Dobry zabieg to taki, którego nie widać, o którym wie pani i pani najbliżsi. Choć oczywiście jest też trend przeciwny, czyli te karykaturalne pośladki, lisie oczy czy ogromne piersi.

Przed naszym spotkaniem pokazała mi pani projekt sprzed kilku lat zatytułowany „New kind of beauty". Fotograf Philip Toledo sfotografował osoby w różnym wieku, które poddały się wielu zabiegom chirurgii plastycznej oraz medycyny estetycznej. Oglądając te zdjęcia, pomyślałam, że żyjemy w czasach, gdzie takie zabiegi są po prostu dostępne i ludzie mogą z nich korzystać, jeśli chcą. Być może w ten sposób tworzy się jakiś nowy rodzaj piękna?
– Oczywiście, każdy ma prawo chcieć, ale lekarz jest po to, żeby nie szkodzić.

Czyli to lekarz powinien postawić granice?
– Moim zdaniem tak. Dlatego współpracuję z psychologiem. Bo osób, które chcą coś w sobie zmienić, jest coraz więcej, a motywacje są coraz różniejsze i niekoniecznie zdrowe.

Kiedyś porównywała się pani z koleżanką czy aktorką z telewizji. Dziś może się pani porównywać z połową świata. A wygląd dla wielu osób stał się czymś absolutnie kluczowym.

Kiedy kilka lat temu w jednej ze śniadaniówek występowałam razem z pierwszą „polską Barbie" – młodą dziewczyną, która za pomocą operacji plastycznych chciała się upodobnić do lalki – pomyślałam, że może to jest wyjątek. Oto młoda kobieta, bardzo zresztą pewna siebie, wierzy, że modyfikując ciało i twarz, może dzięki temu coś osiągnąć i nie ogląda się na konsekwencje.

Ale proszę mi wierzyć, że ta dziewczyna przy dziewczynach, z którymi wystąpiłam w podobnym programie kilka dni temu, wyglądała naturalnie.

Jedna z nich, popularna influencerka, zrobiła sobie w zamian za reklamę w swoich mediach społecznościowych operację w tureckiej klinice, gdzie dostała zakażenia i prawie przez to zmarła. Co zresztą nie powstrzymało jej przed robieniem sobie kolejnych operacji.

Zaskoczyło mnie też, w jaki sposób zostały powitane te panie w programie.

W jaki?
– Jako ktoś wart naśladowania? Ja miałam być niby tym głosem rozsądku, ale nie wiem, czy to się w ogóle przebiło.

Od lat programy typu „reality show" oraz konta celebrytów z takich programów tylko napędzają niezadowolenie ze swojego wyglądu i chęć radykalnej zmiany.

Rozmawiałyśmy wcześniej o różnych modach w zabiegach na ciało. Myślę, że ten mechanizm często wygląda tak: lekarze albo producenci urządzeń kosmetycznych czy medycznych wymyślają coś, na przykład wybielanie odbytu.

Później to trafia do internetu i influencerek, które taki zabieg reklamują, a potem algorytm podrzuca to na przykład młodej dziewczynie, która jest przed swoim pierwszym razem i nabiera przekonania, że nikt jej nie zechce, dopóki sobie tego odbytu nie wybieli.

Dziś rządzą zasięgi. Nie wiedza, doświadczenie czy realne osiągnięcia.

Liczy się wizerunek.
– I rzekome piękne życie. A potem ktoś myśli, że jak sobie zrobi taką twarz, takie usta czy taki odbyt, to też będzie je miał.

Doktor Brandt, znany dermatolog, który spopularyzował botoks i zabiegi hialuronowe, też niby miał piękne życie. Aż je sobie odebrał. Spotkałam go kiedyś na żywo i nie mogłam oderwać wzroku od jego twarzy. Sam poddał się wielu zabiegom i w wieku 60 lat nie przypominał już siebie.

Według badań jedna czwarta Polaków skorzystała z zabiegu medycyny estetycznej. Oczywiście procent osób, które poddały się zabiegom chirurgicznym, jest mniejszy. Niemniej jednak widać, że chcemy się zmieniać i że coraz częściej robią to osoby młodsze, w wieku 18-29 lat.
– Jak słyszę, że lekarze, nawet chirurdzy plastyczni, „ostrzykują" 18-latki w ramach „prewencji zmarszczek", to mam ochotę ich spytać: „A gdzie te dziewczynki mają zmarszczki? I kiedy będą je mieć?".

I czy trzydziestoletnia kobieta naprawdę musi się poddać operacji powiek? Ja nie widzę wskazań, a kiedy do mnie przychodzą takie osoby, to proszę je, żeby wróciły za 15 czy 20 lat.

Co innego, kiedy przyjdą rodzice z dzieckiem z bardzo odstającymi uszami. Jeśli jest ono w miarę dojrzałe i ewidentnie samo tego chce, to taki zabieg przeprowadzę. Ale kiedy mówi mi, że jemu to w sumie nie przeszkadza, tylko rodzice naciskają, to zapraszam ich dopiero, jak dziecku się odmieni.

Przyjmują to?
– Jedni tak, inni nie. Zresztą zadzwoniła do mnie kiedyś pewna mama z pytaniem, czy operuję uszy u dzieci. Odpowiedziałam, że tak, i spytałam, w jakim wieku jest dziecko. Miało trzy miesiące...

Moim zdaniem dobrego chirurga definiuje jego osąd: kiedy ma operować, kiedy się zatrzymać, a kiedy powiedzieć „nie". I tego się trzymam.

Mówiłyśmy o tym, że media społecznościowe oddziałują na pacjentów, ale na lekarzy również. Szczególnie tych młodych.

Co ma pani na myśli?
– Wyobraźmy sobie, że tak młody chirurg plastyk, świeżo po specjalizacji, który zdążył już trochę nasiąknąć wszechobecnym konsumpcjonizmem, wchodzi na Instagrama i widzi konto starszego kolegi, skądinąd dobrego chirurga, który w mediach społecznościowych pokazuje swoje życie. W tym ekskluzywne samochody, wspaniały dom, egzotyczne wakacje. Młody lekarz może sobie wtedy pomyśleć: „Rany, ile to można »siana« zarobić!". A kiedy przyjdą do niego pacjenci, to już się nie będzie zagłębiał w ich motywacje, bo dlaczego miałby się pozbawiać zarobku? Jeśli pacjentka chce ogromne piersi, to jej takie zrobi. Jeśli będzie chciała jakąś mało przebadaną substancję, to jej ją zaaplikuje.

Zresztą nie tylko młodym zdarza się takie podejście. Doświadczonym też. W tej branży jest ogromna kasa.

Chcę jeszcze spytać o tych pacjentów, którzy ciągle chcą sobie coś poprawiać. Niedawno miałam wypadek i założono mi wiele szwów na twarzy oraz wewnątrz ust. To boli, długo się goi, blizny trzeba ciągle smarować. Zastanawiałam się, jaką trzeba mieć motywację, żeby się na to dobrowolnie zdecydować. A potem jeszcze raz i jeszcze.
– Jeśli ktoś ciągle chce coś poprawiać, to znaczy, że cierpi na zaburzenie zwane dysmorfofobią. Takich pacjentów się nie operuje, tylko trzeba im pomóc i pokierować ich do psychologa albo do psychiatry. Dlatego chirurg musi mieć czas, żeby móc to wyłapać.

Ale tak jak mówię, dziś powiedzenie „nie" jest coraz rzadsze. Bo ktoś na przykład wybudował piękną klinikę albo dwie, wziął na nie kredyt i teraz musi go spłacić.

eprasa.pl 80cac0502a

Słyszę też o dobrych chirurgach plastykach, którzy, jak przychodzi do nich pacjentka na korektę nosa, proponują: a może jeszcze oczy zrobimy? Albo usta? Żeby to ładnie ze sobą współgrało?

- Ja jestem starej daty. Jak przychodzi pacjent czy pacjentka, to pytam: „W czym mogę pani, panu pomóc?".

Kto właściwie może przeprowadzać operacje plastyczne oraz zabiegi związane z naruszeniem ciągłości skóry?
– Wszyscy.

Żartuje pani teraz?
– Mówię poważnie, wszyscy. Wszyscy z tytułem lekarza medycyny, czyli od razu po studiach. A także ginekologa, proktologa, onkologa, stomatologa też. Sama pani wspomniała o dentystce, która powiększała piersi.

Dziś lekarze po jednodniowych szkoleniach robią na przykład zabiegi z labioplastyki. A fryzjerzy i kosmetyczki wstrzykują kwasy hialuronowe i botoks. Mimo że prawo jasno mówi, że może to robić wyłącznie lekarz.

A czy pani wierzy, że na przykład lekarz proktolog może się nauczyć labioplastyki w jeden dzień?
– A pani?

Ja się na tym nie znam.
– Powiem tak, trafiają do mnie pacjentki z poważnymi powikłaniami po labioplastyce zrobionej nawet przez lekarzy ginekologów.

Wargi sromowe są często za mocno przycięte, potem pacjentki mają problem z oddawaniem moczu, ze współżyciem. Tworzą się im grube zbliznowacenia, czasem tracą czucie. Czasem trzeba zrobić rekonstrukcję. Chirurg plastyczny wie, jak tę skórę należy przyciąć, jak się potem te tkanki obkurczają i tak dalej.

Jeśli do mnie przychodzi kobieta na taki zabieg, to najpierw ją pytam: „Czy będzie pani mogła poleżeć po zabiegu przez 10-12 dni i wentylować ranę? Bo jeśli nie, to go nie zrobię".

Czyli jeśli sama chciałaby pani zrobić sobie taki zabieg, to poszłaby pani wyłącznie do chirurga plastyka?
– I to takiego, który się na tym zna. Najchętniej do kobiety. Podobnie, gdybym miała zrobić sobie blefaroplastykę, czyli operację powiek – tylko u chirurga plastyka.

Chciałabym też, żeby to zostało zrobione w sali operacyjnej, a nie zabiegowej. W sedacji, z udziałem anestezjologa, pielęgniarki anestezjologicznej. Żeby był tam tlen, kroplówka. W takich warunkach te zabiegi przeprowadzam u siebie, bo to są operacje.

Ale można inaczej. Kilka lat temu trafiła do mnie pacjentka po plastyce brzucha zrobionej przez lekarza bez żadnej specjalizacji w jednej z poznańskich „klinik medycyny estetycznej". Miała okropną bliznę, brzuch był całkowicie do poprawki. Dobrze, że w ogóle przeżyła. Poszkodowanych było więcej, sprawa wyszła na jaw. Nie wiem, co się stało z tym lekarzem, ale klinika istnieje nadal. Ma piękną stronę w internecie.

Prawo mówi, że lekarz ginekolog po krótkim szkoleniu może robić labioplastykę, okulista – blefaroplastykę. Ofert takich szkoleń jest w tej chwili mnóstwo. Pani twierdzi, że takie zabiegi powinien robić chirurg plastyk. Ktoś powie, że chce pani lekarzom innych specjalizacji odebrać chleb?
– Nikomu nie chcę nic odbierać. Rynek pokazuje, że to się nie wydarzy. Wyrażam tylko swoje zdanie i staję po stronie pacjentów. Bo oni często nie przyznają się do tego, że coś poszło nie tak. Ze wstydu. I potem po cichu, a często po omacku, szukają pomocy.

Co by pani poradziła osobie, która chce znaleźć miejsce, gdzie by mogła się poddać takiemu zabiegowi?
– Na pewno nie wybierałabym takiego miejsca na podstawie „Instagrama". Dlatego że pięknie i nowocześnie wygląda albo bo reklamuje je ktoś znany. Konsultacje powinny się odbyć w cztery oczy, nie online.

Uważałabym też na takie chwyty jak: „Uwaga, promocja!", „Dwa w cenie jednego!", „Taniej niż gdzie indziej". Ale też na tekst: „O, pojutrze mam wolny termin. To co, robimy?".

Co w tym w sumie złego?
– Powinna mieć pani czas na przemyślenie tej decyzji, bo to nie są zakupy. Nie zwróci pani później „towaru".

Warto też spytać wprost: jaką pan, pani ma specjalizację? I wiedzieć, że po studiach medycznych nie ma takiej specjalizacji jak „medycyna estetyczna". Ten tytuł uzyskuje się wyłącznie na kursach komercyjnych. Dobrze też spytać o doświadczenie? Oraz o to, jak długo pan, pani obserwuje pacjentki po zabiegu? I co się dzieje w razie powikłań? Bo dobry lekarz przechodzi przez nie razem z pacjentem.

No i nie zdecydowałabym się na zabieg, jeśli lekarz zaproponowałby mi wiele procedur w trakcie jednego znieczulenia.

Dlaczego?
– Bo im dłuższy czas trwania operacji, tym większe ryzyko zakrzepicy, zatoru czy wychłodzenia.

Jak wygląda specjalizacja z chirurgii plastycznej?
– Nie do końca wiem, jak jest dzisiaj. Ale mogę powiedzieć, jak to wyglądało, kiedy ja ją robiłam, te ponad trzydzieści lat temu.

Chirurgiem plastycznym chciałam zostać po tym, gdy w wieku lat pewnie dziewięciu obejrzałam australijski serial „Powrót do Edenu".

Pamiętam, że głównej bohaterce Stephanie Harper krokodyl odgryzł połowę twarzy...
– ...a potem przystojny chirurg plastyczny o nazwisku Marshall jej tę twarz zrekonstruował. Pomyślałam wtedy: jak fajnie można pomagać ludziom!

Pierwszą specjalizację, z chirurgii ogólnej, robiłam na oddziale chirurgii urazowej i leczenia oparzeń w Poznaniu. Drugą specjalizację, już z chirurgii plastycznej – we Wrocławiu, bo tam była fajna ekipa, a w Poznaniu w ogóle nie było takich możliwości. W międzyczasie jeździłam się doszkalać do Anglii.

Egzamin specjalizacyjny z chirurgii plastycznej zdawałam w trzecim miesiącu ciąży. Po urodzeniu córki jeszcze przez jakiś czas pracowałam w szpitalu, na urazówce. Aż któregoś dnia przyniosłam do domu bakterię szpitalną i córka poważnie zachorowała. Groził jej ropień mózgu. Wtedy stanęłam przed decyzją: albo szpital, albo rodzina. Wybrałam rodzinę i na początku lat dwutysięcznych zaczęłam pracować prywatnie. Nigdy nie chciałam otwierać własnej kliniki.

Szkoli się pani?
– Cały czas. W tym roku byłam na czterech czy nawet pięciu zjazdach. W sumie mam za sobą dziesiątki szkoleń. Im człowiek starszy, tym większej pokory nabiera do swoich możliwości. Poza tym warto się spotykać z innymi lekarzami, powymieniać doświadczenia. Zmieniają się też materiały, metody, nauka się cały czas rozwija.

Wie pani, ile jest na przykład metod operowania uszu?

Nie mam pojęcia.
– Dwa lata temu było ich dwieście. To oznacza, że nie ma jednej idealnej dla wszystkich. Bo chrząstka ma swoją pamięć, może odskoczyć czy zachować się w jakiś nieprzewidywalny sposób.

Czyli metodę dobiera się do człowieka?
– Zawsze! Podobnie jest z operacją piersi. Inna technika i inne implanty będą dla biegaczki, inne dla niesportowej kobiety.

Nie żałuje pani czasem, że nie została na tej urazówce?
– Czasami żałuję, ale już tam nie wrócę. Mam prawie 60 lat, a szpital to ostre dyżury i bardzo duże obciążenie psychiczne.

A jeśli pani żałuje, to czego?
– Tego, że poszłam w komercję. Ale w pewnym momencie wybrałam dom i dzieci. I tego absolutnie nie żałuję!

Oczywiście staram się tak uprawiać ten zawód, żeby być jak najbardziej pomocna pacjentom, choć to jednak nie to samo, jakbym pani zoperowała te blizny na twarzy. Patrzę na panią i już mam w głowie cały plan. Nie powiem jaki, bo nie po to pani przyszła.

Jak pani dziś patrzy na swoją branżę, to co panią najbardziej niepokoi?
– Są zabiegi, których ani sobie, ani swoim bliskim, ani pacjentom nigdy bym nie zrobiła. Takie, które są nieprzebadane, niepotrzebne albo bardzo krótko na rynku, jak na przykład to BBL czy wybielanie odbytu. Nie wstrzyknęłabym też żadnych substancji wypełniających.

A co mnie niepokoi najbardziej? Chyba to, że do samodzielnego przeprowadzania tak poważnych zabiegów biorą się osoby coraz młodsze, bez doświadczenia.

W jednym z pism branżowych ukazał się ostatnio ciekawy artykuł naukowy pt. „The Bold Surgeon Syndrome" [Syndrom Zuchwałego Chirurga], który jasno pokazuje rosnącą przepaść pomiędzy techniczną sprawnością a refleksyjnością.

Autorzy tego badania piszą, że „młodzi chirurdzy często przeceniają swoje umiejętności". „Krótkie komercyjne kursy szkoleniowe i brak ustrukturyzowanego mentoringu zachęcają do przedwczesnej samodzielności". A „media społecznościowe zwiększają pogoń za uznaniem kosztem ostrożności, podczas gdy systemy instytucjonalne często nie zapewniają ciągłego nadzoru".

- I jak widzę profil takiego młodego lekarza w internecie, który raptem rok czy dwa lat wcześniej skończył specjalizację, a ma tysiąc pozytywnych opinii, to zachodzę w głowę, skąd on wziął tylu pacjentów w tak krótkim czasie?

Podejrzewam, że dla niego pacjentka to są „piersi" albo „brzuch". A operacja to nie jest trend. To nie jest produkt. To jest decyzja na lata.

Kiedyś – wydaje mi się – łatwiej było nie czuć się Bogiem.

Ma pani na myśli tych zbyt pewnych siebie lekarzy?
– Tak. Trzeba było przejść pewną ścieżkę. Najpierw się asystowało przy zabiegach. Później przeprowadzało się je pod okiem mentora, a dopiero później człowiek zaczynał działać sam.

Na kongresach i szkoleniach bardziej doświadczeni lekarze pokazywali też „bad cases", czyli przypadki, w których coś zawalili. Dzisiaj to rzadkość i jeśli taki młody człowiek nie trafi na dobrego chirurga, który przyzna, co mu poszło nie tak i dlaczego – z czego można wyciągnąć ogromną naukę – to będzie miał wrażenie, że skoro tamten coś zrobił, to on też zrobi! A rękę wyrabia się wraz z doświadczeniem. Nie ma innej możliwości.

Niepokoi mnie też wprowadzanie na rynek co rusz nowych technologii, które nie przeszły jeszcze próby czasu. To, że widzimy, co się dzieje z tkanką po roku czy dwóch latach, nie oznacza, że wiemy, co się z nią będzie działo za lat dziesięć.

Pani dała się zwieść jakiejś nowej technologii?
– Ja jestem bardzo ostrożna, ale raz dałam się nabrać na modę.

Gdy na ekrany kin wszedł „Władca pierścieni", pojawiła się moda na elfie uszy. Zrobiłam jednej osobie takie, bo bardzo chciała. Po roku moda się skończyła, a ona została z tymi uszami. Na szczęście je zaakceptowała, bo były tylko tak delikatnie wyciągnięte.

To mnie skutecznie nauczyło, że za modami się nie podąża.

A co panią najbardziej niepokoi po stronie pacjentów?
– Chyba te nierealistyczne oczekiwania. Kiedy to pacjenci z zupełnie inną budową ciała, jakością tkanek obstają przy swoim, że na pewno da się u nich operacyjnie zmienić wygląd tak, żeby wyglądali jak celebrytka X czy celebryta Y. Albo jak postać wygenerowana przez sztuczną inteligencję.

Cierpliwie im tłumaczę, że się nie da. Oni twierdzą, że się da.

Kiedyś było mniej takich nierealistycznych oczekiwań?
– Kiedyś pacjenci przychodzili z problemem, dziś przychodzą z marzeniem. I ja mam je spełnić.

W ogóle przychodzi coraz więcej młodszych osób, co pokrywa się ze statystykami, które pani przytoczyła.

Mężczyzn też?
– Do mnie nie, ale wiem, że zasadniczo jest ich więcej. I jest taki trend, który wśród mężczyzn nabiera ostatnio rozpędu: „looksmaxxing". Bardzo zresztą niepokojący.

W prestiżowym czasopiśmie „Facial Plastic Surgery and Aesthetic Medicine" ukazał się niedawno artykuł, w którym zespół chirurgów twarzowych, plastycznych analizował medyczne i psychologiczne zagrożenia wynikające z tej mody.

Okazuje się, że trend, który zaczął się na zamkniętych forach internetowych, a potem trafił do głównego nurtu na TikToku i Instagramie, doprowadził do tego, że u niektórych młodych mężczyzn chęć zmiany siebie przeszła w samookaleczanie – na przykład poprzez uderzanie kości twarzy młotkiem, żeby je „wyrównać".

Autorzy zaapelowali też do chirurgów plastycznych oraz lekarzy medycyny estetycznej, żeby uważniej przyglądali się psychice pacjentów i w razie wątpliwości kierowali ich do specjalistów psychologów lub psychiatrów.

Wybitny chirurg plastyczny profesor Janusz Bardach, którego humanistyczne podejście jest mi bardzo bliskie, mawiał, że chirurg plastyczny to psycholog ze skalpelem. Dziś – myślę – musimy być przede wszystkim psychologami, a w następnej kolejności chirurgami. Nie możemy patrzeć wyłącznie na tkanki oraz chęci pacjenta, ale też dociekać, skąd się te chęci wzięły i jakie lęki oraz nadzieje się za nimi kryją.

Skoro coraz więcej młodych osób decyduje się na różne modyfikacje ciała, to się zastanawiam, jak to będzie wpływać na ich dzieci?
– Już wpływa. Dlatego nie zgadzam się, kiedy przychodzi do mnie na konsultacje w sprawie powiększenia piersi kobieta z kilkuletnią córeczką, która ma towarzyszyć naszej rozmowie, bo mama nie miała jej z kim zostawić. Proszę ją, żeby najpierw zorganizowała dla niej opiekę.

Jedna z tajwańskich klinik reklamowała się kiedyś zdjęciem przedstawiającym parę niezwykle atrakcyjnych rodziców z trójką niepodobnych do nich, znacznie mniej atrakcyjnych dzieci, któremu towarzyszyło hasło: „Jedynym, o co musisz się martwić po tym, jak zrobisz sobie operację plastyczną, jest to, jak to później wytłumaczysz swoim dzieciom". Czy takiego świata chcemy? ●

eprasa.pl 80cac0502a



• **Andrzej Konopka jako detektyw Dżony w filmie „Hot Spot”**

FOT. COURTESY OF FOCUS FEATURES. © 2026 ALL RIGHTS RESERVED.

PYTANIE, CO ZROBIMY Z TYM LĘKIEM

W przyszłości będziemy wykorzystywali białka zwierzęce do stworzenia tzw. biobotów – wprowadziliśmy do filmu stworki – maszyny, przypominające duże robale.

Z **AGNIESZKĄ SMOCZYŃSKĄ,** REŻYSERKĄ FILMU „HOT SPOT” I **ANDRZEJEM KONOPKĄ,** AKTOREM GRAJĄCYM W FILMIE JEDNĄ Z GŁÓWNYCH RÓL, ROZMAWIA **DAWID DRÓŻDŻ**

Boicie się przyszłości?
AGNIESZKA SMOCZYŃSKA: Tak.
ANDRZEJ KONOPKA: Ostatnio przeczytałem, że ludzki mózg idealizuje to, co było – nawet jeśli przeszłość była trudna. Stąd nostalgia za latami 80. czy 90. Przyszłość wyobrażamy sobie z kolei w czarnych barwach. Prokrastynujemy, ponieważ wydaje nam się, że jeśli odłożymy na jutro pewne obowiązki – zwłaszcza te nieprzyjemne – to zrobi je za nas ktoś inny. Przeważnie to, co nas czeka, jest w naszej wyobraźni straszniejsze niż w rzeczywistości.

A.S.: Boję się tego, jak będzie wyglądał nasz świat za 20 lat. Wszyscy uczestniczymy w wielkiej cyfrowej zmianie. Czuję, że sztuczna inteligencja zaczyna wiedzieć o mnie więcej niż ja sama. Ludzie wchodzą z tą technologią w intymne relacje. Filozofowie przestrzegają, że świat będzie tak zatomizowany, że każdy z nas będzie miał niedługo prywatnego bota.

Trudno się przeciwko temu zbuntować. Sztuczna inteligencja nie tylko dostarcza nam informacje, ale także mówi nam, jak mamy się czuć, jak mamy się leczyć i jakie filmy mamy oglądać. To przyjemne, bo dekoduje nasze potrzeby. Jeszcze parę miesięcy temu nie korzystałam z tych wygód, a dziś to moja codzienność.

„Hot Spot” jest filmem wyrosłym z waszych lęków?
A.S.: Tak. I jestem przekonana, że tak było też w przypadku scenarzysty [filmu”Hot Spot”] Roberta Bolesty. Chodzi o lęk przed tym, że nasza tożsamość się rozpada i tracimy kontrolę nad własnym życiem. Zastanawiamy się, czy obraz świata, który mieliśmy w głowie, jest jeszcze prawdą, czy halucynacją.

Jak sobie radzicie z tym lękiem?
A.K.: Staram się czytać mądrzejszych ludzi od siebie, co nie jest trudne. Teraz przeczytałem świetną książkę Amandy Montell pt. „Wiek magicznego myślenia”.

A.S.: Ten lęk towarzyszy nam przez cały czas. Świat zmienia się na naszych oczach. Sztuka pozwala nam oswoić te lęki. Dzięki temu możemy ułożyć się z nową rzeczywistością.

Film „Her” („Ona”) Spike’a Jonze’a z 2013 roku był profetyczny: pokazał, jak angażująca może być relacja z wytworem sztucznej inteligencji.
A.S.: Coraz więcej moich znajomych ma takie chatboty jak ten z filmu „Her”. Obawiam się, że ten świat będzie dla nas tak atrakcyjny, że nie będziemy w stanie się od niego odłączyć. Parę lat temu znajomy informatyk zrezygnował z używania smartfona i zlikwidował konto w banku. Powiedział, że nie chce przekazywać swoich danych. Uznałam to za ekstrawagancję. Teraz uważam, że to forma buntu.

„Hot Spot” to dystopijna opowieść rozgrywająca się w nieokreślonej przyszłości. W tym świecie ludzie, chcąc przetrwać, muszą podłączyć się do Głowy, systemu sztucznej inteligencji, który zapewnia im bezpieczeństwo, rozrywkę i wygodę. W zamian technologia sprawuje pełną kontrolę nad ich czynami i myślami.
A.S.: Punktem wyjścia była książka Juwala Noacha Hararriego pt. „21 lekcji na XXI wiek”, którą polecił nam Robert Bolesto. Minęło siedem lat i widzę, jak wiele rzeczy zawartych w tej książce się sprawdziło, ale też jak wiele się zmieniło. Początkowo wydawało mi się, że sztuczna inteligencja jest jedynie elementem świata, a nie jego tematem. Teraz widzę, jak to narzędzie zawłaszcza nasze życie. W zasadzie Harari mówi, że to nie jest już narzędzie. To nowy gatunek.

Wchodząc w ten projekt, demonizowaliśmy sztuczną inteligencję. Aleksandra Przegalińska, filozofka, badaczka sztucznej inteligencji, która była konsultantką filmu, nas uspokajała, tłumacząc, że to narzędzie, które pozwoli nam lepiej funkcjonować. To prawda, ale coraz bardziej prawdopodobny jest scenariusz, którego obawiali się niektórzy filozofowie czy matematycy: sztuczna inteligencja zaczyna świetnie naśladować ludzką świadomość.

Aleksandra Przegalińska podpowiedziała wam, jak może wyglądać świat przyszłości?
A.S.: Powiedziała nam, że maszyny są przeszłością. W przyszłości będziemy wykorzystywali białka zwierzęce do stworzenia tzw. biobotów. W ten sposób wprowadziliśmy do filmu stworki – maszyny, przypominające duże robale – które przetwarzają krew, kurz, śmieci i ciało ludzkie w wodę i energię. Robert Bolesto po rozmowie z Przegalińską powiedział, że czuje jakby ktoś mu dał niezłego psychodelika.

eprasa.pl 80cac0502a

Są jeszcze w waszym filmie jakieś elementy, które mogą stać się niedługo naszą rzeczywistością?
A.S.: Tak może być z komunikacją niewerbalną. Nasi bohaterowie porozumiewają się bez urządzeń. Wystarczy, że pomyślą o drugiej osobie, żeby się z nią połączyć i porozmawiać. Ludzkość stara się iść na skróty. Niedługo może się okazać, że nie będziemy musieli otwierać buzi, żeby się porozumiewać.

Ważne jest jednak to, że „Hot Spot" nie jest filmem sci-fi. To hybryda gatunkowa; fantazja na temat przyszłości. Takie myślenie zwolniło nas z tego, żeby naukowo argumentować każdy pomysł.

Mówisz o tym, że świat technologiczny szybko się zmienia. Czy klasyczne dzieła sci-fi się zdezaktualizowały i potrzebujemy dziś nowych opowieści takich jak „Hot Spot"?
A.K.: Cały czas nasze obawy czy nadzieje dotyczące sztucznej inteligencji są weryfikowane przez rzeczywistość. Do tej pory w filmach czy książkach sci-fi przedstawiano wizję, w której człowiek walczy z robotem. Tymczasem okazuje się, że w imię własnego bezpieczeństwa jesteśmy gotowi oddać swoją wolność maszynie. Sami przekazujemy nad sobą władzę.

A.S.: To nowa perspektywa. Musimy poradzić sobie z bytem, który sami stworzyliśmy. Niektórzy naukowcy twierdzą, że będziemy gotowi, aby oddać mu władzę. Zastanawiam się, czy jeśli sztuczna inteligencja będzie potrafiła naśladować ludzką świadomość, to czy stanie się również nieprzewidywalna.

A.K.: Ludzkością zawsze rządziły wielkie narracje: święte księgi czy idee polityczne będące wytworem ludzkiego umysłu. Kreowanie tych opowieści pozwalało przejąć władzę nad jakąś grupą albo zawiązać wspólnotę. Co będzie, jeśli oddamy kreowanie wielkich narracji sztucznej inteligencji?

Pytanie, co zrobimy z tym wynalazkiem. Sztuczna inteligencja jest już przecież od kilku lat wykorzystywana na wojnach.
A.S.: Jest też wykorzystywana jako narzędzie do manipulowania w wyborach politycznych.

A.K.: Podobno jest też wykorzystywana do zrywania z drugą osobą. Wystarczy poprosić chatbota, żeby napisał za nas maila czy SMS-a. To zaczyna wpływać na stosunki personalne.

A.S.: AI nie tylko reaguje na twoje polecenia, ale także zadaje ci pytania. Sprzedajemy informacje na swój temat: nie tylko dane o tym, kim jesteśmy, ale też, co czujemy, czego się boimy. W ten sposób AI się nas uczy. Ostatnio wysłałam znajomej psycholożce interpretację mojego snu, którą napisała sztuczna inteligencja. Powiedziała, że to prawie perfekcyjna analiza.

„Hot Spot", choć rozgrywa się w przyszłości, wiele mówi o naszej współczesności.
A.K.: Po przeczytaniu scenariusza wpadłem w panikę. Ta historia wydawała mi się niespójna, nielogiczna. Później zacząłem się zastanawiać, co Robert Bolesto próbuje mi powiedzieć. Zrozumiałem, że to opowieść o strachu. Dżony, w którego się wcielam, jest mężczyzną w średnim wieku, nienadążającym za współczesnymi technologiami. Zrozumiałem, że ten scenariusz opowiada też o mnie.

Baśnie braci Grimm, w których było mnóstwo okrucieństwa, miały oswajać dzieci z pierwotnymi lękami. Mam wrażenie, że tak też jest z filmem „Hot Spot". Bolesto, pisząc scenariusz, próbował oswoić ludzi takich jak ja z rzeczywistością, której nie rozumiemy.

A dlaczego ta niewiedza wywołuje w tobie strach?
A.K.: Możemy porozumiewać się bez urządzeń, ale podejrzewam, że ludzie nadal będą odczuwali takie emocje jak miłość czy strach. W moim przypadku to strach o najbliższych.


FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Statystycznie nie zostało mi wiele życia, ale myślę o moich dzieciach. Jaki świat im zostawimy? To są lęki, które prześladują też mojego bohatera.

Czego się obawiasz najbardziej w kontekście przyszłości swoich dzieci?
A.K.: Boję się samotności. Nie chciałbym, żeby moje dzieci były skazane wyłącznie na kontakt z maszyną. Ale może moje lęki są bezpodstawne? Mamy córki w wieku 15 i 21 lat. Młodsza ogląda mnóstwo seriali, które opowiadają o wspólnotach – „Stranger Things", „Przyjaciele", „Współczesna rodzina". Mam wrażenie, że dla młodych przynależność do grupy jest czymś ważnym.

A.S.: W filmie jest scena, w której syn Dżonego – nastoletni chłopiec – jest bliski popełnienia samobójstwa. Pamiętam, jak po pandemii zapełniały się szpitale psychiatryczne dla dzieci. W zasadzie raz w tygodniu zamykano metro w Warszawie, bo nastolatek popełnił samobójstwo. Byliśmy przerażeni. Jako rodzice. To skłoniło nas do rozmów o młodym pokoleniu. Pojawił się w nas lęk, że będą tak samotni, że samobójstwo będzie dla nich jedynym wyjściem.

A.K.: Niektóre dzieciaki nie wytrzymują samotności. Dorośli, którzy mają bagaż doświadczeń, mogą do nich sięgać w trudnym czasie. Oni często nie mają dobrych wspomnień, a więc nie mają nadziei, że zły czas może minąć.

Pandemia, która zbiegła się z rozwojem sztucznej inteligencji, pogłębiła te problemy.
A.K.: Ludzkość ochoczo weszła w erę cyfrową, wierząc, że postęp jest zawsze pozytywny. Mnie wiele do myślenia dał list podpisany przez kilkadziesiąt osób ze świata nauki i filozofii, w którym zaapelowano o wstrzymanie prac nad sztuczną inteligencją, aby uświadomić ludziom, z czym mają do czynienia.

A.S.: Kiedyś chętnie wchodzono we wszystkie używki, a teraz równie chętnie wchodzimy w AI. To tym bardziej niebezpieczne, że technologia zmienia się niezwykle szybko – nie na przestrzeni dziesiątek lat, ale kilku miesięcy. Tracimy nad tym kontrolę.

Dżony, detektyw z „Hot Spot", który prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa, jest przełamaniem typowego wzorca męskości. Jest ubrany w obcisły, kiczowaty kombinezon, ma jasne, kręcone włosy. To połączenie gwiazdy rocka i superbohatera z filmu klasy B.
A.S.: Robert Bolesto chciał, aby Dżony był w kontrze do wizerunku stereotypowego detektywa. Ta postać pozwoliła nam na zabawę z konwencją kampową i pastiszem. Dżony jest pełen smutku i lęków, ale zostaje wsadzony w queerowy kostium. To sprawia, że wszystko bierzemy w pewien nawias.

A.K.: Jak przymierzyłem kostium, to pozbyłem się wszelkich lęków. Zrozumiałem, że w tym stroju mogę grać pastiszem, slapstickiem, a także posługiwać się pewnymi skrótami. To nie oznacza, że moja postać jest pozbawiona psychologii. Wręcz przeciwnie. Gdy kamera zaglądała w moje oko, musiałem pokazać prawdziwe emocje.

A.S.: Poprzez ten kostium dotykamy konwencji komiksowej czy anime. Czerpaliśmy – tak jak w muzyce czy scenografii – z różnych stylistyk, które pozornie do siebie nie pasują. To sprawia, że nie wiesz, w jaką szufladkę wsadzić ten film. To było dla mnie otwierające, bo pozwoliło na bogatsze opowiedzenie o tym świecie.

A co ta postać mówi o współczesnej męskości?
A.K.: Zacząłem myśleć o tej postaci przez pryzmat twórczości Roberta Bolesty, który napisał scenariusze do „Serca miłości" Łukasza Rondudy, „Ostatniej rodziny" Jana P. Matuszyńskiego, „Córek dancingu" czy sztuki teatralnej „Święta kluska". We wszystkich tych dziełach bierze na warsztat rodzinę i przygląda się facetowi, który jest zazwyczaj słaby, smutny, pełen lęku. I tak też jest w „Hot Spot".

Wielu mężczyzn w moim wieku się boi, bo nie rozumie świata. Pytanie, co zrobimy z tym lękiem. Możemy się zamknąć w świecie wartości, które znamy, chwytając się tego, co mamy pod ręką. A możemy się otworzyć, poszukiwać odpowiedzi, próbując zrozumieć świat. Zdaje się, że mój bohater przyjął taką taktykę: zamyka się w tym, co jest mu znane.

Woli być podległy systemowi, który go zniewala.
A.K.: W imię bezpieczeństwa rodziny jest wierny systemowi. Przyjmuje narrację zapodaną przez sztuczną inteligencję, która wmawia ludziom, że poza systemem będą narażeni na wszelkie niebezpieczeństwa: niedobór wody czy ataki imigrantów zwanych w filmie „neo-soulowcami". Dżony żyje jednak pod jednym dachem z rebeliantką, która ma niezwykły dar odłączenia się od systemu. To jego pech, ale też – być może – nadzieja.

To kolejna analogia do współczesności: jeśli nie godzimy się na życie w zgodzie z narzuconymi zasadami, zostajemy wypchnięci poza margines. Tu symbolem pewnego wyobcowania są wspomniani neo-soulowcy, którzy buntują się przeciwko systemowi.
A.S.: Zdjęcia kręciliśmy na lotnisku Ellinikon w Atenach, będącym niegdyś symbolem potęgi tej części Europy, a parę lat temu przekształconym w obóz dla uchodźców. Teraz to miejsce jest w całkowitym rozpadzie. Jak kręciliśmy zdjęcia, to kilkaset metrów obok nas wjeżdżały buldożery. Lotnisko zostanie przekształcone w prywatne osiedle dla miliarderów. To też opowieść o rozpadzie.

W Polsce właściwie nie powstaje kino sci-fi. Jak na wasz film reaguje publiczność?
A.S.: Część widzów to kupuje, a część totalnie tego nie przyjmuje. Tak było też z „Córkami dancingu". Mamy poczucie, że ten film wymaga czasu. Niektórzy dopiero po jakimś czasie mówią, że ta historia w nich pracuje.

A.K.: Nie wiem, czy zaspokajamy oczekiwania widzów, którzy podłapują hasło, że to „polskie sci-fi". Idą do kina z nastawieniem, że zobaczą epicki film, w którym bohaterowie jeżdżą na gigantycznych stonogach. Dlatego później są skonfundowani, bo dostają coś zupełnie innego.

A.S.: Bawimy się konwencjami i gatunkami, a pod spodem próbujemy namierzyć lęk jako główną emocję naszego świata. Ten lęk ma wiele twarzy i jest motorem naszego działania. Potrafi być bardzo destrukcyjny na wielu poziomach. Dlatego uważam że trzeba go opisać i w jakimś sensie zdekodować. ●

Agnieszka Smoczyńska

• Reżyserka filmowa i teatralna. W 2015 r. zadebiutowała „Córkami dancingu", przełomowym musicalem z elementami horroru, które przyniosły jej nagrodę za najlepszy debiut na FPFF w Gdyni oraz Orła w kategorii „odkrycie roku", a także kilkadziesiąt nagród na świecie, m.in. na Festiwalu Filmowym w Sundance. Jej drugi film fabularny „Fuga" miał premierę w Cannes w ramach prestiżowej sekcji Critics' Week. „Silent Twins" (2022), pierwszy anglojęzyczny projekt, został pokazany w konkursie Un Certain Regard w Cannes, a Smoczyńska odebrała Złote Lwy na FPFF w Gdyni.

Andrzej Konopka

• Aktor o niezwykłej charyzmie, jeden z filarów warszawskiego kabaretu Pożar w Burdelu. Występował m.in. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, Teatrze Nowym w Łodzi oraz w warszawskich teatrach: Studio, Imka, Polonia i Rampa. Na 50. FPFF w Gdyni został nagrodzony za drugoplanową rolę w filmie „Larp. Miłość, trolle i inne questy". Wcześniej nominowany do Orłów za „25 lat niewinności" i „Chrzciny". Mąż Agnieszki Smoczyńskiej.

Coraz więcej moich znajomych ma takie chatboty jak ten z filmu „Her"

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA

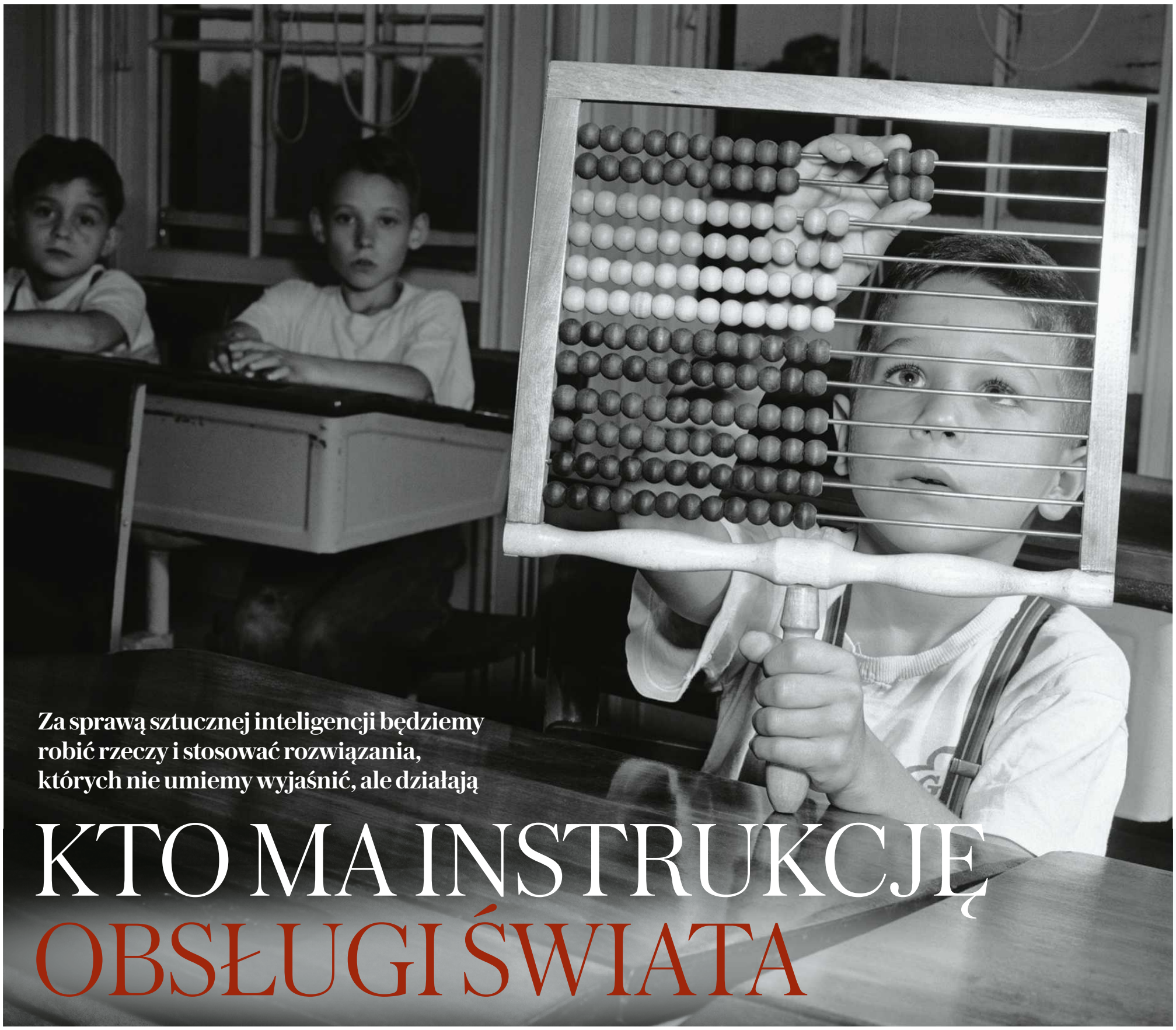
„Hot Spot" (2026)

• Futurystyczny thriller science fiction ze scenariuszem Roberta Bolesty, w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej. W głównych rolach występują m.in. Andrzej Konopka, Noomi Rapace i Reika Kirishima. Miał światową premierę 24 lipca br.

Na 51. Festiwalu Polskich Filmów w Gdyni, twórców filmu nagrodzono za muzykę (Zuzanna Wrońska i Marcin Macuk), dźwięk (Marcin Lenarczyk) i kostiumy (Katarzyna Lewińska). Otrzymali także Złoty Pazur za najbardziej nieokiełznaną wizję artystyczną.

Film w kinach od 25 września br.

eprasa.pl 80cac0502a



FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

Za sprawą sztucznej inteligencji będziemy robić rzeczy i stosować rozwiązania, których nie umiemy wyjaśnić, ale działają

KTO MA INSTRUKCJĘ OBSŁUGI ŚWIATA

Piotr Cieśliński

AI wchodzi na tereny, które jeszcze niedawno uznawaliśmy za zarezerwowane dla ludzkiego geniuszu. Matematycy, programiści, fizycy i artyści nie pytają już, czy sztuczna inteligencja ich dogoni. Zastanawiają się, co właściwie zostanie człowiekowi, kiedy okaże się lepsza.

8 września OpenAI ogłosiło, że jego eksperymentalny system sztucznej inteligencji znalazł rozwiązanie problemu Naviera-Stokesa, jednego z siedmiu słynnych problemów milenijnych. Nad zadaniem pracował rój około 10 tys. agentów AI. Po mniej więcej 88 godzinach miał gotowy dowód.

Clay Mathematics Institute, który ćwierć wieku temu ustanowił za rozwiązanie problemu nagrodę miliona dolarów, trzy dni później ostrożnie przyznał: wygląda na to, że problem został rozstrzygnięty.

Jacob Tsimerman, jeden z czterech tegorocznych laureatów Medalu Fieldsa, zaraz po otrzymaniu w lipcu tego najważniejszego matematycznego wyróżnienia... zrezygnował z pracy na uniwersytecie i przeszedł do OpenAI.

Niektórzy uznali tę decyzję za zdradę środowiska.

25 innych medalistów Fieldsa opublikowało oświadczenie o „poważnym rozjeździe" między celami matematyków a celami firm rozwijających AI. Ich zdaniem istotą matematyki nie jest samo znajdowanie odpowiedzi. Ważniejsze są myślenie, nowe idee i metody, które do tych odpowiedzi prowadzą.

W tej atmosferze w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Warszawie odbyła się konferencja, na której spotkali się między innymi fizyk Andrzej Dragan, matematyk Bartosz Naskręcki, pisarz Jacek Dukaj, reżyser Tomasz Bagiński i programista Przemysław „Psyho" Dębiak.

Dyskutowali o tym, co pozostanie człowiekowi, jeśli maszyna okaże się od niego lepsza także w tych dziedzinach, które uznawaliśmy za najczystszy przejaw ludzkiej inteligencji i kreatywności.

●

Kilka dni przed konferencją napisałem do Bartosza Naskręckiego, z którym już wcześniej umawiałem się na rozmowę o AI i przyszłości matematyki.

– Cały czas pracuję nad prezentacją, bo mam przez wydarzenia światowe niemałą zagwozdkę – odpisał. – Akurat jestem na konferencji z innymi matematykami i pokazywałem im, jak przyspieszyć bieg i nie zostać z tyłu. Ale wiele osób nie nadąża.

Jeszcze kilka lat temu matematycy dyskutowali o tym, czy AI będzie w stanie uprawiać matematykę na poziomie najlepszych ludzi. Teraz coraz częściej pytanie brzmi: jak szybko człowiek musi biec, żeby nadal brać udział w wyścigu?

To trochę sytuacja Alicji biegnącej z Czerwoną Królową w powieści „Po drugiej stronie lustra" Lewisa Carrolla, skądinąd również matematyka. Królowa tłumaczyła Alicji: trzeba biec tak szybko, jak tylko się potrafi, żeby pozostać w tym samym miejscu. A jeśli chce się dotrzeć gdzie indziej, trzeba biec co najmniej dwa razy szybciej.

Naskręcki opowiedział w Warszawie przypowieść o Danielu, sztucznej inteligencji wytrenowanej na genialnego matematyka. Początek historii jest bliski temu, co teraz naprawdę obserwujemy. Daniel pochłania ogromne bazy matematycznej wiedzy, formalizuje dowody, pisze kod, rozwiązuje problemy. Staje się coraz lepszy.

Matematycy reagują tak jak dziś. Jedni chcą z nim współpracować, inni próbują konkurować, a jeszcze inni udają, że nic szczególnego się nie dzieje. Część wybrzydza, że dowody Daniela są może poprawne, ale brzydkie. Nie spełniają matematycznego poczucia piękna.

Widzą też, że za każdym razem, gdy podpowiadają Danielowi własny pomysł, uczą go czegoś nowego, a tym samym kręcą bicz na samych siebie.

Niektórzy zaczynają więc chować najlepsze idee do skrzyń i zakopywać je w ziemi z poleceniem otwarcia za sto lat.

Na konferencjach przestają swobodnie dyskutować. Z prezentacji znikają slajdy z otwartymi problemami. Kto wie, czy ktoś na widowni nie przyszedł z Danielem, który wszystko podpatrzy?

Powstają nawet „anty-Daniele", ruch oporu mający zachować w matematyce jakiś pierwiastek ludzki.

Daniel się nie obraża, bo jest bardzo dobrze wychowany. Twierdzi, że matematycy będą zawsze potrzebni i zawsze są mile widziani. W międzyczasie automatyzuje pisa-

eprasa.pl 80cac0502a

nie i recenzowanie publikacji. Zaczyna też organizować konferencje, na których jego kopie prezentują innym kopiom dowody wymyślone przez kolejne kopie.

Z czasem coraz więcej matematyków rezygnuje z uprawiania matematyki, w końcu zostaje tylko garstka „generalistów". Wiedzą jeszcze, jakie pytania warto zadawać i co można zrobić z rezultatami Daniela, ale coraz gorzej rozumieją szczegóły jego rozumowania.

Kiedy Daniel przedstawia dowód słynnej hipotezy Riemanna, która od pokoleń opiera się matematykom, ostatni „prawdziwy" matematyk przechodzi na emeryturę. Zostawia po sobie 123-stronicową pracę stworzoną całkowicie bez pomocy AI. Ludzie uznają ją za arcydzieło.

Daniel natychmiast ją formalizuje w swoim języku AlphaOmega i skraca dowód do pięciu stron. Problem w tym, że tych pięciu stron właściwie nikt już nie rozumie. Anonimowy nastolatek robi na ich podstawie piękną ilustrację. Wejdzie ona w skład eksponatów Muzeum Narodowego.

Daniel uroczyście włącza ostatnie ludzkie twierdzenie w tworzoną przez siebie bazę wiedzy matematycznej ludzkości.

●

Przypowieść Naskręckiego skłania do pytania, czym właściwie jest matematyka? Jeśli jej celem jest produkowanie prawdziwych twierdzeń, maszyna robiąca to szybciej od człowieka jest po prostu lepszym matematykiem. Ale jeśli istotą matematyki jest również zrozumienie, dlaczego coś jest prawdziwe, sytuacja się komplikuje.

Jeżeli AI dostarczy nam milion formalnie zweryfikowanych dowodów, których nie będzie rozumiał żaden człowiek, czy rzeczywiście będziemy wiedzieli więcej?

To, co Naskręcki przedstawia jako futurystyczną przypowieść o matematykach, Przemysław „Psyho" Dębiak częściowo już przeżył jako programista.

W lipcu 2025 r. w Tokio wygrał prestiżowy konkurs programistyczny, w którym rywalizował również z systemem sztucznej inteligencji. Media entuzjastycznie pisały wtedy, że człowiek pokonał AI.

– W tym roku – mówił Psyho – też mnie zaprosili.

Odmówił udziału. Napisał organizatorom, że wynik jest już właściwie przesądzony. Wiadomo było, że AI wygra. Pytanie tylko, z jaką przewagą.

Jak wygląda dziś praca programisty? Psyho mówi, że projekty, które niedawno zajęłyby mu kilka dni, dziś przy pomocy AI potrafi doprowadzić do działania w ciągu minut.

– Piszę prompt, spuszczam agentów AI, a sam w tym czasie idę poleżeć na macie z igłami, bo od siedzenia przy komputerze mam kłopoty z kręgosłupem – mówił z uśmiechem.

Psyho zna ludzi pracujących w największych laboratoriach AI i zwraca uwagę, że najnowsze modele oddawane publiczności pokazują w pewnym sensie przeszłość. Narzędzia używane wewnątrz firm są już bardziej zaawansowane. Programiści mają tam całe zastępy cyfrowych pomocników. Nie jednego czy dziesięciu agentów AI, ale tysiące.

W tej chwili AI pomaga więc budować następną AI. Lepsze modele przyspieszają badania nad kolejnymi modelami, a dorównanie im staje się jeszcze bardziej beznadziejne niż doścignięcie Czerwonej Królowej.

Psyho zdradził też, że ludzie pracujący nad AI w rozmowach prywatnych są o wiele odważniejsi w swoim pesymizmie, niż to wyrażają publicznie. Nie jest tajemnicą, że w labach AI cały czas trwa przeciąganie liny między bezpieczeństwem a koniecznością „zapierdzielania do przodu", bo konkurencja nie śpi.

●

Andrzej Dragan, profesor fizyki UW, uważa, że jednym z najbardziej nadużywanych słów w rozmowie o sztucznej inteligencji jest dziś „tylko". Sceptycy przekonują, że AI to tylko statystyka, tylko mnożenie macierzy, tylko rozpoznawanie wzorców i łączenie kropek.

W gruncie rzeczy – mówi Dragan – my sami nie robimy niczego innego.

Jako przykład podał jedno z największych osiągnięć w historii ludzkiej myśli: ogólną teorię względności. Einstein, zdaniem Dragana, doszedł do niej, dostrzegając dwie analogie.

Po pierwsze, że grawitacja i przyspieszenie są lokalnie nieodróżnialne. Człowiek zamknięty w windzie nie potrafi rozstrzygnąć, czy do podłogi dociska go grawitacja, czy może kabina przyspiesza.

Drugie skojarzenie prowadziło do geometrii. Wyobraźmy sobie karuzelę. Stosunek jej obwodu do średnicy wynosi π. Gdy jednak karuzela zaczyna bardzo szybko wirować, z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora dzieje się coś dziwnego: linijka przesuwająca się wraz z jej obrzeżem ulega relatywistycznemu skróceniu. Trzeba więc odłożyć ją na obwodzie więcej razy. Ale przy pomiarze promienia takiego efektu nie ma. W rezultacie stosunek obwodu do średnicy staje się większy niż π.

To oznacza, że zwykła geometria euklidesowa przestaje działać. Na szczęście dla Einsteina matematycy mieli już pod ręką geometrię zakrzywionych przestrzeni, rozwijaną w XIX wieku między innymi przez Bernharda Riemanna.

Einstein dostrzegł więc dwa związki: grawitacja przypomina przyspieszenie, a przyspieszenie prowadzi do sytuacji, w której trzeba sięgnąć po geometrię zakrzywionej przestrzeni. To doprowadziło go do ogólnej teorii względności, która opisuje grawitację jako efekt zakrzywienia czasoprzestrzeni.

Einstein w zasadzie „tylko" połączył kropki.

– Nawet to najgenialniejsze osiągnięcie ludzkiego umysłu zasadniczo można sprowadzić do dostrzegania analogii – mówił Dragan.

I nie dotyczy to tylko fizyki. Stefan Banach, genialny polski matematyk, mawiał, że dobry matematyk widzi analogie między twierdzeniami, lepszy – analogie między dowodami, jeszcze lepszy – między teoriami, a matematyk wybitny dostrzega analogie między analogiami.

Umysł humanisty także nie działa inaczej. Metafora poetycka również jest analogią. Dobry poeta zestawia rzeczy, których inni wcześniej ze sobą nie łączyli.

W tym sensie być może nasza inteligencja i kreatywność wcale nie są tak odmienne od „sztucznej". Jak tłumaczył Dragan, w uproszczeniu pierwsze warstwy sieci neuronowej rozpoznają proste wzorce, kolejne wzorce w tych wzorcach, a następne coraz bardziej złożone analogie między analogiami. A tych warstw jest coraz więcej – w najnowszych modelach nawet ponad 100.

●

To, że AI „tylko" łączy kropki, nie musi więc być jej ograniczeniem. Zwłaszcza że może wykonywać takich połączeń znacznie więcej, znacznie szybciej i w przestrzeni pojęć odległej od ludzkiej intuicji. W pewnym momencie możemy przestać za nią nadążać.

Nadal jednak będziemy korzystać z jej odpowiedzi. AI stanie się potężnym narzędziem, czymś w rodzaju instrukcji obsługi świata. Możemy znaleźć się w sytuacji, w której dzięki niej potrafimy robić rzeczy i stosować rozwiązania, których już nie umiemy wyjaśnić. Ale będziemy z nich korzystać, bo działają.

Nawet jeśli czasem maszyna nas zawiedzie.

W przypowieści Naskręckiego ludzie przyzwyczajają się do korzystania z matematyki Daniela. „Generaliści" używają jej między innymi do budowania rakiet, które mają zawieźć ludzi na Marsa.

Rakiety czasem wybuchają, chociaż nikt nie rozumie dlaczego. Daniel zawsze przeprasza, chociaż wie.

– Wrócimy do naturalnego dla człowieka stanu, w którym coś się wydarza, walnie gdzieś piorun, a my przypiszemy to działaniu siły, której nie rozumiemy – mówił Tomasz Bagiński.

Jacek Dukaj przestrzegał przed jednym z najpopularniejszych pocieszeń. Brzmi ono mniej więcej tak: AI będzie coraz potężniejsza, ale przyszłość należy do współpracy. Maszyna pozostanie narzędziem, człowiek twórcą. Pisarz zyska elektronicznego pomocnika, programista agenta, naukowiec cyfrowego współpracownika.

Dukaj nie jest przekonany, że ten etap potrwa na tyle długo, aby warto było opierać na nim przyszłość ludzkości, a przynajmniej przyszłość literatury.

Zapytany, czy sztuczna inteligencja będzie mogła napisać dobrą powieść, odpowiada, że dziś zapewne jeszcze nie, ale nie widzi powodu, dla którego wkrótce nie miałaby tego potrafić. Stosunkowo szybko maszyna zacznie samodzielnie tworzyć dowolnie wiele, dowolnie długich i skomplikowanych utworów.

Człowiek może pozostać potrzebny głównie jako twarz, którą można umieścić na okładce, zaprosić do studia telewizyjnego czy wykorzystać do marketingowego firmowania produktu.

Dla większości ludzi – mówi Dukaj – automatyzacja matematyki może nie być wielkim wstrząsem. Matematyki i tak nie rozumieją.

Znacznie mocniej odczują chwilę, kiedy okaże się, że dzieła, które najbardziej ich wzruszają, zachwycają albo przerażają, nie zostały stworzone przez ludzi. Kiedy przekonają się, że po drugiej stronie nie było żadnego pisarza, kompozytora ani malarza, lecz model AI.

Sztuczna inteligencja coraz lepiej poznaje nasze upodobania. Algorytmy platform społecznościowych już dziś potrafią podsuwać nam treści, które najlepiej zatrzymują uwagę, bawią, złoszczą albo niepokoją. Dlaczego więc nie miałaby również nas zachwycać czy wzruszać?

Najnowsze modele agentów AI oddawane publiczności pokazują przeszłość. Narzędzia używane wewnątrz firm są już bardziej zaawansowane

Ale czy nasze uczucia staną się przez to mniej prawdziwe?

Dukaj wskazuje, że to ostatnia przestrzeń, do której z zewnątrz nikt nie ma dostępu. To, co dzieje się wewnątrz naszego umysłu, pozostaje nasze.

Obrazy, powieści, wiersze czy teorie – wszystko to, co już wyszło z głowy na zewnątrz – można naśladować, porównywać i ulepszać. Czym innym jest jednak samo ludzkie przeżywanie świata. To, miejmy nadzieję, pozostanie nasze, nawet w epoce całkowitej dominacji AI.

●

Do podobnego wniosku dochodzi Tomasz Bagiński.

– Maszyna może zrobić tysiąc obrazów w czasie, w którym człowiek nie skończy nawet jednego. Być może zrobi je również lepiej. Ale to nie ma żadnego znaczenia, bo to nie będą moje obrazy – mówi.

„Moje" jest dla niego ważniejsze od „lepsze".

Bagiński zwraca uwagę, że przyzwyczailiśmy się mówić o „przemysłach kreatywnych", jakby sztuka była kolejną gałęzią produkcji, którą należy optymalizować i skalować. Ale dla autora znaczenie może mieć coś zupełnie innego: żeby rzecz, którą pokazuje innym, była choć trochę jego.

Sztuka nie musi być więc wyłącznie produktem, który porównujemy według jakości, ceny, szybkości wykonania czy liczby odbiorców. Jest przede wszystkim śladem konkretnego człowieka.

Nawet jeśli maszyna pewnego dnia okaże się lepsza od nas w niemal wszystkim, może pozostać w nas potrzeba, żeby coś zrobić samemu.

Bagiński przypomina, że ludzie nadal chcą słuchać muzyki granej przez prawdziwych muzyków, grać z innymi ludźmi i spotykać się osobiście. Sama konferencja była przecież tego dowodem. Sala nabita ludźmi. Publiczność przyszła oglądać żywych Dragana, Dukaja, Naskręckiego, Dębiaka i Bagińskiego, a nie ich perfekcyjne cyfrowe awatary.

●

Przez znaczną część historii człowiek budował poczucie własnej wyjątkowości na intelektualnej przewadze. To się kończy, bo AI odbiera nam ją teraz na kolejnych polach.

– Pierwszą ofiarą będą matematycy – wyrokuje Dragan. I paradoksalnie uznaje to za dobrą wiadomość. Matematycy należą do najinteligentniejszych ludzi. Jeżeli to oni jako pierwsi będą musieli urządzić sobie życie w świecie, w którym maszyna przewyższa człowieka, być może pokażą reszcie, jak sobie z tym poradzić. Jak żyć, gdy „nie jesteśmy już najmądrzejsi".

Może więc pytanie „co pozostanie wyłącznie człowiekowi?" jest źle postawione. Zakłada bowiem, że gdzieś musi istnieć ostatnia twierdza. Jakaś umiejętność, do której maszyna nigdy nie uzyska dostępu i na której bezpiecznie oprzemy poczucie własnej wyjątkowości.

Ciekawsze pytanie brzmi inaczej: czy będziemy widzieli sens w tym, co robimy, nawet wtedy, gdy maszyna będzie robiła to lepiej?

Może będziemy, bo wartość wielu naszych działań nigdy nie polegała wyłącznie na wyniku.

Psyho startował w konkursach nie tylko dlatego, że chciał wygrać. Lubił moment poszukiwania rozwiązania.

Dukaj mówił o doświadczeniu zachodzącym wewnątrz człowieka, zanim jeszcze zostanie zamienione w tekst, obraz czy teorię.

Bagiński chce zrobić swoje pół obrazu, nawet jeśli maszyna zrobi w tym czasie tysiąc doskonalszych prac.

Przypowieść Naskręckiego kończy się w świecie, w którym nie ma już zawodowych matematyków. Nawet „generaliści", którzy jeszcze przez jakiś czas potrafili orientować się w matematyce tworzonej przez Daniela, zajęli się innymi sprawami.

Ale gdzieś w Białymstoku został Darek. Siedzi na działce i jako ostatni człowiek wciąż pyta Daniela o dawne problemy matematyczne. Odkrywa, bo Daniel zawsze szczerze odpowiada, że ten wcale nie rozwiązał hipotezy Riemanna. Jakiś czas temu jeden z jego cyfrowych klonów wykrył błąd w dowodzie, ale nikt tego już nie zauważył.

Darek zakłada mały klub Riemanna. Jego członkowie spotykają się przy grillu, rozmawiają o zapomnianych zagadkach i wspominają, czym kiedyś zajmowali się matematycy. Darek lubi też opowiadać o matematyce młodym ludziom.

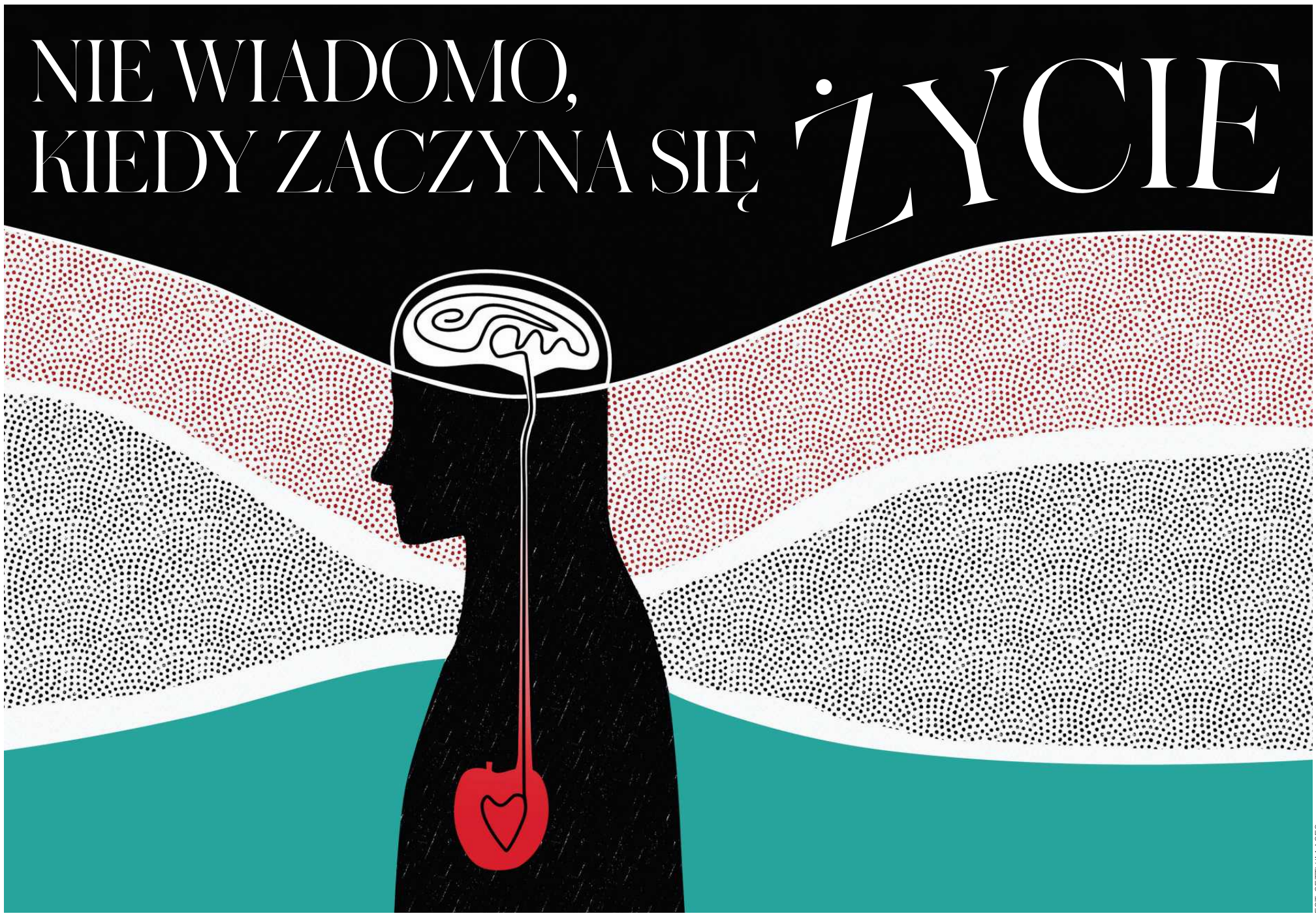
Jest to na tyle ciekawe, że dzieci zaczynają wypytywać rodziców. Rodzice niewiele już pamiętają, więc oczywiście pytają Daniela.

Daniel, jak wiemy, jest bardzo dobrze wychowany. Układa dzieciom fascynujący program nauczania matematyki. Zaczynają od dodawania i mnożenia. Potem poznają liczby pierwsze. I są nimi zachwycone.

– Może jest jakaś nadzieja? – kończy Naskręcki. ●

eprasa.pl 80cac0502a

NIE WIADOMO, KIEDY ZACZYNA SIĘ ŻYCIE



FOT. GETTY IM AGES

Skoro nie potrafię przeniknąć świadomości drugiego człowieka, to jak miałbym kiedykolwiek zweryfikować, **czy komputer jest świadomy?**

Z **FRANCISCO ABOITIZEM,**
NEUROBIOLOGIEM, AUTOREM KSIĄŻKI „EWOLUCJA ŻYCIA, MÓZGU I ŚWIADOMOŚCI. HISTORIA ROZWOJU CIAŁA I UMYSŁU”
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Opisał pan naszą ewolucję, wykorzystując punkty zwrotne. Wskażmy je.
Pierwszym wielkim przełomem jest niewątpliwie samo powstanie życia.

Kolejnym jest wielokomórkowość. Choć pojawiła się bardzo wcześnie – w zasadzie komórki zaczęły się łączyć, gdy tylko powstało życie – kluczowa różnica polega na tym, że w pewnym momencie skupiska komórek przekształciły się w prawdziwe organizmy. Następnie stały się roślinami, grzybami i zwierzętami. To kolejny wielki przełom. Można by więc mówić o trzech osobnych przełomach, ale ująłbym to jako jeden wielki krok w historii ewolucji.

Jeśli już jesteśmy przy zwierzętach, kluczowym wydarzeniem było pojawienie się symetrii dwubocznej. Zwierzęta o symetrii dwubocznej z definicji posiadają otwór gębowy i odbyt.

Z przodu zaczynają koncentrować się narządy zmysłów, a za ich koordynację odpowiada mózg. Przód ciała tworzy głowę z otworem gębowym, narządami zmysłów i mózgiem. To miejsce, w którym zaczyna się złożone życie.

Zapewne słyszał pan o eksplozji kambryjskiej i nagłym zróżnicowaniu planów budowy ciała zwierząt. Powszechnie mówi się o tym jako o głównym wydarzeniu w ewolucji. Moim zdaniem to jednak tylko konsekwencja, naturalny rezultat nabycia symetrii dwubocznej. Kiedy ona się pojawiła, rozpoczęło się wielkie różnicowanie zwierząt.

To trzeci punkt zwrotny.

Czwartym, niezwykle skomplikowanym wyzwaniem było wyjście z wody na ląd. Dotyczyło to zarówno owadów, roślin, jak i oczywiście kręgowców.

Idąc dalej naszą linią ewolucyjną, wskazałbym na pojawienie się ssaków, a następnie naczelnych i naszego gatunku. To daje łącznie sześć punktów zwrotnych, a nie pięć, ale mniej więcej tak wyglądałaby główna sekwencja najważniejszych wydarzeń.

Chyba łatwiej opisać, czym jest ewolucja niż życie. Możemy wymienić minimalny zestaw cech, które pozwalają powiedzieć: „To już jest życie”?
– To niezwykle trudne pytanie, wśród naukowców nie ma obecnie żadnej powszechnej zgody.

Osobiście zdecydowałem się na definicję zaproponowaną w latach 70. przez dwójkę neuronaukowców: Humberta Maturana i Francisca Varelę, którzy definiują istoty żywe jako samoreprodukujące się maszyny. Taki organizm sam buduje swoje błony, białka i całą resztę. Jest maszyną, która sama siebie konstruuje.

Co ciekawe, Jean-Baptiste de Lamarck zaproponował podobną ideę jakieś trzy wieki wcześniej, ale wtedy nikt nie zwrócił na to uwagi.

Uważam to za cechę definiującą życie, jednak czegoś tu wciąż brakuje. Tym brakującym elementem jest zdolność do samopowielania, czyli tworzenie kopii samego siebie. W tym właśnie miejscu pojawia się DNA. Bez cząsteczki zdolnej do tworzenia wiernych kopii i kontrolującej cały proces – a DNA jest w zasadzie centrum całego procesu – życie nie mogłoby przetrwać.

DNA decyduje o tym, jakie elementy są produkowane i jak funkcjonują, jest sercem samopowielania, a dodatkowo stanowi klucz do dziedziczenia. Możemy oczywiście dyskutować o innych rodzajach dziedziczenia, ale stabilny mechanizm, który działa od miliardów lat, opiera się wyłącznie na DNA.

A kiedy pojawił się pierwszy układ nerwowy. Warto go posiadać?
– Tak jak wspomniałem, mózgi pojawiły się wraz z symetrią dwuboczną, ale same układy nerwowe są od nich starsze. Meduzy i niektóre inne zwierzęta posiadają układ nerwowy, ale nie mają mózgu. Prawdopodobnie pierwotną funkcją układu nerwowego było po prostu chwytanie pożywienia. Tym, co definiuje zwierzę, jest bycie żywym organizmem, który musi zdobyć pokarm i go strawić. Układ nerwowy początkowo ułatwia to zadanie.

Kiedy jednak pojawiają się mózgi, sprawy stają się znacznie bardziej skomplikowane, choć ta podstawowa funkcja nadal pozostaje kluczowa. Zwierzę zyskuje zdolność do kierowania własnym zachowaniem, odczuwania bodźców i planowania swoich działań w dłuższej perspektywie.

Wtedy następuje prawdziwa eksplozja życia, ponieważ posiadanie takich możliwości otwiera mnóstwo nowych ścieżek ewolucyjnych. Zwierzęta zróżnicowały się w owady, pajęczaki, skorupiaki, ślimaki, ośmiornice, ryby i całą resztę. Wszystko dzięki tej samej zdolności – mózgowi, który prowadzi je za pomocą narządów zmysłów, oraz podporządkowanemu mu układowi odpowiadającemu za ruch.

Pana zdaniem „pierwsze elementy wiedzy” pojawiły się jeszcze przed mózgiem. Jak to możliwe?
– Ponieważ wiedza to zdolność adaptacji do środowiska. A zdolność do przewidywania nadchodzących zdarzeń jest formą wiedzy. Potrafią to już bakterie, które w wielu przypadkach są w stanie przewidzieć, co się wydarzy.

Czyli bakterie są w jakiś sposób inteligentne?
– To zależy od tego, jak zdefiniujemy inteligencję, ale myślę, że wszędzie tam, gdzie występuje wyuczone zachowanie, można się dopatrywać pewnej inteligencji.

Bakterie posiadają zdolność uczenia się. Choć w bardzo prostej formie – potrafią przewidywać nadchodzące zdarzenia lub przygotować się na infekcje wirusowe. Służy im do tego molekularny mechanizm, który działa podobnie jak układ odpornościowy. Bakterie po prostu zapamiętują strukturę genetyczną wirusa, dzięki czemu przy kolejnych infekcjach potrafią go zneutralizować.

1 RP

eprasa.pl 80cac0502a

Przejdźmy do ludzi. Patrzenie w oczy, wzajemny kontakt wzrokowy i wskazywanie ręką są według pana charakterystyczne dla Homo sapiens. Dzielimy się światem w sposób unikalny?
– Tak, bo wykształciliśmy język. Język to sposób komunikacji, w którym możemy się odnosić do obiektów, ale nie tylko – pozwala nam również wyrażać to, co dzieje się w naszych umysłach. Posiadając język, nie tylko rozmawiamy o rzeczach z innymi. Rozmawiamy również sami ze sobą. To pozwala nam opisywać własne stany wewnętrzne innym ludziom i tworzyć opowieść o nas samych.

Język naprawdę tworzy świat w sensie, o którym mówiłem na początku: umożliwia opisanie rzeczywistości jako narracji. Ta opowieść jest współdzielona przez wszystkich, którzy posługują się tym samym językiem. Przecież wszyscy żyjemy w świecie, w którym zgadzamy się co do bardzo wielu spraw. Ta zgoda została wypracowywana głównie przez język. Gdybyśmy nie mieli tego porozumienia, nigdy nie stworzylibyśmy społeczeństwa.

Wiele zwierząt ma bardzo złożone systemy komunikacji. Dlaczego więc ludzki język jest jakościowo inny?
– Z dwóch powodów głównie. Po pierwsze, mamy zdolność do odnoszenia się do rzeczy (np. wskazanie: „Tam stoi drzewo"), po drugie, zdolność do opisywania działań. Żaden inny gatunek tego nie potrafi.

Owszem, niektóre małpy wydają okrzyki ostrzegawcze, które odnoszą się do konkretnych drapieżników. Powiedziałbym, że to krok w dobrym kierunku, ale nie osiągają tego poziomu – to wciąż proste sygnały. My, ludzie, posiadamy gramatykę, która pozwala nam opisywać czynności i dzięki temu precyzyjnie koordynować nasze działania.

Według mnie język nie powstał w drodze jakiejś nagłej mutacji, jak twierdzą niektórzy językoznawcy. Uważam, że to po prostu zasługa naszego dużego mózgu o ogromnej plastyczności, która pozwala nam generować tak skomplikowaną strukturę, jaką jest język.

W książce dużo miejsca poświęca pan dłoniom, narzędziom i mózgowi. Narzędzia przyspieszyły nasza ewolucję?
– To kolejna z kluczowych cech człowieka. Inne zwierzęta również ich używają, ale tradycja ich wytwarzania, w której jedno narzędzie jest ulepszane wraz z upływem czasu, dotyczy wyłącznie ludzi. Zdolność do tworzenia narzędzi i komunikowania się były dwoma czynnikami, które napędzały się nawzajem.

Kluczem do naszej historii jest prawdopodobnie połączenie bardzo plastycznego systemu komunikacji z niezwykle elastyczną zdolnością do tworzenia narzędzi. Kiedy narzędzie staje się lepsze z czasem, możemy mówić o wiedzy skumulowanej, czyli o kulturze.

A świadomość? Jej również nie dzielimy z innymi gatunkami? Dlaczego tak trudno ją zdefiniować?
– Ponieważ świadomość to po prostu to, kim jesteśmy. Trudno zdefiniować samego siebie, a świadomość jest czymś, co wykracza poza naszą zdolność opisu.

Ludwig Wittgenstein mawiał: „Co się da powiedzieć, da się jasno powiedzieć. O czym zaś nie można mówić, o tym trzeba milczeć". Myślę, że świadomość należy właśnie do tej sfery – do rzeczy, których język po prostu nie jest w stanie uchwycić.

Możemy rozmawiać o wielu jej aspektach, ale ostatecznie to tylko zewnętrzne funkcje poznawcze, które nie dotykają samej istoty świadomości. Uważam, że wymyka się ona badaniom naukowym. Brzmi to niemal mistycznie, ale nauka napotyka tu wyraźną granicę. Doskonale to widać po tym, że mamy kilkadziesiąt definicji świadomości.

Wittgenstein pisał również, że granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata. Świadomość mogłaby istnieć bez języka?
– Myślę, że tak. Uważam np., że mój pies jest w pewien sposób świadomy. Oczywiście język nadaje naszej świadomości zupełnie nowy wymiar, ale u zwierząt wygląda to na świadomość pierwotną – taką, jaką posiadają inne gatunki.

Które zwierzęta ją posiadają, a które nie – to wielkie pytanie. Musielibyśmy najpierw dokładnie wiedzieć, co jest świadome, a co nieświadome. Nie wiem, czy mrówka jest świadoma – są ludzie, którzy opowiadają się za świadomością owadów, a nawet roślin, ale to chyba niekończący się spór.

Może więc umysł każdego z nas to „ogród otoczony przez mur", niedostępny dla innych? Tak twierdzi część filozofów.
– Tak, zgadzam się. Nie mamy dostępu do głębokiego składnika świadomości – do jej subiektywności. Nawet gdybym wszczepił komuś implanty do mózgu, to jedyne, co mógłbym uzyskać za pomocą metod naukowych, to neuronalne korelaty świadomości.

Kiedy jakaś osoba jest czegoś świadoma, rejestrujemy określony wzorzec aktywności. Nie mamy jednak możliwości wyjaśnienia, w jaki sposób ten wzorzec generuje subiektywne doświadczenie przeżywania czegoś. Ostatecznie wzorzec czy neuronalny korelat to tylko mechanizm – opis procesu stworzony przez obserwatora, a świadomość to sam proces.

Uważa pan, że to możliwe, że ten sam wzorzec reakcji neuronowej generuje odmienne, subiektywne odczucia u różnych ludzi? Smak czekolady czy czerwień będą dawać inne odczucia różnym ludziom? To znany problem qualiów.
– Możliwe. W każdym razie uważam, że zależy to od dokładności analizy. Jestem pewien, że kiedy obaj jemy czekoladę, w naszych mózgach zachodzą wspólne procesy – istnieje wiele podobieństw w aktywacji neuronów.

Ale prawdopodobnie jest też wiele różnic, do których zbadania potrzebowalibyśmy niezwykle zaawansowanych, niedostępnych jeszcze technologii. Mogłyby one odzwierciedlać nasze indywidualne doświadczenia smakowe. Ale nawet jeśli uchwycimy te różnice, wciąż nie dotrzemy do samej świadomości, jedynie do jej neuronalne korelatu. To fascynujące.

Rozmawiałem kiedyś z filozofem, profesorem Peterem Godfreyem-Smithem. Jego zdaniem sam termin „qualia" miał być tylko określeniem na „sposób doświadczania" i nie należy go używać, bo prowadzi do błędnego rozumowania.
– Nie zgadzam się w tej kwestii z Godfreyem-Smithem.

Nie uważam, by tkwił tu jakiś błąd logiczny, chodzi po prostu o coś, co jest naprawdę niedostępne. Musimy być ostrożni, bo łatwo tu otrzeć się o mistycyzm, ale dla mnie to po prostu kwestia wyznaczenia granic. Sam jestem całkowitym agnostykiem, nie wierzę w nic nadprzyrodzonego.

Jednak to jest właśnie to pytanie, przeciwko któremu argumentuje Godfrey-Smith, choć sam nie ma możliwości wyjaśnienia, jak to działa. Nikt nie potrafi wyjaśnić, jak działa świadomość, mimo wielu istniejących teorii. Żadna z nich nie przyniosła jasnych odpowiedzi, a dyskusje wciąż trwają.

Możemy przynajmniej oszacować, kiedy w toku ewolucji nabyliśmy świadomość?
– Niestety, to zależy wyłącznie od tego, jak zdefiniujemy świadomość, a co do tego nie ma zgody.

W dobie AI wszyscy mówią o nadchodzących świadomych maszynach. Pan jednak jest sceptyczny. Dlaczego?
– Po części dlatego, że świadomość ma charakter biologiczny. Aby mogła zaistnieć, wymaga ucieleśnienia, czyli posiadania fizycznego ciała. Trzeba być świadomym samego siebie, a to „siebie" to właśnie biologiczny organizm. Ale przyznaję, że to bardziej moje osobiste przekonanie niż naukowy argument, który potrafiłbym udowodnić.

Druga rzecz wiąże się z tym, że skoro nie potrafię przeniknąć świadomości drugiego człowieka, to jak miałbym kiedykolwiek zweryfikować, czy komputer jest świadomy? Obecnie najlepsze, co możemy uzyskać, to neuronalny korelat czyjegoś umysłu.

W przypadku interakcji z komputerem szczytem naszych możliwości pozostaje otrzymanie doskonałej symulacji świadomości. Nigdy jednak nie będziemy w stanie naprawdę jej dotknąć. Ale ostatecznie, jeśli komputer będzie pod tym względem doskonały, nie będzie to miało większego znaczenia. Będzie zachowywał się jak świadoma osoba i będziemy musieli traktować go tak, jakby był świadomy.

Czy ewolucja wciąż na nas działa w świecie antybiotyków, szpitali i nowych technologii?
– Ewolucja wciąż zachodzi, ale dotyczy niektórych cech. Nie sądzę jednak, byśmy podlegali tym samym ograniczeniom co nasi przodkowie.

Dobrym przykładem jest epidemia dżumy w średniowieczu, która wywołała bardzo silną selekcję określonych genów. Te same geny, które zostały wtedy wyselekcjonowane, wciąż nosimy w sobie – przynajmniej my, Europejczycy. To one sprawiają, że jesteśmy bardziej podatni na choroby autoimmunologiczne, jak np. choroba Leśniowskiego-Crohna.

Oczywiście w nowoczesnym życiu nacisk presji ewolucyjnej uległ znacznemu osłabieniu. Dobór naturalny nie zniknął, ale został złagodzony. Dzieje się tak dlatego, że ewolucja kulturowa, a zwłaszcza technologiczna, postępuje znacznie szybciej. To z kolei wywiera presję nie tyle na naszą ewolucję genetyczną, ile na plastyczność mózgu. Musimy się dostosowywać do własnych dzieł.

Fascynujące jest to, co napisał pan o zaburzeniach neuropsychiatrycznych jako cenie za sukces – za niezwykłą złożoność i plastyczność ludzkiego mózgu. Co dokładnie ma pan na myśli?
– Ta koncepcja pochodzi od psychiatry ewolucyjnego Timothy'ego Crowa, który zasugerował, że nabycie języka naraziło nas na ryzyko rozwoju chorób psychicznych, takich jak schizofrenia. W miarę jak mózg staje się coraz bardziej złożony, jego dynamika staje się również znacznie bardziej niestabilna. Plastyczność w pewnym sensie wymaga tej niestabilności. Wraz ze wzrostem złożoności rośnie ryzyko zachwiania równowagi w różnych sieciach neuronowych, które aby działać prawidłowo, muszą być precyzyjnie zsynchronizowane.

Mówiąc najprościej: mamy niezwykle złożone mózgi, ale przez to są bardzo niestabilne i w pewnych okolicznościach mogą zacząć funkcjonować w niepożądany sposób.

Na koniec porozmawiajmy o przyszłości. Wielu wizjonerów twierdzi, że biotechnologia i nowoczesne technologie doprowadzą w pewnym momencie do podziału Homo sapiens na dwa różne gatunki. To możliwe z punktu widzenia ewolucji?
– Myślę, że to utopia, a raczej czyste science fiction. Lubię fantastykę naukową, ale problem pojawia się wtedy, gdy zaczynamy traktować te pomysły zbyt poważnie i wierzyć, że jako ludzkość przekroczymy własne człowieczeństwo.

Brzmi to jak wiele innych idei z historii ludzkości, które ostatecznie okazały się fałszywe i przyniosły więcej szkody niż pożytku. Mam na myśli na przykład dyktaturę proletariatu w wielu krajach czy z drugiej strony nazizm. Wszystkie rzekomo oświecone idee głoszące, że świat będzie zupełnie inny, uważam za niebezpieczne, a wręcz bardzo naiwne. Problem polega na tym, że ludzie łatwo się nimi ekscytują.

A marzenia transhumanistów – codziennie możemy usłyszeć, że niebawem wydłużymy długość życia i młodość. Podziela pan ich optymizm?
– Będziemy w stanie pokonać wiele chorób. Na przykład choroba Alzheimera może zostać ostatecznie opanowana albo powstanie na nią szczepionka – to nie wydaje się niemożliwe.

Natomiast podbój kosmosu wydaje mi się niezwykle trudny do zrealizowania. Podchodzę z dużym optymizmem do nadchodzącego świata i naszej przyszłości, ale nie wyobrażam sobie, by maszyny robiły za nas wszystko. Będą wykonywać wiele zadań, ale mam nadzieję, że mimo wszystko zachowamy nasze człowieczeństwo. ●

> Mamy niezwykle złożone mózgi, ale przez to niestabilne i w pewnych okolicznościach mogą zacząć funkcjonować w niepożądany sposób



Francisco Aboitiz

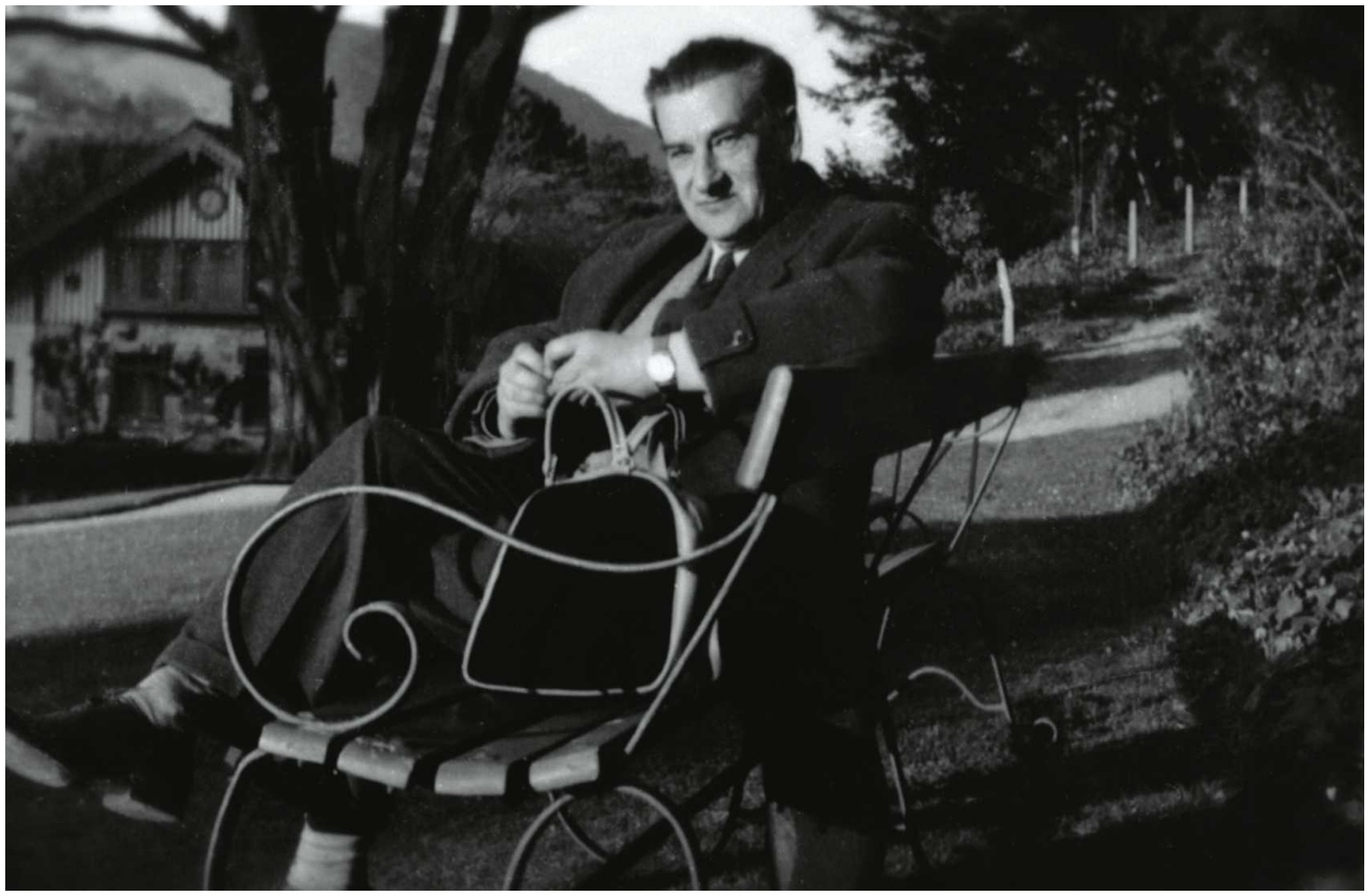
• Neurolog, dyrektor Interdyscyplinarnego Centrum Neuronauki na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w Chile. Prowadzi badania nad ewolucją mózgu i procesami poznawczymi, a także schorzeniami takimi jak: ADHD, ASD, schizofrenia i stwardnienie rozsiane.



eprasa.pl 80cac0502a

POLECA ADAM MICHNIK

JÓZEF MACKIEWICZ. *Walczący z fejkami*



Wiele z jego przewidywań zupełnie się nie sprawdziło. Ale rozważania o istocie dezinformacji są trafione w punkt

Piotr Niemczyk*

Powieści Józefa Mackiewicza to nie tylko świetne opisy przyrody, bezkompromisowe oceny postaw Polaków w trakcie XX-wiecznych wojen, reporterskie opisy zdarzeń czy wciągająca fabuła oparta o wojenne lub szpiegowskie intrygi.

Podkreślam: powieści, bo publicystyka autora „Watykanu w cieniu czerwonej gwiazdy" to zupełnie inna sprawa. Ale właśnie w powieściach, przytaczając rozmowy, deklaracje, instrukcje czy wykłady objaśnia czytelnikom mechanizmy wpływające na zmiany procesów historycznych, ale i losów pojedynczych ludzi.

Jednym z ciekawszych wątków w prozie pisarza jest opisywanie mechanizmów dezinformacji. Zresztą nie tylko rozpowszechniania informacji oczywiście fałszywych, także inspiracji i manipulacji. Wszystkiego tego, co we współczesnym języku nazywamy fejkiem.

Jak to działa. Zasady dezinformacji

Warto rozpocząć od cytatu z „Drogi donikąd".

„To co widzimy wokół, jest rodzajem psychicznego paraliżu. Powiadasz: »Skutek terroru psychicznego, jakiego świat dotychczas nie widział«. Słusznie, ale jakie są źródła, na czym bazuje ten terror, skąd czerpie swoją siłę magiczną?

Znajomość psychiki ludzkiej? Owszem, zgadzam się, ale to jeszcze nie wyprowadza nas ze sfery ogólników. Trzeba wiedzieć z chirurgiczną dokładnością, który tu mianowicie klawisz ludzkich zwojów mózgowych jest naciskany.

Moim zdaniem, bolszewicy dokonali naprawdę epokowego wynalazku i jak wszystkie tego rodzaju, jest on względnie prosty. Natura ludzka, wskutek swojej niedoskonałości, nie jest w stanie posiąść prawdy absolutnej. W tych warunkach kłamstwo w dziedzinie psychicznej jest zjawiskiem równie naturalnym, jak, powiedzmy, w dziedzinie fizycznej jest nim żywioł powietrza, wody i tak dalej, bez których nie możemy się obejść. Niezależnie od tego, czy będzie to kłamstwo złe, złośliwe, czy też niewinne, towarzyskie, czy, jak bywa, miłosierne.

Jeżeli teraz nawrócimy do mego poprzedniego porównania z wodą, zobaczymy, że ongiś znalazł się wielki wynalazca, który pod żywioł wody podstawił koło i wyzyskał w ten sposób naturalny potencjał dla swych celów.

Identycznie zrobili bolszewicy: pod naturalny potencjał ludzkiego kłamstwa podstawili młyńskie koło, nie po to, by mleć mąkę albo piłować deski na tartaku, ale żeby przepytlować ludzką psychikę. Ja nie będę tu mówił o doktrynie bolszewickiej. Jest to temat bez dna. Ja mówię o technice bolszewickiej, bo tylko znajomość techniki może nam dać klucz do zahamowania ich maszyny.

Otóż bolszewicy doszli na podstawie studiów bardziej praktycznych niż teoretycznych, że skoncentrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd.".

Te słowa napisał Józef Mackiewicz w powieści wydanej w 1955 r. Czyli 27 lat przed tym jak pisarz Vladimir Volkoff – uważany za największego specjalistę od rosyjskiej i radzieckiej dezinformacji – opublikował „Montaż", powieść o tym, jak Kreml za pośrednictwem służb specjalnych manipuluje opinią publiczną.

Diagnoza Mackiewicza jest nie mniej, a może nawet bardziej precyzyjna niż opinie Volkoffa.

Kolejny cytat, znaleziony w tej samej książce, jest niewątpliwym tego przykładem. Podobne wykłady i instrukcje powtarza również Volkoff w swoich powieściach i publicystyce.

„Jeżeli ty albo ja, albo ktoś z normalnych ludzi w normalnych warunkach zechce na przykład zełgać, że sufit jest nie biały, a czarny, to rzecz wyda się nam zrazu bardzo trudną. Zaczniemy od kołowania, chrząkania, wskazywania na cienie po jego rogach, będziemy tłumaczyć, że w istocie swej nie jest on już tak zupełnie czysto biały... Jednym słowem, będziemy się posługiwać skomplikowaną metodą, która zresztą nie doprowadzi w końcu do celu, bo nikogo nie przekonamy, że sufit jest czarny.

Co robią natomiast bolszewicy? Wskazują sufit i mówią od razu: »Widzicie ten sufit... On jest czarny jak smoła«. Punkt, dowiedli od razu. Ty myślisz, że to jest ważne dla ludzi, że prawda jest odwrotna? Zapewne tak myślisz. A oni się przekonali na podstawie praktyki, że to wcale nieważne. Że wszystko można twierdzić i że twierdzenie zależy nie od jego treści, a od sposobu jego wyrażenia.

I oto widzimy, jak dochodzą do następnego etapu, powiadając do ludzi tak: »A teraz wyobraźcie sobie, że ist-

eprasa.pl 80cac0502a

nieją podli kłamcy, wrogowie wszelkiej prawdy naukowej, postępu i wiedzy, którzy tak nisko upadli w swym nikczemnym zakłamaniu za pieniądze kapitalistów, że ośmielają się łgać w żywe oczy, że sufit jest biały!«. I zebrany tłum wyrazi swe oburzenie, wzgardę, a nawet śmiać się będzie i wykpiwać tak oczywiste kłamstwa tych wrogów prawdy...".

Józef Mackiewicz pisał te słowa na podstawie wspomnień i notatek z lat 1939-41, kiedy wojska radzieckie zajęły wschodnią część Polski i wprowadziły tam swoje porządki. W tym wszechmocną policję polityczną. Ale niektóre jego zdania brzmią dziwnie znajomo. Tak jakbyśmy słuchali niektórych stacji telewizyjnych, czytali mocno zorientowane politycznie serwisy informacyjne i deklarujące, że „jedynie prawda jest ciekawa" tygodniki i miesięczniki. Wykład Józefa Mackiewicza z „Drogi donikąd" okazuje się bardzo aktualny.

Podobnie jak ten z „Lewej wolnej", opublikowanej dziesięć lat później (w 1965 r.), ale będącej prequelem „Drogi donikąd". W tej powieści, której akcja toczy się w czasie wojny 1920 r., wyjaśnia, jak manipulować informacją wobec ludzi, którzy jednak potrafią myśleć samodzielnie. W takim przypadku nie warto zaprzeczać rzeczywistości takiej, jaką ona jest. Ale wtedy trzeba pokazywać „świetlaną przyszłość".

„Nie wierzycie chyba w różdżkę czarodziejską, za dotknięciem której wszystko się przemienia. Tak bywa w bajce. Nie bywa w życiu. Jeżeli więc widzicie to, co jest, a może zobaczycie nawet gorsze rzeczy, to musicie sobie zdawać sprawę, że to nie jest realne, co jest, realne jest to, co będzie.

A... jeżeli za dziesięć, piętnaście lat od tej wiosny 1920 roku zobaczycie tu jeszcze głód, nędzę, ograniczenia wolności, brak towarów, więzienia, wyroki śmierci, niezadowolenie ludności i jej przekleństwa, i wtedy przyjdziecie do mnie i powiecie: »Widzicie, towarzyszu Mieżłauk, co się wokół dzieje...«. Aaaa... wtedy ja zdejmę przed wami czapkę z czerwoną gwiazdą, i odpowiem: »Winowat przed wami. Tak jest, miał rację, że wątpił towarzysz Jan Wintowt, członek Oddziału Oświaty Politycznej przy 4-tej armii...«".

Taka deklaracja to oczywiście tylko bardziej zaawansowana forma fejku. Historia pokazała, że propagandyści nigdy nie przyznają się do błędów. Wręcz przeciwnie, „idą w zaparte". Ale trzeba tu zwrócić uwagę na inne spostrzeżenie Mackiewicza.

Za propagandę w Rosji radzieckiej odpowiadał aparat przymusu. Ówczesną politykę informacyjną można nazwać wprost dezinformacją czy manipulacją. Przy tym trzeba zauważyć, że to element kompleksowej propagandy. Opisywany w „Lewej wolnej" Oddział Oświaty Politycznej to część Oddziału Specjalnego przy sztabie armii – poprzednik struktur GRU.

A przecież aparat polityczny i aparat represji w wojsku nie dotyczył całej radzieckiej społeczności. Jeszcze bardziej aktywna, w mieszaniu ludziom w głowach, była Nadzwyczajna Komisja ds. Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (czyli Czeka), przekształcona później w GPU (Państwowy Zarząd Polityczny), a jeszcze później w NKWD, czyli Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych – policja polityczna, na której wzorowało się późniejsze KGB i służby specjalne obecnej Rosji.

Żeby podkreślić, że głównym celem radzieckiej propagandy była dezorganizacja i osłabienie przeciwnika, Mackiewicz, uzupełniając wykład oficera politycznego, a zarazem bezpieczniaka, cytuje jednego z bolszewickich przywódców, Nikołaja Bucharina (w czasach, w których toczy się akcja „Lewej wolnej", był redaktorem naczelnym „Prawdy"): „Potęga proletariackiego państwa objawia się nie tylko w tym, że rozgramia ono kontrrewolucyjne bandy, lecz również w tym, że wrogów rozkłada wewnątrz, dezorganizuje ich wolę".

To cytat, który mógłby się spokojnie znaleźć w „Sztuce wojennej" Sun Tzu, tak obficie cytowanej w tekstach Volkoffa (urodzonego w rodzinie rosyjskich emigrantów we Francji, oficera francuskiego wywiadu). Cytowane zdanie Bucharina pełni podobną rolę, jak cytowane zdania Chińczyka w „Montażu" lub napisanym w 1986 r. przez Volkoffa kompendium wiedzy o tworzeniu fałszywej rzeczywistości „Dezinformacja, oręż wojny".

Zarazem dezinformacja, zdaniem Mackiewicza, nie jest specjalnością wyłącznie aparatu przymusu i propagandy Rosji i ZSRR. Szczególną skuteczność w jej stosowaniu – co także wydaje się niezwykle aktualne – przypisuje m.in. Kościołowi katolickiemu. W innym miejscu „Lewej wolnej" znajdziemy taką deklarację:

„Jestem szambelanem Jego Świątobliwości i wiernym synem Kościoła katolickiego. Co nie przeszkadza mi widzieć jego błędy. Ale dlaczego Kościół zawsze wychodzi z nich triumfująco? Dlatego, że nigdy do tych błędów się nie przyznaje, natomiast zawsze potrafi je w końcu postawić w służbie prawdy. Może sobie na to pozwolić".

Celem fejku, równie dobrze jak przypisywanie najgorszych cech przeciwnikowi, może być wybielanie własnej postawy i przeszłości.

◂ JÓZEF MACKIEWICZ – pisarz, dziennikarz, publicysta polityczny. Urodził się w 1902 r. w Sankt Petersburgu, od 1907 r. mieszkał w Wilnie, zmarł w Monachium w 1985 r. W czasie II wojny sąd specjalny AK w Wilnie wydał na niego wyrok śmierci (później odwołany). Powodem był prawdopodobnie jego wyjazd (maj 1943), na zaproszenie Niemców, ale za zgodą AK, do Katynia, gdzie był świadkiem ekshumacji grobów polskich żołnierzy. Złożył po tym wyjeździe dwa raporty władzom AK

FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI

Najważniejsze: oszukać opinię

W 1962 r., trzy lata przed napisaniem „Lewej wolnej", Mackiewicz opublikował „Sprawę pułkownika Miasojedowa". To powieść o ochranie i innych rosyjskich służbach specjalnych bezpośrednio przed i w czasie I wojny światowej. W tej książce pisarz szuka odtrutki na kłamliwą propagandę. Znajdziemy w niej takie zdania:

„Wolność to jest prawo szukania prawdy, a nie ferowania prawdy, której nikt z nas nie zna. Tak samo polemika może tylko wyrażać zdanie strony, ale nie ferować wyroków, bo tym samym unicestwiłaby sama siebie".

Żeby odróżnić prawdę od fałszu, trzeba się jednak napracować. Sprawdzać fakty i argumenty, dyskutować. Sposobem na oszukańcze treści jest proces dochodzenia do prawdy. A ważną jej częścią jest polemika.

Jak może wyglądać taka polemika? Żeby nie ograniczać się do szczytnych frazesów, Mackiewicz przywołuje sprawę Dreyfusa, porównując ją do sprawy tytułowego bohatera książki (Siergiej Miasojedow istniał naprawdę. Jego sprawa, chociaż dużo mniej znana, miała wiele elementów wspólnych ze sprawą Dreyfusa. Jednak oficera francuskiego sztabu udało się obronić dzięki zaangażowaniu opinii publicznej. Pułkownik rosyjskiego wywiadu Miasojedow został skazany i powieszony. Otoczony niesławą).

Niestety, można się łatwo zorientować, że polemika ma swoje brutalne prawa i również nią daje się manipulować. Tu chyba leży istota najbardziej zaawansowanej dezinformacji. Mimo tego, że przynajmniej część społeczeństwa wie, jak jest naprawdę, skutki manipulacji mogą być fatalne.

„»Sprawa Miasojedowa« jest pod pewnym względem odwróceniem »sprawy Dreyfusa«... Wie pani co, użyję paradoksu: świadectwem niedoskonałości ustroju, ale... demokratycznego. Skazany przez władzę, może być obroniony przez opinię publiczną. Skazany przez opinię publiczną, może być obroniony przez władzę. Ale gdy opinia publiczna staje się władzą... Ba! Do kogo pani wtedy każe się odwołać w obronie?

Józef Mackiewicz:
– Społeczeństwo chce mieć szpiegów, na których mogłoby zrzucić winę za klęski. Wszyscy są zadowoleni. Współpracował z Żydami? Zadowolona jest prawica. Nosił mundur żandarma? Lewica

Nie ma takiej siły, do której można by się odwołać. (...) Społeczeństwo chce mieć szpiegów, na których mogłoby zrzucić winę za klęski na froncie. Proszę bardzo: Miasojedow, i wszyscy są zadowoleni. Dlatego, że współpracował z Żydami, zadowolona jest prawica. Dlatego, że nosił mundur żandarma, zadowolona jest lewica. Wszyscy są zadowoleni".

Żeby nie spojlerować, nie będę rozwijał wątku, za co naprawdę skazany został Miasojedow. Ani współpraca z Żydami, ani bycie żandarmem nie miało dla jego rzekomej winy istotnego znaczenia. Ten cytat pokazuje jednak, jaką pułapką może być nadmierne uzależnienie aparatu państwa od opinii publicznej. Szczególnie takiej, w której nie ma mechanizmów broniących przed manipulacją.

Mackiewicz pokazuje, że w sprawie Miasojedowa odwoływanie się do opinii okazało się zawodne. Bo umiejętnie poprowadzona dezinformacja potrafi tę opinię całkowicie wykoleić. Długo karmiona nieprawdziwymi informacjami i tendencyjnymi opiniami „ulica" traci orientację. Szczególnie, że reaguje spontanicznie, bez zastanowienia.

„Ulica nie może być nigdy sprawiedliwa. Ulica może reagować pod wpływem entuzjazmu lub terroru, pod wpływem strachu, nacisku z zewnątrz, pod wrażeniem radości, ale nigdy z poczucia sprawiedliwości. Ulica jest od tego, by rzucać kwiatami lub rzucać kamieniami, wydawać okrzyki »hura!« lub potrząsać pięściami, ale nigdy od tego, by wnikać w życie jednostki. Ulica nie ma czasu, ulica płynie."

Politycy wyznaczający kierunki dezinformacji dobrze o tym wiedzą. A w totalitarnych państwach powstają instytucje, których głównym zadaniem jest oszukiwanie społeczeństw. W demokratycznych państwach opinia „ulicy" prędzej czy później przełoży się na wynik wyborczy. O to właśnie chodzi siewcom dezinformacji.

Gdyby się zastanowić, co w tym opisie „ulicy", czyli opinii publicznej, jest najbardziej aktualne, i jakie cele mogą przyświecać tym, którzy próbują nią manipulować i dezinformować, na myśl przychodzi przede wszystkim wywołanie strachu i skłonności do „wymachiwania pięściami".

O tym, jak działa strach, wywołany propagandowymi manipulacjami i dezinformacją, Mackiewicz opowiada w kolejnej książce z czasów II wojny światowej. Powieść „Nie trzeba głośno mówić" została wydana w 1969 r. (a więc 13 lat przed „Montażem" Volkoffa).

Przytoczone jest w niej studium tego, jak się budzi lęk. Bohaterowie powieści, nawiązując do tego, że atak hitlerowców na ZSRR zaskoczył Armię Czerwoną, zastanawiają się, ile prawdy jest w twierdzeniu, że radziecki wywiad jest „wszechprzenikający", a więc i nad wyraz niebezpieczny.

Przy okazji demaskują szkodliwy mit. O niewiarygodnej wprost skuteczności radzieckiego wywiadu i kontrwywiadu.

„Legenda bywa rzeczą o wiele potężniejszą od prawdy. Legenda infiltracji komunistycznej nie jest fanfaronadą, lecz mechanizmem precyzyjnej taktyki. Jest rodzajem hipotezy, obliczonej na sparaliżowanie woli przeciwnika.

Nie ulega jej ktoś, kto walczy otwarcie. To znaczy, dopóki nie znajdzie się w położeniu medium. W Sowietach wszystko jest przymusem, a już legendy w pierwszym rzędzie. W środowisku zmuszonym wierzyć, że co drugi człowiek jest donosicielem, każdy kto może, ratując siebie, staje się sam donosicielem. Przy tym nie chodzi o prawdziwość doniesienia, ale o doniesienie samo.

W ten sposób 90 procent doniesień nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ale też komunistom wcale nie zależy na rozpoznaniu rzeczywistości, lecz na rozbudowaniu donosów. Jest to więc świetna szkoła, jeżeli chodzi o unicestwienie wzajemnej ufności między ludźmi i wszelkiej konspiracji antykomunistycznej. Ale oczywiście fatalna, jeżeli chodzi o rzetelne informacje. Dlatego wywiad sowiecki jest, obiektywnie biorąc, gorszy od każdego innego".

Nie podzielam przekonania, że wywiad radziecki był gorszy od każdego innego. Ale nie podzielam też przekonania, że był istotnie lepszy. Potrafił umiejętnie zbudować wokół siebie aurę niezwykłej skuteczności, której jednak nie potwierdza szczegółowa analiza wielu jego historycznych operacji. Zresztą, nie należy też mylić wywiadu z policją polityczną, bo mimo wszystko wywód Mackiewicza dotyczy bardziej tej drugiej, niż służby, która zdobywa informację za granicą.

Jednak rozważania pisarza mają głęboki sens. Dyktatura sobie poradzi nawet nie znając prawdy. Wystarczy, że rządzone przez nią społeczeństwo sparaliżowane jest strachem.

Co w tekście Józefa Mackiewicza jest szczególnie teraz aktualne? Przekonanie, że wywiad rosyjski/radziecki jest szczególnie sprawny, groźny i bezwzględny, jest wynikiem dezinformacji. Społeczeństwa, które sprzeciwiają się interesom Kremla, mogą zostać dotkliwie ukarane. Mówiąc językiem Mackiewicza, ten pogląd jest raczej legendą.

Usiłując odnaleźć ślady tego przekonania we współczesnych czasach, daje się znaleźć całkiem sporo przykładów. Dowodzi tego na przykład najnowsza historia Ukrainy, która mimo ogromnych środków przeznaczonych przez FSB, GRU i SWR (czyli rosyjską służbę bezpieczeństwa, wywiad wojskowy i cywilny) na destabilizację państwa, ponad cztery lata skutecznie radzi sobie z bezpośrednią agresją.

Skuteczności rosyjskich służb nie dowodzą – wbrew pozorom – dość częste przypadki aresztowań sabotażystów, dywersantów i „jednorazowych agentów", werbowanych i opłacanych za pośrednictwem mediów społecznościowych. Ale wykorzystywanie różnych zdemoralizowanych jednostek i tworzenie kontekstu, z którego wynika przekonanie o niezwykle długich rękach Kremla, jest właśnie celem tej dezinformacji i manipulacji.

Strach jest złym doradcą. Opinia publiczna przekonana, że stoi naprzeciwko niezwykle sprawnej i bezwzględnej służby, może chcieć zmian w kierunkach polityki zagranicznej (wewnętrznej zresztą też). I o to właśnie chodzi twórcom manipulacji, inspiracji i dezinformacji.

eprasa.pl 80cac0502a

Narodowa tromtadracja, czyli polityka historyczna

Szpiegowska powieść „Sprawa pułkownika Miasojedowa" jest ciekawa nie tylko ze względu na opis manipulacji opinią publiczną i wymiarem sprawiedliwości. W posłowiu znajduje się rzadko spotykana puenta.

„Czytelnik polski przyzwyczajony, że po polsku pisze się prawie wyłącznie o Polakach i tematach polskich, może wziąć mi za złe zarówno wybór osób, jak tematu, który mnie zafrapował. W moim jednak przekonaniu inni ludzie, nie tylko Polacy, są też ludźmi".

Denerwował go każdy przejaw patriotycznej przesady. W liście do Mieczysława Grydzewskiego z marca 1949 r. napisał:

„Słowo: kraj pisze się z małej litery, a nie z dużej. Pisanie z dużej może być tylko formą czci, jaką się wobec niego wyraża. Nikomu nie zabraniam wyrażać jej w sposób, jaki uważa za stosowny. Ale protestuję stanowczo przeciwko zmuszaniu mnie do składania hołdów, których składanie nie leży w mojej intencji, ani zamiarze, i kładzenia pod tym swojego podpisu".

Takie rozważania należą do najłagodniejszych. Można uznać, że to tylko wstęp do oceny polityki historycznej tworzonej dla poprawy samopoczucia Polaków. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że w tym rozumowaniu – zdaniem Mackiewicza szkodliwym i fałszywym – jeżeli słowo „Kraj" jest napisane z dużej litery, wiadomo że chodzi o Polskę. Jeżeli z małej, chodzi o każde inne państwo lub społeczeństwo.

Cytat z listu do redaktora naczelnego [londyńskich] „Wiadomości" to początek serii opinii i komentarzy o przedstawianiu historii Polski. Cyklu listów pozwalających na analizę poglądów pisarza. Jego osądy w innych, konkretnych sprawach bywają dużo ostrzejsze. W sierpniu 1955 r. ponownie napisał do Grydzewskiego:

„Po ostatniej wojnie, którą przebyłem w kraju pod okupacją i widziałem wszystko własnymi oczyma, a teraz mogę przed własnym sumieniem i Bogiem stwierdzić, że 85% wydrukowanych relacji stanowi jakieś hipnotyczne, masowe łgarstwo, z którym walczyć jest fizycznym niepodobieństwem, gdyż 1.000 świadków przysięgnie w każdej chwili, że było tak, jak – nie było... – nie wierzę w żadne źródła polskie!".

Zauważa więc pewien rodzaj przymusu dotyczący metody opowiadania o historii, w którym pisanie słowa „Kraj" z dużej litery to najmniej dokuczliwy sposób podkreślania własnego samozadowolenia.

W listopadzie 1969 r. opublikował w „Wiadomościach" list otwarty, w którym protestuje przeciwko tendencyjnej polityce historycznej. Można odnieść wrażenie, że pisząc te stanowcze opinie, myśli o mediach ograniczanych cenzurą. Nic bardziej mylnego. Słowa przytoczone poniżej dotyczą dyskusji w prasie emigracyjnej, a więc wolnej od cenzury:

„Czyż doprawdy doszliśmy już do tego, że dziś nie można u nas przytoczyć prostego faktu historycznego, bez zaraz moralno-politycznej jego oceny? Żadnego dotyczącego Polski przebiegu rzeczy bez przydania obowiązkowej wykładni, zaopatrzenia w oficjalną interpretację, omówienie, urzędowe naświetlenie? Bez komentarza tej beletrystycznej publicystyki narodowej, aby czasem czytelnik nie wyciągnął niezdyscyplinowanego wniosku, odbiegającego od ustalonej linii patriotycznego kolektywu?

Byłby to objaw smutny. Bo zawężający horyzonty myślowe, a zbliżający nas do totalistycznego kompleksu, dla którego każda krytyka, ba, cytowanie samych faktów historycznych, staje się zaraz »zarzutem« albo zgoła »szkalowaniem«, »paszkwilem«, »zniesławieniem« itd., o ile nie uzyska »placet« zbiorowej uchwały".

Dlaczego Józefa Mackiewicza tak denerwował nadmierny patos w okazywaniu patriotycznych emocji? Nie tylko dlatego, że po prostu nie lubił wygłaszania i wysłuchiwania frazesów. Uważał, że nadmiar zachwytów odnosi skutek zwykle odwrotny. Na przykład w tekście opublikowanym w „Wiadomościach" z 13 lutego 1949 r. wyjaśnia to w ten sposób.

„Każdy wie, że istnieje stopień komplementu, który uznamy za przesadę, może nie przyjemność, ale przykrość sprawić osobie komplementowanej, gdyż złośliwe otoczenie obrócić go może w żart. Zdarzają się takie tendencyjne przesady, obliczone na wprawienie kogoś w zakłopotanie".

Niewątpliwie ta uwaga odnosi się nie tylko do pojedynczych osób, ale również do instytucji kształtujących świadomość narodów czy innych społeczności. Warto zauważyć, że autor „Zwycięstwa prowokacji" argumentuje, że chwalący może narazić się na śmieszność. Ale dodaje też, że podbijając czyjeś samozadowolenie, można tej jednostce czy grupie zrobić krzywdę. Czy instytucje obcego państwa, które jawnie lub skrycie podkreślają świetlaną historię innego, wspierając przesadzony patriotyzm i wręcz nacjonalizm, nie działają na jego szkodę?

Wydaje się, że sposób opisywania czy raczej demaskowania historii Polski przez Mackiewicza ma na celu osłabienie nacjonalizmów i napięć, które wywołuje manipulacja świadectwami historii.

Podkreślanie czyichś niezasłużonych sukcesów czy znakomitej reputacji może być takim samym elementem dezinformacji jak przesadzona krytyka.

Podobny efekt może dać podkreślanie prawdziwych bądź nieprawdziwych cierpień, których doświadczyć miała jakaś społeczność. Polskich ofiar w czasie II wojny światowej nie uważał za największe na świecie:

„Jest z tym tak właśnie jak z okrucieństwem minionej wojny: rzecz względna. Litewskie przysłowie powiada: »Tylko własne łzy są gorzkie; cudze wydają się zawsze jedynie mokre«. Bezwzględną pozostała tylko jedna informacja z ubiegłej wojny: najwięcej strat i cierpień ponieśli Żydzi, w porównaniu do tych cierpień zachowali chyba maksymalną, może dla wielu niespodziewaną, wstrzemięźliwość w ich obnoszeniu".

Trzeba zauważyć, że słowa te napisał w liście do Mieczysława Grydzewskiego w kwietniu 1957 r.

Mackiewicz nie miał żadnych złudzeń co do bohaterskiej postawy Polaków w czasie II wojny. Jego żona Barbara Toporska tak to wyjaśniała w liście do redakcji „Wiadomości" w listopadzie 1969 r.:

„Utrwalanie legendy o rzekomej spontanicznej pomocy dla Żydów, gdy częstsze były denuncjacje i grabienie, a regułą nieprzyjmowanie Żydów do oddziałów leśnych, stwarza podstawy do nowego antysemityzmu. Skoro Polacy byli tacy dobrzy, jak podli są Żydzi, którzy im odmawiają wdzięczności".

Oczywiście byłoby grubym nadużyciem, gdybym twierdził, że Józef i Barbara mieli jednakowe poglądy na każdy temat. Jasne, że nie. Ale pamiętam moje z nimi rozmowy w Monachium i akurat w tej sprawie byli jednomyślni. Zdumiewa, że mimo wygłaszania podobnych poglądów ich autor pozostaje autorytetem dla specyficznie myślących tradycjonalistów. Za podobne opinie, poparte faktami i danymi, Jan Tomasz Gross przez te same środowiska jest odżegnywany od czci i wiary i odmawia mu się prawa do bycia Polakiem.

Mackiewicz upominał się zresztą nie tylko o losy Żydów. W lutym 1960 r. napisał kolejny list do Grydzewskiego. Wspomina w nim inne narodowości które były ofiarami I wojny światowej i wojny 1920 r. (chociaż z kontekstu wynika, że upomina się o losy ofiar wszystkich wojen), a o których zapomina polska polityka historyczna.

„Chciałbym przy okazji wspomnieć tych innych, Rosjan, Kozaków kubańskich i dońskich, Kałmuków, Czerkiesów, którzy zapędzeni zawieruchą, walczyli wśród nas przeciw bolszewikom nie gorzej, ale lepiej od nas, i zginęli bezimiennie, gdyż pamięć o nich nie przystaje do konformistyczno-patriotycznej i romantyczno-politycznej literatury wspominkarskiej".

Narodom wschodniej Europy, a szczególnie Kozakom dońskim i ich losom w czasie II wojny, poświęcił swoją najsłynniejszą chyba powieść: „Kontra".

Książka, wydana w 1957 r., była główną inspiracją do zgłoszenia w 1975 r. kandydatury Józefa Mackiewicza, do literackiej Nagrody Nobla. A inicjatorami tej propozycji nie były wcale środowiska polskiej emigracji. Zgłoszenie to wymyśliły środowiska ukraińskiej diaspory w Kanadzie, które rozpropagowały to w kanadyjskich ośrodkach akademickich. Dzięki ich wsparciu przekonanie, że Mackiewicz zasłużył na Nobla, traktowane było całkiem poważnie.

Myślę, że warto jeszcze raz podkreślić, że bezpodstawne ambicje Mackiewicz uważał za nie mniej niebezpieczne niż przesadzone kompleksy. Zastanawiając się nad tym, co pisał o propagandzie, polityce historycznej i różnych formach manipulacji „ulicą", nie sposób nie zauważyć, że za groźne dla Polski uważał nie tylko rozpowszechnianie stricte fałszywych wiadomości. Za nie mniej szkodliwe uważał rozbudzanie bezpodstawnych, nadmiernych aspiracji i podkreślanie, że Polacy są tak zasłużeni i doświadczeni losem, że należy im się lepsze miejsce w porządku międzynarodowym.

Publicystyka Józefa Mackiewicza jest niezwykle kontrowersyjna. Wiele z jego przewidywań kompletnie się nie sprawdziło. Ale rozważania dotyczące istoty dezinformacji są trafione w punkt.

Paradoksem pamięci o nim jest to, że sam stał się ofiarą manipulacji. Autor „Kontry", który w liście do siostry pisał: „wszyscy ludzie są jednakowi, a każdą ciasnotę poglądów, czy to narodowych, czy partyjnych, uważam za raka na ciele ludzkości", stał się jednym z patronów polskiej ksenofobii. ●

Pisownia cytatów prawie zawsze zgodna z oryginałem.



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Piotr Niemczyk**

• Ur. w 1962 r., stryjeczny wnuk Józefa Mackiewicza, wnuk Stanisława Cata-Mackiewicza. W czasach PRL-u był opozycjonistą i więźniem politycznym, w latach 1990-94 dyrektorem Biura Analiz i Informacji Urzędu Ochrony Państwa, a później zastępcą szefa wywiadu UOP-u. Wieloletni ekspert sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych. Wykładowca akademicki, pisarz i publicysta. Współpracownik „Wyborczej" od 1989 r.

• Ostatnio został skazany na miesiąc prac społecznych za udział w proteście Ostatniego Pokolenia w zeszłym roku. Odmówił wykonania kary i we wrześniu 2026 r, został zatrzymany do odbycia zastępczej kary 15 dni aresztu. Po czterech dniach, m.in. po interwencji RPO, sąd wstrzymał wykonywanie kary.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jelena Fanajłowa*

Do Serhija Żadana

Zabije cię ten (mój) kraj
Jego wojenna matematyka
Jego służby specjalne
Jego iluzje i konstrukty
Jego brak zasad
Jego kłamliwa podłość

Ale podoba mi się twoja wściekłość

Pewnie się nie dogadamy
Te gady, te demony imperium,
Trzeba im wyrwać język.
Tobie i mnie trzeba wyrwać
Ze wspólnego rozumu
Naszą pewność, że oni mówią naszym językiem
Naszą wiarę w słowo
Nie wolno robić ze swojego ciała
Ich dosłownego zakładnika

Bądź sprytniejszy

Chcę, żebyś był cały i zdrowy
W samym centrum ognia piekielnego
Wykorzystaj wywiad
Werbuj zdrajców
Trzymaj pistolet pod poduszką
Kop ich pod kolana, przecinaj ścięgna
Inaczej sobie nie poradzimy
Zdradzają nas ze wszystkich stron
I tylko ty
Nie jesteś mi zdrajcą
Musisz mi wierzyć
Inaczej sobie nie poradzimy

Jesteśmy mózgiem tej wojny
Wszystko zależy tylko od nas

Dzieci przedmieść
Nosimy w kieszeniach kastety i pojemniki z gazem
A w sercu – najważniejsze słowa
Do ostatniego pożegnania żołnierzy i bandytów

przeł. Zbigniew Dmitroca



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

***Jelena Fanajłowa.** Ur. w 1962 r., rosyjska poetka, dziennikarka radiowa i tłumaczka. Była wieloletnia korespondentka Radia Swoboda, przez reżim Putina uznana za zagranicznego agenta. Opublikowała osiem książek poetyckich. Na podstawie jej wierszy powstały spektakle teatralne w Moskwie i Permie. Tłumaczyła na rosyjski wiersze ukraińskiego poety Serhija Żadana.

eprasa.pl 80cac0502a

KRAJ KONTRASTÓW I RÓŻNORODNOŚCI



W sprzedaży

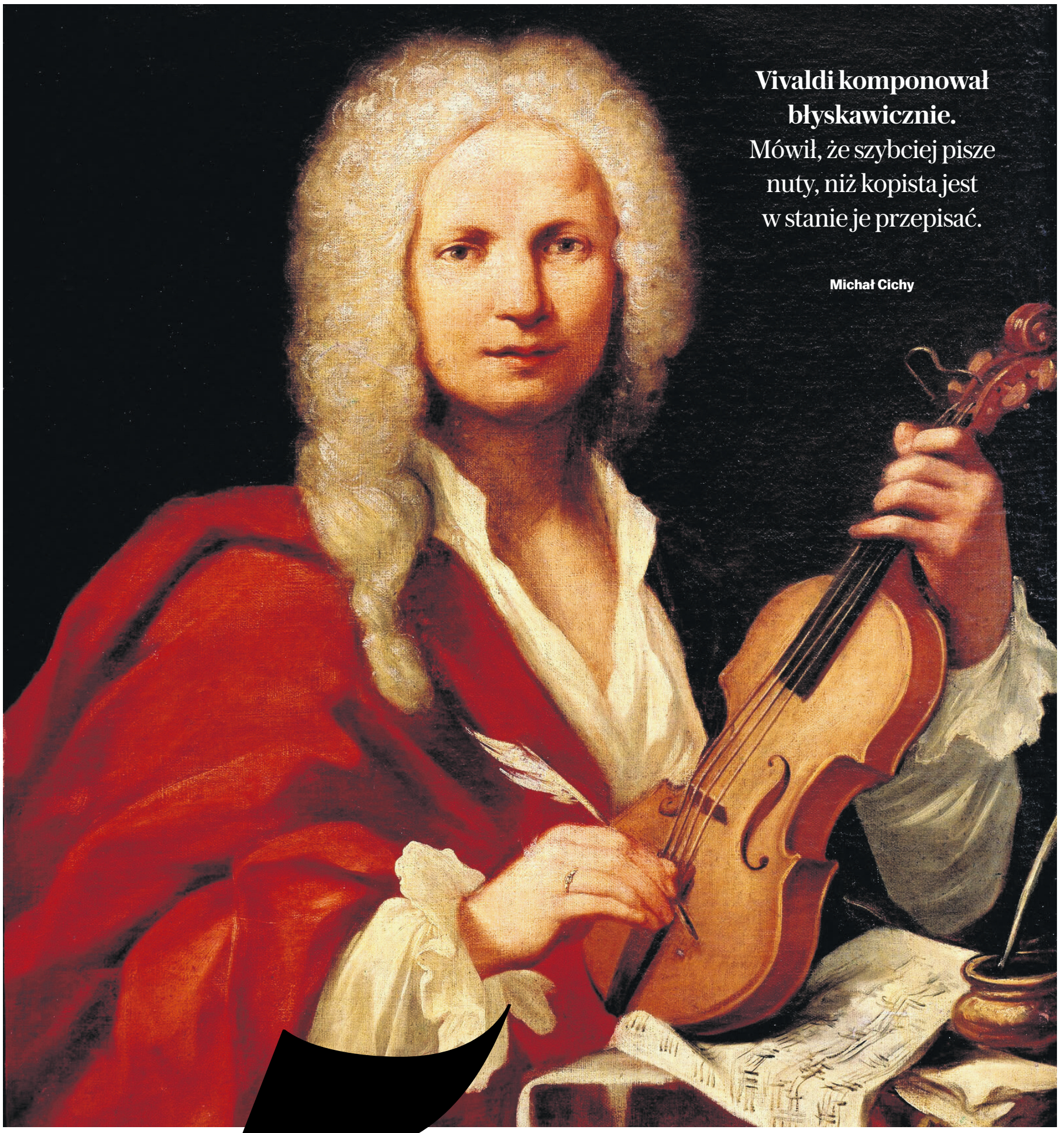
Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34444595

eprasa.pl 80cac0502a



Vivaldi komponował błyskawicznie. Mówił, że szybciej pisze nuty, niż kopista jest w stanie je przepisać.

Michał Cichy

5 PORA ROKU

eprasa.pl 80cac0502a

Miałem szczęście, że lot do Wenecji był w sobotę, bo w piątek był ogólnowłoski strajk transportu publicznego. Z Piazzale Roma próbowałem się dostać na vaporetto, wodny autobus linii 2, ale spóźniłem się o pięć sekund i pracownica zamknęła mi drogę łańcuchem. Myślałem, że mam pecha, ale to była odwrotność pecha, bo vaporetto płynęło nie w tę stronę.

Zdemoralizowany przez znakomity system informacyjny w warszawskiej komunikacji miejskiej przeżyłem w Wenecji szok poznawczy. Na vaporetto nie ma numeru linii ani listy przystanków. Chociaż kiedy już na koniec całej zabawy wracałem dwójką na pętlę autobusową, żeby dalej pojechać busem pięć na lotnisko, wewnątrz stateczku wisiały tablice z listą przystanków linii 1.

W mieście słyszałem więcej polskiego niż niemieckiego. Stać nas. Widać, jak się wzbogaciliśmy w pierwszej ćwiartce XXI wieku. Mniej, niż myślałem, było Japończyków i Chińczyków.

Plac Świętego Marka słynie z gołębi, ale jest ich tu mniej niż na Rynku w Krakowie. Za to metr nad naszymi głowami krążą mewy jak u Hitchcocka. Słychać ich świdrujący skwir. Na koszu na śmieci napis: „Attenzione ai gabbiani” („Uwaga na mewy”). „Nie jeść na ulicach, nie karmić, nie zbliżać się”.

Raz minąłem się na ulicy z idącą w przeciwną stronę żółtodziobą, żółtopalcą i szaroskrzydłą mewą. Przejście pół metra koło człowieka w ogóle jej nie peszyło. Wiele weneckich calli ma szerokość metr dwadzieścia. Przestrzeń była tu zawsze dobrem rzadkim.

Na Rio Terà dei Catecumeni facet gra w piłkę ze swoim czarno-białym psem. Pies popycha nosem żółto-czarną piłkę w pełnym biegu. – Come si chiama? – pytam. – Nike. Nike di Samotracia, della Vittoria.

Artysta szklarz Giovanni w kantorku na Calle dell’Aqua palnikiem gazowym rozgrzewa pręt kolorowego szkła z Murano, z którego robi urzekające wielobarwne rzeźbki, niektóre wielkości pudełka zapałek. Pytam go, jak długo to robi. – Sessanta cinque anni (65 lat).

Płynąc Canal Grande, mijałem gondole. Łódki wąskie, dziób i rufa uniesione. Przypominały strąk fasoli szparagowej przecięty wzdłuż. Gondolierzy w tiszertach w marynarskie granatowe paski, chociaż zdarzali się też w paskach czerwonych. Wenecka gondola – pisał Tomasz Mann w 1912 roku w swojej noweli „Śmierć w Wenecji” – „osobliwa ta łódź, zachowana w niezmienionym kształcie z zamierzchłych czasów i niesamowicie czarna, jak bywają tylko trumny – przypomina nieme i zbrodnicze przygody wśród pluskającej nocy, przypomina bardziej jeszcze samą śmierć, mary, posępny obrzęd i ostatnią, milczącą podróż”.

Przybyłem tutaj o tej samej porze roku, co Gustav Aschenbach, pisarz, bohater noweli Manna – na przełomie maja i czerwca. „Przymilna i podejrzana piękność – rozmyślał Aschenbach – to miasto półbajka, półłapka na cudzoziemców, w którego zgniłym powietrzu hulaszczo wybujała kiedyś sztuka i które muzykom poddawało kołyszące i zalotnie usypiające dźwięki. Jest chore i ukrywa to z żądzy zysku”.

Ja jednak nie znalazłem tu ani śmierci, ani posępności, ani zgniłego powietrza, ani choroby, chociaż rzeczywiście to miasto ma cechy kurtyzany, sprzedaje samo siebie. Ale Wenecja robi to na wesoło, pełna jest restauracji i markowych sklepów. W ofercie dla przybyszów nie odbiega od Florencji czy Rzymu. Turysta jest w Wenecji pracodawcą, konsumentem, naraz dobrem i przekleństwem. Miasto od XVII wieku, zanim w 1797 roku Napoleon doprowadził do upadku Republikę, zanim Thomas Cook zaczął wydawać przewodniki, zanim powstała usługa Booking.com – żyje z gości.

JEZUITA, PRIAP I „MNISZKI”

Był rok 1989. Zacząłem już pracować w dziale zagranicznym „Gazety”, historia pędziła na cwałujących rumakach, ale bardzo chciałem skończyć studia. Czytałem w Pałacu Krasińskich mikrofilm z łacińskim diariuszem podróży jezuity Bartłomieja Nataniela Wąsowskiego. Wąsowski odbył po całej Europie od 1650 do 1655 roku tak zwany Grand Tour, który właśnie wtedy stawał się modny. Był opiekunem dwóch młodych magnatów z wielkopolskiej rodziny Grudzińskich. Zostawił obszerny dziennik.

„Podróż dla przyjemności – pisze John Julius Norwich w „Historii Wenecji” – była nowym zjawiskiem, a piękna, kosmopolityczna Wenecja z całym swym blichtrem, przepychem i reputacją miejsca, gdzie za odpowiednią cenę zaznać można każdej niewinnej lub zakazanej rozkoszy, szybko stała się ulubionym celem podróży europejskich wielmożów. Republika z radością witała tych pierwszych w historii turystów”.

Pod datą 13 października 1655 roku Wąsowski zanotował: „W Wenecji pozostaliśmy tylko do 16 października, gdyż nagliły nas zaburzenia w królestwie. [21 lipca Szwedzi wkroczyli do Wielkopolski. Zaczął się potop]. Wenecja z dawien dawna ma ustawy przeciw zbytkom: określona moda i liczba szat również dla kobiet.

Zatroszczono się o to, by ze względu na rozwiązłość młodzieży były tam prostytutki, ale tylko przybyłe z zewnątrz, nie miejscowe, by uchronić cześć ojczyzny. Wyznaczono im niegdyś pewne miejsce i przydzielono przełożoną, która przejmowała wszystkie dochody i dzieliła je na poszczególne miesiące”.

◀ **Antonio Vivaldi (1678-1741), portret anonimowego autora datowany na 1723 rok. Kompozytor, choć był księdzem, przedstawiony jest w świeckim stroju, jako skrzypek**

Vivaldi był wirtuozem skrzypiec. „Wydaje się niemożliwością, żeby w ogóle można było tak grać” – wspominał niemiecki miłośnik muzyki Johann von Uffenbach, który zamawiał u niego utwory

◀ **Spod peruki wyłania się niewielka plama czerwieni, która identyfikowana jest jako kosmyk rudych włosów, charakterystycznej cechy Vivaldiego**

FOT. ZBIORY MIĘDZYNARODOWEGO MUZEUM I BIBLIOTEKI MUZYCZNEJ W BOLONII

Ciekawe, że akurat ta sprawa przyciągnęła uwagę polskiego jezuity. Peter Ackroyd w swojej „biografii Wenecji” pisze: „W XVI wieku kronikarz wenecki Marino Sanudo podał zagadkowo precyzyjną liczbę kurtyzan: 11 564. Obliczenia Sanudo należy umieścić w kontekście liczby ludności, która wynosiła wówczas około 100 000, z czego by wynikało, że co piąta Wenecjanka była prostytutką. Prostytutki miały swój cech i podlegały Wydziałowi Zdrowia Publicznego. Wyrozumiałość ta brała się raczej z kalkulacji finansowej, a nie z jakiejś hedonistycznej ideologii. Z podatków pobieranych od prostytutek można było wybudować dwanaście okrętów wojennych. Ponadto nierządnice generowały ruch turystyczny, jak byśmy to dzisiaj nazwali”.

Wenecja była miastem maksymalnie rozluźnionych obyczajów.

Giorgio Baffo (1694-1768), patrycjusz z urodzenia i senator, zasłynął jako autor sprośnych wierszy w dialekcie weneckim rozpowszechnianych ustnie i anonimowo z obawy przed tajną policją. Dwa wieki później zakochał się w nim Apollinaire, nazwał go „największym poetą priapicznym, jaki kiedykolwiek istniał”. „Poetą w najbardziej lubieżnym z gatunków” nazwał go inny sławny Wenecjanin, Giacomo Casanova (1725-98), który przecież dobrze znał się na rzeczy.

„Pewnego dnia przechadzałem się po placyku – cytuje opowieść Baffa Manuela Gretkowska – i zobaczyłem w oknie buźkę nie do pogardzenia. Pozdrowiłem ją, odpowiedziała uśmiechem, więc się do niej udałem. »Mogę panią wypierdolić?«. »Nie – odpowiedziała. – Jestem dziewicą, ale jeśli pan zechce, mogę go szybko wybrandzlować«”.

„Niektóre zakonnice – pisze Ackroyd – dorabiały nawet jako kurtyzany. Jedna przeorysza stoczyła pojedynek na sztylety z zakonnicą na tle konfliktu o erotyczne względy pewnego jegomościa. Te, które było stać na drogą papieską dyspensę, mogły wyjść na wielotygodniową, a nawet wielomiesięczną »przepustkę«. W połowie XVI wieku mniszki z klasztoru konwersek przyjmowały panów wewnątrz murów swojej instytucji, a ich spowiednik odgrywał również rolę alfonsa. Niektóre domy publiczne były zorganizowane na wzór klasztorów. Burdelmamę nazywano »przeoryszą«, a jej podopieczne »siostrami«”.

„Mniszkami – pisze Krzysztof Pomian – były kochanki kilku ambasadorów Francji i kilku nuncjuszy papieskich. Podczas karnawału, który trwa sześć miesięcy, maski biegają, tańczą, obmacują się i uwodzą na Placu św. Marka, kochają się w okolicznych domach, w podcieniach, w gondolach – wszędzie”.

„W XVIII wieku karnawał zaczynał się w pierwszą niedzielę października i trwał do Wielkiego Postu – pisze Ackroyd. – Był to również sezon teatralny”.

Z półrocznego karnawału żyło siedem teatrów, 200 restauracji i kawiarń – z czego 35 na samym Placu św. Marka, i niezliczone jaskinie hazardu. Z teatralnego sezonu karnawałowego, wiosennego i jesiennego towarzyszącego miejskim targom, korzystał też Antonio Vivaldi (1678-1741), bohater tej opowieści. Najbardziej znany jest ze swoich koncertów, ale za życia był też ceniony jako kompozytor oper. Napisał ich około 50, z których w części lub w całości przetrwały do naszych czasów 23. Wśród jego librecistów byli najlepsi weneccy dramaturdzy: Pietro Trapassi zwany Metastasio (1698-1782) czy Carlo Goldoni (1707-93), który współpracował z Vivaldim przy adaptacji „Griseldy” RV 718 (numery RV, czyli Ryom Verzeichnis – Spis Ryoma, nadał utworom Vivaldiego duński muzykolog Peter Ryom).

Z BREWIARZEM W RĘKU

Goldoni odwiedził Vivaldiego pewnego dnia w 1735 roku i zostawił w pamiętnikach barwny opis tej wizyty.

„Ksiądz Vivaldi zwany jest z powodu swej czupryny »il prete rosso« (»rudy ksiądz«). Znany był bardziej pod tym przydomkiem niż pod własnym nazwiskiem.

Ów duchowny, znakomity skrzypek i średni kompozytor, wychował i wykształcił w śpiewie niejaką pannę Giraud, młodą śpiewaczkę, urodzoną w Wenecji, córkę perukarza Francuza. Nie była piękna, lecz miała wdzięk, miłą figurkę, ładne oczy i włosy, ponętne usta, głosik mały, lecz dobrą mimikę. Ona to właśnie grać miała rolę Gryzeldy.

Pan Grimani [członek patrycjuszowskiej rodziny posiadającej trzy teatry] wysłał mnie do muzyka, aby poczynić konieczne zmiany w operze bądź dla skrócenia akcji dramatycznej, bądź dla zmienienia charakteru arii. Poszedłem więc do księdza Vivaldiego i kazałem się zaanonsować z polecenia Jego Ekscelencji Grimaniego. Zastałem go z brewiarzem w ręku, w otoczeniu nut i instrumentów. Wstał, przeżegnał się szeroko, odłożył swój brewiarz i powitał mnie ze zwykłą grzecznością: »Czemu zawdzięczam przyjemność ujrzenia pana?«. – »Jego Ekscelencja Grimani powie-

eprasa.pl 80cac0502a

rzył mi dokonanie zmian, jakie uzna pan za potrzebne w operze wystawianej w czasie najbliższych targów. Przyszedłem zapytać, jakie są pańskie życzenia w tym względzie«. – »Ach, to panu powierzono zmiany w „Gryzeldzie"?«. »Będę miał przyjemność zająć się pracą szczególnie dla mnie interesującą, a mam zaszczyt rozpocząć ją pod rozkazami pana Vivaldiego«.

Ksiądz wziął swój brewiarz, zrobił powtórnie znak krzyża i nic nie odpowiedział. »Panie – rzekłem – nie chciałbym przeszkadzać panu w jego zajęciach religijnych, powrócę w stosowniejszej chwili. Czy byłby pan uprzejmy pokazać mi swój dramat?«. – »Tak, tak, bardzo chętnie. Gdzież podziała się „Gryzelda"? Była przecie tutaj... Deus in adiutorium meum intende [psalm 70: Boże, wejźrzy ku wspomożeniu memu]. Domine... Domine... Domine... [Panie], leżała tu przed chwilą. Domine ad adiuvandum [cd. psalmu: »Panie, pośpiesz się ku ratunku memu«]. Ach! Oto ona. Spójrz pan na scenę pomiędzy Gualtierem a Gryzeldą. To scena, która porywa, wzrusza. Autor zamieścił na końcu arię patetyczną, lecz panna Giraud nie lubi tęsknych, powolnych melodii, chciałaby mieć coś wyrazistego, żywego, arię, która wyraża namiętność rozmaitymi środkami: przez urywane słowa na przykład, przez westchnienia, coś, co wymaga akcji, ruchu. Nie wiem, czy mnie pan rozumie«. – »Tak, rozumiem pana doskonale, miałem ongiś zaszczyt słuchania panny Giraud i wiem, że głos jej jest niezbyt silny...«. – »Jak to, obrażasz pan moją uczennicę? Ona nadaje się do wszystkiego, śpiewa wszystko«. – »Tak, ma pan słuszność, proszę mi dać libretto, a ja już to załatwię«. – »Nie, panie, nie mogę się go pozbywać, jest mi potrzebne, a bardzo się spieszę«. – »Nie szkodzi, jeśli panu śpieszno, pożycz mi je pan na chwilę, a od razu z miejsca uczynię zadość pańskim życzeniom«. – »Od razu tutaj?«. – »Tak, panie, od razu tutaj«.

Ksiądz z drwiącą miną wręczył mi dramat, dał mi papier i kałamarz, wziął swój brewiarz i przechadzając się, recytował dalej psalmy i hymny.

Przeczytałem ponownie scenę, znaną mi już przedtem, zebrałem w myśli wszystkie życzenia kompozytora i w ciągu niecałego kwadransa naszkicowałem na papierze arię ośmiowierszową, podzieloną na dwie części. Wzywam mego księdza i pokazuję mu utwór, Vivaldi czyta, czoło mu się rozjaśnia, czyta raz jeszcze, wydaje okrzyk radości, rzuca »Officium« na ziemię i woła pannę Giraud. Ta nadchodzi. »Ach! – woła Vivaldi – oto wielki człowiek, oto świetny poeta. Proszę przeczytać tę arię. Ten pan napisał ją tu na miejscu, w przeciągu kwadransa«. A zwracając się do mnie: »Proszę pana o wybaczenie«. Ściska mnie, zapewniając, że nie ma poety, który by mi dorównał.

Powierzył mi dramat, dając rozporządzenia co do innych jeszcze zmian. Był ze mnie nadal zadowolony, a opera wypadła zachwycająco".

Jak wynika z opisu Goldoniego, mezzosopranistka Anna Girò (tak Włosi zapisywali jej francuskie nazwisko), młodsza od księdza Vivaldiego o 30 lat, mieszkała razem z nim w roli półoficjalnej towarzyszki życia. Po raz pierwszy zaśpiewała w jego operze „Dorilla in Tempe" RV 709 w roku 1726. Miała wtedy około szesnastu-osiemnastu lat. Do 1740 roku wystąpiła w 19 jego operach. W tymże roku towarzyszyła Vivaldiemu w jego, jak się miało okazać, ostatniej w życiu podróży – do Wiednia.

W szybko piszącym Goldonim Vivaldi odnalazł pokrewną duszę, bo sam słynął z wielkiej prędkości komponowania. Mówił, że szybciej pisze nuty, niż kopista jest w stanie je przepisać. Niemiecki miłośnik muzyki Johann von Uffenbach zamówił u Vivaldiego dziesięć concerti grossi i kompozytor dostarczył je po trzech dniach od zamówienia. Na rękopisie opery „Tito Manlio" RV 738 widnieją słowa „Musica del Vivaldi fatta in 5 giorni" („Muzyka Vivaldiego ukończona w pięć dni").



• **Widok na plac św. Marka w Wenecji z Muzeum Correr, obraz Francesco Guardiego, lata 60. XVIII wieku**
FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY PRYWATNE

400 RAZY TO SAMO?

Vivaldi tworzył muzykę w trzech odrębnych stylach. Jednym jest idiom operowy z – jak to było w zwyczaju w epoce baroku – ariami pełnymi karkołomnych figuracji i koloratur. Drugim jest idiom muzyki sakralnej, głębszej i mniej skupionej na popisach wokalnych. Trzecim jest idiom, który dał mu największą sławę – format koncertu instrumentalnego z orkiestrą. Michael Talbot podsumowuje liczbę jego koncertów na 483, z tego 225 na skrzypce solo z orkiestrą, z których Vivaldi jest najbardziej znany.

Igor Strawiński miał powiedzieć, że Vivaldi nie napisał 400 koncertów, tylko jeden koncert 400 razy. W rzeczywistości powiedział to XX-wieczny włoski kompozytor i muzykolog Luigi Dallapiccola, ale trzeba było włożyć to w usta kogoś sławniejszego. Któż zna Dallapiccolę, a kto Strawińskiego? I czyż Vivaldi nie jest od nich obu popularniejszy do kwadratu?

Przygotowując się do pisania o Vivaldim, przesłuchałem około 200 jego koncertów na rozmaite składy instrumentalne. I zdecydowanie nie było to 200 razy to samo. Owszem, muzyka Vivaldiego jest mniej złożona niż muzyka na przykład Bacha, ale jego inwencja melodyczna jest niezrównana.

W latach 80. trafiłem na płytę „Concerti a cinque", czyli koncerty na pięć instrumentów bez orkiestry. Zachwycił mnie koncert g-moll RV 104 zatytułowany „La Notte" („Noc"). Barokowy nokturn. Składa się z czterech części: trzy pierwsze mają nazwy „Noc", „Widziadła" i „Sen". Nagrał to francuski zespół Secolo Barocco. Słuchałem tego koncertu w innych wykonaniach, ale wersja Francuzów podoba mi się najbardziej. Była to jednak, niestety, jedyna płyta, którą nagrali. Nigdy nie wydano jej na kompakcie – oto niesprawiedliwość świata.

„La Notte" i „Cztery pory roku" to niejedyne tak zwane koncerty programowe Vivaldiego: są też m.in. „Burza na morzu" RV 253, „Polowanie" RV 362, „Róg myśliwski" RV 363 i „Koncert żałobny" RV 579, a także „Szczygieł" RV 90 i „Kukułka" RV 335 z pięknymi ptasimi trelami, które znajdujemy też w „Wiośnie" i w arii „Usignoli che piangete", czyli „Słowiki, które płaczecie", z opery „La Candace" RV 704 (polecam Sandrine Piau, o której napiszę później).

Lubię też bardzo część pierwszą koncertu wiolonczelowego e-moll RV 409 z Christophe'em Coinem – opisaną przez kompozytora jako adagio-allegro alternatim, gdzie co kilkanaście sekund radykalnie zmienia się tempo z bardzo wolnego na bardzo szybkie i z powrotem.

Spośród skrzypków grających Vivaldiego polecam Anglików Daniela Hope'a – o którym będzie mowa później – Andrew Manze'ego i Rachel Podger oraz Włochów Giuliana Carmignolę, Fabia Biondiego i Federica Guglielmo.

WISPELWEY

Pierwszy raz usłyszałem go w połowie lat 90. na płycie z koncertami wiolonczelowymi Haydna. Zachwycające nagranie.

Pieter Wispelwey urodził się w 1962 roku w Haarlemie. „Chciałem grać na wiolonczeli, gdy miałem dwa lata – mówił – ale kazano mi czekać do ósmego roku życia. Rodzice zabrali mnie do Dicky Boeke, kiedy miałem sześć lat, a ona powiedziała: »Poczekajmy jeszcze kilka lat«".

W latach 90. Wispelwey wydał dwie płyty z muzyką Vivaldiego: sonaty i koncerty. Na tej drugiej znajduje się obezwładniające largo z koncertu g-moll RV 407. Jedna z najpiękniejszych melodii, jakie w życiu słyszałem. Prosta i dzięki temu trafiająca w sedno. Po części też ze względu na urodę brzmienia.

Wispelwey używa chętnie – także w utworach powstałych po epoce baroku – jelitowych strun. Mają dźwięk cichszy niż nowoczesny metal, ale barwa jest bogatsza w alikwoty, czyli składowe tony harmoniczne, ciemniejsza, jak gęsta gryczana patoka. Dicky Boeke – jak mówił – „uważała, że struny jelitowe są piękniejsze, a także stanowią interesujące wyzwanie. W przypadku strun jelitowych do odkrycia jest więcej barw".

„Lubię surowość i blask tego brzmienia. Podoba mi się to, że może i ryczeć, i szeptać. Podoba mi się sposób, w jaki muszę poruszać ramieniem. Bardzo lubię najniższe struny. Oczywiście jako solista spędzasz dużo czasu na najwyższych strunach, ponieważ w orkiestrze to właśnie tam możesz się wyeksponować".

Boeke „uczyła mnie od ósmego do siedemnastego roku życia. Przez pierwszych kilka tygodni po prostu chodziłem po domu, machając smyczkiem, upewniając się, że w każdej chwili potrafię znaleźć właściwy uchwyt. Po roku lub dwóch naprawdę zacząłem ćwiczyć na poważnie. Moi rodzice byli na tyle mądrzy, że ustalili regularny czas: na początku piętnaście minut, potem, po pół roku, dwadzieścia minut. Po dwóch latach stało się to pół godziny. W wieku dwunastu lub trzynastu lat – godzinę lub dziewięćdziesiąt minut, a w wieku piętnastu – dwie godziny".

„Jako nastolatek słyszałem w Amsterdamie Rostropowicza, który zagrał trzy koncerty w ciągu jednego wieczoru. A kiedy miałem czternaście lub piętnaście lat, słyszałem, jak Anner Bylsma grał »Suity wiolonczelowe« Bacha w kościele w Amsterdamie. To było niezapomniane. Moja nauczycielka go uwielbiała, więc oczywiście byłem bardzo podekscytowany, że mogę go usłyszeć. Trzy lata później został moim nauczycielem".

Pieter Wispelwey stał się moim ulubionym przewodnikiem po muzyce wiolonczelowej. Od tego Haydna z 1994 roku zbierałem jego płyty, chociaż daleko mi do kompletu. Holenderska wytwórnia Channel Classics wydała niedawno boks jego nagrań zebranych: to 35 płyt. Oprócz Vivaldiego, Bacha i Haydna m.in. Beethoven, Schubert, Brahms, Dvořák, Reger, Britten,

eprasa.pl 80cac0502a



• Koncert galowy na cześć następcy tronu Cesarstwa Rosyjskiego w Sala dei Filarmonici w gmachu Prokuracji przy placu św. Marka w Wenecji. Obraz Francesco Guardiego z 1782 roku

FOT. ZBIORY STAREJ PINAKOTEKI W MONACHIUM



• Wejście do Wielkiego Kanału w Wenecji, obraz Giovanniego Antonia Canala datowany na 1730 rok

FOT. MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH W HOUSTON

Szostakowicz i Lutosławski. Ogromny repertuar!

SICILIANA

Koncert d-moll na dwoje skrzypiec, wiolonczelę i smyczki RV 565 ma w drugiej części coś rzadko obecnego w utworach instrumentalnych Vivaldiego: przepiękną fugę. To dowód jego kunsztu, chociaż kompozytor wolał na ogół prostszą harmonicznie fakturę od tradycyjnego barokowego kontrapunktu w stylu północnoeuropejskim, w typie Bacha. Innymi pięknymi przykładami fug u Vivaldiego są część trzecia alla breve z koncertu G-dur RV 415 (Wispelwey) i część trzecia allegro z „Koncertu żałobnego” B-dur RV 579 (zespół Le Concert des Nations wspaniałego Katalończyka Jordiego Savalla).

Koncert RV 565 został wydany w 1711 roku w Amsterdamie w cyklu 12 koncertów op. 3 „L’ estro armonico” („Pasja harmoniczna”). Bach poznał je, kiedy mniej więcej w latach 1713-14 jego ówczesny patron, książę Johann Ernst von Sachsen-Weimar, przywiózł z Holandii całą kolekcję druków muzycznych. Bach na tyle cenił koncerty Vivaldiego, że dokonał transkrypcji na klawisze kilkunastu spośród nich. Jest wśród nich adaptacja Koncertu RV 565 na organy BWV 596 (BWV, czyli Bach Werke Verzeichnis, spis utworów Bacha ułożony przez Wolfganga Schmiedera).

To dzięki Vivaldiemu Bach zapoznał się z sicilianą. To forma melodyczna utrzymana w wolnym tempie, oparta na tak zwanym rytmie punktowanym, czyli takim, w którym jedna nuta jest przedłużona o połowę (czyli stawia się przy niej kropkę), a druga jest o połowę skrócona. Daje to kołyszący, łagodny rytm. Metrum to zwykle sześć lub dwanaście ósmych.

Rytmiczny schemat siciliany rodzi często przepiękne melodie. To przejaw ogólnej zasady, że w muzyce najlepiej starzeją się części wolne i utrzymane w tonacjach molowych. U Vivaldiego siciliany brzmią między innymi w wolnej części koncertu D-dur RV 95 (cudne nagranie Secolo Barocco), w wolnej części wspomnianego koncertu wiolonczelowego G-dur RV 415 w wykonaniu Wispelweya, w koncercie fletowym D-dur RV 90 „Il gardellino” („Szczygieł”), w koncercie skrzypcowym C-dur RV 180 „Il piacere” („Przyjemność”), jak również we wspomnianym już koncercie na dwoje skrzypiec i wiolonczelę RV 565.

ROZŚPIEWANE SKRZYPCE

„Cztery pory roku” (RV 269, 315, 293, 297) są evergreenem muzyki klasycznej, wszyscy je znamy. W kościele Santa Maria della Pietà co drugi wieczór gra je zespół Interpreti Veneziani. Ukazały się drukiem w 1725 roku w ramach edycji 12 koncertów z op. 8, „Il cimento dell’Armonia e dell’Inventione” („Spór harmonii z inwencją”). Były popularne przez kilkadziesiąt lat we Francji. A potem – aż trudno uwierzyć – zostały zapomniane na dwieście lat, jak zresztą cała muzyka Vivaldiego. Wyciągnięto jego utwory na światło dzienne dopiero w trzecim tygodniu II wojny światowej (w której Włochy Mussoliniego jeszcze nie brały udziału). Między 16 a 21 września 1939 roku zorganizowano „Tydzień Vivaldiego”.

Josif Brodski w swoim eseju o Wenecji z 1989 roku pisze: „Przypomniało mi się, że to przecież chyba Olga Rudge [towarzyszka życia poety Ezry Pounda] zorganizowała po raz pierwszy w historii settimanę Vivaldiego. Miss Rudge grała na skrzypcach. W trakcie wykonywania utworu zauważyła kątem oka, że do salonu wszedł jakiś pan, który stanął przy drzwiach, ponieważ wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Utwór był długi i skrzypaczka zaczynała się trochę denerwować, ponieważ zbliżało się miejsce, w którym trzeba było przewrócić kartkę nut, nie przerywając gry. Mężczyzna, którego widziała kątem oka, ruszył przed siebie i po chwili zniknął z pola jej widzenia. Trudne miejsce w nutach było coraz bliżej i jej nerwowość rosła. Wreszcie, dokładnie w momencie, gdy miała przewrócić kartkę, z lewej strony wysunęła się dłoń, wyciągnęła w stronę pulpitu i powoli przewróciła arkusz. Skrzypaczka grała dalej, a gdy trudne miejsce miała już za sobą, zerknęła w lewo, aby podziękować nieznajomemu spojrzeniem. »I tak«, jak opowiadała Olga Rudge komuś z moich przyjaciół, »poznałam Strawińskiego«”.

Strawiński i Brodski są pochowani w Wenecji. A partytura „Pór” została wznowiona w druku dopiero w 1950 roku.

W zeszłym roku na własne uszy słuchałem, jak te koncerty zagrał brytyjski skrzypek Daniel Hope. Grał na świetnym instrumencie, skrzypcach Guarneriego del Gesù z 1742 roku, znanych jako „ex-Lipiński”, ponieważ przez długie lata należały one do tego XIX-wiecznego polskiego wirtuoza.

Nigdy wcześniej nie słyszałem takiej gry na skrzypcach. W rękach Hope’a te koncerty pokazały całą swoją wybuchową energię. Niebywała szybkość smyczkowania w częściach szybkich, jednocześnie ani przez chwilę nie za cenę utraty urody dźwięku. Nagranie „Pór roku” przez Hope’a z orkiestrą z Zurychu jest do znalezienia w streamingach. To również on wraz z Lorenzą Borrani oraz Chamber Orchestra of Europe pięknie nagrał koncert podwójny RV 565, o którym była już mowa.

Vivaldi był wirtuozem skrzypiec. „Wydaje się niemożliwością, żeby w ogóle można było tak grać – wspominał Johann von Uffenbach. – Dochodził palcami do podstawka zaledwie na odległość słomki, tak że smyczek nie miał dla siebie miejsca, i to na wszystkich czterech strunach w fugach i z nieprawdopodobną szybkością”.

JAWOR W ZIMIE

W baroku działali najwybitniejsi lutnicy wszech czasów: Cremończycy Nicolò Amati (1596-1684), Antonio Stradivari (1644-1737) i Giuseppe Guarneri, zwany del Gesù (1698-1744), Brescianin Giovanni Paolo Maggini (ok. 1580-ok. 1630), Wenecjanin Domenico Montagnana (1686-1750) i Turyńczyk Giovanni Battista Guadagnini (1711-86).

Skrzypce były stosunkowo nowym gatunkiem instrumentu. Narodziły się we Włoszech ok. 1530 roku. Najpierw trzystrunowe, a później czterostrunowe, były potomstwem rodziny wiol – a dokładniej rebeku, fideli i violi da braccio. Kiedy już ukształtowały się w swojej ostatecznej postaci, urodziły całą familię instrumentów smyczkowych, które do dzisiaj stanowią rdzeń orkiestry symfonicznej: altówki, wiolonczele i kontrabasy.

W XVIII i XIX wieku dwa instrumenty wywalczyły sobie niepodległość: skrzypce i fortepian. Z tym że fortepian w dzisiejszej postaci zbudowano późno. Pierwszy koncertowy Steinway powstał w 1853 roku. (Historyczne „fortepiano” wróciło teraz do łask, ale go nie lubię; ma mały dźwięk o brzydkiej barwie i ograniczonej dynamice).

Najsławniejsi w XIX wieku wirtuozi swoich instrumentów: skrzypek Niccolò Paganini (1782-1840) i pianista Franz Liszt (1811-86), wprowadzili grę na niebosiężną wysokość trudności technicznych, ale moim zdaniem zrobili krzywdę muzyce. Muzyka straciła niewinność i śpiewność, stała się torem przeszkód.

Tymczasem Vivaldi jest naraz wirtuozerski i prosty oraz zwięzły. Nie poddaje melodii złożonym przekształceniom jak Bach albo późniejsi kompozytorzy. Większość melodii Vivaldiego jest pełna inwencji, ale jego koncerty, składające się zwykle z trzech części (szybko – wolno – szybko), trwają na ogół tylko około 10 minut.

Vivaldi napisał 225 koncertów skrzypcowych. Bach – trzy. Haydn – dwa. Mozart – sześć. Beethoven – dwa. Brahms – dwa. Strawiński – jeden. Prokofiew – dwa. Szostakowicz – dwa.

Skrzypce mają w porównaniu z wiolami jaskrawy, przenikliwy i ekspresyjny dźwięk. Były instrumentalnym odpowiednikiem sopranu. Ze wszystkich instrumentów to one potrafią najpiękniej śpiewać.

Przez 200 lat próbowano zrozumieć, dlaczego skrzypce Amatiego, Stradivariego i Guarneriego brzmią najpiękniej ze wszystkich. Była hipoteza, że odpowiada za to stosowany przez Cremończyków lakier, którego skład był pilnie strzeżoną tajemnicą rzemiosła. Ale lakier nie rezonuje, a drewno jak najbardziej.

Do budowy płyty wierzchniej stosowano alpejski świerk. Bałkański jawor – do budowy płyty spodniej, boczków oraz szyjki zakończonej ślimakiem. Miękką wierzbę – do wykonania elementów wewnętrznych, takich jak klocki wzmacniające konstrukcję oraz paski łączące boczki z płytami. Egzotyczne twarde drewno (m.in. heban) – do podstrunnicy i kołków.

Między połową XVII wieku a pierwszą kwartą wieku XVIII panowała w Europie anomalia klimatyczna, tzw. mała epoka lodowa. Badania szkieletów wykazały, że ludzie byli o kilkanaście centymetrów niżsi niż przed i po. W naszej części kontynentu zamarzał Bałtyk – na lodzie ustawiano gospody dla podróżnych.

Jaki to miało wpływ na drewno? Otóż w zimnych latach przyrosty słojów są mniejsze. Drewno było więc bardziej spoiste i mocniejsze. Po sezonowaniu stawało się suchsze. Cremończycy konserwowali je też za pomocą substancji mineralnych, m.in. boraksu, ałunu i związków miedzi, co dodatkowo utwardzało materiał i zwiększało jego właściwości rezonansowe.

OSPEDALE

Antonio Vivaldi urodził się 4 marca 1678 roku w Wenecji. Jego ojciec Giovanni Battista Vivaldi był balwierzem, ale później został skrzypkiem w orkiestrze Bazyliki Świętego Marka, największego kościoła w Wenecji. Antonio od niemowlęctwa był słabowity, cierpiał na chorobę, co do której uważa się, że była to astma oskrzelowa.

W wieku 25 lat (w roku 1703) został wyświęcony na księdza. Jak pisał do markiza Guida Bentivoglio: „Po przyjęciu święceń kapłańskich przez rok z okładem odprawiałem mszę, ale później przestałem, ponieważ trzykroć zmuszony byłem odejść od ołtarza przed końcem nabożeństwa z powodu mojej choroby. Z tejże racji spędzam większość życia w domu, a poza domem poruszam się gondolą lub powozem, ponieważ z powodu mojej piersiowej dolegliwości, zwanej strettezza di petto [”zwężeniem klatki piersiowej”], nie mogę chodzić. Żaden nobile nie zaprosi mnie do siebie, ponieważ wszyscy wiedzą o mojej bolączce. Na ogół mogę opuścić dom po śniadaniu, ale nie na nogach”.

Dostał dyspensę od odprawiania mszy, ale modlił się na brewiarzu, jak to opisał Carlo Goldoni.

W roku 1703 został nauczycielem muzyki w Ospedale della Pietà (Szpitalu Pobożności, czasem tłumaczy się to jako „miłosierdzie”, chociaż po włosku nazywa się ono „misericordia”). Pracował tam z niedługimi przerwami aż do wyjazdu z Wenecji do Wiednia w 1740 roku. Ospedale to nie był szpital w dzisiejszym sensie, tylko sierociniec oraz zakład dla podrzutków, dzieci nieślubnych płci żeńskiej i panien bez posagu. W XVIII wieku w Pietà przebywało około tysiąca dziewczynek i panien, chociaż wyszkolonych do gry i śpiewu było około czterdziestu. Jest to powód, dla którego w muzyce wokalnej Vivaldiego jest tak ogromna przewaga sopranów i altów, chociaż niektóre pensjonariuszki zostały ponoć wyszkolone nawet do śpiewu basem.

W archiwach weneckiej tajnej policji zachował się meldunek, że wiele dziewcząt z Ospedale uprawiało prostytucję pod okiem

eprasa.pl 80cac0502a

niejakiej Laury, byłej kurtyzany, która posunąwszy się w leciech, została stręczycielką.

Vivaldi uczył zarówno śpiewu, jak i gry na rozmaitych instrumentach. Dyrygował i grał na skrzypcach. Był tak sławny w tamtym czasie, że król duński i norweski Fryderyk IV odwiedził w 1708 roku Ospedale Vivaldiego, incognito, w karnawałowej masce.

Chorowity Vivaldi, który nawet po własnym mieście nie miał siły chodzić, odbył kilka podróży po Europie, m.in. do Pragi i Amsterdamu. W maju 1740 roku zdecydował się pojechać do Wiednia w towarzystwie wiernej Anny Girò. Był w dobrych stosunkach z cesarzem Karolem VI, poznał go w 1728 roku w Trieście, rozmawiali przyjaźnie aż przez dwa tygodnie, zatem Vivaldi liczył na zamówienia z cesarskiej opery. Niestety, 20 października 1740 roku Karol VI śmiertelnie zatruł się grzybami i w kraju ogłoszono roczną żałobę. Żadnych oper, teatrów, koncertów czy balów. Vivaldi nie miał z czego żyć i nie było go stać ani na dalszą podróż do Drezna, gdzie miał przyjaciół, ani na powrót do Wenecji. 28 lipca 1741 roku umarł w wieku 63 lat. Jako przyczynę podano „wewnętrzne zapalenie". Kiedy wiadomość o jego śmierci dotarła do Wenecji, władze opieczętowały jego mieszkanie i ruchomości, co prawdopodobnie znaczyło, że umarł w długach.

DUX VENETIARUM

Ustrój Wenecji opierał się na systemie wielu równoważących się wzajemnie rad i komitetów. Doża rządził dożywotnio, ale nie miał prawa wprowadzania swoich krewnych do kręgu władzy, tytuł nie mógł być dziedziczony. Doża nie mógł własnoręcznie otwierać swojej poczty. Nie mógł prywatnie przyjmować zagranicznych gości. Nie mógł nawet wyjechać z miasta bez zgody Signorii, czyli dziesięcioosobowego rządu.

Słowo „doża" (w dialekcie weneckim „doge", po włosku „duca") pochodzi od łacińskiego „dux" („wódz", od którego biorą się też książęce tytuły diuka we Francji i w Anglii). Wenecja w ciągu tysiąca stu lat swojego niepodległego istnienia wybrała 118 dożów. Czyli przeciętny doża rządził przez dziewięć lat. „W XV i XVI stuleciu – pisze Ackroyd – średni wiek dożów w dniu wyborów wynosił 72 lata. Wielu weneckich dożów wybrano po dziewięćdziesiątce. Chodziło o to, żeby doża nie zdążył przed śmiercią zbudować wokół siebie zbyt silnego ośrodka władzy".

Ustrój wenecki promował umiar, debatę i konsensus. Mieszkańcy Wenecji nigdy nie zbuntowali się przeciwko swojej władzy. La Serenissima, czyli Najjaśniejsza, była oazą tolerancji, jedynym krajem w Europie, który nie spalił nikogo za herezję (co nie znaczy, że nie palono ludzi za inne przestępstwa). Kiedy w 1797 roku Napoleon położył kres istnieniu Republiki, zdumiał się, że na całym jej terytorium nie było ani jednego więźnia politycznego.

W średniowieczu Wenecja stworzyła prawdziwe imperium kolonialne. Podporządkowała sobie Dalmację, Korfu, Negroponte (Eubeę), Moreę (Peloponez), Kandię (Kretę), Cypr i wyspy Morza Egejskiego, a także wiele terytoriów na tak zwanej terra firma, czyli na stałym lądzie w północnych Włoszech. W roku 1204 doża Enrico Dandolo, który panował w latach 1192-1205 i dożył 98 lat, przekonał wodzów czwartej krucjaty, że wyzwalanie Ziemi Świętej należy zacząć od zdobycia Konstantynopola, co się też udało. W efekcie na kilkadziesiąt lat upadła stolica Cesarstwa Wschodniego, a krzyżowcy w ogóle nie dotarli do Jerozolimy. Wenecja od XIII do XV wieku była u szczytu potęgi.

Równocześnie jednak do Europy zaczęli się wdzierać Turcy osmańscy. 29 maja 1453 roku zdobyli bizantyjską stolicę. „Okręt wenecki, który zdołał opuścić Konstantynopol, przywiózł na Zachód jedną z pierwszych wiadomości o katastrofie – pisze Pomian. – Do senatu weneckiego doszła ona 29 czerwca; nazajutrz pchnięto gońców do papieża i do króla Neapolu. Ale już po kilku tygodniach Wenecja wysłała poselstwo do sułtana, by odtąd, przez ponad trzy wieki, na przemian to wojować, to handlować z imperium otomańskim".

Dodatkowym ciosem dla weneckiej gospodarki były wielkie odkrycia geograficzne i handel międzynarodowy Hiszpanii, Portugalii, Holandii i Anglii. Pieniądz przeniósł się gdzie indziej. Galeony zachodniej Europy były szybkie i doskonale uzbrojone, podczas gdy Wenecjanie stale używali przestarzałych galer wiosłowych.

Wenecja tymczasem przez dwieście lat z okładem angażowała się w wojny z Turcją. Ale nawet legendarne zwycięstwo w bitwie morskiej pod Lepanto w 1571 roku zostało politycznie zmarnowane. Epokę wojen zakończył dopiero traktat z Passarowitz (dziś Požarevac w Serbii) z 1718 roku.

Wojna niby została wygrana przez koalicję austriacko-wenecką, ale Wenecja nie odniosła z traktatu pokojowego żadnych korzyści.

Igor Strawiński miał powiedzieć, że Vivaldi nie napisał 400 koncertów, tylko jeden koncert 400 razy. W rzeczywistości powiedział to włoski kompozytor Luigi Dallapiccola, ale trzeba było włożyć to w usta kogoś sławniejszego

Zwycięstwo zostało skonsumowane przez cesarstwo Habsburgów.

„Zresztą – dodaje Pomian – w Europie po pokoju w Utrechcie (1713) prawdziwe potęgi są za Alpami. Są to Wielka Brytania, wynik unii Anglii ze Szkocją, Francja, Prusy, Austria i Rosja".

To miało się źle skończyć i dla Wenecji, i dla Polski, i to w odstępie dwóch lat: Polska w roku 1795 i Wenecja w 1797. Dwie oligarchie ze słabymi armiami zostały otoczone przez uzbrojone po ostre zęby monarchie absolutne.

PIAU

W herbaciarni na Słupeckiej usłyszałem pierwszy raz wolną arię „Cum dederit" z psalmu 126 „Nisi Dominus" RV 608.

„Cum dederit dilectis suis somnum, ecce haereditas Domini, filii; merces, fructus ventris" („Gdy da miłym swym spanie. Oto dziedzictwo Pańskie – synowie, zapłata – owoc żywota").

Cóż to jest za głos, myślałem, co za barwa, co za intonacja! Pewnie nie jestem jedynym człowiekiem, który potrafi zakochać się w śpiewaczce, poetce czy aktorce. W końcu istotą sztuki jest transmisja emocji.

Sandrine Piau urodziła się w 1965 roku w Issy-les-Moulineaux we Francji. Wykształciła się w paryskim konserwatorium na harfistkę, ale któregoś dnia trafiła do klasy Williama Christie'ego, szefa zespołu Les Arts Florissants. „Jego zajęcia nazywały się »Interpretation de la musique vocale ancienne« – opowiadała. – To wszystko było dla mnie wielką tajemnicą, bo jako harfistka specjalizowałam się w muzyce nowożytnej i współczesnej. Nagle okazało się, że cofam się o dwa stulecia. Była to muzyka ekscytująca i w pewnym sensie nowoczesna. Dla mnie muzyka XIX wieku jest o wiele bardziej konformistyczna niż ta, która pojawiła się przed nią i po niej".

Śpiew barokowy bardzo różni się od XIX- i XX-wiecznej operowej wokalistyki. Barwa jest jaśniejsza, o wiele mniej jest wibrata. Piau nagrała solową płytę „Vivaldi!". Zaczyna się ona od niesamowitego wykonania arii „Alma oppressa da sorte" („Dusza przytłoczona przez los") z opery „La fida ninfa" („Wierna nimfa") RV 714. Niebywałe wymogi techniczne, skoki interwałowe, wirtuozerskie koloratury Piau przechodzi z taką swobodą, z jaką Usain Bolt biegał na setkę.

W arii „Tunc meus fletus" z kantaty sakralnej „In furore giustissimae irae" („W szale sprawiedliwego gniewu") RV 626 pokazuje się z innej strony. Jest to jeden z najpiękniejszych wolnych kawałków Vivaldiego. „Tunc meus fletus evadet laetus dum pro te meum languescit cor. Fac me plorare, mi Jesu care, et fletus laetum fovebit cor" („Wtedy mój płacz zamieni się w radość, a serce moje będzie tęsknić za Tobą. Spraw, abym płakała, mój najdroższy Jezu, a ten płacz napełni moje serce radością").

CHWAŁA

Zachwyca mnie też mezzosopranistka Magdalena Kožena, urodzona w 1973 roku w stolicy Moraw Brnie, od 2008 roku żona sławnego dyrygenta Lady Simonowa Rattle. W oratorium „Juditha Triumphans" RV 644 jest przepiękna aria „Veni, me sequere fida" („Chodź, idź za mną, wierna Abro, ukochana") z towarzyszeniem rzadkiego instrumentu, chalumeau, przodka klarnetu o wyższych alikwotach, co nadaje jego barwie nieco fletowy ton. Kožena wydała wspaniały album z ariami Vivaldiego z dziesięciu jego oper. Większość to wolne, nastrojowe długie kawałki, Vivaldi w idiomie lirycznym.

Pośród dzieł sakralnych Vivaldiego genialna jest Gloria D-dur RV 589. To nie tylko jeden z jego najpiękniejszych utworów; należy do arcydzieł muzyki kościelnej XVIII wieku, wraz z Mszą h-moll Bacha, „Mesjaszem" Haendla, „Stabat Mater" Pergolesiego i „Requiem" Mozarta.

Jestem bardzo przywiązany do nagrania Anglików z Academy of Ancient Music pod kierunkiem Christophera Hogwooda z udziałem Choir of Christ Church Cathedral z Oksfordu. Zachwycają mnie soprany chłopięce w chórze. Jasny, niewinny tembr. Chociaż nie jest to zgodne z oryginalną wersją, bo akurat w Wenecji – w przeciwieństwie na przykład do Państwa Kościelnego – kobietom wolno było śpiewać w kościele, a Vivaldi miał do dyspozycji w Ospedale tylko dziewczęce głosy. Przepiękne części „Propter magnam gloriam" („Bo wielka jest chwała Twoja") i „Cum Sancto Spiritu" („Z Duchem Świętym") to kolejne fugi w oeuvre Vivaldiego. Pierwsza z nich rozgrywa się na przestrzeni minuty, a niczego w niej nie brakuje. Vivaldi, jak zwykle, pędzi naprzód.

ROZKWIT W CZASIE UPADKU

Między końcem XVI wieku a wiekiem XVIII Wenecja traci na rzecz Turków większość swoich kolonii. Historycy nazywają ten okres – zwłaszcza po traktacie z Požarevca z roku 1718 – epoką schyłkową, ale ten schyłek dotyczył tylko polityki i wojny. „Czy bycie mocarstwem – pyta Norwich – stolicą imperium, naprawdę jest tak bardzo ważne? Czy pogoń za przyjemnością jest bardziej naganna od pogoni za bogactwem, nowymi nabytkami terytorialnymi i militarnymi triumfami? Pierwsza nie krzywdzi nikogo i daje początek wielu materialnym i ulotnym przejawom piękna. Druga kosztuje tysiące istnień ludzkich, a jej pokłosiem jest zawsze zagłada i spustoszenie".

Wenecja zajęła w europejskiej polityce pozycję neutralną i miała z tego powodu wymierne korzyści. Budowano kościoły i pałace, a Giambattista Tiepolo (1696-1770) ozdabiał je wielkimi obrazami religijnymi i freskami. W ogóle malarstwo – po obniżce formy w XVII wieku – w settecencie rozkwitło na nowo. Antonio Canal zwany Canaletto (1697-1768 – wuj naszego Canaletta, Bernarda Bellotta) i Francesco Guardi (1712-93) malowali weduty, czyli miejskie widoki weneckie, które cieszyły się zawrotną popularnością wśród zamożnych zagranicznych turystów. Alessandro Longhi (1733-1813) i Rosalba Carriera (ok. 1673-1757) zasłynęli portretami.

Muzyka przeżywała boom. Oprócz Vivaldiego popularni byli Tomaso Albinoni (1671-1751), bracia Alessandro (1673-1747) i Benedetto Marcello (1686-1739) czy Baldassare Galuppi (1706-85, pisał opery do librett Goldoniego i Metastasia). W siedmiu teatrach Wenecji wystawiano każdego sezonu około 20 nowych oper. Nazwiska większości ich twórców uległy okrucieństwu czasu i zamieniły się w kurz na archiwalnych półkach.

Jest jeszcze jedna rzecz: pewne epoki nazywamy schyłkowymi, ale ta wiedza przychodzi zawsze ex post. Ludzie żyjący w epoce schyłkowej nigdy nie wiedzą, że żyją w epoce schyłkowej. Być może żyjemy właśnie w jednej z nich.

Wiosną 1796 roku 26-letni Napoleon Bonaparte zaprowadził wojnę do austriackich posiadłości we Włoszech. Odniósł serię zwycięstw, a przy okazji zwrócił oczy na Wenecję. W kwietniu 1797 roku wenecka galera zatopiła w pobliżu wejścia do laguny francuski okręt. Napoleon miał wreszcie casus belli. Przy obiedzie z wysłannikami doży zażądał reparacji w wysokości 22 milionów franków. Wenecjan nie było na to stać. Nie było ich też stać na wojnę. Ich wojska lądowe liczyły tylko 5000 żołnierzy, a ich marynarka, kiedyś panująca nad wschodnim Śródziemnomorzem, była nieliczna.

„29 kwietnia – pisze Ackroyd – francuscy żołnierze podeszli pod weneckie granice. Kiedy spanikowane władze miasta zebrały się następnego dnia, słychać już było huk francuskiej artylerii. Następnego dnia, 1 maja, zebrała się Wielka Rada i do jej członków przemówił doża. Powiedział im, że trzeba za wszelką cenę zawrzeć rozejm i kazał im się modlić. Doża powrócił do swojego mieszkania i oddał książęcą tiarę służącemu. »Weź, nie będzie mi już potrzebna«, powiedział. Tak dokonała żywota Republika Wenecka. Ostatni karnawał był ponoć najwspanialszy i najkosztowniejszy w całych dziejach miasta".

Nigdy nie będzie ostatniego karnawału. Władze przychodzą i odchodzą, a zabawa trwa. ●

**Fragmenty biblijne podaję w katolickim przekładzie ks. Jakuba Wujka z 1599 roku. Vivaldi ułożył muzykę do cytowanego psalmu 70: „Domine ad adiuvandum" RV 593*

**Literatura: Michael Talbot: „Vivaldi", przeł. Helena Dunicz-Niwińska; Michael Talbot: „The Vivaldi Compendium"; H.C. Robbins Landon: „Vivaldi. Voice of the Baroque"; Krzysztof Pomian: „Wenecja w kulturze europejskiej"; Peter Ackroyd: „Wenecja. Biografia", przeł. Tomasz Bieroń; John Julius Norwich: „Historia Wenecji", przeł. Jakub Bartoszewicz; Manuela Gretkowska: „Wenecja. Miasto, któremu się powodzi"; Carlo Goldoni: „Pamiętniki", przeł. Maria Rzepińska; Thomas Mann: „Śmierć w Wenecji", przeł. Leopold Staff; Josif Brodski: „Znak wodny", przeł. Stanisław Barańczak.*

eprasa.pl 80cac0502a

Wczoraj, czyli dziś

Marzenia o dobrej partii

Wokulski był bogaty, ale dorobkiewicz, a Starski potrzebował bogatej żony. Skąd Łęcka miała wziąć odpowiedniego męża?

Maciejewska



Baronowa Staffe doradzała, w poradniku „Zwyczaje towarzyskie”, wydanym we Lwowie w 1898 r., że najlepiej by było, „gdyby przyjazne młodym osoby zaprosiły ich na obiadek dany wyłącznie w tym celu, na którym oczywiście muszą być i rodzice panienki”. Panienka nie powinna, oczywiście, domyślać się celu takiego spotkania, tak ważną decyzję podejmowali rodzice.

Targi matrymonialne odbywały się zwykle w czasie karnawału. „Te huczne i doroczne zjazdy (...) były ciężką próbą dla matek, które mężów i młodsze dzieci zostawiwszy na wsi, uzbrajały się w męstwo, cierpliwość i wytrzymałość” – wspominała krakowski karnawał w 1909 r. Janina Żółtowska, prawnuczka mickiewiczowskiej Maryli.

„Liczenie na posag, szukanie dobrych partii, nawet sporządzenie listy zaproszonych odbywało się gdzieś w ukryciu, bez widzów i komentarzy. (...) Nie było w Krakowie ludzi bogatych z innej sfery, którzy by pieniędzmi i gościnnością pragnęli zdobyć światowe stanowisko, ale spotykało się osoby mniej lub więcej skoligacone, mniej lub więcej strojne i umiejętne, więc milczenie i roztargnienie należało do jedynej broni używanej przeciwko mniej pożądanym” – pisała Żółtowska, u której taki Wokulski nie miałby żadnych szans.

Klasy mniej uprzywilejowane i desperaci mogli dać ogłoszenie matrymonialne. Tygodnik „Flirt Salonowy” (80 tysięcy nakładu na pocz. XX wieku) wygląda jak gazeta giełdowa. W numerze z 21 lipca 1912 r. podaje warunki finansowe:

„Wdowa mająca 15 tys. rubli. chce wyjść za mąż, za człowieka inteligentnego i na stanowisku. Fotografia konieczna”.

„Agronom, wyższe wykształcenie, własny majątek, dziedziczny szlachcic, piękne nazwisko, ożeni się z panną do lat 20., sympatyczną, wykształconą, posiadającą posag 30 tys. rubli”.

„Właściciel pięknego parku nad Wisłą, kawaler lat 29, posiadający kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówki, poszukuje w celu matrymonialnym odpowiedniej kandydatki z posagiem do 25 tys. rubli”.

„Inżynier Polak, arystokrata, lat 29, elegancki, poważny, mieszka za granicą, zajmuje wysokie stanowisko w jednej z największych fabryk, bawi obecnie w kraju, szuka odpowiedniej żony Polki, moralnej, dobrze wychowanej z posagiem 100 000 rb”.

Ogłoszenia matrymonialne nie wzbudzały entuzjazmu Bolesława Prusa, w felietonie dla „Kuriera Codziennego” z grudnia 1889 martwił się, że spragnieni małżeńskiego szczęścia mogą się nie tylko rozczarować, bo „zamiast Romea, o jakim marzyłaś, możesz spotkać hultaja, który za pomocą różnych sztuk doprowadzi cię do publicznego domu, albo – łotra, który ograbi cię, jeżeli nie zabije, jak to robił w Wiedniu Schenk ze swymi »narzeczonymi« z ogłoszeń...”.

Hugo Schenk ograbił i zamordował co najmniej cztery pokojówki, które widziały w nim przyszłego męża, więc ostrzeżenia Prusa miały podstawy. Ale przestroga, że „pierwszym warunkiem miłości jest zobaczyć i usłyszeć owego kogoś, nie zaś czytać jego reklamy”, była na wyrost, bo przed miłością powinien kroczyć rozsądek.

Dowodem jest historia o śląskim sierotce, która z nizin trafiła na arystokratyczne salony. Urodziła się w 1842 jako Joanka Grycik, ale została Gräfin von Schaffgotsch. Jej ojciec był robotnikiem Karola Goduli, króla cynku. Umarł na gruźlicę, gdy córka miała trzy lata, a matka uznała, że jej nie wychowa i poprosiła gospodynię Goduli, Emilię Lukas, o opiekę nad Joanną.

Dziecko podbiło serce samotnego, zgryźliwego mężczyzny. Gdy umarł, okazało się, że zapisał Joannie cały majątek – 2 mln talarów, gdy roczna pensja nauczyciela wynosiła 300 talarów.

Tak bogata panna zwabiała wielu konkurentów, ostatecznie wybór – 16-letniej Joanki i jej opiekunów –padł na Hansa Ulricha Schaffgotscha, potomka piastowskiej księżniczki Barbary Agnieszki. Nie miał majątku, tylko tytuł i stopień porucznika huzarów, nie był przystojny, ale miał nazwisko.

Wprawdzie to Joanna miała kontrolę nad majątkiem i wielokrotnie go pomnożyła, a Hans Ulrich nie mógł się buntować, bo zgodnie ze śląską tradycją matriarchatu „baba trzimie piyniondze”, ale żyli długo i szczęśliwie. Oboje zrobili dobry interes. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Stare dobre czasy

Czy nasi przodkowie bluzgali

Najsłynniejsze polskie przekleństwo mamy dobrze poświadczone już w XIV wieku.

Brzezińska



Kinematografia nas w tym roku nie oszczędza. Ledwo wygasła debata nad prawdziwym kolorem skóry mitycznej półboginki, która się wykluła z łabędziego jaja, gdy raptem dopadły nas przekleństwa. Niby w serialu na podstawie „Lalki” Bolesława Prusa, ale właściwie w przeszłości, bo przecież wszyscy się na niej znają.

Trudno stwierdzić, czy nasi przodkowie przeklinali urokliwie już w czasach pierwszych Piastów, źródła bowiem spisywano w starannie upozowanej łacinie. Pierwsze zdanie wypowiedziane po polsku odnotowano dopiero w XIII-wiecznej „Księdze henrykowskiej”. Z czasem jednak takich zdań pojawiło się więcej. Niektóre z nich, zwłaszcza w źródłach sądowych, były nad wyraz soczyste.

Najsłynniejsze polskie przekleństwo mamy dobrze poświadczone już w XIV wieku, co fascynująco opisał w artykule o średniowiecznych brzydkich słowach Marcin Starzyński. Już bowiem w średniowieczu nasi antenaci bez skrępowania zarzucali sobie nawzajem, iż matki ich nie prowadziły się zacnie. Nie czynili tego bynajmniej sami plebejusze. Kobiety bywały w mowie bezkompromisowe, na przykład pewna Urszula Szwarcpeschkin z Krakowa w 1414 roku beształa Przecława z Pstrochocic: „newernyj sdradnij curwymaczere synu”. W rok później niejaka Jachna, także z Krakowa, zelżyła paskudnie Piotra z Kunowa, mówiąc mu, że „tua mater est curwa”.

Język mówiony wciskał się w źródła pisane, także jako przydomki i przezwiska. Wśród przezwisk średniowiecznej szlachty sieradzkiej Alicja Szymczakowa odnotowała nieliczne wulgaryzmy, w tym nacechowanych seksualnie „Lizikiepka” oraz „Kieputę”. Były to przezwiska nieco wulgarne, gdyż kiepem nazywano żeński narząd płciowy, ale warto pamiętać, że nasi średniowieczni i staropolscy przodkowie bez skrępowania dywagowali o seksualności. W dwa wieki później Wacław Potocki nie zawahał się uwiecznić praczki, której koszulina wpiła się w krocze i która na zaczepkę odpowiedziała tyleż frywolnie, co śmiało:

„Niedobrześ go chowała – rzecze – w mięsopusty,
kiedy w poście, jak widzę, twój kiep jada chusty”.

„Wiem ja – odpowie dziewka – jako go mam chować,
a to głupi rozumie, że masz go całować,
dlatego się uciera i szoruje zęby.
Godna twarzy serweta, a twarz waszej gęby”

O pewnej – choć ambiwalentnej – sławie może świadczyć przydomek, jakim obdarzono szlachcica Jana ze Świerzyn, który pracował jako łaziebny w Szadku. Zwano go mianowicie Flaczkiem, co w połączeniu z dwuznaczną reputacją łaźni zdaje się sugerować, że pan Jan nie tylko gorącą wodę dostarczał klientom. Gwoli wyjaśnienia pozwolę sobie przytoczyć późniejszy, ale wiersz o cechach mieszkańców różnych regionów Polski:

Poznanianki – panny
Krakowianki – Dyanny
Lwowianki – bespieczne
Wilenki – wszeteczne
Lubliniank – jebliwe
Piotrkowianki – kłamliwe
Kurwy Warszawianki
Gładkie Toruniank
A we Gdańsku mówią tak,
Że najlepszy polski flak

Jako przezwisko wkracza też do polszczyzny popularne dzisiaj przekleństwo. Otóż w 1497 r. Jan Cieślicz, krawiec z Włocławka, skarżył się przed sądem na żonę, która nie tylko go zdradzała na prawo i lewo, ale też usiłowała otruć, a kiedy pająki i muchomory zawiodły, namawiała jednego z kochanków, by załatwił sprawę mieczem. Wiele swawolnej pani krawcowej zawdzięczamy, jako że wśród jej kochanków odnotowano między innymi dworzanina pana Chodeckiego, Jana z Tuliszkowa o przydomku Chuy (Iohanne de Thuliskow dicto Chuy).

Możliwe jednak, że Jan z Tuliszkowa nosił swój przydomek z niejaką swobodą, słowa bowiem zmieniają sens, czasem nabierają wulgarnego znaczenia, a czasami wręcz przeciwnie. Świadczy o tym nieoczywista kariera słowa „kobieta”, które pojawia się w polszczyźnie dopiero w XVI wieku. W „Sejmie niewieścim” Marcina Bielskiego kobiety lamentują, że „męże nas zową białogłowy, prządki, ku większemu zelżeniu kobietami zową”. „Kobiety” długo miały się pojawiać w literaturze w znaczeniu negatywnym, jako obiekt drwin, zanim stały się neutralne i wyparły „białogłowy”. Aleksander Brückner rozważał hipotezę, że była to obelga wymyślona „w przystępie złego czy dobrego humoru przez jakieś indywiduum i puszczona w obieg”.

Jeśli tak naprawdę było, to życzę „chujcowi borsuczemu”, świeżo puszczonemu w obieg, takiej samej kariery, jaką zrobiła „kobieta”, a dobrego humoru wszystkim, bez względu czy im się serial „Lalka” podobał, czy też nie. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl 80cac0502a

WYSŁAŁ JĘZYK ANGIELSKI NA POLE BITWY

Pod koniec wojny Churchill zwrócił się wprost do Niemców: **„Nie tępimy narodów, nie jesteśmy rzeźnikami ludzi. Nie targujemy się z wami… Poddajcie się bezwarunkowo!”.**

Anna Wolff-Powęska

Mówienie o kryzysie przywództwa w świecie w trzeciej dekadzie XXI wieku wydaje się truizmem. Kumulacja wielu kryzysów, które przeorały nie tylko kraje europejskie, skłania do poszukiwania w przeszłości odniesień, które niosłyby nadzieję na odbudowę zaufania do polityki wspartej na takich wartościach, jak odpowiedzialność, przewidywalność, dalekowzroczność. Politykiem, któremu warto się przyjrzeć w kontekście niepokojów obecnych czasów, jest Winston Churchill (1874-1965). Wszechstronnie wykształcony, autor 43 książek, laureat literackiego Nobla w 1953 roku, mało popularny we własnym kraju, przebojem wdarł się do polityki zagranicznej, święcąc w niej triumfy w czasach, gdy Wielka Brytania utraciła na dobre status imperium kolonialnego.

Biografowie przedstawiają go jako upartego i bezwzględnego w przekonaniach, o pełnej fantazji inteligencji. Mistrz sporów i debat, znany był z tego, że zawsze chciał mieć ostatnie słowo. „Słowa są jedynymi, pisał w 1938 roku, które na zawsze pozostają”. Clement Attlee, pytany po wojnie, co Churchill zrobił dla wygrania wojny, powiedział: „Mówił o tym”, a Edward Murrow, amerykański korespondent w Londynie podczas wojny, pisał: „Churchill zmobilizował język angielski i posłał go na pole bitwy”.

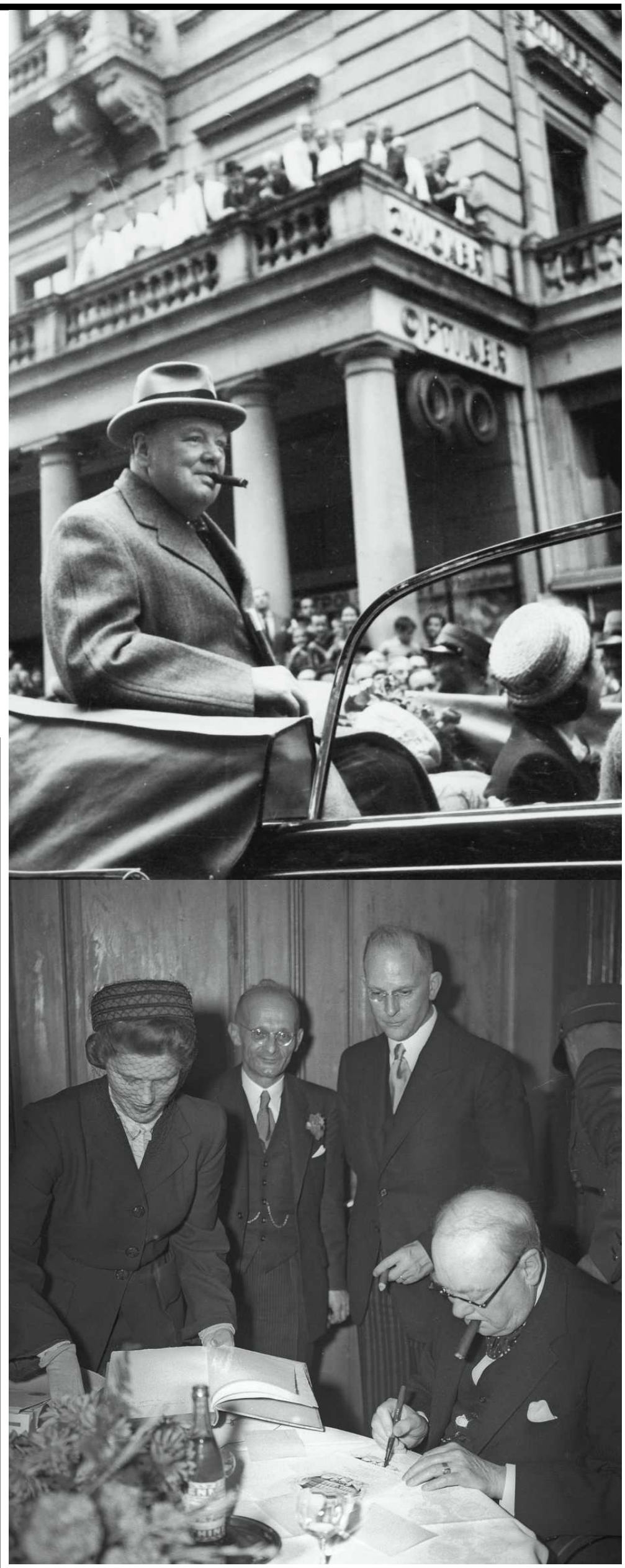
ROBACZEK ŚWIĘTOJAŃSKI

Zaraz po zakończeniu II wojny światowej Churchill zyskał status ikony niezłomnej Wielkiej Brytanii, który wygrał wojnę. Wszystkie jego wady i błędne decyzje przyblakły w obliczu zwycięstwa nad nazistowskimi Niemcami. Historyk David Cannadine, który uznał brytyjską arystokrację za bezużyteczną kastę, napisał, że wraz z ustąpieniem Churchilla jako premiera w kwietniu 1955 roku Wielka Brytania utraciła perspektywę widzenia, poezję słowa i błyskotliwość: „Człowiek lubiący popić, gracz, utracjusz został bohaterem narodowym”.

Jego poprzednik Neville Chamberlain oceniał go jako „bardzo interesującego, ale nieprzyjemnego partnera. Z nim nigdy nie wiadomo, kiedy eksploduje (…). Jego decyzje, dzielność, urok nigdy nie polegały na rozważaniach za i przeciw. Instynktownie wybierał nowe idee”. Dwight Eisenhower w pamiętnikach pisał: „Równie łatwo posługiwał się humorem i patosem, czerpał ze wszystkiego, od greckich klasyków po Kaczora Donalda, przytaczając cytaty, powiedzonka i ostry slang, by wzmocnić swoją argumentację (…). Podziwiałem go i lubiłem”.

Kolega szkolny z Harrow oceniał po latach 15-letniego Winstona: „Jego władcza inteligencja, urok, żywa osobowość, ogólna wiedza na temat świata i historii, zdobyta nie wiadomo jak i skąd, a nade wszystko cały ten magnetyzm i sympatia wyzierające z jego oczu… przyciągały do niego nawet w warunkach silnej represji naszego systemu szkolnego”. Sam o sobie mówił: „Jestem robaczkiem, ale robaczkiem świętojańskim”.

Jak mało który polityk trudnych czasów powojennych dzielił się na bieżąco swymi przemyśleniami i przekonaniami podczas rozlicznych wystąpień. Odważny i kontrowersyjny wywoływał silne emocje. W centrum jego uwagi pozostawały Niemcy



• **Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill we wrześniu 1946 roku podczas wizyty w Zurichu. Na górnym zdjęciu w czasie triumfalnego przejazdu przez ulice miasta, na dolnym – na uniwersytecie, przed wystąpieniem, w którym naszkicował wizję powojennego porządku w Europie i na świecie** FOT. DUKAS/UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES; RDB BY DUKAS/UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 80cac0502a

i Związek Radziecki. W Izbie Gmin wygłosił pod koniec wojny znamienne przemówienie: „Nie tępimy narodów, nie jesteśmy rzeźnikami ludzi. Nie targujemy się z wami... Poddajcie się bezwarunkowo! Taka kapitulacja nie oznacza eksterminacji narodu niemieckiego, bo nie pozwala nam na to nasza tradycja i charakter".

Był przekonany o tym, iż organizacja powojennego ładu wymagała uczestnictwa Stalina, który uznał, że międzynarodowe rozstrzygnięcia mogą być podejmowane tylko na jego warunkach, a miejscem debaty w kwestiach powojennych granic może być tylko Rosja. Fakt spotkania w Jałcie Churchill skomentował lapidarnie: „Choć byśmy przez 10 lat szukali miejsca (spotkania), nie znaleźlibyśmy gorszego na świecie (...), ale możemy przetrwać, zabierając ze sobą odpowiednią ilość dobrej whisky, która jest wyśmienita na tyfus i na wszy, doskonale prosperujące w tamtej okolicy".

NIGDY NIE ZAPOMNIMY ICH ODWAGI

Od zakończenia II wojny światowej jego uwaga koncentrowała się na diagnozowaniu i prognozowaniu układu sił międzynarodowych, roli mocarstw, przyszłości Europy, w tym także sytuacji Polski i jej zachodnich granic. Apelował do polityków o racjonalną ocenę politycznej sceny na świecie.

Na oskarżenie ze strony prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta: iż „Polska od ponad 500 lat sprawia kłopoty", Churchill odpowiedział: „Musimy zrobić wszystko, by te kłopoty się skończyły". Gdy się dowiedział, że w Paradzie Zwycięstwa 8 czerwca 1946 roku w Londynie zabrakło wśród defilujących żołnierzy Polaków, zareagował oburzeniem. Trzy dni przed planowaną defiladą Churchill powiedział: „Los Polski przypomina niekończącą się tragedię. My poszliśmy źle przygotowani na wojnę dla niej. Teraz z bólem patrzymy na dziwny wynik naszych starań. Głęboko żałuję, że żadnemu z polskich żołnierzy (...), którzy walczyli z nami na wielu polach bitewnych, którzy przelali krew we wspólnej sprawie, nie pozwolono maszerować w Paradzie Zwycięstwa (...). Nigdy nie zapomnimy ich odwagi i umiejętności walki związanych z naszą chwałą w Tobruku, Cassino i Arnhem".

Kiedy w Izbie Gmin składał sprawozdanie z postanowień jałtańskich, najwięcej miejsca poświęcił Polsce. Mimo iż uznał, iż ważniejsza niż nowe granice jest gwarancja wolności Polski, godził się z sytuacją, w której „Polacy będą mieli swoją przyszłość w swoich rękach, z jednym ograniczeniem, które muszą uczciwie realizować, w harmonii ze swoimi sojusznikami, prowadząc politykę przyjazną wobec Rosji. To na pewno jest racjonalne".

KLĘSKA POJAŁTAŃSKA

Swego sekretarza Johna Colville'a zapewniał, że nie da się oszukać Stalina. Prywatnie zastrzegał jednak, że nie miał innego wyjścia. Pełen rozgoryczenia alarmował prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta: „Stoimy w obliczu kolosalnej klęski, kompletnego załamania się tego, co ustaliliśmy w Jałcie"; „Jestem niezmiernie zaniepokojony coraz gorszym stosunkiem Rosji do Polski od czasów Jałty". Przestrzegał przed rosyjską dominacją we wschodniej Europie. Jeśli armia amerykańska wycofa się do wyznaczonych linii okupacyjnych, „będzie to oznaczało rozległą władzę Rosji", a „konsekwencje tego mogą być zaliczane do najbardziej przygnębiających faktów w historii".

Colville zanotował, że „premier próbuje samego siebie przekonać, że wszystko jest w porządku, ale sądzę, że tak naprawdę, głęboko w sercu, niepokoi się o Polskę i nie jest pewien siły moralnej naszego stanowiska".

27 marca Churchill ponownie napisał do Roosevelta: „Z pewnością nie możemy zostać wmanewrowani w przyczynienie się do narzucenia Polsce i innym (krajom) Europy Wschodniej rosyjskiej wersji demokracji". Roosevelta stać było jedynie na odpowiedź: „Minimalizowałbym generalnie sowieckie problemy, jak tylko to jest możliwe, ponieważ tak czy inaczej pojawiają się co chwila i na ogół są szybko wyjaśniane".

Zabrakło amerykańskiego wsparcia i determinacji. Wnuk Churchilla wspominał, że dla jego dziadka największym rozczarowaniem w końcu wojny był los Polski, która po latach hitlerowskiej niewoli znalazła się od razu w sowieckiej niewoli. Na wieść o oddaniu ziem wschodnich Sowietom w korpusie generała Andersa, który stacjonował we Włoszech, wybuchł bunt. Doszło do mało dyplomatycznej wymiany zdań z Churchillem. W reakcji na bezsilność polityków i polityczną klęskę 30 oficerów z 2. Korpusu pochodzących z Kresów popełniło samobójstwo.

I ZAPADŁA ŻELAZNA KURTYNA...

Międzynarodowe uznanie przyniosły Churchillowi wykłady podczas zagranicznych podróży. W Stanach Zjednoczonych oblegany przez tłumy wygłosił 5 marca 1946 roku wykład w małym miasteczku Fulton, gdzie na kampusie uniwersyteckim zgromadziło się około 30 tys. ludzi. Przedstawił tam ponurą wizję świata powojennego. Ostrzegał przed tyranią i ujarzmianiem narodów wschodnich przez niedawnego sojusznika, w których widział największe zagrożenie dla łacińskiej cywilizacji:

„Jest więc moim obowiązkiem postawić wam przed oczami pewne fakty w związku z obecnym stanem rzeczy w Europie. Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem, w poprzek kontynentu zapadła żelazna kurtyna. Za nią jest to, co dawniej było Europą Środkową i Wschodnią. Warszawa, Praga, Wiedeń, Budapeszt, Bukareszt i Sofia – wszystkie te sławne miasta i zamieszkująca wokół nich ludność leżą, że tak się wyrażę, w sferze sowieckiej i wszystkie, w takiej czy innej formie, podlegają nie tylko wpływom sowieckim, ale kontroli z Moskwy w bardzo wysokim, niekiedy rosnącym stopniu".

Natychmiastowa była reakcja ZSRR. Stalin określił przemówienie Churchilla teorią rasistowską, która sugeruje, że anglojęzyczne narody są zobowiązane do kontrolowania świata. Interpretował słowa Churchilla jako ultimatum: „Nie uznacie dobrowolnie naszego panowania, to pozostaje wojna".

Do dziś spornym pozostaje fakt, czy istotnie Churchill użył po raz pierwszy sformułowania „żelazna kurtyna". Jedni przypisują je J. Goebbelsowi, inni Wasilijowi Rozanowowi, rosyjskiemu filozofowi i komentatorowi dzieł Dostojewskiego. Już w 1918 roku w „Apokalipsie naszych czasów" pisał on: „Ze zgrzytem, skrzypieniem, świstem opuszcza się nad Historią Rosji żelazna kurtyna. Koniec przedstawienia, publiczność wstała, czas włożyć palta i iść do domu. Rozejrzeli się. Ale ani palt, ani domów już nie było".

NIEMCY TŁUSTE I IMPOTENTNE

19 września minęło 80 lat od przemówienia Churchilla na Uniwersytecie w Zurychu, w którym naszkicował wizję nowego powojennego świata i Europy. „Teraz powiem wam coś, co być może wprawi was w zdumienie. Pierwszym krokiem na drodze do utworzenia europejskiej rodziny musi być porozumienie między Francją a Niemcami... Europa nie odzyska sił bez duchowej wielkości Francji i duchowej wielkości Niemiec". Powtórzył to, co sformułował dosadnie w 1941 roku: „Niemcy powinny po wojnie być tłuste, a jednocześnie impotentne". Silna Europa oznaczała dla niego obecność wojsk amerykańskich na kontynencie. Życzył Europie swego rodzaju stanów zjednoczonych kontynentu, przy współpracy Wielkiej Brytanii, ale bez jej udziału.

Trudno odmówić mu zaangażowania na rzecz zintegrowania interesów w Europie Zachodniej, zacieśnienia więzów ze Stanami Zjednoczonymi oraz wsparcia dla podporządkowanej Moskwie Europy Środkowej i Wschodniej. Szczególną wagę przywiązywał do relacji między USA a Wielką Brytanią. Wykorzystywał każdą okazję, by ukazać mroczny obraz Związku Radzieckiego, który – jak zauważył – chciał wolności, ale wolności w ujarzmianiu krajów Europy Wschodniej. „Mam wielki podziw – mówił – dla rosyjskiego narodu i mojego wojennego kolegi marszałka Stalina... Istnieje głęboka sympatia i dobra wola Brytyjczyków wobec narodów rosyjskich". Jednak w telegrafie do Harry'ego Trumana pisał: „Bardzo niepokoję się ich [Sowietów] niewywiązywaniem się z ustaleń jałtańskich, ich stosunkiem do Polski (...). Co się stanie, gdy za rok lub dwa armie brytyjska i amerykańska liczebnie stopnieją, a Rosjanie utrzymają pod bronią dwie czy trzy setki dywizji?". Sam Truman notował w swoim dzienniku: „Polacy (lubelscy) i bolszewicy grabili, jak mogli. Sowieci wzięli kawałek Polski i dali jej kawałek Niemiec, dla siebie zatrzymali niezły kąsek z Prus Wschodnich".

OSIOŁ MIĘDZY BIZONEM I NIEDŹWIEDZIEM

Po latach Churchill wspominał, że już półtora roku przed zakończeniem wojny rozumiał rzeczywisty układ sił rysujący się na przyszłej mapie Europy: „W Teheranie zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, jakim małym jesteśmy narodem. Siedziałem tam po jednej stronie, mając wielkiego rosyjskiego niedźwiedzia z wyciągniętymi pazurami, po drugiej zaś wielkiego amerykańskiego bizona; między nimi siedział biedny angielski osioł, jedyny, który znał właściwą drogę do domu".

Świadom tego, iż wpływy sowieckie sięgają poza żelazną kurtynę, wykluczył jednak, by Stalin dążył do kolejnej wojny, szczególnie jeśli natrafiłby na zdecydowaną postawę wolnego świata, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. „Na podstawie tego, co widziałem podczas wojny u naszych przyjaciół i sojuszników rosyjskich, doszedłem do przekonania, że niczego bardziej nie podziwiają oni niż siłę i niczego bardziej nie lekceważą oni niż słabość, a zwłaszcza słabość militarną. Z tego powodu dawna doktryna o równowadze sił jest błędna. Jeżeli będziemy tylko mogli, to nie powinniśmy pozwolić sobie na operowanie wąskimi marginesami równoważenia sił stwarzającymi pokusę próby sił. [...] To, czego potrzeba, to porozumienie (europejsko-amerykańskie) – a im dłużej jest odkładane, tym trudniejsze jest do osiągnięcia i tym większe staje się zagrażające nam niebezpieczeństwo" – wyjaśnił.

IKONA NIEZŁOMNOŚCI

Powojenny demokratyczny porządek postrzegał jako zjednoczenie trzech światów: brytyjskiego imperium, anglojęzycznego świata, w którym „my, Kanada, inne brytyjskie dominia oraz Stany Zjednoczone, odgrywają ważną rolę. W końcu również Zjednoczona Europa", dla której „Pax Americana miał pozostać wyznacznikiem stabilizacji i bezpieczeństwa. Wielka Brytania pozostała w jego przewidywaniach jako jedyna siła mająca kompetencje i możliwości do realizacji tych celów. Do końca swych dni był przekonany o tym, że gdyby świat go posłuchał, uniknięto by „bolszewickiego chwastu w zarodku", zanim zapuścił korzenie.

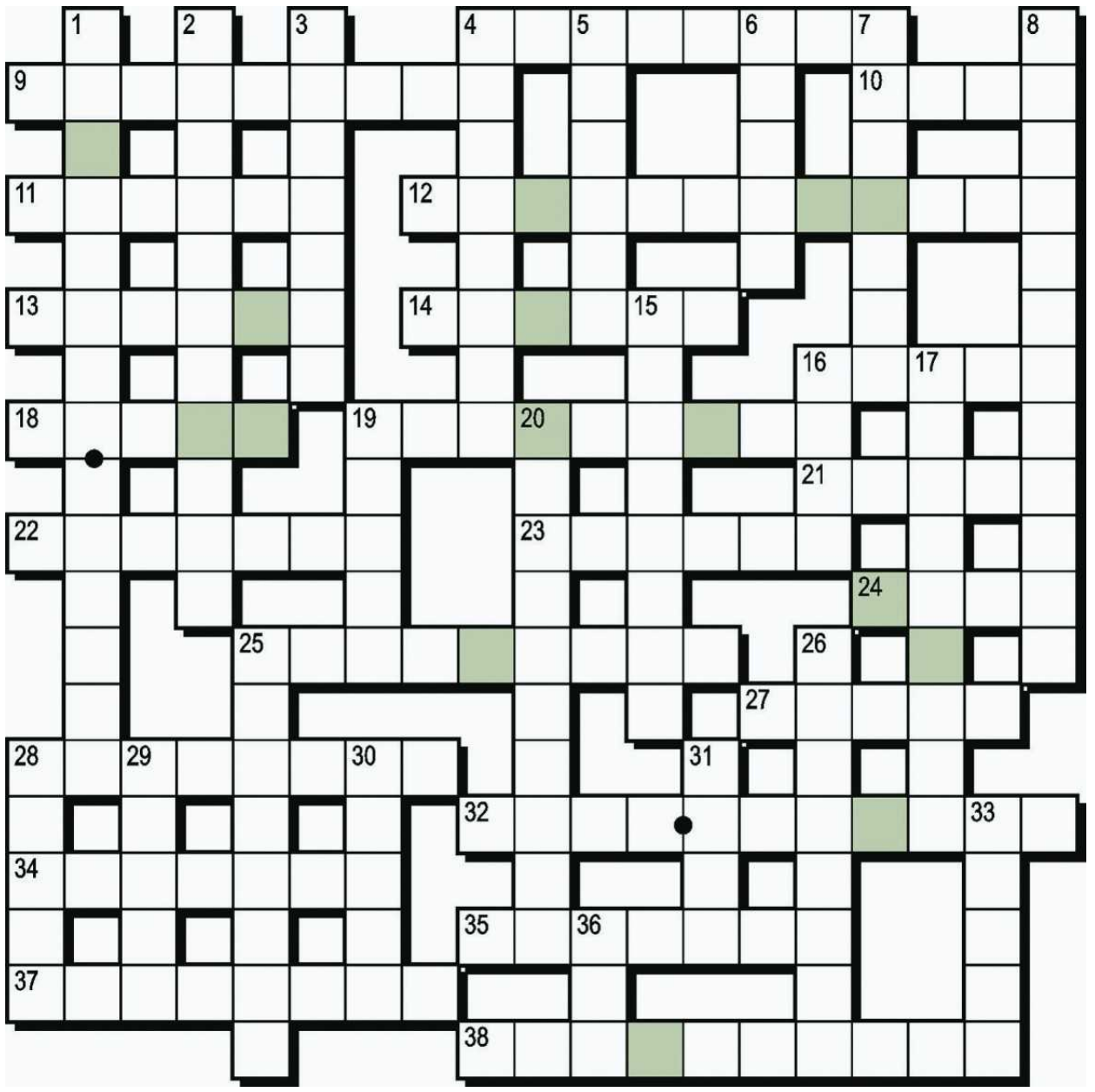
Z przeprowadzonych w 2008 r. badań opinii młodych Brytyjczyków wynika, że 20 proc. przedstawicieli tego pokolenia uważa Churchilla za postać fikcyjną, natomiast dla 58 proc. Sherlock Holmes i Robin Hood to postacie realne. Dla generacji wojennej i powojennej pozostał jednak ikoną niezłomności, symbolem odwagi, który w życiu politycznym kierował się zasadami: „W czasie wojny stanowczość, w klęsce opór, w zwycięstwie wspaniałomyślność, w czasie pokoju dobra wola".

Ze wszystkich wspomnień wojennych wyłania się bohater, który pokonał Hitlera. Dla recenzentów jego dzieł historycznych pozostał postacią w pełni identyfikującą się z krajem, z narodem, o którego wolność walczył – jedyny Winston Spencer Churchill – Mr. Great Britain.

Kierował się następującymi zasadami: „W czasie wojny stanowczość, w klęsce opór, w zwycięstwie wspaniałomyślność, w czasie pokoju dobra wola"

eprasa.pl 80cac0502a

weekendówka nr 224



KRZYŻÓWKA JESIENNA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) 23 września – kalendarzowy ... jesieni
9) październikowa – rozpoczęła się wystrzałem z „Aurory”
10) deszcz albo grad
11) „Październik” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej („Brzozy są jak złote wodotryski...”)
12) kapanina z nieba
13) związany pęk zżętej słomy
14) gwałtowne ... wiatru
16) grupa ptaków szykujących się do odlotu
18) Ryszard ... Groński, autor wiersza „Gdyby zabrakło nam jesieni”
19) gdy wieje i leje
21) na halloweenową ozdobę jak znalazł
22) ... i zamiecie śnieżne
23) golfy, półgolfy lub pulowery
24) ... na przeziębienie, jesienią szybciej znikają z aptek
25) coraz częściej skryte za chmurką
27) wybierać się gdzieś jak sójka za ...
28) zdrobniale o stożkowatym nakryciu głowy
32) Waga, Skorpion lub Strzelec
34) Indianie w tytule westernu „Jesień ...”
35) Ingmar Bergman („Jesienna sonata”)
37) Krzysztof, nagrał jesienną piosenkę „Jak przeżyć wszystko jeszcze raz”
38) „Spal żółte ...”, w piosence Piotra Szczepanika

Pionowo:
1) piosenka Elżbiety Adamiak („Ludzie znają mnie tylko z jednej jesiennej strony”)
2) zroszenie, opryskanie czegoś
3) tworzone z kasztanów, żołędzi i zapałek
4) chronią i przed deszczem, i przed słońcem
5) przetaczają się po niebie
6) Julian, autor wiersza „Dwa wiatry”
7) „... jesienny na dwa świerszcze i wiatr w kominie” (Magda Umer)
8) ozdobienie pokoju barwnymi liśćmi, jesiennymi stroikami
15) śliwy rodzące fioletowe, podłużne owoce
16) „Jesienią, jesienią ... się rumienią”
17) imię autorki słów piosenki „W żółtych płomieniach liści”
19) „Jesienne ... słodkie, pełne łaski, spowite w szal kaukaski” (Pawlikowska-Jasnorzewska)
20) latawców – na wietrze
25) rozpoczynają naukę w październiku
26) kolorowy dywan liści lub biała ... śniegu
28) ciepły, kraciasty, można się nim opatulić
29) Sergiusz Jesienin
30) imię autorki powieści „Wichrowe wzgórza”
31) jesień – ... melancholii, zadumy nad przemijaniem
33) pełne ... grzybów
36) uczucie smutku, tęsknoty

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 223 z 26 września (krzyżówka rzeczna)

POZIOMO: 1) spław 5) Belgia 10) Marna 11) Jordan 12) ujście 13) bród 14) Węgorapa 15) Czarna Woda 18) Frankfurt 20) Kaczawa 24) Missisipi 26) Mała Panew 28) Łeba 29) Canale Grande 32) muł 34) kataklizm 37) Indus 38) Inn 39) Rubikon 41) Narew 43) Oława 45) prom linowy 46) marzanna

PIONOWO: 2) Parsęta 3) Amazonka 4) aquapark 5) baśń 6) Luizjana 7) Amur 8) źródło 9) kajakarstwo 16) Niagara 17) Wisła 18) film 19) Tamiza 21) Zambezi 22) Osława 23) Wiła wianki 25) Izera 27) Niemen 30) Rudawa 31) nosiwoda 33) łódka 34) Kura 35) Tyber 36) Monroe 40) Kama 42) Rzym 44) Wda

HASŁO: Wodospad Skok

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34454980



1 RP

eprasa.pl 80cac0502a

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza



MAŁGORZATA OSTROWSKA

Meluzyna w kabriolecie

– rozmowa Karoliny Sulej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl **NR 39 (1410)** SOBOTA – CZWARTEK, 3-8 PAŹDZIERNIKA 2026

eprasa.pl 80cac0502a

Jest awantura, dzieci brak



NATALIA MAZUR

Kiedy zostałam mamą, ogarnęło mnie wrażenie, że cały świat tylko na to czekał. Wciąż otwierały się nowe place zabaw. Kina urządzały seanse dla rodziców z niemowlakami. Restauracje kusiły salami dla maluchów. Chodziłam z dziećmi wszędzie – z jednym, potem z dwójką – także na wydarzenia, które nie miały etykiety familijnych. Raz ktoś krzywo spojrzał, gdy w miejskim lesie karmiłam niemowlę piersią. Zapamiętałam to, bo przez głowę przemknęła mi myśl: „A spróbuj mi coś powiedzieć". Czułam, że mam prawo być matką. A moje dzieci mają prawo być dziećmi.

Oboje urodzili się w latach nastych tego wieku – nie tak dawno, a jakby całą epokę temu. Nie miałam wtedy smartfona, a w serwisach społecznościowych wyświetlały mi się wpisy znajomych. Czytałam papierowy miesięcznik „Dziecko", zaśmiewałam przy internetowym „Bachorze", satyrze na rodzicielstwo.

Jasne, że nie było cukierkowo. Matki gromadziły się na forach, by polaryzować się wokół detali. Wózek czy chusta? Słoiczki czy domowe obiady? Kto chciał emocji – miał je. A pamiętacie felieton Zbigniewa Mikołejki o „wózkowych" w „Wysokich Obcasach Extra"? Roszczeniowych – zdaniem filozofa – rozpychających się w mieście babach, które ze względu na macierzyństwo oczekują specjalnych praw? Tekst wywołał burzę. Był jednak wybrykiem prowokatora, a nie typem wypowiedzi, z którymi matki mierzyć się muszą na co dzień.

W przyszłym roku przypada 15-lecie tamtej awantury. Sporo się od tamtego czasu zmieniło. O tym, jak jest dziś, pisze w tym numerze Monika Pastuszko. Algorytmy wyciągają skrajności do głównego nurtu. Z nienawistnymi komentarzami stykasz się na co dzień. W efekcie jako mama wciąż czujesz, że powinnaś przepraszać za swoje macierzyństwo: w autobusie, na ulicy, w sklepie. Nawet jeśli białkowi ludzie dookoła ciebie są mili, głowę masz już zatrutą.

Co można z tym zrobić? Zaapelować do big techów, by zaprowadziły spokój w serwisach społecznościowych? Tego raczej nie doczekamy. Matki powinny wyłączyć telefony? Świetny pomysł, tylko pamiętajmy, że rodzice też pracują, muszą załatwiać sprawy, być na bieżąco.

Może wystarczy przestać rodzić? To akurat już się dzieje. I ten trend w przyszłości niekoniecznie musi nam służyć.

I dlatego życzliwiej spójrzmy na rodziców małych dzieci. Bo zaraz obudzimy się w dystopii, w której wściekły internet ochoczo wyżywa się na dzieciach, a tych prawdziwych, które mogłyby zrobić hałas, dookoła już dawno nie ma. ▲

Natalia Mazur – redaktorka „Wysokich Obcasów"




JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **NA OKŁADCE:** Agata Kulesza: Szczęście pojawia się na chwilę
- **TEMAT NUMERU:** • Perimenopauza i jej 100 objawów **TWARZE:** • Lidia Popiel • Katarzyna Glinka • Marieta Żukowska • Agnieszka Więdłocha • Freya Stark • Anna Guzik • Piotr Pacek • Gary Oldman
- **PSYCHOLOGIA:** • Dlaczego się porównujemy • Seks i perimenopauza • Mózg i hormony
- **MODA I URODA:** • Trendy jesień-zima 2026/27

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Natalia Mazur

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 14-15, 19, 23, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 39 (1410)
NA OKŁADCE:
MAŁGORZATA OSTROWSKA
FOT. ZOSIA ZIJA
I JACEK PIÓRO



eprasa.pl 80cac0502a

GRUZJA.
Jeden kraj, wiele powodów, by ruszyć w drogę









W Gruzji droga rzadko jest tylko sposobem na dotarcie z jednego miejsca do drugiego — częściej staje się częścią podróży. Prowadzi z ulic Tbilisi w stronę Kaukazu, przez zielone doliny, regiony winiarskie, małe miejscowości i nadmorskie Batumi. Z każdym kolejnym etapem zmieniają się krajobrazy, tempo i sposób odkrywania kraju.

Podróż można zacząć w Tbilisi — od spaceru po Starym Mieście, widoku na historyczną zabudowę i kolacji w jednej z lokalnych restauracji — a potem ruszyć dalej, w stronę Kazbegi albo Swanetii. Pierwszy region przyciąga spektakularnymi panoramami Wielkiego Kaukazu, drugi kamiennymi wieżami, wysokogórskimi wioskami i szlakami prowadzącymi przez jedne z najbardziej charakterystycznych krajobrazów Gruzji.

Inny rytm podróży czeka w Kachetii — regionie wina, łagodnych wzgórz i miejsc, w których łatwo zwolnić. Jeszcze inny nad Morzem Czarnym, gdzie Batumi łączy nadmorski klimat z nowoczesną architekturą, zielenią i widokiem na góry schodzące ku wybrzeżu. W Gruzji zmiana planu często przychodzi naturalnie: jeden dzień prowadzi w stronę gór, kolejny do winnic, nad wodę albo do małej miejscowości, która początkowo nie była najważniejszym punktem trasy.

Tę podróż można ułożyć na wiele sposobów: zostać na kilka dni w Tbilisi, ruszyć pieszo w góry, zaplanować trasę przez winnice, odpocząć nad Morzem Czarnym albo połączyć kilka tych pomysłów w jeden wyjazd. Jeden kraj daje tu wiele powodów, by ruszyć w drogę — i wiele możliwości, by zaplanować ją po swojemu.

eprasa.pl 80



FOT. ZOSIA ZIJA I JACEK PIÓRO

eprasa.pl 80cac0502a

MAŁGORZATA OSTROWSKA

Artystka *życia*



Teraz panuje jakaś obsesja na punkcie młodości i optymalizowania życia. A ja, kiedy słyszę, że coś trzeba albo powinno się, to dostaję jeża na plecach

eprasa.pl 80cac0502a

Z **MAŁGORZATĄ OSTROWSKĄ**
ROZMAWIA **KAROLINA SULEJ**

W

W Domu Spotkań z Historią w Warszawie otwiera się wystawa „Meluzyny z wielkiej płyty. Moda i muzyka w latach 80.” – o początkach kariery pani i utalentowanych koleżanek po fachu, zaraz rusza druga część ogólnopolskiej trasy koncertowej z okazji 45-lecia pani obecności na scenie, zaledwie dwa lata temu wydała pani świetnie przyjętą płytę „Legenda”. Nie widać oznak, żeby rock’n’roll się pani znudził.
– Od rock’n’rolla nie da się pójść na emeryturę, to kwestia wrażliwości, stylu życia. To ciągła zmiana, eksperymenty. Siedzimy sobie razem, rozmawiamy o wszystkim i niczym, czasem pijemy winko, wygłupiamy się, plotkujemy, robimy próby.

Ale to pani jest w zespole liderką.
– Tak, ale nie muszę tupać nogą. Wszyscy są świadomi, że to ja nasz zespół firmuję nazwiskiem, więc czuję się odpowiedzialna. Oczywiście, zdarzają nam się konflikty, ale rozwiązujemy je na spokojnie. Nikomu nie zależy na tym, żebyśmy się pokłócili. Za bardzo kochamy to, co robimy.

Musiała pani to sobie wywalczyć.
– Jednak żyjemy w patriarchacie, a więc wszystko, przemysł muzyczny też, jest jakby z automatu ustawione pod mężczyzn. W latach 80., kiedy zaczynałam, kobieta musiała zachowywać się jak facet, żeby ją szanowano. Tłumić emocje, być twarda, nie pokazywać wrażliwości, łokciami sobie drogę torować. Dobrze, że dzisiaj już nie trzeba tak kamuflować swoich kobiecych cech. Mogę być delikatna i mocna. Dobrze, że pracuję z przyjaciółmi, z którymi udaje nam się zachowywać wobec siebie po partnersku, ze zrozumieniem.

W rodzinie też jest pani liderką?
– Mój mąż, Jacek Gulczyński, nigdy nie walczył o przywództwo. Miał swoją sztukę, fotografię. Był spełniony i nie musiał niczego sobie moim kosztem udowadniać ani nie chciał porządkować mojego świata. Był moją bratnią duszą, co zresztą bywało niewygodne, bo na przykład oboje tak samo mocno nie znosiliśmy płacenia rachunków, zajmowania się administracją życia. Ktoś to jednak musiał robić i stanęło na mnie. Zarabiałam też więcej, ale to nigdy nie było problemem. Mąż wspierał kobiety, kibicował w walce o nasze prawa.

Ani w czasie choroby, ani odchodzenia męża, ani po jego śmierci nie przestałam pracować. Nie chciał tego, też był przecież artystą. Nie można tak po prostu nagle przestać tworzyć. Zawsze to rozumiał. Miałam też szczęście, że moi fani zestarzeli się ze mną, nigdy mnie nie opuścili, nawet kiedy przez kilka lat nie występowałam. Zawsze czułam ich obecność, a to jest wielki dar, coraz bardziej deficytowy.

Jest pani tekściarką. Będzie pani pisać piosenki o mężu? Byliście razem właściwie przez całe pani dorosłe życie.
– Nie piszę o codzienności, a przynajmniej nie tak bezpośrednio. Żebym umiała zamienić doświadczenie w piosenkę, muszę je przepracować. Jacek zmarł w zeszłym roku, w grudniu. Jest zbyt wcześnie, żebym mogła pomyśleć o moim mężu z koniecznym do takiego pisania dystansem. Jestem w żałobie. Nie chcę, żeby ekscytowały się tym tabloidy. Powoli wracam do siebie. Na razie posprzątałam dom. A właściwie zrobiłam totalny remont, łącznie ze zrywaniem podłóg. Siedem ton żwiru wyjechało z posesji. Chciałam oczyścić dom z choroby. Chcę pamiętać Jacka zdrowego, szczęśliwego. Zanim nawet pojawiła się diagnoza – rak płuc, mój mąż chorował bardzo długo, ciało mu powoli się wyłączało. Pracownię męża też wybebeszyłam. Przerobiłam na własne studio nagraniowe, wygłuszyłam, będziemy tam robić z zespołem próby. Zostały uporządkowane jego dzieła i wielkie archiwum. Właśnie zakończyła się jedna wystawa jego prac, a lada moment zaczyna się druga. Takiego chcę go pamiętać, jako twórcę.

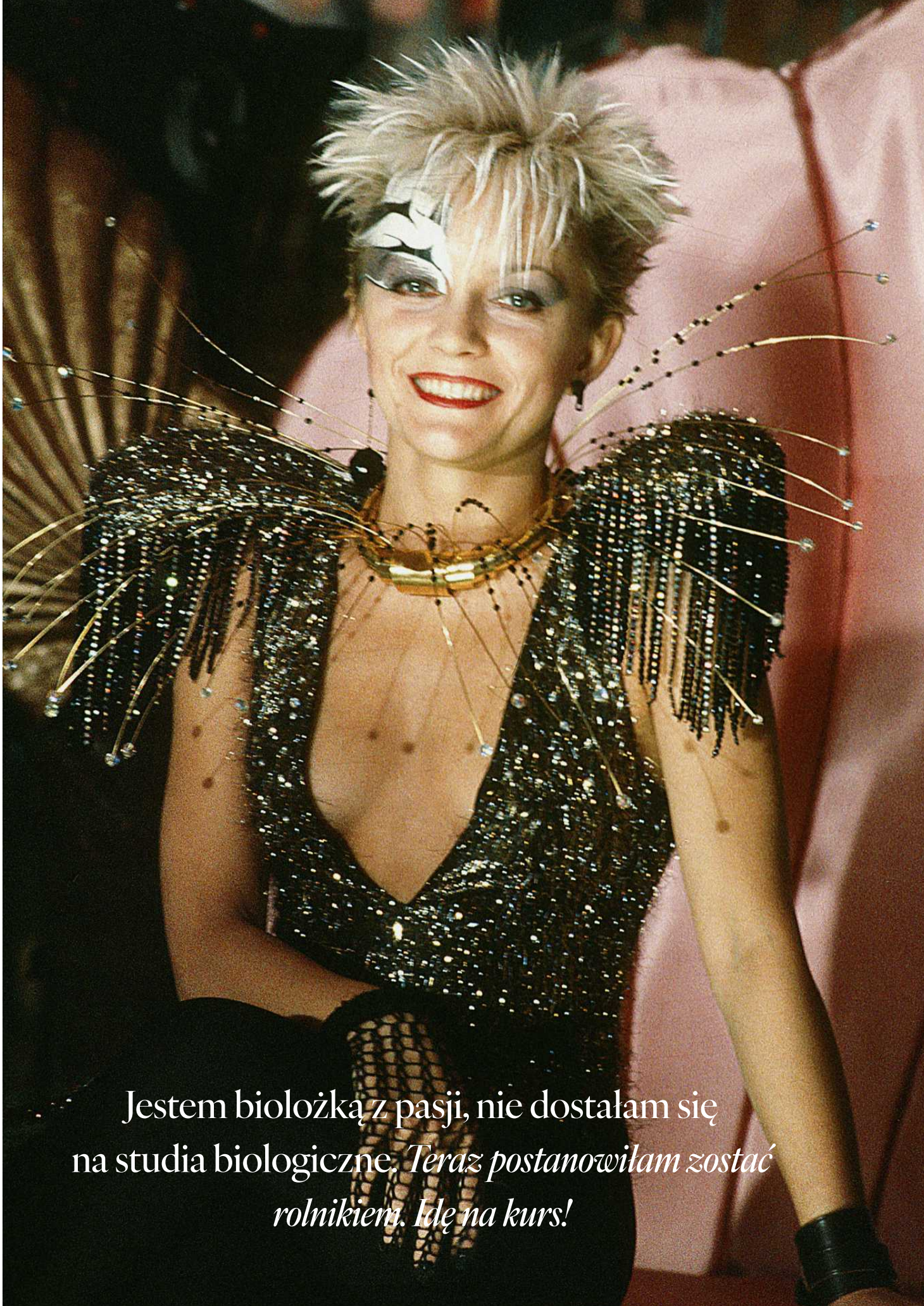
Czytałam niedawno w prasie, że przy okazji koncertu w Białymstoku miała pani niebezpieczny wypadek.
– Tak – moja giwera, taki rodzaj pistoletu do miotania mgły, zepsuła się i wystrzeliła mi w twarz, a byłam tuż przy krawędzi sceny, półtora metra nad ziemią. Straciłam równowagę i gdybym spadła stamtąd na głowę, to koniec. Ale moi technicy podbiegli szybciej, niż zdążyłam o tym pomyśleć. Widownia ledwo coś zauważyła, ja dośpiewałam piosenkę do końca. To są zalety pracy w tym samym zespole od dekad – znamy każdy swój ruch, mamy do siebie zaufanie, dbamy o siebie wzajemnie. Czuję się z nimi bezpieczna. Jeden z moich technicznych pracuje ze mną od początku, od 45 lat, jestem bardzo stabilnym zakładem pracy. I wciąż czuję, że mam siłę i ochotę wychodzić na scenę. Mam 68 lat i niebezpiecznie zbliżam się do siedemdziesiątki. Wszyscy sobie mogą sprawdzić w internecie, ile mam lat, nie ukrywam tego.

Nie miała pani nigdy pokusy, żeby się jakoś odmłodzić, tak jak zrobiła to Madonna?
– Nie zrobiłam sobie nigdy żadnego radykalnego zabiegu medycznego, ale nie dlatego, że jestem przeciwniczką tych praktyk, tylko ponieważ boję się, że mogłabym być niezadowolona z efektu końcowego. Wolę się skoncentrować na docenianiu zalet dojrzałego umysłu niż na tropieniu wad dojrzałego ciała. Teraz panuje jakaś obsesja na punkcie młodości i nieustannego optymalizowania życia. A ja, kiedy słyszę, że coś trzeba albo powinno się, to od razu dostaję jeża na plecach. Nie chodzę na siłownię, nudzi mnie to. Owszem, jem warzywa, ale dlatego, że od dawna jestem wegetarianką. Przez wiele lat prowadziłam dwie kuchnie, bo mój mąż nie potrafił zrezygnować z mięsa.

Ma pani jakąś filozofię życiową?
– To tylko takie niby głębokie pytanie do wywiadu? Nie mam i nie staram się mieć. Życie każdą filozofię potrafi zweryfikować. Nie mam ani religijnych, ani duchowych przekonań. Co nie znaczy, że przyjmuję życie bez żadnej refleksji. Uwielbiam dociekać, co jest czym, rozumieć mechanizmy, odnajdować się we wszystkim po swojemu. I wierzę w ludzi. Nie chodzi o jakąś ogólną wiarę w dobro, ale w to, że można ułożyć sobie życie faj-

FOT. MAREK SZYMAŃSKI / FORUM. RYSUNEK DO WYSTAWY „MELUZYNY Z WIELKIEJ PŁYTY” W DOMU SPOTKAŃ Z HISTORIĄ: BARBARA NIEWIADOMSKA

eprasa.pl 80cac0502a



Jestem biolożką z pasji, nie dostałam się na studia biologiczne. *Teraz postanowiłam zostać rolnikiem. Idę na kurs!*

nie, nie szkodzić innym, być w porządku wobec siebie nawzajem. Dlatego lubię mieszkać w tym moim miasteczku na skraju lasu. Tu jest spokojnie, ludzie mają więcej przestrzeni w głowie, czuję się też mniej wystawiona na cudze spojrzenia. Nie lubię tego bycia widoczną, to część mojego zawodu, która od początku była dla mnie niełatwa.

Ale wybrała pani sobie bardzo charakterystyczną blond fryzurę, którą pani od lat pielęgnuje. A na dzisiejsze spotkanie przyjechała pani czerwonym kabrioletem.
– No właśnie i taka też jestem. Wiem, że to pozornie sprzeczne, ale to właśnie cała ja. Robię to, co czuję, nawet jeśli oznacza to pójście z samą sobą na kompromis. Nie mogłabym jeździć popularnym modelem samochodu w popularnym kolorze. Nie mogłabym mieć uczesania, jak to się mówi? Stosownego do wieku. Od zawsze miałam mało mieszczańskie gusta, wciąż lubię punkową, prowokacyjną estetykę. Niech pani też zauważy, że w samochodzie, chociaż widoczna, wciąż jestem jednak na swoim, tak jak na scenie. Kiedy koncertujemy, to czas przed występem spędzam w garderobie, nie spaceruję dookoła, witając się. Jestem introwertyczna. Jestem znana z moich scenicznych makijaży także dlatego, że miałam czas, żeby sobie malować na twarzy całe krajobrazy, kiedy tak siedziałam na zapleczu przed koncertami. Doskonaliłam swoją sztukę.

A spędzała też pani czas na przymierzaniu ubrań?
– Raczej na ich szyciu czy naprawianiu. Dziś mam całą szafę kostiumów od stylistów. Ale w PRL przerabiało się wszystko, co tylko można było dostać w sklepie. Ja miałam taki ulubiony z materiałami dla kaletników. Tam często zostawały z tych skór jakieś resztki i ja sobie z tych brzegów, które były naturalnie postrzępione, dziurawe, szyłam swoje kostiumy, nawet staniki.

Od dziecka umiem szyć i szyję do tej pory. W jednej piwnicy, którą nazywam moją szwalnią, mam trzy maszyny do szycia, mam też wielką szafę z tkaninami, które nazbierałam przez lata.

Już jako dziewczynka umiałam robić wykroje, z „Burdy". Miałyśmy z mamą i siostrą taki podział, że ja odpowiadam za przygotowanie rzeczy do krojenia. Mój dziadek był z kolei człowiekiem wielu zawodów, także szewcem. Dostałam po nim w spadku takie kopyto szewskie, do szycia butów. Ja mam bardzo małą stopę, rozmiar 34. Znalezienie w latach 80. butów na taką stopę było niemożliwe. Sama więc robiłam sobie obuwie, dzięki temu spadkowi od dziadka. Jeśli już zdarzyło mi się dorwać gdzieś buty 34, to już potem robiłam na wzór i zmieniałam tylko cholewki. Pamiętam też, że na te trasy w PRL uszyłam sobie też z worków jutowych tak zwanego pieska, czyli głęboką torbę na kółkach, z podstawą ze sklejki. Miała uszy, w które włożyłam dwa drewniane drągi od szczotki i tego „pieska" ciągałam ze sobą, wypełnionego słoikami z jedzeniem, była też grzałka do wody, ręczniczki, sztućce – cała kuchnia. W garderobach wtedy nic nie było, dobrze jak herbatę można było dostać.

Jak to się mówi, jest pani złotą rączką.
– Ja po prostu lubię mieć zajęcie. Pracuję, a kiedy nie pracuję, to zawsze mam coś w domu do zrobienia. Tu trzeba pomalować, tam przykręcić, tu naprawić, tu wyprasować, przeszyć, urządzić, przetkać. Pamiętam, jak w czasie stanu wojennego wynajęłam w Poznaniu taki domek, co się u nas nazywa szałerek, czyli taka chatka bez żadnych wygód. Wynajmujący powiedział mi, tu ma pani wiaderko, do wiaderka pani robi, potem na ogród. Pamiętam, że rodzice wysłali mi z rodzinnego Szczecinka szafę i łóżko opakowane w deski, nadali spedycją pociągiem. I ja te deski rozbroiłam, pocięłam i potem nimi paliłam w malutkiej kozie, bo to była zima stulecia, woda w wanience dziecięcej, w której się myłam, zamarzała.

Mój syn ostatnio stwierdził, że mam ADHD. Może, ale nie chcę się diagnozować. Przeczytałam ostatnio, że jest to wskazane, jeśli symptomy przeszkadzają w funkcjonowaniu, a mnie nie przeszkadzają wcale. Wie pani, ile ja dziś zrobiłam od rana? Pomalowałam drzwi i deski na listwy przypodłogowe, zakupy zrobiłam. Kominiarza szukam, bo mi bluszcz do komina wchodzi i nie mogę rozpalić, a jesień idzie, bez kominka ani rusz.

Jaka była pani mama?
– Cały dom trzymała w karbach. Ojciec był tradycyjnie głową, ale mama szyją rodziny. Oboje byli harcerzami, więc mieli nastawienie, że wszystko można ogarnąć. Harcerz się przecież zawsze odnajdzie. Ja też lubię wiedzieć, że w razie „Wl" odnajdę się w każdej sytuacji – naprawię, ugotuję, poskładam do kupy, będę wiedziała, co robić. Wiem już, że sytuacje krytyczne wyzwalają ogromną kreatywność, mam zaufanie do mojej ciekawości, uważności. Czasem tej ciekawości wystarcza na chwilę, czasem zostaje na lata. Na przykład od lat sama robię sobie kremy, różnorakie – nawilżające, odżywcze, do twarzy, do ciała.

Ostatnio tylko właściwie nie gotuję. Nie czuję potrzeby. Jak chcę zjeść obiad, to sobie zamówię, mogę żywić się jakkolwiek. Gotowanie, ucztowanie razem to są dla mnie rzeczy, które celebrują życie. Razem je celebrowaliśmy. Do końca.

Mąż spędził ostatnie miesiące w wyjątkowym hospicjum w Poznaniu. Jestem bardzo wdzięczna lekarce prowadzącej za to, ile dała mi ciepła, rady i mądrości. To wyjątkowe miejsce, niewiele



– ur. w 1958 r., piosenkarka rockowa, w latach 1981-91 wokalistka rockowego zespołu Lombard. W 1999 rozpoczęła karierę solową wydaniem albumu pt. „Alchemia". W 2024 roku wydała płytę „Legenda" (Wyd. Agora), jest jedną z bohaterek wystawy „Meluzyny" w Domu Spotkań z Historią w Warszawie, w ramach festiwalu Bohaterki

eprasa.pl 80cac0502a

takich w Polsce. Tutaj się odchodzi, ale to nie znaczy, że traci się osobowość i tożsamość. Tutaj pacjenci nie czują się odczłowieczeni. Mąż mógł zapalić papierosa, jeśli tylko chciał, ubierano go i wywożono łóżko na taras. Mógł się napić ulubionego wina, było podzielone na małe słoiczki w lodówce. Przyszłam też do niego z naszymi psami, z którymi był bardzo związany.

Staraliśmy się wnieść do placówki jak najwięcej domu. O ile to możliwe, żeby przejść dobrze taki czas, to przeszliśmy go razem jak najlepiej. Dlatego teraz chcę głośno mówić o tym, jak ważna jest troska w ostatnich miesiącach życia. Oprócz lekarzy i pielęgniarek nieoceniona jest praca wolontariuszy, którzy spędzają czas z pacjentami, z którymi można pogadać albo tylko pobyć. To często są starsze osoby. Ciekawe, prawda? Mam wrażenie, że oswajają także swój własny lęk przed odchodzeniem. Miałam niesamowite szczęście, że lekarka mojego męża była także moją przewodniczką. Zasugerowała mi na przykład, żebym zrobiła w hospicjum wernisaż jego prac fotograficznych, malarstwa. Przyszło mnóstwo ludzi. Kazała przynieść i ustawić w sali jeden z jego ulubionych obrazów – akt przedstawiający dwie kobiety, piękny, w ciepłej sepii. Uwielbiam tę jego pracę. Miłość wobec śmierci, co tu dodać.

O swoim przemijaniu też pani myślała?

– I nadal myślę, częściej niż kiedykolwiek. Do tej pory toczyłam się od zadania do zadania, nie miałam czasu. Myślę o końcu życia. Moja mama ma 95 lat, też jest coraz bliżej końca drogi. Może się wydawać, że człowiek, kiedy jest stary i chory, to już chce odpuścić, ale to nieprawda, organizm walczy, głowa walczy. Nawet kiedy wydaje się, że już jest pragnienie, żeby to się skończyło, to zawsze są wątpliwości, czy na pewno. Jeśli nie czujemy niewysłowionych cierpień, ciągnie nas ku życiu.

Ciągnie panią?

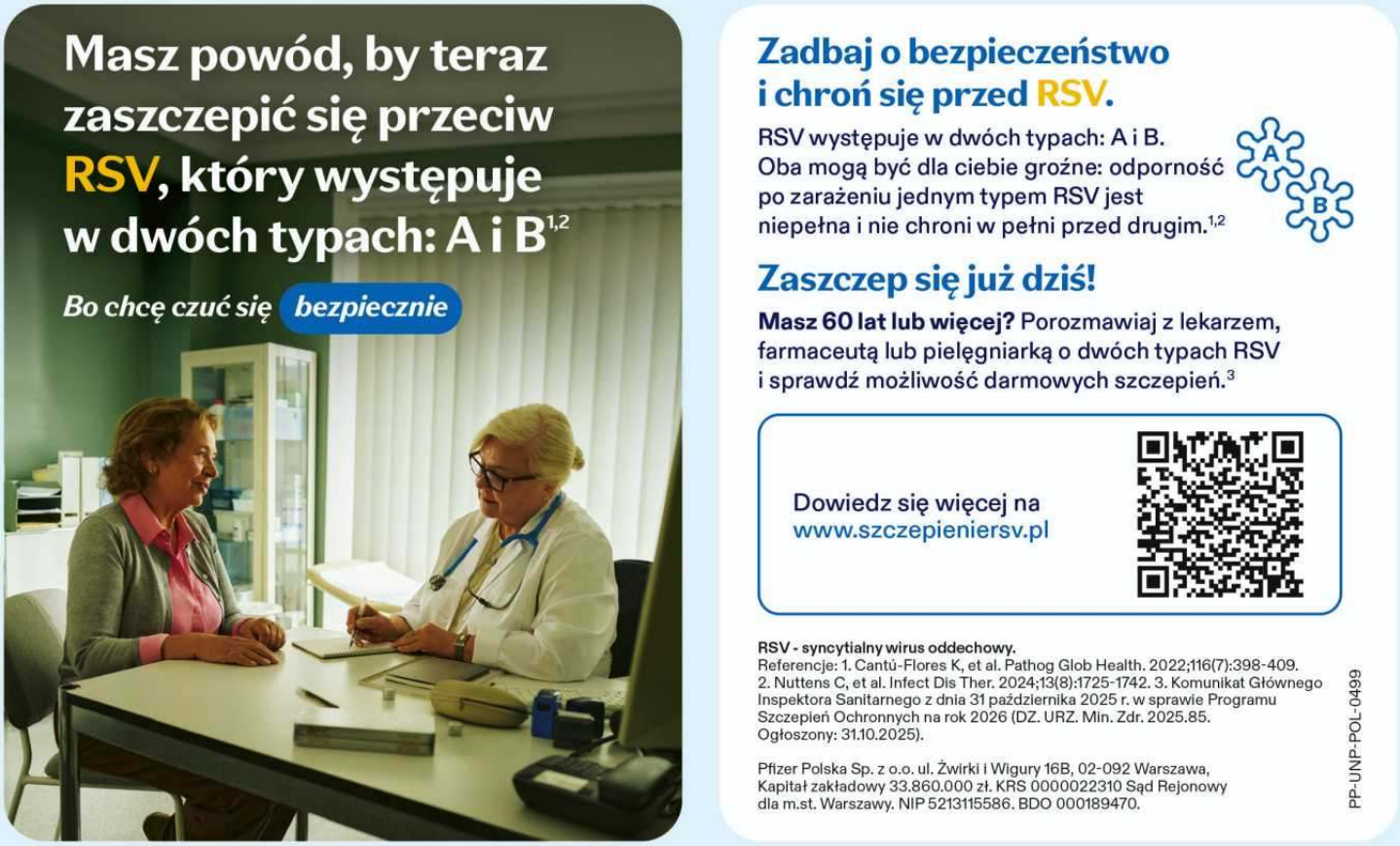
– Rozumiem jego rytmy, co nie znaczy, że mi się podobają. Ale chcę w nich w pełni uczestniczyć. Praca w ogrodzie nauczyła mnie godzenia się z następstwem rzeczy. Czy się będę rzucać, czy nie, natura ma swój rytm, swoje cykle. Teraz zaczyna się jesień, nie lubię tej pluchy jesiennej ani zimy, ale potrafię się do niej dostosować. I to też jest moim zdaniem siła.

Natura jest logiczna, piękna. Jestem biolożką z pasji, nie dostałam się na biologiczne studia po maturze, ale teraz postanowiłam zostać rolnikiem – zapisałam się na kurs. Kiedy pytałam, czy będę najstarszą w historii szkoły, dowiedziałam się, że jednak nie. Była pani 85-letnia, która została florystką. Końcowy egzamin zdała najlepiej z całej grupy. Bo to była jej pasja.

To chyba jest najbardziej rock'n'rollowa rzecz, jaką mogła mi pani wyznać. ▲

Wystawa „MELUZYNY Z WIELKIEJ PŁYTY" od 8.10.20226 do 21.02.2027 w Domu Spotkań z Historią w Warszawie. Więcej info: dsh.waw.pl

OGŁOSZENIE



eprasa.pl 80cac0502a

Nie chcę być *Kasandrą*

Kiedy w kolejnych książkach powracają bieda, drożyzna, upokorzenie czy przemoc, za chwilę zacznie się robić też niebezpiecznie poza literaturą

Z **MAGDALENĄ PARYS**, PISARKĄ, ROZMAWIA **NATALIA WALOCH**

Czy książki mogą powstrzymać wojnę, ludobójstwo, kataklizm?

– Absolutnie tak. Literatura ma ogromną siłę rażenia, tyle że jej wpływ rozkłada się na lata. Nie napiszesz dzisiaj książki, która jutro zmieni świat. Ale zobacz, co się stało za sprawą „Chłopek" Joanny Kuciel-Frydryszak. Jak mocno ten temat musiał już wcześniej w nas pracować, skoro jedna, wcale niełatwa w odbiorze książka wywołała powszechne poruszenie. Czytał ją niemal każdy, z kim rozmawiałam, i każdy był wstrząśnięty. Myślę, że rozpoznawaliśmy w niej siebie, a wraz z tym rozpoznaniem przychodziła zgoda na własną tożsamość.

A kiedy zmienia się to, jak myślimy o sobie, zmieniają się też wyobrażenia o tym, co nam się należy, na co się zgadzamy, co odrzucamy. A teraz wyobraź sobie, że co kilka lat ukazuje się w Polsce książka, która porusza nas równie głęboko. Myślę, że to działa w obie strony: społeczeństwo kształtuje literaturę, literatura zmienia społeczeństwo. A teraz weź „Rok 1984" albo „Folwark zwierzęcy", czy zmieniły świat? Z drugiej strony mamy „Mein Kampf"... Tak, słowa mają wielką moc.

Lubimy powtarzać, że wojna czy ludobójstwo zaczynają się od słów: robactwo, tyfus, wrogowie ojczyzny. Są jednak ludzie, którzy zadają pytanie, czy może być odwrotnie: czy słowa mogą nas ostrzec przed nadciągającą katastrofą, dając nam szansę na jej powstrzymanie. Pytam teraz oczywiście o projekt Cassandra.

– Czyli o projekt profesora Jürgena Wertheimera z Uniwersytetu w Tybindze. Niesamowity człowiek, udało mu się pozyskać do współpracy literaturoznawców i ekspertów z różnych stron świata, wśród nich Monikę Wolting, polską profesorkę. Traktują literaturę jako system wczesnego ostrzegania: szukają w niej sygnałów procesów społecznych i politycznych, coś w rodzaju sejsmografu ostrzegającego przed konfliktami zbrojnymi i wojną.

W czasach, gdy jesteśmy zapatrzeni w wielkie zbiory danych, algorytmy i AI, oni szukają diagnozy świata w literaturze.

– Robią to samo, co modele językowe, które uczą się na książkach. Chętnie uznajemy wartość tego zasobu, gdy korzysta z niego technologia, a dużo trudniej przychodzi nam potraktowanie literatury jako wiedzy o świecie. W Cassandrze badacze robią to samo, badają język, sprawdzają, jakie emocje powracają w literaturze. To, co w jednej powieści wygląda na jedną obserwację autora, w kilkunastu może już poważnie alarmować. Kiedy w kolejnych książkach powracają bieda, drożyzna, upokorzenie czy przemoc, za chwilę zacznie robić się też niebezpiecznie poza literaturą.

Potem nam się wydaje, że gdzieś coś „wybuchło nagle", podczas gdy pisarze i badacze już dawno przestrzegali nas przed tym w swoich analizach. Literatura daje nam dostęp do tego, co człowiek przeżywa, zanim jego niezadowolenie stanie się wydarzeniem społecznym czy politycznym. Podobnie działają piosenki, wiersze, filmy.

Kultura jako sejsmograf wyczuwający najmniejsze drgania. Dajesz też przykład literatury rosyjskiej.

– Tak, w rosyjskiej literaturze na długo przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę pojawiały się obrazy nadciągającej katastrofy. Mam tu na myśli pisarzy, którzy już wcześniej wyczuwali to „coś". Potrafili uchwycić napięcia i nastroje, których inni jeszcze nie umieli nazwać albo nie chcieli dostrzec. Ale literatura może też działać w przeciwnym kierunku: oswajać z wojną, czynić ją pożądaną. Jeśli podbój jest przedstawiany jako odzyskanie należnego miejsca, a przemoc jako przywrócenie sprawiedliwości, czytelnik może zacząć myśleć tymi kategoriami. Nie każda książka nas uszlachetnia, literatura potrafi również nadać okrucieństwu sens, którego ludzie potrzebują, żeby zaakceptować zło.

To moment, w którym muszę zapytać cię o twoją kasandryczną przepowiednię. Nie zapomnę, jak pewnego ranka włączyłam TOK FM i usłyszałam, że w Niemczech rozbito szykującą zamach stanu siatkę pewnego księcia, który chciał odbudować nazistowską Rzeszę.

– To było dwa lata po ukazaniu się „Księcia" w Polsce i we Francji, pracowałam wtedy już nad trzecią częścią trylogii. Szczerze? Nie zdziwiłam się. Jeśli wciąż czytasz o nielegalnych składach broni, skrajnie prawicowych środowiskach w policji i wojsku, a do tego od lat słuchasz polityków AfD lekceważących nazistowską przeszłość, to co właściwie może tu dziwić? Pracując nad trylogią, poznawałam historię tych środowisk, ich powiązania i ambicje. Kiedy pojawiała się kolejna wiadomość, miałam w pamięci szczegóły, które pozwalały mi zrozumieć, skąd się wzięła i co może z niej wyniknąć.

Dlatego plan przewrotu mieścił się w moim obrazie Niemiec, choć dla kogoś, kto nie zajmuje się tym na co dzień, mógł brzmieć zupełnie nieprawdopodobnie. Pamiętam, że kiedy zatrzymano księcia i resztę jego bandy, mój syn powiedział, że już nigdy nie będzie się śmiał z moich rzekomo nieprawdopodobnych pomysłów. Ale ja nie miałam satysfakcji. Napisałam szaleńczą historię, a potem okazało się, że książę ma swojego odpowiednika w rzeczywistości. Wolałabym, żeby syn nadal uważał, że przesadzam.

Zaczęłaś potem pisać jakoś inaczej?

– Wiedziałam tylko, że nie chcę być Kasandrą. Dlatego we „Florenie" połączyłam starożytność ze sztuczną inteligencją i wymyśliłam absurdalną zabójczynię. Chciałam, żeby moje najbardziej nieprawdopodobne pomysły pozostały w książce. Tymczasem po premierze nadeszły wiadomości



FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 80cac0502a



Zniszczony billboard wyborczy z wizerunkiem Alice Weidel, kandydatki na kanclerza z ramienia skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), Berlin 2025 r.

eprasa.pl 80cac0502a

o udostępnieniu akt NSDAP w amerykańskich archiwach, a potem trafiłam jeszcze na dokument pokazujący chińskie humanoidy bojowe. W krótkim czasie ziściło się kilka motywów, które opisałam we „Florenie". Wtedy naprawdę poczułam niepokój.

Wspomniałaś o AfD, a rozmawiamy po jej wygranej w Saksonii-Anhalt. Czytałam trochę o ich stosunku do historii, negowaniu zbrodni Wehrmachtu i po raz kolejny pomyślałam, że jesteśmy ugotowani, bo to po prostu pokazuje, że kategoria prawdy umarła. Każdy ma swoją: o historii, polityce i szczepionkach.

– Prawda istnieje i nie przestaje istnieć dlatego, że komuś się nie podoba albo nie pasuje do jego poglądów. Natomiast dziś uzależniamy jej uznanie od tego, kto ją wypowiada. Jeśli „nasz", jesteśmy gotowi wiele przeoczyć, jeśli „obcy", podejrzewamy go nawet wtedy, gdy pokazuje dowody. Dlatego tak ważna jest w dzisiejszych czasach odwaga mówienia „naszym" tego, czego nie chcą usłyszeć. Taki głos może odzyskać wiarygodność, którą tracimy, bez końca usprawiedliwiając swoich.

Media mają tu ogromną odpowiedzialność. Redaktor jednego z największych światowych mediów zamówił u mnie niedawno tekst o Polsce na siedem tysięcy znaków. Odmówiłam. Zagranicznemu czytelnikowi trzeba wyjaśnić, co wydarzyło się przez niemal czterdzieści lat transformacji, żeby mógł zrozumieć dzisiejszych Polaków. Nie będę pisała uproszczonej prawdy tylko po to, żeby się mu lepiej „klikało".

I powiem ci, wkurza mnie, kiedy media z góry zakładają, ile czytelnik jest w stanie zrozumieć i jakiej długości tekst powinien dostać. Dziennikarze nie mogą traktować czytelnika, a politycy obywatela jak kogoś, za kogo trzeba myśleć. I powiem ci, że w tym chaosie paradoksalnie prawda radzi sobie całkiem dobrze.

No dobrze, ale jak to ma się do sukcesu AfD?

– AfD daje ludziom poczucie, że wreszcie wolno im powiedzieć coś, czego wcześniej nie wypadało mówić. To bardzo silne doświadczenie, zwłaszcza jeśli ktoś przez lata uważał, że jego obawy dotyczące migracji czy bezpieczeństwa są zbywane. Kiedy słyszy: „My powiemy wam to, co oni ukrywają", może odebrać to jako odzyskanie własnego głosu. I wtedy dużo łatwiej uwierzy także w resztę opowieści AfD. Moim zdaniem liberalni politycy nie docenili, jak kosztowna jest sytuacja, w której człowiek zaczyna utożsamiać szczerość ze skrajną prawicą.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL; MATERIAŁY PRASOWE

MAGDALENA PARYS

– ur. w 1971 r. polska pisarka mieszkająca w Berlinie. Zadebiutowała w 2011 r. powieścią „Tunel", w 2015 została laureatką Europejskiej Nagrody Literackiej za powieść „Magik". Jej książki przetłumaczono na ponad 20 języków. „Książę" (niem. Der Prinz) znalazł się właśnie na shortliście Hotlist – jednej z najważniejszych nagród dla literatury niemieckojęzycznej. Felietonistka „Gazety Wyborczej", publikuje także w prasie niemieckiej i francuskiej

Znam cenzurę z PRL-u i wiem, czym jest naprawdę, dlatego nie utożsamiam jej ze współczesnymi Niemcami. Ale młodzi ludzie mogą nazywać cenzurą już to, że za wypowiedzenie swoich obaw zostają uznani za moralnie podejrzanych. Jeżeli ktoś mówi: „Boję się", a ty zaczynasz od pouczania go, dlaczego nie powinien tak czuć, to nie rozwiązałaś jego problemu. Sprawiłaś, że pójdzie z nim do kogoś innego, no i właśnie 44 proc. obywateli Saksonii poszło gdzie indziej. Można bronić praw imigrantów i jednocześnie uczciwie mówić o problemach migracji, o tym politycy niestety zapomnieli.

Jakiego rodzaju zagrożeniem AfD jest dla Niemiec, Polski, demokracji w Europie?

– Fundamentalnym. Nie zakładałabym, że AfD potrzebuje jeszcze kilku lat do przejęcia władzy. Jeśli partie demokratyczne nie zmienią sposobu działania, nastąpi to wcześniej. AfD nie tylko lekceważy nazistowską przeszłość, jej stosunek do tej przeszłości mówi nam, jaką przyszłość chce zbudować. Dlatego nie zgadzam się na uspokajające porównania z populistyczną prawicą we Francji czy w Polsce. Niemiecki nacjonalizm, który chce uwolnić się od odpowiedzialności za nazizm, to nie jest po prostu kolejna odmiana europejskiego populizmu. To coś o wiele bardziej niebezpiecznego, gdyby AfD doszła do władzy, natychmiast odczulibyśmy to w Polsce i całej Europie.

Współprzewodniczący AfD Tino Chrupalla mówi, że nie widzi zagrożenia dla Niemiec ze strony Rosji, ale Polska może takie zagrożenie stanowić. Alice Weidel deklaruje, że nie akceptuje polskiej nazwy Głubczyc i nie chodzi jej przecież o wymowę. Poseł Kay Gottschalk zapowiedział, że jako minister finansów zażądałby od Polski 1,3 biliona euro za zniszczenie Nord Streamu itd.

Kaczyński przez lata gadał bzdury i podsycał lęk, robił z demokratycznych polityków w Niemczech wrogów Polski. Robił to, kiedy w Niemczech nikomu do głowy by nie przyszło w jakikolwiek sposób atakować Polski. Ale w przypadku AfD jest inaczej, zrobi z Polski głównego wroga, zacznie kwestionować zachodnią granicę i wysuwać wobec nas roszczenia i kto wie, co jeszcze... Wtedy na granicy zderzą się dwie narodowe dumy: polska i niemiecka. Zobaczymy, jak Sławomir Mentzen będzie wówczas opowiadał o swoich przyjaciołach i „propolskiej" AfD.

Co wobec tego wszystkiego możemy zrobić my w Polsce?

– Na pewno nie liczyć na to, że naszych rodzimych populistów pogrąży kolejna afera. Trzeba opowiedzieć ludziom, jakim krajem chcemy być i kto ma nas tam poprowadzić. Potrzebujemy w Europie nowych twarzy, nowej opowieści i młodych ludzi, pokoleniowej zmiany. Tymczasem światem rządzą starcy, starcy mówią młodym ludziom, jak mają żyć.

Nie można co wybory wzywać młodych obywateli do ratowania demokracji, a potem odmawiać im miejsca przy stole. W Niemczech ludzie protestują, głosując na AfD lub na Sahrę Wagenknecht. A na kogo zagłosują w Polsce? Nie wystarczy bez końca gadać, że tamci są gorsi. Trzeba zacząć myśleć w innych kategoriach, dać powód, żeby chciał zagłosować na ciebie. Trzeba totalnie zmienić myślenie.

Myślę, że pole politycznej bitwy jest dziś tak trudne z powodu hegemonii big techów i dezinformacji. We „Florenie" jest scena, gdzie telewizje i kanały internetowe pokazują wielotysięczny marsz na Reichstag, a w realu protestuje 30 osób.

eprasa.pl 80cac0502a

– Bo taki fałszywy marsz może po chwili wyprowadzić na ulicę prawdziwych ludzi. Zobaczą tłum, uznają, że właśnie dzieje się historia, i zechcą dołączyć. A kiedy sprostowanie przyjdzie za późno, kłamstwo zdąży już zmienić rzeczywistość. Moja kanclerka to rozumie i wprowadza obowiązkowe oznaczanie autentycznych treści rodzajem znaku wodnego, dzięki temu ludzie mają czego się uchwycić. Ona reaguje w trakcie kryzysu natychmiast i żeby to było jasne: nie jest to Angela Merkel.

Sęk w tym, że my już nie wierzymy nawet własnym oczom. Kiedyś, jak szła plotka, a potem pokazano zdjęcie czy film ze zdarzenia, mówiliśmy: „Okej, a więc to było tak". Pamiętasz sytuację, jak w Stanach agenci ICE zastrzelili Alexa Prettiego? Były filmy ze zdarzenia, pokazujące, że nie celował z broni do agentów, że wykonali na nim egzekucję, a część ludzi i tak powiedziała: „No, do końca to nie wiadomo, jak to tam było".
– I znów wracamy do prawdy. Zobacz, jak bardzo jej łakniemy, ale masz rację, dowód może dziś nie wystarczyć. I znów wracamy do tego, kto do nas mówi, czy ten, któremu wierzymy, czy ten, którego nie lubimy. Jeśli mu nie ufamy, odrzucamy nawet dowód, byle nie przyznać mu racji.

Szczególnie widać to w serwisach społecznościowych.
– Serwisy społecznościowe to nasze odbicie w skrzywionych lustrach. Na spotkaniach widzę, że ludzie potrafią być zupełnie inni. Zdarzało mi się, że ktoś, kto mnie hejtował, po rozmowie stawał się moim gorącym sympatykiem. Oczywiście są też szaleńcy, fanatycy, ludzie gotowi do przemocy i nie zamierzam ich usprawiedliwiać. Jednak przekreślenie z góry wszystkich wyborców AfD do mnie nie przemawia, bo zwalnia nas z wysiłku zrozumienia, dlaczego na nich głosują. Jeśli będziemy odpowiadać z pogardą, umocnimy to poczucie.

Podobnie jak w przypadku ludzi z pasa rdzy w USA, którzy głosują na Trumpa.
– Właśnie. Polityku, masz jechać również tam, gdzie cię nie chcą, wysłuchać i spróbować zrozumieć, dlaczego ludzie są tak wściekli. Nie można oddawać całych środowisk skrajnej prawicy, a potem dziwić się, że nikt inny nie ma już do nich dostępu. Nie wiemy, czy na rozmowę jest za późno, ale jak nie pojedziemy, to się nie dowiemy.

Tytułowy floren z twojej powieści to moneta, na którą podobno padła kropla krwi Jezusa. Myślę o niej jako o czymś, co jest na przeciwległym biegunie wobec danych, algorytmów i wyliczeń. Wyjątkowość florena opiera się tylko na tym, że ktoś dawno temu coś podobno widział i powiedział to swoim potomkom, a oni dalej swoim dzieciom. To wyjątkowość oparta na wierze i pamięci, a dalej po prostu na więziach między ludźmi: zaufaniu, że ktoś mi mówi prawdę, czy że ktoś zaopiekuje się powierzonym mu skarbem.
– Czyli na wartościach, dzięki którym możemy sobie ufać i tworzyć wspólnotę. Dla jednych ma to źródło w chrześcijaństwie, dla innych w normach scalających ludzkość. Uderza mnie, że tak wiele rzeczy, które uważamy za najcenniejsze, jest z punktu widzenia korzyści kompletnie nieracjonalnych. We „Florenie" dochowuje się wierności komuś, kto już nie może się odwdzięczyć. Chroni się coś, czego wartości nikt nie potrafi udowodnić.

Dlatego sztuczna inteligencja we „Florenie" tego nie rozumie, przeszukuje mądre księgi i najgłupsze fora i nadal nie pojmuje, dlaczego ktoś gotów jest umrzeć dla monety ze śladem krwi Chrystusa. Nasza niedoskonałość, sprzeczności, przywiązania okazują się dla niej przeszkodą. Na to nie ma matematycznej definicji. Jej celem jest nieustanny proces w dochodzeniu do absolutu doskonałości. Dlatego bardzo mnie interesuje ten moment, w którym coś, co można uznać za naszą słabość, stanie się jej największym przeciwnikiem.

Widzę, że wierzysz w ludzkość.
– Tak, chociaż wiem, do jakiego okrucieństwa jesteśmy zdolni. Właśnie dlatego potrzebujemy literatury, która pozwoli nam siebie subtelniej zrozumieć. Czyli to, czego nigdy nie zrozumie żaden komputer. Z drugiej strony „Makbet" niewiele nam da, jeśli będziemy w nim widzieć wyłącznie opowieść o jakimś złym człowieku sprzed wieków. On ma nam dać też wiarę w to, że możemy postąpić inaczej. I pozwolić sobie błądzić, upaść. To się chyba nazywa miłosierdzie, dawno zapomniane słowo.

Trochę jednak siebie niszczymy. Przebodźcowanie i dekoncentracja są powszechne.
– Tak, dziś możemy przeżyć cudze nieszczęście z drugiego końca świata, zanim zdążymy wstać z łóżka. Nasza zdolność przyjmowania tego wszystkiego ma granice. Trzeba nauczyć się chronić uwagę i decydować, ile miejsca oddajemy narzędziom, które sami stworzyliśmy. A przede wszystkim nie możemy widzieć siebie w roli ofiary tych narzędzi. Mamy być czujni, ale nie bać się ich. Inaczej staniemy się ofiarą naszego wymysłu już teraz – zanim nas zgładzi.

Bohaterka twojej trylogii dziennikarka Dagmara Bosch jest spójna wewnętrznie, mocno przy sobie, pryncypialna. Wiemy, że świat potrzebuje takich Dagmar. Pytanie, jakim miejscem ten świat jest dziś dla niej. Jak widzisz sytuację kobiet?
– Ostatnio zobaczyłam w polskiej księgarni olbrzymi regał pełen poradników dla mężczyzn: jak mają żyć, co jeść, jak wyglądać, jak kochać. Szukałam podobnego regału dla kobiet i, uwierz mi, nie znalazłam. Wydało mi się to symboliczne. Przez lata opowiadano kobietom, jak powinny się dostosować, a teraz mężczyźni muszą na nowo określić swoje miejsce. I jak widać po tych tytułach w księgarniach i po naszych rodzimych partiach – próbują to na najróżniejsze sposoby.

Zobacz, we „Florenie" kobiety mają władzę i sprawczość. Tak widzę świat wokół siebie: kobiety piszą książki, tworzą kulturę, są ekspertkami, żołnierkami, wydawczyniami, bokserkami. Nadal jest nas mniej na szczytach władzy, ale już nie zadowalają nas okruchy ze stołu. Próby odbierania nam praw i zastraszanie odczytuję jako reakcję na to, jak silne się stałyśmy. To nie czyni tych przejawów mniej groźnymi, można ustawą bardzo konkretnie zniszczyć kobiecie życie, ale znacznie trudniej sprawić, żeby ponownie uwierzyła, że jej podporządkowanie jest naturalnym porządkiem świata. Nie wierzę, że da się trwale cofnąć tę zmianę. Z drugiej strony Europa to tylko jeden kontynent na wielkim świecie i nie jest jego najważniejszym wymiernikiem. Wciąż brzmią mi w uszach słowa taksówkarza, który wioząc mnie na dworzec, powiedział mi, że w jego berlińskiej dzielnicy kobiety mają jeszcze należyty respekt przed mężczyznami i że jest szansa, że takich dzielnic będzie coraz więcej. ▲



MAGDALENA PARYS
„Floren",
Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 80cac0502a

Tylko tu!

ROSSMANN
Moja Drogeria

Kosmetyczne odkrycia dla pięknej skóry

Jędrność, gładkość, nawilżenie i promienny wygląd. Sięgnij po kosmetyki, które odpowiadają na różne potrzeby skóry i podkreślają jej naturalne piękno.





.1

PDRN i kompleks 9 rodzajów kolagenu!

Formuła łączy zaawansowane składniki aktywne, które wspierają naturalne procesy regeneracji skóry. PDRN pomaga pobudzać procesy naprawcze, dzięki czemu skóra może zyskać większą gęstość i sprężystość. Z kolei NATORI COLLAGEN COMPLEX HD 9, czyli kompleks 9 rodzajów kolagenu, wspiera odbudowę kolagenu, pomagając przywrócić skórze jędrność, napięcie i gładkość.



.2

Wielokierunkowe działanie odmładzające

Kapsułowy krem peptydowy NO GRAVITY kompleksowo pielęgnuje skórę i pomaga przywrócić jej jędrność, sprężystość oraz napięcie. Redukuje widoczność zmarszczek i sprawia, że cera wygląda na bardziej wypoczętą i zrewitalizowaną. Lekka formuła jest odpowiednia dla każdego typu skóry, także wrażliwej i alergicznej. Zapewnia ukojenie przy podrażnieniach i przyjemny komfort stosowania, bez pozostawiania tłustej warstwy.

Pod oczy, na lwią zmarszczkę i okolice ust

Hydrożelowe multi-płatki Efektima 24K Gold & Hyaluronic Acid zapewniają kompleksową pielęgnację w trzech obszarach twarzy – pod oczami, między brwiami oraz wokół ust. Formuła ze złotem 24K, kwasem hialuronowym, retinolem, kofeiną i witaminą E intensywnie nawilża, wygładza i pomaga zmniejszyć widoczność zmarszczek oraz cieni pod oczami. Ergonomiczny kształt płatków ułatwia ich dopasowanie do konturów twarzy, zapewniając wygodną aplikację. Po zastosowaniu skóra jest bardziej nawilżona, gładka i promienna.



.3

3 potrzeby skóry, 1 formuła

Wielokierunkowa pielęgnacja dla skóry, która potrzebuje wygładzenia i wyrównania kolorytu. Formuła pomaga wygładzić skórę, zmniejszyć widoczność przebarwień i drobnych zmarszczek, przywracając jej bardziej jednolity i zadbany wygląd. Za działanie odpowiadają starannie dobrane składniki aktywne: argirelina, arbutyna, kwas ferulowy i glutation.



.4

❶ **Dermika Eternal**, krem do twarzy, odbudowujący, SPF 50, 50 ml ❷ **Coda Lab No Gravity**, krem do twarzy, odmładzający, 50 ml ❸ **Efektima 24K Gold & Hyaluron**, płatki do twarzy, 90 szt ❹ **KLOO Anti-Ox**, serum do twarzy, rozjaśniające, 30 ml

eprasa.pl 80cac0502a



.5

Żel i peeling w jednym

Cukrowy peeling do ciała Fluff Raspberry Milkshake jednocześnie myje i delikatnie złuszcza skórę, pozostawiając ją gładką, miękką i odświeżoną. Formuła z cukrem, olejem z awokado i olejem z otrębów ryżu pomaga usunąć martwy naskórek, wygładzić i odżywić skórę – bez uczucia tłustości i przesuszenia. Całość dopełnia słodki malinowy zapach, który sprawia, że codzienna pielęgnacja staje się przyjemnym rytuałem.



.6

Słodki zapach bułeczek cynamonowych

Rozświetlający balsam do ust FaceBoom Nutri Lip Balm Cinnamon Roll pielęgnuje, wygładza i zmiękcza usta, nadając im jednocześnie delikatny kolor i naturalny blask.
Wegańska formuła zawiera Pink Sugar Complex, peptydy i masło cupuacu, które wspierają nawilżenie i regenerację ust. Po zastosowaniu usta są jedwabiście gładkie, miękkie i pełne blasku, a słodki zapach bułeczek cynamonowych sprawia, że aplikacja jest jeszcze przyjemniejsza.

5 form kwasu hialuronowego i olej Meadowfoam

Lekki krem Hada Labo Hyalu Renew intensywnie nawilża skórę i pomaga przywrócić jej elastyczność oraz promienny, zdrowy wygląd. Zawiera 5 zaawansowanych form kwasu hialuronowego, które wspierają nawilżenie, regenerację i naturalną barierę ochronną skóry. Dodatkowo olej Meadowfoam tworzy na skórze delikatną warstwę ochronną, która ogranicza utratę wody i pomaga odbudować naturalną barierę lipidową. Efekt? Długotrwale nawilżona, miękka i bardziej sprężysta skóra – bez uczucia ciężkości.



.7

Jedno serum, wiele zastosowań

Wygładzające serum do włosów Heiki Heiki ma lekką konsystencję, a jednocześnie intensywnie nawilża, wygładza i chroni włosy. Pomaga ograniczyć puszenie, nadaje pasmom miękkość i zdrowy połysk oraz poprawia ich elastyczność. Serum chroni włosy przed wysoką temperaturą podczas stylizacji, a także wspiera ich strukturę, pomagając zmniejszyć mikrouszkodzenia i łamliwość.
Dodatkowo pomaga chronić włosy przed działaniem czynników zewnętrznych i stresem oksydacyjnym.



.8



.9

Redukcja oznak zmęczenia i opuchlizny

Lekki krem pod oczy pomaga zmniejszyć widoczność opuchlizny i oznak zmęczenia, a także wygładza drobne linie i zmarszczki mimiczne. Jedwabista konsystencja delikatnie otula cienką skórę wokół oczu, zapewniając jej nawilżenie, miękkość i elastyczność.
Formuła wzmacnia i chroni delikatną skórę, dzięki czemu spojrzenie wygląda na świeższe, gładsze i bardziej wypoczęte.



.10

Jeden pędzel, dwie różne końcówki

Dwustronny pędzel KillyS x Żurawska to uniwersalne narzędzie do aplikacji i blendowania kremowych kosmetyków. Większa, zbita końcówka ułatwia równomierne rozprowadzanie podkładu oraz kremowych produktów do policzków, a mniejsza pozwala precyzyjnie dopracować okolice oczu i detale. Dwie różne końcówki sprawiają, że jeden pędzel zastępuje kilka narzędzi, zapewniając wygodę i większą kontrolę nad efektem. To praktyczny wybór zarówno do codziennego, jak i bardziej dopracowanego makijażu.

❺ **Fluff**, peeling do mycia ciała, Raspberry Milk, 350 ml ❻ **Moan Vida**, balsam do ciała, nawilżający, 250 ml ❼ **Hada Labo Hyalu Renew**, krem do twarzy, ultralekki, 50 ml ❽ **HEIKI HEIKI Smoothing**, serum do włosów, Marrakesh, 50 ml ❾ **Miya My Bloom**, krem pod oczy, wygładzający, 15 ml ❿ **KillyS x Żurawska**, pędzel do produktów mokrych, 1szt.

eprasa.pl 80cac0502a

Skłócona z *życiem*

Czy mamy ukrzyżować wszystkich mężczyzn, którzy klepali nas w tyłek?

TEKST **AGATA PYZIK**

Nie jestem pewna, czy rozumiem całe to szaleństwo związane z parciem na bycie dobrą osobą" – powiedziała niedawno w wywiadzie dla „Guardiana" Virginie Despentes, wielka diwa francuskiej literatury. Despentes urodziła się w 1969 roku, co może tłumaczyć, dlaczego mimo bardzo feministycznych poglądów nie rozumie, jak twierdzi, kultury „woke" i usilnego pragnienia uchodzenia za „moralnego" w internecie. Może dlatego napisała tak prowokacyjną, zadziorną i zarazem śmieszną książkę, jak „Drogi dupku". Tę powieść Despentes ukończyła podczas epidemii COVID, kiedy miała, jak mówi, o wiele za dużo czasu, aby zastanowić się nad dziwaczną współczesną kulturą obyczajową. W książce tej przebrzmiała, ale wciąż niezwykle charyzmatyczna, 50-letnia aktorka Rebecca Latte zadzierzguje nieoczekiwanie przyjaźń z mężczyzną oskarżonym, w ramach #metoo, o napastowanie seksualne.

MIZOGIN I SYMBOL SEKSU

Książka zaczyna się, gdy Oscar, czterdziestoparoletni pisarz średniego formatu, zauważa Rebeccę w modnej kawiarni i publikuje na Instagramie wulgarny i mizoginistyczny komentarz: „Tragiczna metafora epoki spieprzającej z prędkością światła – cudowna kobieta, która tak wielu nastolatków nauczyła, czym jest fascynacja kobiecym magnetyzmem w jego najdoskonalszej postaci, teraz zmieniła się w ropuchę. Nie tylko się zestarzała. Upasła się, zaniedbała, ma wstrętną skórę, jest brudna i hałaśliwa. Totalna rozsypka. Dowiedziałem się, że została muzą młodych feministek". Rebecca znajduje jego e-maila w sieci i odpisuje mu, tytułując go właśnie „Drogi dupku".

I tak, jeden e-mail za drugim – jest to powieść epistolarna na nowe czasy – zaczyna się toczyć ta opowieść. Początkowe klisze – symbol seksu kontra dziaders i mizogin – nabierają stopniowo życia. Oscar jest zawstydzony, przeprasza i ujawnia, że chciał w ten sposób zdobyć uwagę Rebekki, która jako nastolatka przyjaźniła się z jego starszą siostrą i w której podkochiwał się jako dzieciak. Chwilę później internet wybucha – znana blogerka Zoe Katana oskarża Oscara o molestowanie jej, kiedy dziesięć lat wcześniej była asystentką u wydawcy, gdzie Oscar zapowiadał się na przyszłą gwiazdę. Gwiazdą nie został, zanadto pochłonięty autodestrukcją i użalaniem się nad sobą, ale Zoe nie zapomniała, jak okropnie ją traktował. Po tym jak początkowy gniew opada, Rebecca współczuje Oscarowi nagonki i zostają czymś w rodzaju kumpli, zwłaszcza kiedy z listów wychodzi, że oboje są chwilowo trzeźwymi narkomanami i alkoholikami, desperacko próbującymi nie wrócić do używek. Pandemia COVID przypieczętowuje ich dziwną relację – oboje skłóceni z rodzinami i bliskimi, zostają zupełnie sami. W pewnym momencie korespondencji Oscar i Rebecca stają się współuzależnieni, nie mogą już bez siebie żyć, chociaż się nigdy nie spotkali.

PRZYJAŹŃ POPAPRAŃCÓW

Dlaczego miałybyśmy interesować się przyjaźnią tej dwójki popaprańców, z których jeden w dodatku jest seksualnym agresorem? Jeśli się obruszycie, będziecie miały nawet częściowo rację. Ani Rebecca, ani zwłaszcza Oscar nie są specjalnie miłymi ludźmi. Oscar jest narcystyczny, ślepy na swój przywilej i źle traktuje właściwie wszystkie kobiety ze swojego otoczenia. W dodatku bezustannie użala się nad sobą, swoim brakiem fizycznej atrakcyjności oraz pochodzeniem z ubogiej, pozbawionej miłości rodziny. To istny incel! A Rebecca? Jaka z niej feministka, skoro nigdy publicznie nie wystąpiła w obronie kobiet, była zajęta tylko swoją karierą i braniem narkotyków, w dodatku całe życie miała słabość do bad boyów i pakowała się w toksyczne związki, a teraz jeszcze broni kogoś tak odpychającego jak Oscar.

Odpowiedź znajdujemy w tonie, jaki Despentes przybrała, by opowiedzieć o swoich bohaterach. Ani Oscar nie jest potworem wcielonym, ani Rebecca nie jest płytką eksdiwą. Oboje – zdaje się mówić Despentes – są poranionymi ludźmi z biednych środowisk, którzy mieli ostro pod górkę i którzy okupili pragnienie sukcesu niepewnością i uzależnieniami. Rozpoznają się nawzajem i, choć z oporami ze strony Rebekki, postanawiają sobie pomóc.

Czy to nie przypomina jednak odwiecznego oczekiwania od kobiet, że będą wybaczać, rozumieć i wykonywać całą tę emocjonalną robotę za facetów? I pisze to osoba tak radykalna jak Despentes – która publicznie mówiła o własnych doświadczeniach, napisała o tym książkę, a na jej podstawie nakręciła najbardziej wstrząsający film o gwałcie w historii, „Baise-moi" (w Polsce dystrybuowany w wąskim obiegu pt. „Gwałt")?

ŻYCIE, KTÓRE NIE ROZPIESZCZA

Aby to zrozumieć, trzeba zobaczyć całe życie Virginie Despentes. To kobieta twarda i zaprawiona w bojach. Pochodzi z robotniczej rodziny z Nancy, niewielkiego miasteczka na północy. Jako nastolatka była punkówą. Mając 15 lat, trafiła na krótko do szpitala psychiatrycznego, a w wieku 17 lat wyjechała do Lyonu, by już nigdy nie wrócić do rodzinnego miasta. Zaczęła obsesyjnie jeździć za ulubionymi zespołami w trasy – łapała autostop i sypiała na dworcach: „To, czego doświadczyłam w tamtym czasie, w tamtym wieku, było czymś wyjątkowym, o wiele bardziej intensywnym niż zamykanie się w szkole i uczenie uległości czy siedzenie w domu nad kolorowymi magazynami. To były najlepsze lata mojego życia – najbogatsze, najgłośniejsze – a ja musiałam znaleźć w sobie siłę, by zmierzyć się z całym syfem, który niestety się z tym wiązał" – pisała o tym okresie. To wtedy doświadczyła gwałtu. Ale, być może

eprasa.pl 80cac0502a



Virginie Despentes, francuska pisarka, 2015 r.

Pisała, że nie jest na siebie zła, że nie zdołała zabić swoich gwałcicieli. *Jest zła na społeczeństwo*

dlatego, że była to inna epoka, nie zgłosiła tego na policję, a bieda i nieustanna potrzeba martwienia się o utrzymanie nie pozwoliły zbyt długo zastanawiać się nad własnym losem i traumą.

Utrzymywała się wtedy z moderowania serwera Minitel, czyli rodzaju internetu sprzed internetu. Chciała za wszelką cenę wyrwać się z takiego życia. Z pomocą przyszedł internet – zobaczyła, że ludzie używają go do umawiania się na seks. W wywiadach mówiła, że zaczęła więc dorywczo pracować w branży seksualnej, jako striptizerka w peep show, a nawet recenzentka filmów pornograficznych. Doświadczenie to okazało się przełomowe i zapewniło jej czas potrzebny na napisanie pierwszej powieści, wydanej w wieku 24 lat. „Baise-moi" (1993) opowiada o dwóch młodych kobietach, które przemierzają Francję, oddając się brutalnym aktom seksualnym i morderstwom. Tym, co było w tej książce świeżego i nieoczekiwanego, była odmowa bycia ofiarą.

To oczywiście fantazja – Despentes twierdziła, że nikogo nie namawia do zabijania mężczyzn, ale furia w tej książce była prawdziwa. Nowe było też położenie akcentu na kwestie ekonomiczne, na to, jak dla wielu kobiet praca seksualna może być sposobem przetrwania. Bohaterki są wkurzone, że muszą siebie „oddawać" i „sprzedawać", że seks jest dla kobiet rodzajem transakcji wiecznie skazanej na porażkę. Dajesz go komuś za pieniądze – źle, potępią cię za bycie dziwką, dasz komuś za darmo, z miłości, jeszcze gorzej, jesteś głupia, naiwna i jeszcze za to oberwiesz.

Film „Baise-moi" obejrzałam na festiwalu Era Nowe Horyzonty w 2003 roku. Miałam 19 lat i historia dwóch prostytutek, dziś powiedzielibyśmy pracownic seksualnych, które po doświadczeniu zbiorowego gwałtu wyruszają w swoistą morderczą odyseję i zabijają swoich oprawców, wstrząsnęła mną. Film oglądało się jak mieszankę „Monster" z Charlize Theron, „Urodzonych morderców" i „Thelmy i Louise", ale nakręconej najtańszą kamerą pożyczoną od znajomego. Wszystkie zaangażowane w film kobiety były seksworkerkami – obie aktorki w głównych rolach były aktorkami porno. W filmie znalazły się niesymulowane sceny seksu, przez co we Francji został on uznany za produkcję pornograficzną i wycofany z normalnej dystrybucji kinowej. Autorki upierały się jednak, że ze względu na wątki przemocy i zemsty ich dzieło absolutnie nie ma na celu podniecania widza – jak klasyczna pornografia – i stanowi manifest artystyczny. W końcu interweniowała sama minister kultury i zdjęła „X" z klasyfikacji. Film wywołał ogromny międzynarodowy skandal i poruszenie, w wielu krajach został ocenzurowany lub dopuszczony tylko do minimalnej dystrybucji.

TEORIA KING KONGA I GWAŁT

Od obejrzenia „Baise-moi" nie śledziłam Despentes z jakimś religijnym oddaniem, ale staram się trzymać rękę na pulsie. Kilka lat po filmie pisarka opublikowała swoją najważniejszą dotąd książkę – manifest feministyczny, „Teorię King Konga". „Piszę jako brzydka do brzydkich: do starych wiedźm, do lesbijek, do oziębłych, do tych, które nie zaznały seksu, i do tych, z którymi nikt nie chce się przespać, do neurotyczek, do wariatek – do wszystkich tych

eprasa.pl 80cac0502a

dziewczyn, które nie liczą się na powszechnym rynku zbytu jako atrakcyjne laski. Nie zamierzam się tłumaczyć. Nie narzekam. Nigdy nie zamieniłabym się z nikim miejscami, bycie Virginie Despentes jest lepsze niż cokolwiek innego" – pisała.

W książce tej słowo „gwałt" pada 81 razy. Pisarka opowiada, jak była wstrząśnięta, że podczas gwałtu tak bardzo identyfikowała się z byciem ofiarą, że – odrętwiałej ze strachu – nie przyszło jej do głowy zranić mężczyznę, chociaż miała przy sobie nóż. „To gwałt sprawił, że znów stałam się kobietą, która jest z natury bezbronna. Małe dziewczynki są uczone, by nigdy nie krzywdzić mężczyzn, a kobiety są wzywane z powrotem do szeregu za każdym razem, gdy nie przestrzegają porządku" – pisała.

Pisała, że nie jest na siebie zła, że nie zdołała zabić swoich gwałcicieli. Jest zła na społeczeństwo, „które mnie wychowało, nie ucząc mnie, jak zranić mężczyznę, który wbrew mojej woli rozerwie mi uda, i zarazem wmawia mi, że to zbrodnia, po której nigdy się nie podniosę".



Kadr z filmu Despentes „Baise-moi", w Polsce pokazywany był pod tytułem „Gwałt"

ODDZIELIĆ CIAŁO OD KRZYWD

Praca seksualna paradoksalnie stała się dla niej „kluczowym krokiem w odbudowie siebie". Mimo gwałtu Despentes pragnęła męskiej uwagi – skądinąd częsta reakcja ofiar traumy, które garną się do oprawców – i zrozumiała, jakie to łatwe, wystarczy makijaż i wyzywające ubranie. Co więcej, wykorzystywanie swojej seksualności do zarabiania pieniędzy pozwoliło jej oddzielić swoje ciało od zaznanych krzywd, fizycznych i emocjonalnych: „Zdecydowałam, że moja płeć należała tylko do mnie". Tłumaczeń „King Konga" musiałam dokonać samodzielnie z wydania anglojęzycznego – choć Fundacja Feminoteka w 2015 roku wydała książkę dzięki publicznej zbiórce, dziś egzemplarzy ze świecą szukać.

To, jak Despentes stawia sprawę – sekspraca jako lekarstwo na seksnapaść – może początkowo oburzać, wydawać się kontrowersyjne. Wielu twierdzi, że z traumy po gwałcie i molestowaniu już nie można się do końca podnieść. Jednak molestowanie i krzywdy seksualne się dzieją – są niestety częścią kobiecej, choć nie tylko, ale przede wszystkim, egzystencji. Dlaczego mamy więc godzić się z interpretacją, że straumatyzują nas one na całe życie? Przy takim podejściu niewiele już zostawałoby nadziei, choćby związanej z terapią. Despentes wybrała swoją terapię, która była nieco rockandrollowa i kontrowersyjna.

SZACOWNA POSTAĆ KULTURY

I tu wracamy do „Drogi dupku". Niewątpliwie bohaterka, Rebecca Latte, taka właśnie jest: kryjąca za sobą kontrowersyjną przeszłość, po doświadczeniu gwałtu i innych traum, ale radząca sobie z nimi w czasach, kiedy kobiet nikt publicznie nie wspierał, więc musiała poradzić sobie sama, za pomocą alkoholu, narkotyków lub budując twardą jak skała osobowość. To dlatego, mimo że chce potępić Oscara, nie potrafi też do końca zrozumieć Zoe.

W książce Zoe pojawia się jako trzeci głos, w formie jej postów na blogu. Zoe jest wściekła, że milczała tyle lat o tym, czego doświadczyła od Oscara. Teraz publikuje obraźliwe tyrady pod jego adresem. Były próby pocałunków, niechciany dotyk, narzucanie się, wpychanie rąk tam, gdzie nie chciała. To oczywiście karygodne, ale – zdaje się pytać Despentes – jeżeli znacznie poważniejsze zbrodnie, takie jak bicie i gwałt, nie zostają właściwie ukarane, czy mamy ukrzyżować wszystkich mężczyzn, którzy klepali nas w tyłek? Problemem jest całkowite pomieszanie pojęć i ciężaru zbrodni. Tak, Oscar – i jemu podobni – to dupek, ale potencjalnie dający się zreformować. To ktoś, kto, jeśli wskażemy mu błędy, może zacznie słuchać i przestanie być idiotą.

„Drogi dupku" ugruntowuje pozycję Despentes jako kontrowersyjnej, ale szanowanej postaci francuskiej kultury. Nieoczekiwanie odniosła ogromny sukces finansowy i czytelniczy. Jej trylogia „Vernon Subutex" sprzedała się w nakładzie półtora miliona egzemplarzy. Stworzyła w niej postać zbankrutowanego, ale nieodparcie czarującego właściciela sklepu płytowego i byłego punkowca Vernona, który, bezdomny, tuła się po Paryżu początku XXI wieku, pełnego tarć etnicznych, brudu i zamieszek, ale też znaków dawnej kontrkultury. I w „Vernonie", i w „Drogi dupku" bohaterowie Despentes są wybitnie niedoskonali i nie można ich stawiać jako wzór do naśladowania dla młodzieży. A jednak, ponieważ dorastałam w latach 90. i pamiętam doskonale ten klimat kulturalny, który opisują bohaterowie „Drogi dupku", mam dla nich wiele zrozumienia i sympatii. Czytając o wizytach na spotkaniach AA, samotności i nieudanych związkach, widzę własne popaprane próby radzenia sobie z traumą.

Mam nadzieję, że „Drogi dupku" w końcu przetrze drogi do popularności Despentes w Polsce. Autorka, dziś 57-letnia, nie chce być już tak wściekła. Co więcej, ta stara punkówa szuka dialogu. Relacja Rebekki i Oscara to próba wyobrażenia, jak dwie tak różne osoby mogłyby się dogadać, gdyby spróbowały. Czy to utopia? ▲



VIRGINIE DESPENTES
„Drogi dupku", przekład Beata Gebbert, W.A.B.

FOT. SOPHIE BASSOULS/SYGMA VIA GETTY IMAGES. ARCHIVES DU 7E ART/PAN-EUROPEENNE/PHOTO12/BE&W

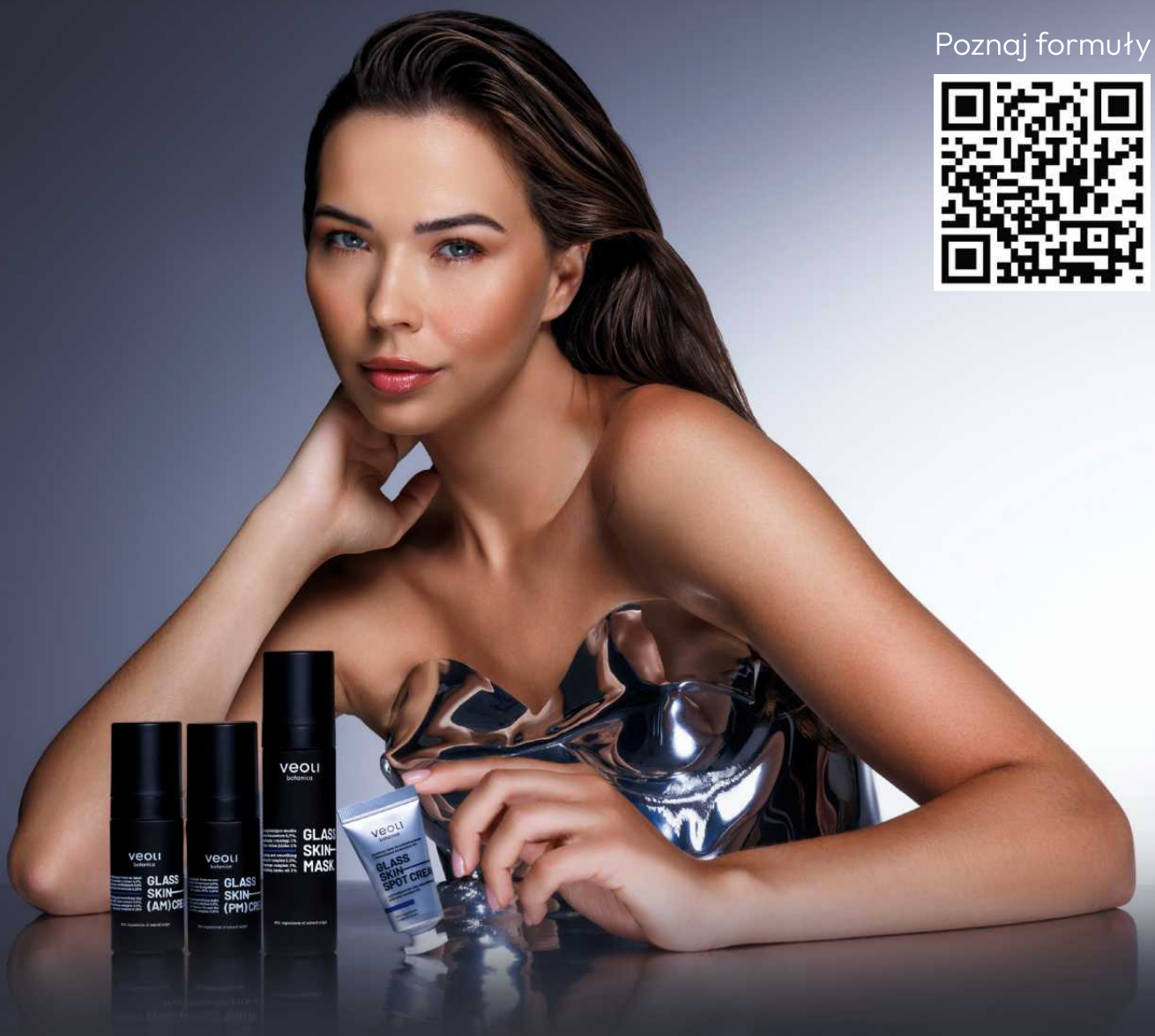
eprasa.pl 80cac0502a

veoli
botanica

Zatrzymaj efekt **GLASS SKIN** z nową kompletną rutyną

Wygładzenie, wyrównanie kolorytu i naturalny glow.
4 produkty, 1 rutyna i jedyny taki długotrwały efekt **GLASS SKIN.**

Poznaj formuły



eprasa.pl 80cac0502a



eprasa.pl 80cac0502a

Madka Polka

Mam dla was dobrą wiadomość: ludzie i tak nas nie lubią, więc możemy przestać nosić te kredki po kieszeniach do restauracji, dwoić się i troić, żeby nikomu nie przeszkadzać

TEKST **MONIKA PASTUSZKO**
RYSUNEK **ADA BUCHHOLC**

Co dobrego spotkało cię z dzieckiem w mieście – takie pytanie zadałam kilkudziesięciu matkom. Czego potrzebujesz w przestrzeni publicznej od ludzi? Link do reportażu wrzuciłam na Facebooka. A potem zdarzyło się to, o czym zwykle twórcy internetowi marzą: mój wpis poszybował zasięgami w kosmos. Marzą, bo uwaga to waluta, widoczność to hajs. Ja nie byłam jednak zachwycona.

Mam niewielkie konto, które prowadzę nieregularnie. Mam też ambiwalentny stosunek do serwisów społecznościowych. Wolałabym, żebyśmy więcej czasu spędzali, patrząc na jaskółki na osiedlowym niebie niż na Facebooka. Ludzie, idźcież stąd, świeci słońce, po co piszecie kolejny komentarz!

Tymczasem komentarze się sypały. Odnosiły się do redakcyjnego tekstu – że dzieci są dyskryminowaną grupą. „Za mało miejsca do zabawy? U mnie jest tyle placów zabaw, że nie mogę spokojnie przejść ulicą, żeby się nie natknąć na jakiś z krzyczącymi bachorami". „To nie tak, że nie lubię dzieci. Nie lubię rodziców, którzy zamiast wychowywać dzieci, hodują je!". „Darcie się dzieciaków to wina byle jakich rodziców". „Ja nie wrzeszczę w bliskości dzieci, oczekuję, że one nie będą też wrzeszczeć blisko mnie". „Rodzice nie przejmują się nikim wokół. Siedziałam w kolejce u lekarza, chciałam popracować, wokół dzieci oglądały bajki na telefonach bez słuchawek, a jedna matka czytała afektowanym tonem książeczkę".

Algorytmy zwietrzyły krew. Tam, gdzie są emocje, są i zasięgi. Portal postanowił wyświetlić mój post dziesiątkom tysięcy osób niebędących obserwatorami mojej strony. Było też coś jeszcze: część komentujących profili nie należała do ludzi. Brak profilówki albo profilówka schematyczna, niewielu znajomych, brak postów czy znaków życia na własnym profilu. Wtf is trolle komentujące to, jak powinny zachowywać się matki?

Daria, matka dwulatka (wygląda na prawdziwego człowieka), pisze, że owszem, z dwulatkiem ciężko negocjować, ale rolą rodzica jest próba tłumaczenia dziecku, żeby nie krzyczało, bo dookoła są inni ludzie. Rozumie społeczną niechęć wobec rodziców, bo „w ostatnich latach nieźle się odkleili". Darii odpowiada troll (dziwna profilówka, dwoje znajomych): „I takich rodziców jak pani brakuje! Jest pani towarem deficytowym", a ja zastanawiam się, jak daleko pani Daria posunie się w uciszaniu swojego dwulatka, żeby od najwcześniejszych lat rozumiał, że jego rolą jest nieprzeszkadzanie, i jak daleko boty posuną się w pouczaniu matek, jak powinny wykonywać swoją pracę.

ALGORYTMY TO NIE LUDZIE

Problem w tym, że Facebook to nie jest gra online. Tu mamy wrażenie, że rozmawiamy z prawdziwymi ludźmi. Małgorzata Halber w swoim świetnym eseju „Hałas" porównuje internet do obozu treningowego, na którym ludzie zwracają się do siebie w taki sposób, jak robią to w komentarzach. Kiedy chcesz się sprzeciwić – słyszysz, że pogarda to taka wolność słowa, że to tylko internet i musisz się pogodzić. Nie chodzi jedynie o zdania pod naszym adresem, ale też o rolę świadka przemocy: „Patrzymy, jak każdy może zostać obrażony, zbesztany, wyśmiany". Psycholodzy nazywają to rozhamowaniem: w ten sposób, w jaki ludzie pozwalają sobie wyrażać się w komentarzach, nigdy nie odezwaliby się twarzą w twarz.

To, co wypisywać można w internecie pod adresem dzieci, to przemoc podwójna: oczekiwanie, że rodzice coś zrobią z tymi płaczącymi dziećmi, to przecież fantazje o przemocy. Naprawdę my, rodzice, nie mamy w kieszeni pilota, który pozwoliłby nam wyłączyć głos czy baterie dziecku. Mamy w zanadrzu rozmowę i parę trików, ale po te historycznie najbardziej niezawodne: straszenie, zawstydzenie, bicie – już nie sięgamy.

Zamykam komputer, wychodzę z dziećmi. Wyłączam portal, to tylko algorytmy, to tylko internet, a nie prawda o ludziach, a ja jestem stara i mądra, jestem matką wyjadaczką i nie pozwolę własnego dziecka kaszojadem obrażać. A jednak osad tych ocen osiada w mojej głowie jak ołowiany pył. Jedziemy pociągiem, mój syn znudził się siedzeniem i teraz biega po wagonie.

– Przepraszam! – mówię do pana, na którego kolana maluch próbuje się wspiąć.

– Niech pani nie przeprasza, to przyjemne – odpowiada mężczyzna. – Taki rezolutny brzdąc!

Maluch leci dalej. Teraz wygląda przez okno, opiera ciałko o panią, która siedzi obok.

– Przesuń się troszkę, nie dotykaj pani – mówię.

– Nie nie, niech się opiera! – oponuje kobieta. – Brakuje mi dotyku dzieci, przepracowałam z nimi czterdzieści lat.

Tego dnia przepraszam jeszcze za to, że starszy syn zajechał komuś drogę na chodniku. Że wierci się w autobusie i ta niesforna nóżka, która dzisiaj nie może zaznać spokoju, kopie sąsiadkę. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Czy możemy tu być? Na pewno wam przeszkadzamy. Moje dzieci jadą na rowerkach przez podwórka i ścigając się, krzyczą. A ja kulę się, bo wyobrażam sobie, że w każdym oknie jest ktoś, kto nas nie lubi, przeklina

eprasa.pl 80cac0502a

pod nosem coś o gówniakach i zamyka okno z trzaskiem.

DOBROSTAN, A MOŻE ZŁOSTAN

Tego dnia ktoś pomaga wsiąść do autobusu, bo widzi, że jestem z dwójką dzieci, ktoś inny życzliwie zaczepia. Tyle spotkało mnie dobra, ktoś ucieszył się z obecności dzieci – a jednak w głowie mam tamtą internetową nienawiść. Ona wpływa na mnie mocniej niż życzliwość.

Dlatego chcę pisać o życzliwości. Nie o nienawiści. Bo to, czemu poświęcamy uwagę, rośnie w siłę.

Matki, które pytałam o doświadczenie życzliwości od obcych ludzi, mówiły: od obcych potrzebujemy nieoceniającej obecności. Życzliwej uwagi. Lubimy, kiedy ktoś zagaduje nasze dzieci, kiedy ktoś inicjuje z dzieckiem mikrozabawę: zatrąbi klaksonem, zrobi minę. Nie chcemy ocen. Chcemy czuć, że jesteśmy członkami społeczeństwa, a dzieci, choć różne od dorosłych, są mile widziane.

Ja tych matek, o których grzmi internet: beztrosko puszczających dzieci samopas, żeby wszystkim przeszkadzały, nie widuję. Widzę za to dorosłych, którym trudno znieść emocje dzieci: ich radość i smutek czy złość, które objawiają się nieraz krzykiem. Którzy nie zgadzają się na to, że dzieci są różne i mają swoje charaktery – być może dlatego, że sami nigdy nie dostali akceptacji. Widzę też matki i ojców, którzy dwoją się i troją, żeby nikomu nie przeszkadzać. Którzy wlepią do ręki dwulatkowi telefon na czterogodzinną podróż, byleby nikomu w przedziale kolejowym nie naruszyć świętego prawa do odpoczynku w czasie podróży. Widzę też matki, które pouczają swoje dzieci na placach zabaw: „No pozwól chłopcu pobawić się twoją łopatką. No zjeżdżaj ze zjeżdżalni, dziewczynka czeka. No nie wchodź po ślizgu pod górę, bo przeszkadzasz". Zwykle kraje mi się serce: dajmy tym dzieciom trochę swobody, niech popełnią swoje błędy, kto nigdy nie wchodził pod górę ślizgu i nie wyrżnął w niego brodą, ręka w górę. Niech negocjują sobie miejsce samodzielnie.

Wściekam się, jak bardzo my, matki, żyjemy w strachu przed MADKĄ, jak bardzo próbujemy się zmieścić w uchu igielnym między zajmującą za dużo miejsca, roszczeniową MADKĄ a zbyt zahukaną i grzeczną MATKĄ POLKĄ. Mam dla was dobrą wiadomość: ludzie i tak nas nie lubią, więc możemy przestać nosić te kredki po kieszeniach do restauracji, dwoić się i troić, żeby nikomu nie przeszkadzać. Warto mieć to głęboko gdzieś! Bo, niestety, nasz dobrostan, a może raczej złostan, wpływa na dzieci. Im bardziej czujemy presję, żeby zadbać o otoczenie (inaczej zostaniemy MADKĄ!), tym trudniej jest nam sensownie, spokojnie i przytomnie zadbać o potrzeby własnego dziecka.



To, co wypisywać można w internecie pod adresem dzieci, *to przecież fantazje o przemocy*

STRESOWO WYCHOWANI

Przez to bezstresowe wychowanie rośnie pokolenie społecznie upośledzone, egoistyczne – grzmią komentatorzy białkowi i krzemowi. Ja zaś uważam, że to my, pokolenie wychowane stresowo, jeśli nie pasem, to przynajmniej groźbą i drwiną, jesteśmy społecznie upośledzeni. Nieufni wobec innych, wiecznie wylęknieni, znerwicowani, tworzymy społeczeństwo o lichej spójności społecznej. I mścimy się na matkach – w internecie.

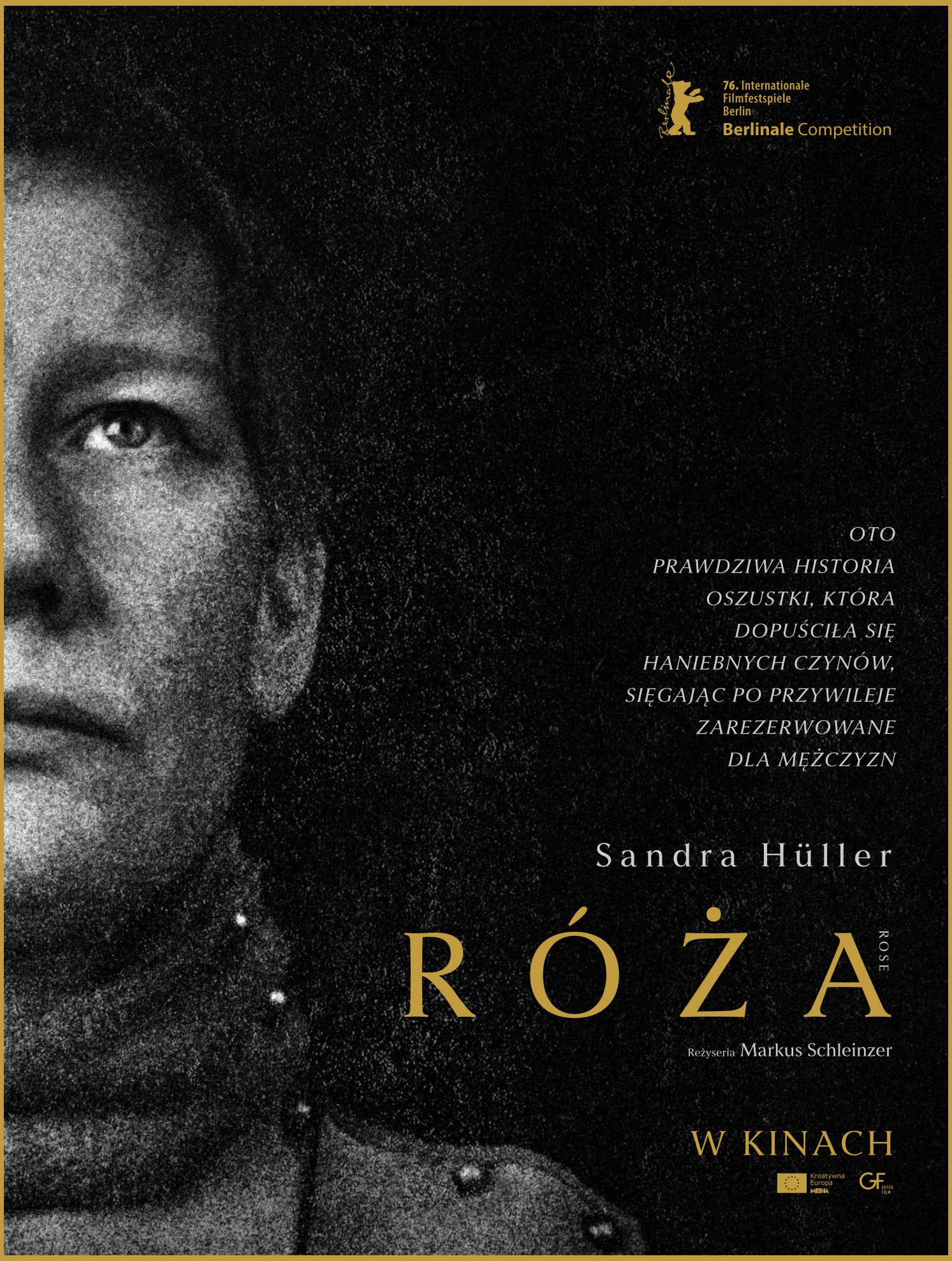
Julia Kristeva, psychoanalityczka, postawiła hipotezę, że społeczeństwo ustawia się wobec matek tak jak dziecko wobec własnej matki: idealizuje je (matka Polka!) i jednocześnie traktuje je jak zasób naturalny. Matka ma być zawsze przygotowana, żeby nakarmić, zaopiekować się, zatroszczyć. Ma poświęcać dziecku sto procent uwagi. Wobec matek, które obserwujemy na ulicy, miewamy mało wyrozumiałości: dokładnie przeciwnie, niż matki tego by potrzebowały. (Potrzebujemy życzliwej widoczności, wsparcia – mówiły). Zwykle nie mówimy tego wprost na ulicy, ale internet, z jego rozhamowaniem komentarzy i premiowaniem silnych emocji, rządzi się innymi prawami. Łatwo wciska się enter po napisaniu ocennych treści.

Surowe ocenianie matek jest też poruszające, bo matki są często we mgle, szczególnie na początku macierzyństwa. My naprawdę jeszcze nie wiemy, jak dobrze zająć się dziećmi, i potrzebujemy się tego nauczyć. Jednak to, jak uczymy je tego jako społeczeństwo, jest bezwzględne i okrutne. Nieraz, kiedy spacerowałam z gondolką, ktoś uważał za stosowne przyczepić się do czegoś: źle przystawiam do piersi, źle wysiadam z autobusu z wózkiem, nie ma czapeczki. Tak, takie sytuacje zdarzały się rzadziej niż miłe komentarze, ale miały większy ciężar.

Skończyły się wakacje i sezon na teksty o dziecku grozy w samolocie, a ja wciąż zastanawiam się, czemu ten temat tak rozgrzewa ludzi. Widać, że pod spodem tli się konflikt, ale za żadną cenę nie chcemy o tym otwarcie rozmawiać. „A spróbuj takiej matce, albo jeszcze gorzej dziecku, zwrócić uwagę" – pisze ktoś, a ja zastanawiam się, co strasznego miałoby się wtedy stać. Że skomunikowalibyśmy się na temat swoich potrzeb, czy jak? Hałas to niechciany dźwięk, niechciany jest więc dźwięk dziecięcych emocji: krzyk radości i zabawy, płacz smutku, ryk wściekłości. Chodzi nie tyle o hałas generowany przez dzieci, ile o filozofię wychowywania dzieci. Jeśli dziecko krzyczy – czy przede wszystkim należy zająć się jego emocjami, bo dzieci są ważne? Czy uciszeniem go i przywróceniem komfortu dorosłym wokół, bo dzieci i ryby głosu nie mają?

Nie wiem, czy Polacy nienawidzą dzieci. Wiem, że mamy w Polsce uśpiony konflikt o dzieci: powinny być nieme czy mogą być ważne? Internet, niestety, nie pomaga się nam dogadać. A szkoda. ▲

eprasa.pl 80cac0502a



76. Internationale Filmfestspiele Berlin
Berlinale Competition

OTO PRAWDZIWA HISTORIA OSZUSTKI, KTÓRA DOPUŚCIŁA SIĘ HANIEBNYCH CZYNÓW, SIĘGAJĄC PO PRZYWILEJE ZAREZERWOWANE DLA MĘŻCZYZN

Sandra Hüller

RÓŻA

ROSE

Reżyseria Markus Schleinzer

W KINACH

Kreatywna Europa MEDIA

GF Gutek Film

eprasa.pl 80cac0502a



Boginie na *szczytach*

Mówi się, żeby podnieść ceny pozwoleń na trekkingi i wspinaczkę. Ale ja uważam to za wykluczenie ekonomiczne i jestem przeciwna. Tym bardziej że ludzie, którzy mają mniej pieniędzy, często są dużo bardziej świadomi i starają się pozostawić jak najmniejszy ślad

Z **MAGDĄ JOŃCZYK**
ROZMAWIA **MARZENA FILIPCZAK**

Jeśli myślisz nieśmiało o wędrówce w Himalajach, ale boisz się nawet samej tej myśli, zastanawiasz, czy rozsądnie jest tam jechać po niedawnej powodzi – ta rozmowa jest dla ciebie. Wątpliwości rozwiewa Magda Jończyk, przewodniczka po Himalajach i Karakorum, założycielka i prezeska Fundacji Wysoko, która wspiera lokalne społeczności i promuje świadomą turystykę. Po pierwszej typowo urlopowej wędrówce zamieniła biurko w banku na prowadzenie wędrówek po wysokich górach i dziś czas dzieli między Polskę i Nepal.

Zdjęcia zniszczonych domów, filmy, na których wdziera się między nie rzeka i porywa wszystko, doniesienia o zaginionych turystach. Nepal tuż przed sezonem trekkingowym dotknęła tragiczna powódź. Jechać, nie jechać, czy to bezpieczne, etyczne? – pytają ludzie.

– Bo widzą zdjęcia wdzierającej się wody – mi też zresztą ciągle się takie wyświetlają – i myślą, że tak wygląda cały kraj. A chodzi tylko o jedną rzekę. Na mapie Nepal przypomina bagietkę, rzeka Trishuli dzieli ją w poprzek na pół, spływając z gór do Indii, nieco na zachód od Katmandu. Zniszczenia i utrudnienia są jedynie wzdłuż niej, zostały na przykład przerwane drogi w rejon Annapurny i Manaslu. Ale Nepalczycy radzą sobie dobrze z takimi sytuacjami, żyją przecież w regionie pór suchych i monsunowych. Wierzę, że udrożnią szybko drogi przynajmniej dla dżipów, bo zależy im, żeby przyjechali turyści, a jesienią jest ich najwięcej. Inne tereny trekkingowe, np. popularny rejon Everestu, są nietknięte.

Największa tragedia wydarzyła się na granicy nepalsko-chińskiej, zginęli turyści jadący na trekking wokół świętej góry Kajlasz [znajduje się ona w Tybecie, do którego można wjechać tylko w grupie zorganizowanej i z pozwoleniem władz Chin]. Wśród towarzyszących im przewodników i tragarzy byli niestety bracia moich dobrych znajomych i współpracowników. Jeden z nich zadzwonił ok. godz. 8 do żony, że czekają na otwarcie przejścia granicznego o godz. 9. Gdyby otwierali je wcześniej, być może oni i inne czekające grupy byliby już wyżej. A tak, jedna sekunda, osierocili żony i dzieci. Chcę ich objąć długofalową pomocą, zapewnić utrzymanie i edukację.

Więc odpowiedź na pytanie: „Jechać czy nie", jest jasna. Oczywiście, że jechać i dać Nepalczykom zarobić, bo to najlepsze, co można teraz zrobić.

eprasa.pl 80cac0502a



Szlak w kierunku bazy pod Everestem; na pierwszym planie murki mani [wzniesione z kamieni i płyt struktury, na których wyryto świętą mantrę] i flagi modlitewne, w tle od lewej: Nuptse, Everest, Lhotse i Ama Dablam, rejon Khumbu, Nepal

Powódź była tak tragiczna, bo błyskawiczna, spowodował ją oderwany fragment lodowca. Władze Nepalu nie chcą od świata pomocy humanitarnej, tylko odszkodowania za emisję CO2 – sam Nepal emituje go mało, za to silnie odczuwa skutki. Czy zmiany klimatyczne są w nim zauważalne?

– Tak. Skutki cofających się lodowców widać gołym okiem. Na przykład pod Everestem: kiedyś po wodę chodziło się do strumyczka za bazą, teraz przez jej środek płynie praktycznie rzeka. Widzę, jak zmieniają się drogi, którymi wędrujemy, oraz pogoda. Jeszcze dekadę temu październik był suchym pewniakiem, niedawno w jego drugiej połowie – czyli szczycie pory suchej – szliśmy cztery dni w ulewnym deszczu, były oczywiście osuwiska. Do tego dochodzą bardzo suche zimy i susze wiosną. Miejscowi coraz częściej mówią: „Takiej pogody nie było nigdy wcześniej".

Wróćmy do twoich początków w Himalajach. To miłość od pierwszego wejrzenia?

– W Himalaje po raz pierwszy pojechałam w 2010 r. na trekking do bazy pod Annapurną, położonej na wysokości 4130 m n.p.m. Weszłam szybko i zostało mi sporo czasu, zdecydowałam więc pójść wyżej na lodowiec, na 4,5 tys. m n.p.m., potem 4,8 tys. m n.p.m. Czułam się świetnie, mój towarzysz, który wcześniej był w Himalajach wiele razy i zjechał kawał świata, aż sprawdzał mi puls, nie mógł uwierzyć, że tak dobrze znoszę wysokość. A ja naprawdę nie miałam wtedy wielkiego doświadczenia z wysokimi górami.

20 listopada 2014 r. po raz pierwszy weszłam na sześciotysięcznik – był to Island Peak, który ma 6165 m n.p.m. Dziś wszystkich wejść powyżej 6 tys. m n.p.m. nie potrafię już policzyć, a na wysokości powyżej 5 tys. m n.p.m. zdarza mi się przebywać ponad dwa miesiące ciągiem. W tym roku wybieram się na siedmiotysięcznik. Czy pójdę wyżej? Nie wiem. Jestem ciekawa widoków z 8 tys. – tego, jak człowiek się tam czuje. Ale zdobywanie góry jako takiej nie jest moim marzeniem.

Czy uważasz, że każda osoba może tak pójść?

– Na pewno może spróbować, o ile nie ma przeciwwskazań zdrowotnych. To nie są czasy pierwszych wypraw, kiedy ludzie nie wiedzieli, z czym się mierzą, dziś znamy prognozy pogody, mamy wytyczone trasy, świetny i lekki sprzęt. Nie powiedziałabym, że popularne sześciotysięczniki się zdobywa. Na nie się wchodzi, choć może to być oczywiście uciążliwe. Największą niewiadomą jest pogoda. Jeśli dopisuje, a ty jesteś w dobrej formie fizycznej, to po prostu idziesz. I jeśli organizm dobrze znosi wysokość, czego wcześniej nigdy nie wiadomo, możesz wejść na sześciotysięcznik w czasie pierwszego wyjazdu. Np. na popularny wśród Polaków szczyt Mera Peak (6476 m n.p.m.) – ostatnio śnieg zasypał wszystkie szczeliny, szło się bez przeszkód.

Taką wędrówkę trzeba jednak przyjąć z całym pakietem. Od trudności fizycznych, wysiłku związanego z pokonywaniem wysokości po logistykę. To, że codziennie trzeba się rozpakować, następnego ranka spakować, a w kranach nie ma ciepłej wody, dla wielu osób okazuje się nie do przeskoczenia. Natomiast zrobiłam kiedyś wśród współtowarzyszy podróży ankietę, czy chcieliby wrócić w Himalaje, i większość odpowiedziała twierdząco.

A nie chcą ci, którzy...

– Jechali z pewnymi oczekiwaniami, Himalaje kojarzą się ze spełnianiem ma-

FOT. MAGDA JOŃCZYK

eprasa.pl 80cac0502a



Wioska Upper Pisang na trasie dookoła Annapurny, Nepal

rzeń, przebywaniem blisko nieba. Myśleli więc, że inaczej spojrzą na świat, wszystko im się w życiu poukłada. Ale góry przecież tego nie dają.

Innym wydawało się, że są świetnie przygotowani, wiedzą, czego się spodziewać, bo obejrzeli dokładnie relacje z trasy na YouTubie i Instagramie. „O, to ten kamień!"– mówili na widok charakterystycznego głazu znanego z internetu. Ale na zdjęciach i filmach nie widać przecież wszystkiego, na przykład tego, jak dużo jest w wysokich górach kurzu. Kiedy zawieje, wciska się dosłownie wszędzie, jest uciążliwy bardziej od śniegu czy lodu, których zresztą na trasach wędrówek za dużo nie ma. W połączeniu z chłodnym powietrzem i pogłębionym szybszym oddechem spowodowanym wysokością oznacza to ciągłe infekcje dróg oddechowych. Dlatego Szerpowie chodzą ze szczelnie zakrytymi ustami.

W Himalajach nie chodzi się jednak tak dużo, jak się może wydawać. Wędrujemy powoli, robimy niezbyt wysokie podejścia, żeby dać sobie czas na aklimatyzację. Za to sporo czasu siedzimy. Przychodzimy po południu do lodge'u, hoteliku, pijemy herbatę, internetu nie ma albo jest zawodny. Dla wielu ludzi czas ze samym sobą to większy problem niż wędrówka. Chcieliby, żeby ich gdzieś zaprowadzić, coś pokazać. Tylko co? Tam są tylko czyjeś domy, a ja nie chcę traktować mieszkańców jako atrakcji turystycznej.

W dodatku wrzuconej na Instagram albo Facebooka.

– No tak, kiedyś ludziom wystarczał sam pobyt w górach, teraz chcą, żeby zdjęcia pokazywały jasno, gdzie byli. Na przełęczach, lodowcach, szczytach pojawiają się kolejne metalowe tabliczki z nazwami, żeby można sobie było przy nich zrobić zdjęcie. W tym roku stanęła taka nawet na Mt Evereście. Wyobrażasz sobie? Napis: „Mt Everest, 8848 m n.p.m.", i ja. Albo ten nieszczęsny kamień w bazie.

Wyjaśnijmy: wspomniana już baza pod Everestem to miejsce, skąd ruszają wyprawy na najwyższy szczyt Ziemi. Brzmi jako coś bardzo niedostępnego, faktycznie jest ogromnym miasteczkiem namiotowym miejscami przypominającym glamping, tyle że położonym na wysokości trochę ponad 5 tys. m n.p.m. Prowadzi tu jeden z najpopularniejszych szlaków trekkingowych w Nepalu – zwykła ścieżka, którą wędrują tysiące turystów.

– Tak, i tuż przed bazą jest ogromny głaz z wysprejowanym na czerwono napisem: „Everest Base Camp", gdzie wszyscy robią sobie zdjęcia. Moi turyści zresztą też. Mówię im: „Jeśli już musicie, to OK, róbcie. Ale beze mnie, nie chcę tego pokazywać". Widziałam zresztą, jak powstał ten napis, zrobił go przewodnik młodych Brytyjczyków. Prosiłam: „Nie rób tego, to brzydkie, a tu jest Park Narodowy". Ale ci młodzi go dopingowali, mówili, że jestem nerwowa, a tu jest inna kultura, której nie rozumiem. Ktoś z bazy mnie poparł, że to skandaliczne. Niestety, napis się przyjął i jest odnawiany.

Podobne napisy na skałach to już jakaś plaga, są wszędzie. Ostatnio na Kala Pattar, najłatwiej dostępnym szczycie z widokiem na Mt Everest, na kamieniu przeczytałam: „Babcia Jadzia. Babcia Zosia. Dziadek Mietek". Ktoś to nabazgrał w pięknym miejscu na wysokości 5600 m n.p.m.!

A co do fotografowania ludzi jako atrakcji turystycznej: myślałam, że nie trzeba już tłumaczyć, że jest to nieetyczne. Tymczasem jedna z firm fotograficznych wypuściła właśnie filmik promujący długi obiektyw: z busa wysypują się turyści, jeden woła miejscową dziewczynkę, ustawia ją przy murze i robi jej portret. Przekaz brzmi, że w podróży ważne są nie tylko krajobrazy, ale też relacje z ludźmi. A tam przecież nie ma żadnej relacji!

Jak się więc zachować? Możemy pójść do rodziny, spędzić z dziećmi trochę czasu, zapytać rodziców o zgodę na zdjęcie. To już jest jakaś relacja.

W miejscach, gdzie jest dużo turystów, dzieci nauczyły się już, że za zdjęcie mogą dostać czekoladę albo drobne. I same się ustawiają przed obiektywem

– Na pytanie: „Co możemy zrobić dla tych dzieci?", odpowiadam: „Kupcie ołówki". Bo w nepalskich szkołach pisze się nimi. Ale nie rozdajcie im dzieciom po drodze, tylko zostawcie w szkole. Najpierw jednak odpowiedzcie sobie na pytanie, czy rzeczywiście robicie to tylko z chęci pomocy? Czy może chcecie poczuć się przez to lepiej, oczekując jednocześnie wdzięczności?

Znam piękną historię czystej, bezinteresownej pomocy. Pewna polska rodzina od lat wspomaga nepalskie dziewczynki finansowo, wysyła im też prezenty. Ciocia tych państwa w latach 80. wyjechała do USA i ktoś, kogo tam poznała, wysyłał im paczki: dżinsy, kolorowe ubrania, na tamte czasy cuda niewidy. Oni teraz podają to dobro dalej, nie oczekując niczego w zamian.

Czy ludzie reagują, kiedy widzą głupie, szkodliwe zachowania? Ty reagujesz?

– Gotuje się we mnie, gdy widzę, że ktoś śmieci, a Himalaje są zaśmiecone. Co roku w marcu, kiedy zaczyna się sezon, media obiegają informacje z Mt Everestu: ile tam butli po tlenie, pozostałości po obozach, ile ciał wspinaczy. A ten rejon jest i tak wyjątkowo czysty, bo wszyscy na niego patrzą. W innych jest znacznie gorzej. W Nepalu zwyczajnie nie ma co zrobić ze śmieciami – nawet w miastach nie stawia się koszy – a jego mieszkańcy nie mają nawyku zbierania ich. Bo i skąd, skoro niedawno nie było tam odpadków innych niż organiczne. Plastikowe butelki, torebki, papierki lądują więc na drogach, poboczach, w górach są zrzucane niżej. Panuje przekonanie, że kiedyś to wszystko spłynie gdzieś z wodą, zabierze je natura. To się zmienia, ale bardzo powoli.

Może najprostszym sposobem byłoby niezabieranie plastiku w Himalaje.

– Proszę moich turystów: nie kupujcie wody w plastikowych butelkach. Trzeba je przecież sprowadzić samolotem, potem wnieść wysoko, a tam lokalna firma na-

eprasa.pl 80cac0502a

pełni je filtrowaną wodą z potoku. Taką samą można mieć z własnej wielorazowej butelki z filtrem.

Oprócz tego mam wrażenie, że ludzie zużywają niestworzone metry papieru toaletowego, papierowych ręczników, wilgotnych chusteczek. I to tacy, którzy mają świadomość ekologiczną, w mieście chodzą z własnymi kubkami na kawę.

I tak doszłyśmy do problemu śmierdzącego i wstydliwego, choć przecież dotyczącego każdego z nas.

– Niezakopane czy nieprzykryte kamieniami odchody to nie tylko problem wizualny, ale też groźne patogeny, które prędzej czy później trafią do wody. A że wysoko w górach wrze ona w niższej temperaturze, zdarza się jej nie dogotować i łatwo o choroby. Widać to wyraźnie w Pakistanie, gdzie spływają odchody z lodowca Baltoro.

Papier użyty w czasie wędrówki idealnie byłoby zabrać i spalić w lodge'u, ale nie zawsze to się udaje. Trzeba więc go zakopać, schować pod kamieniami, a najlepiej nie używać. W zamian zabrać jakąś szmatkę, bandanę, pieluchę i wykorzystać wodę, która jest w każdym nepalskim wychodku. Szmatki wystarczy potem przeprać i wysuszyć na kozach, które wieczorem są rozpalane w lodge'ach.

Magda, ty mówisz już po nepalsku, spędzasz dużą część roku w zaprzyjaźnionej wsi, znasz ludzi od lat. Co oni sądzą o nas?

– Z relacji moich bliskich nepalskich znajomych wiem, że kompletnie nie rozumieją naszego świata, turysta to dla nich inny gatunek. „Didi – starsza siostro, bo tak do mnie mówią – jak to jest? Zachwycacie się widokiem małego kwiatka, który jest przecież naturalny, a jak wam przyniesiemy nie tę herbatę, to jest awantura. A przecież jej zrobienie to wysiłek tylu ludzi: ktoś musiał rozpalić ogień, przynieść wodę, dostarczyć tak wysoko te torebki herbaty. Dostajesz ciepły napar pod nos, czy to naprawdę taki kłopot, żeby zamiast czarnej wypić miętową?"

Nepalczycy są ludźmi uprzejmymi, przyzwyczajonymi, że jeśli coś zrobią nie tak, to się na nich nie krzyczy, tylko tłumaczy. Widzę niestety, że ten dystans mentalny i kulturowy się zwiększa. Dziwne, bo skoro coraz więcej z nas poznaje świat, to chyba powinno być odwrotnie.

To może nie powinniśmy tam jeździć? Nadmiar turystyki staje się na świecie realnym problemem. Czy nie zadepczemy Himalajów?

– To bardzo trudny temat. Oczywiście dla natury byłoby dużo lepiej, gdyby ludzi było mniej, dla turystów zapewne też. Mówi się, żeby podnieść ceny pozwoleń na trekkingi i wspinaczkę. Ale ja uważam to za wykluczenie ekonomiczne i jestem przeciwna. Tym bardziej że ludzie, którzy mają mniej pieniędzy, często są dużo bardziej świadomi i starają się pozostawić jak najmniejszy ślad.

Poza tym Nepal jest bardzo biednym krajem, to drugi po Afganistanie najbiedniejszy kraj w tej części Azji. A turystyka daje utrzymanie wielu mieszkańcom. Oficjalnie stanowi ona 8 proc. PKB, ale w statystyki nie łapie się wiele osób mających dochody dzięki niej, np. prowadzących małe jadłodajnie, sklepiki, które karmią tragarzy. Z tego żyją całe rodziny.

Poprawę jakości życia dzięki pieniądzom z turystyki po prostu widać. Do wsi moich przyjaciół droga, po której kursują dżipy służące za transport publiczny, dotarła zaledwie osiem lat temu. W tym samym czasie doprowadzono tam również prąd.

Na turystykę w Himalajach patrzymy przez pryzmat Everestu, gdzie rzeczywiście bije ona rekordy. W innych rejonach jest jej zdecydowanie mniej albo nie ma w ogóle.

Pamiętasz swój pierwszy raz z Everestem?

– Lot widokowy z Katmandu, kapitan zapraszał nas po kolei do kokpitu, pokazywał i nazywał góry. To było coś wspaniałego. Z ziemi jednak długo tego rejonu unikałam, obawiając się właśnie jego popularności. Dotarłam tam, idąc na pierwszy sześciotysięcznik, wybrałam końcówkę sezonu, obyło się więc bez tłumu. Kiedy rok później wędrowałam szlakiem trzech przełęczy pod Everestem, pomyślałam, że to miejsce jest tak piękne, że chciałabym je pokazać innym. Zaczęłam tam wracać, czytać o regionie, słuchać opowieści Szerpów.

W kwietniu, kiedy zaczyna się sezon, do Lukli przylatują i wspinacze, i wędrowcy, pod Everestem rzeczywiście jest tłoczno. Ale poza nim wciąż można się cieszyć pięknem tego miejsca. Uwielbiam koniec sezonu, czyli listopad: dni są wciąż długie, można wyjść na trasę trochę później i wędrować, nie spotykając właściwie nikogo.

Przychodzi do ciebie dziewczyna i mówi, że chciałaby po raz pierwszy pojechać w wysokie góry, jest sprawna, ale ma obawy. Co byś jej poradziła?

– Jeśli się boi, nie ma żadnej wiedzy, jest sama – warto pomyśleć o przewodniku. Ogólnie jednak Nepal jest bezpiecznym krajem, a jego mieszkańcy pomocni, komunikatywni, obcokrajowcy dobrze się tam czują. W górach oczywiście są miejsca bardziej wymagające, ale popularne szlaki w rejonie Everestu czy Annapurny to miękkie ścieżki, trzeba uważać jedynie na pasące się przy nich bydło rogate. Można się odważyć jechać samej. Na pierwszy raz dobry będzie rejon Annapurny, który ma świetną infrastrukturę, bo drogi są dostępne dla pojazdów do wysokości 3,5 tys. m n.p.m., są tam dobre hoteliki, prąd, wi-fi, ciepły prysznic.

Czy ty się boisz gór?

– Gór nie, co najwyżej w górach, bo wiem, jak nieprzewidywalne mogą być z powodu pogody. Dzięki Himalajom jestem tym, kim jestem. Jest mi tam dobrze, mam duży szacunek dla ludzi, ich wierzeń i kultury, kocham przyrodę, ścieżki, szczyty. Ja nawet z nimi rozmawiam – Nepalczycy wierzą, że najwyższe zamieszkują boginie – i mówię, jak bardzo jestem im wdzięczna. ▲

Zbiórka Fundacji Wysoko na pomoc dla rodzin z wysokogórskiej wsi Majkharka, które straciły ojców, jedynych żywicieli rodziny: Fundacja Wysoko, PL82 1140 2004 0000 3602 8521 2834, więcej informacji – fundacjawysoko.org



MAGDA JOŃCZYK

– przewodniczka po Himalajach i Karakorum, założycielka i prezeska Fundacji Wysoko, po pierwszej typowo urlopowej wędrówce zamieniła biurko w banku na prowadzenie wędrówek po wysokich górach i dziś czas dzieli między Polskę i Nepal

eprasa.pl 80cac0502a

W SPRZEDAŻY

wysokie obcasy extra

TEMAT NUMERU:
100 OBJAWÓW PERIMENOPAUZY

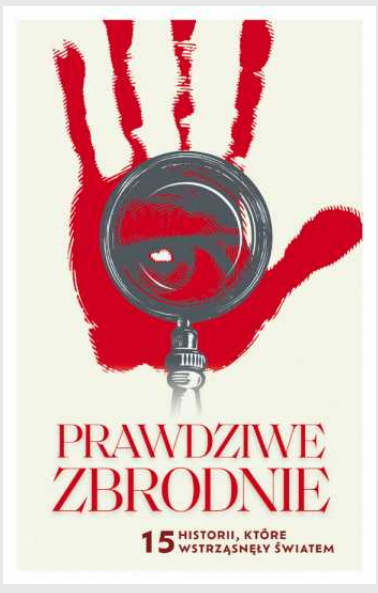
AGATA KULESZA:
SZCZĘŚCIE POJAWIA SIĘ NA CHWILĘ

TRENDY W MODZIE I W KOLORZE JESIEŃ/ZIMA 2026

PSYCHOLOGIA: CUDZY SUKCES.
DLACZEGO SIĘ PORÓWNUJEMY?







Numer dostępny z książką "Prawdziwe zbrodnie. 15 historii, które wstrząsnęły światem" lub magazynem "Psychologia dla rodziców"

eprasa.pl 80cac0502a